

nr 4 (25)
jesień 1999

Rok VII
ISSN 1231-5451

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik
uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

Lublin

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores Scholarum” jest jedną z form programu edukacyjnego „Pamięć – Miejsce – Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Koordynator programu edukacyjnego: Marcin Skrzypek.

Wydawca: „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Dyrektor Ośrodka: Tomasz Pietrasiewicz.

Adres wydawcy i redakcji: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin, tel. (0-81) 532-58-67; fax. (0-81) 534-61-10.
e-mail: scriptor@tnn.lublin.pl; adres strony: www.tnn.lublin.pl

Redakcja: Sławomir J. Żurek – redaktor naczelny; Jacek Wojtysiak – zastępca redaktora naczelnego; Adam Dobrzyński – zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji.

Zespół: dział literacki: Anastazja Śniechowska – opiekun; dział historyczny: Lucyna Kujawa – opiekun; dział filozoficzny: Piotr Szalek – kierownik, Jacek Wojtysiak – opiekun; dział ekumeniczny: Michał Kopaczewski – kierownik, ks. Roman Pracki – opiekun, Mariusz Krawiec SPP, Magdalena Gawlik, Mariusz Orłowski; dział edukacyjny: Bartosz Panek – kierownik, Barbara i Zbigniew Smutkowie – opiekunowie, Paweł Król, Magdalena Pokrzycka-Walczak, Maciej Serweta; promocja i marketing: Adam Dobrzyński.

Redaktor prowadzący: Sławomir J. Żurek.

Korekta: Zespół.

Pismo wyróżnione w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej za „wysoki poziom merytoryczny, walory edukacyjne pisma oraz jego oryginalność”.

Kwartalnik „Scriptores Scholarum” może być wykorzystywany jako materiał pomocniczy w nauczaniu szkolnym. *Kuratorium Oświaty w Lublinie*

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiustacji, redagowania i zmiany tytułów nadsyłanych tekstów.

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

ISSN 1231 – 5451

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” na terenie całego kraju oraz wydawca.

Zrealizowano przy pomocy finansowej Fundacji im. Stefana Batorego oraz Urzędu Miejskiego w Lublinie – **Dziękujemy!**

Numer zamknięto w kwietniu 2000. Oddano do druku w czerwcu 2000.

Komputerowe przygotowanie: IDEAL STUDIO – Jerzy Szatkowski.

Druk: Drukarnia NORBERTINUM.

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego w Lublinie.

Spis treści

Słowo wstępne	5
Rozmowy akademickie o Dekadzie (1989-1999)	
Powrót do stanu normalności, czyli od <i>Solidarności</i> do wolności – rozmowa z prof. Zbigniewem Hołdą (UMCS; UJ)	8
Dekada nadziei - rozmowa z Anną Materską (UW)	17
Prehistoria Dekady	
• <i>wspomnienia</i>	
Ireneusz Ziemiński , Widok z okna	24
Piotr Szalek , Józef Czapski (1886-1993). Wspomnienie świadka XX wieku	29
• <i>o ethosie</i>	
Jacek Zalewski , Ethos „Solidarności”	31
Pokolenie i Dekada	
• <i>po...</i>	
Małgorzata Kulik , Wolni po roku 1989	54
Maciej Serweta , Pokolenie'89 - pokolenie'99. Co ich różni, a co łączy?	56
• <i>przed...</i>	
Małgorzata Kulik , Oczami młodych.	59
Adam Dobrzyński , Nie tylko dla pajaków. Dziesięciolecie WWW	63
Dekada w społeczeństwie	
Maciej Serweta , O Unii Europejskiej - pozytywnie i negatywnie.	68
Mariusz Choina , Kto się boi konkordatu?	73
Regina Grzeszkiewicz , Antysemityzm i asymilacja. Przyczynek do najnowszej historii Żydów w Polsce	75
Dekada w kulturze	
• <i>odchodzący ludzie – odchodzące wartości?</i>	
Dekada odchodzących (Kalendarium). Twórcy kultury zmarli w latach 1989-1999	80
Mariusz Orłowski , Pedagogika kultury, czyli jak ratować zagrożone wartości humanistyczne	91
• <i>recenzje dekady</i>	
Sławomir Czarnecki , Alternatywne zakupy. Dekada sceny niezależnej	96
Tomasz Karpiński , Powrót do „normalności”?	104
Diana Kozak , Etapy Jana Lebnsteina (Czy wystawa 10-lecia?)	110
Kamila Matla , Okiełznać poezję, czyli <i>chirurgiczna precyzja</i> Stanisława Barańczaka	113
Paweł Jurewicz , Dlaczego poloniści nie lubią Lema? Czyli „polski Goethe” i filozofia umysłu	118
Regina Grzeszkiewicz , Żydowski Sen (Halom Ihudi) - rozrachunki Igala Ben-Arie z Polską	126
Dekada w Kościołach	
• <i>o mierzeniu czasu</i>	
Maciej Kowalczyk , O czasie. Biblia a postmodernizm	132
Mariusz Orłowski , Kalendarz jakiego nie było.	137

- *o Kościołach*

Ks. **Krzysztof Kaucha**, Kościół Rzymskokatolicki w minionej dekadzie: od iluzji do normalności . . . 139

Pastor **Jacek Duda**, Sytuacja Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Polsce przed i po 1989 roku . . . 143

Strony przyjazne reformie oświaty

- *konceptje*

Maria Makarska, Regionalizm w nauczaniu międzyprzedmiotowym 148

Marian Klimczak, O metodzie projektu w warsztacie nauczycielskim 160

- *propozycje dydaktyczne*

Przewodnik po pomnikach historycznych Lublina i okolic. 163

Magdalena Pokrzycka-Walczak, Po laski do Widzącego. 178

Roman Doktor, Piotr Gutowski, Daniel Próchniak, Jan Skarbek, Sławomir Jacek Żurek,
Ateny. Edukacja filozoficzna 180

- *informacje o autorach*

od A do Ż. 203

Słowo wstępne

W naszej redakcji znajdują się dwa pokolenia: ci, którzy pamiętają rok 1989 jako przełom ich życia, i ci, dla których jest to tylko rok historyczny, gdyż większość swego świadomego i aktywnego życia przeżyli już w czasach tworzącej się normalności.

Wielu z tych, którzy czekali na Przełom lub o niego walczyli, szybko się rozczarowało. Dlaczego? Choć wszyscy nienawidzili (lub tylko nie kochali) komunizmu, każdy spodziewał się czegoś innego po jego obaleniu... Czegoś, czego w PRL-u brakowało...

Jedni tęsknili za dobrobytem, który tak łatwo i tak szybko nie nastąpił – przynajmniej nie dla każdego. Drudzy czekali na demokrację, a ta okazała się wpierw ograniczona, a potem ułomna - nie wszyscy wszak do niej dorośli. Inni chcieli państwa prawdziwie polskiego i katolickiego, a tu - tzw. „europeizacja” i dominacja kultury amerykańskiej. Jeszcze inni pragnęli spełnić swe marzenia o ukaraniu tych, którzy dorobili się na ludzkiej krzywdzie. W ten sposób weszli w konflikt z tymi, dla których ideałem miało być nowe państwo – bez rozliczeń i odwetu.

I tak okazało się, że tylko pozornie walczyliśmy o to samo. „To samo” okazało się nie tym samym... I tak zaczęły się podziały: na liberalów, konserwatystów, związkowców, narodowców, chadeków, socjalistów, itd. – lista ta jest niewyczerpywalna...

Uczymy się żyć w nowym, otwartym społeczeństwie. Ma ono wiele wad, ale przynajmniej kilka zalet: wolność, pluralizm i możliwość rozwoju. Różnimy się, ale każdy w zasadzie może mówić, co chce, robić, co chce, wybrać model życia, który mu odpowiada - za niepowodzenia winy nie można „zwalić” na system. Wiele zależy tylko od nas, a chętnych do „pomocy” jest niewiele.

Niniejszy Zeszyt Otwarty (Dekada 1989-1999) jest świadectwem tego, jak różnorodnie odnajdujemy się w wolnej Polsce. Jakie mamy problemy i jakie rysują się przed nami perspektywy. Co za nami, a co przed nami... Z jakiej tradycji wyrastamy i jakie mamy horyzonty.

Akcentujemy zmiany w społeczeństwie, kulturze, religii i oświacie. Czynimi to z perspektywy historycznej, pamiętając o zmianie pokoleń, wyznaczonej przez Przełom. Dlatego też w „Rozmowach akademickich” spotykamy się z ludźmi, którzy zajmują się problematyką społeczną i polityczną z perspektywy naukowej, reprezentując jednocześnie dwa pokolenia. Prof. Zbigniew Hołda – pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, działacz „Solidarności” (1980-81) i podziemia (1981-1989) opowiada o znaczeniu Przełomu także z perspektywy związkowca i działacza opozycji. Natomiast Anna Materska z Uniwersytetu Warszawskiego mówi o ostatniej Dekadzie w życiu jednostki i wszystkich Polaków.

Chociaż dla wielu z nas rok 1980 i 1981 to już „prehistoria” (niektórych naszych autorów nie było jeszcze wtedy na świecie), to jednak zdajemy sobie sprawę ze znaczenia tego czasu. Z tej też racji poświęcamy temu właśnie okresowi oddzielny dział. Ethos „Solidarności” jest wbrew pozorom ważny również dla pokolenia, które przyszło na świat w epoce posierpniowej. Przypominamy na łamach „Scriptores Scholarum” znaczące postacie dla historii naszej kultury i państwa, takie jak Józef Czapski, Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, ks. Józef Tischner i wielu, wielu innych.

Pamiętamy, że naszą wolność zawdzięczamy Wydarzeniom roku 1989, chociaż różnimy się od tych, którzy przed dziesięcioma laty mieli po lat dwadzieścia czy trzydzieści, a dziś są naszymi nauczycielami. To, co nas dzieli to nie tylko pragmatyczne podejście do rzeczywistości, ale także wzmożona potrzeba komunikowania się między sobą i korzystania na przykład z dobrodziejstw Internetu. Dla niektórych z nas największą nadzieją i dziejową szansą historyczną jest przystąpienie do Unii Europejskiej, inni młodzi widzą w tym fakcie zagrożenie.

Dekada ta naznaczona była także odnowieniem się różnych fobii i resentymentów, między innymi antysemityzmu, ksenofobii, nietolerancji... Antidotum na tę sytuację może być naszym zdaniem odnowa kultury, religii, sposobu myślenia...

Zeszyt kończą „Strony przyjazne reformie oświaty”, na których szukamy nowych rozwiązań dla następnych generacji, upatrując w reformie systemu edukacji nadzieję dla przyszłych pokoleń Polaków.

DEKADA

**Rozmowy akademickie
o Dekadzie (1989-1999)**

Powrót do stanu normalności, czyli od *Solidarności* do wolności

– rozmowa z profesorem Zbigniewem Hołdą (UMCS; UJ)

Zbigniew Hołda – prof. dr hab.; prawnik; pracownik naukowo – dydaktyczny UMCS w Lublinie (Zakład Praw Człowieka) i UJ w Krakowie; specjalista od prawa karnego oraz praw człowieka. Wieloletni działacz i członek NSZZ „Solidarność”. Został wybrany przez szefa polskiej dyplomacji Bronisława Geremka do Rady ds. Praw Człowieka przy MSZ.

Stawomir J. Żurek: *Jak wyglądały przemiany polityczne w Polsce, ów słynny rok 1989 na poziomie regionalnym, tym nam najbliższym? Czy wynikły spontanicznie, czy były następstwem nakładających się procesów?*

Prof. Zbigniew Hołda: Pod koniec lat osiemdziesiątych, na poziomie regionalnym widać było pewne zmiany, obserwowano się przemiany polityczne. Podstawowym problemem było to, czy władza zalegalizuje *Solidarność*, czy też będzie próbowała nie legalizując iść na jakieś ustępstwa ekonomicznie, a nawet polityczne. Wtedy to był problem numer jeden dla władzy.

Widać było już wcześniej, nie w '89, że władza idzie na pewne ustępstwa. W roku 1988 uchwalono ustawę o działalności gospodarczej. To właśnie ona zmieniła ustrój gospodarczy państwa.

Przeczuwało się nawet, że władza chętnie nawiązałaby współpracę polityczną, ale nie z *Solidarnością*, ale z innymi kręgami. Może godziłoby się nawet na organizowanie partii politycznych. Przykładem zmian w systemie może być chociażby zgoda na jawne wydawanie czasopisma „Res Publica”.

Takie zmiany, w mniejszym czy większym stopniu, były widoczne w całym kraju. Był to jakby wstęp, preludium do czegoś poważniejszego.

Rok '89 w naszym regionie był dla tego regionu ważny, gdyż szczególnie tutaj brakowało tradycji działalności obywatelskiej. I w związku z tym antycypacją tego, co w roku 1989 się stało – czyli owego świetnego zorganizowania się ludzi, powstawania komitetów obywatelskich etc. – były wybory w Fajstławicach (1986 rok).

Małgorzata Kulik: *Czy mógłby Pan Profesor przybliżyć nam fenomen tamtych wyborów?*

Prof. Zbigniew Hołda: W skrócie wyglądało to tak: Janusz Stępnik, wybrany później senatorem w 1989 roku, aktywista podziemnej *Solidarności* Rolników Indywidualnych, namówił swoich kolegów do uczestnictwa w komisji wyborczej. Po prostu czuwali nad przebiegiem głosowania.

I jak to często bywa doszło do głosowania jednych osób za inne np. członkowie komisji oddawali głosy za innych ludzi. Jeden z kolegów Stępnika – Wroński nie chciał się na to zgodzić. Doszło bowiem tam do wielu komplikacji, fałszowania protokołów. Wroński złożył przewidzianą prawem skargę. Władza liczyła na to, iż Sąd Najwyższy uzna, iż nie było żadnych nieprawidłowości, a ludzie stracą wszelką nadzieję. Dzięki udanej współpracy udało się „wymusić” na Sądzie Najwyższym orzeczenie unieważnienia wyborów.

Powtórzone głosowanie i nawet nie było frekwencji 50%, co dodatkowo potwierdziło, iż poprzednie głosowanie było sfałszowane.

Było to bardzo ważne wydarzenie dla tych chłopów, coś jak wóz Drzymały dla chłopów poznańskich. Próba zorganizowania się, powołania się na przepis prawny i zwycięstwo.

To był początek. Później słynny rok '89, wiosna, po podpisaniu porozumień Okrągłego Stołu wszędzie tworzyły się komitety obywatelskie, które były skrzyżowaniem koalicji wyborczej i komitetu wyborczego. W każdej gminie stworzono taki komitet. Znaleźli się ludzie, którzy chcieli to zrobić, działać, a potem wygrali wybory.

Pamiętam, że Adam Stanowski zawsze mawiał, że rok '89 to swoista mobilizacja obywatelska, wielki wspólny wyczyn.

Bardzo podziwiam tych, którzy to organizowali. Wszystko działało bardzo sprawnie, niczego nie brakowało, a co ważne poniesiono niewielkie koszty. Zorganizowano to wszystko z niczego.

Teraz oceniam to tak, że poszło bardzo dużo energii na taką działalność czysto partyjną – organizowanie, działanie. Może za dużo, by odbudowywać związki zawodowy.

Trzeba jednak przyznać, że właśnie w naszym regionie on się bardzo szybko odtwarzał. Nawet Lech Wałęsa zawsze chwalił, że u nas, w regionie mamy świetną bazę, ludzi, doskonały zespół. Znana jest szybka organizacja pomocy dla związkowców. Teraz to już banal – są różne szkolenia, kursy, nawet zagraniczne fundacje. Kiedyś tego nie było. Trzeba było dopiero organizować, uczyć się tego. To było coś nowego. Wtedy dużą rolę w tym wszystkim odgrywał Andrzej Bączkowski, późniejszy minister pracy, czy Jan Wojcieszczuk – obecnie wiceminister finansów.

Adam Dobrzyński: *Panie Profesorze, czy w tę działalność było zaangażowanych dużo pracowników lubelskich uczelni? Czy to były osoby, które wcześniej zajmowały się polityką naukowo, bo przecież nie można było legalnie działać?*

Prof. Zbigniew Hołda: Najlepiej zorganizowana zakładowa organizacja Solidarności w naszym regionie była na UMCS. Po części jest to zasługą lu-

dzi tam pracujących, a po części panujących na uniwersytecie warunków.

Na uniwersytecie np. łatwiej się zorganizować, bo ma się zarówno więcej czasu jak i możliwości. Jest też sprzęt: telefony, faksy, kserokopiarki, możliwość robienia mikrofilmów. A ponadto dużo rzeczy można ukryć w laboratorium np. mikrobiologii czy genetyki. Przecież oficer SB nie wejdzie szukać nielegalnej prasy, gdy zobaczy tabliczkę – „Nie wchodzić, prowadzi się badania nad groźną chorobą”.

Regionalna struktura podziemnej *Solidarności* opierała się, co jest typowe, na różnych agendach – był Zarząd, „Informator” etc., ale jeżeli chodzi o organizacje zakładowe to najlepiej było na uniwersytecie. Między innymi zawsze zbierało się dużo pieniędzy ze składek.

A.D.: *A czy zaistniała jakaś współpraca między dwoma uniwersytetami? Czy były osoby z KUL-u, które współpracowały z pracownikami UMCS-u i razem działały w podziemnej Solidarności?*

Prof. Zbigniew Hołda: Oczywiście. Opierało się to na bezpośrednich kontaktach, dawnych przyjaźniach, związkach zaistniałych i umocnionych w roku 1980 i '81. Te związki trwały przez cała lata osiemdziesiąte. I gdy w 1989 wyłoniła się ta struktura, to wyraźnie było widać, iż jest to środowisko akademickie.

Ale nic nie ujmując KUL-owi, trzeba przyznać, że dominujący był UMCS. Właśnie z racji dobrej organizacji *Solidarności* na uniwersytetach w 1989 duża grupa pracowników naukowych, tzw. „Aka-demików”, znalazła się we władzach regionalnych, zarządzie, komitetach. Co więcej, w tamtym okresie ludzie ze środowisk akademickich, nie tylko uniwersyteckich, cieszyli się ogromną popularnością. Myślę, że wystarczyło być pracownikiem wyższej uczelni, by dostawać dużo głosów w rozmaitych wyborach.

S.J.Ż.: *A jak wyglądały relacje na uniwersytecie z osobami, które były zaangażowane po drugiej stronie barykady?*

Prof. Zbigniew Hołda: Na moim uniwersytecie było nienajgorzej. Pamiętam takie zdarzenie. Dziś można mówić o nim w kategoriach anegdoty.

Jesień '88 – toczy się bitwa, władza ustępuje, acz

niechętnie, krok po kroku. Bitwa toczyła się o to, czy władza ustąpi na polu związkowym, czy wystarczy, że zrobi to na innych polach. Władza wszystko by zrobiła, by nie dopuścić do legalizacji *Solidarności*. Ale właśnie z naszej strony to było najważniejsze, na tym nam najbardziej zależało, na to był położony akcent. Władza się temu dziwiła. Wszędzie się tworzyły struktury *Solidarności*, pomysł bardzo inteligentny, wzięty z Torunia lub ze Szczecina. Polegało to na tym, żeby stworzyć komitet założycielski i wg procedury cywilnej dążyć do jego zalegalizowania, oczywiście na drodze sądowej. Można było działać chociażby jako strona w procesie. Była to taka metoda tworzenia faktów dokonanych. Oczywiście zrobiliśmy to samo na uniwersytecie. Był wrzesień, koniec wakacji. Zorganizowaliśmy komitet, o nazwie, bo trzeba było stać na gruncie kontynuacji *Solidarności* – Grupa Robocza na Rzecz Relegalizacji NSZZ „Solidarność”. Rektor – Zdzisław Cackowski, człowiek z drugiej strony barykady – dostał pismo, że takie osoby od teraz reprezentują *Solidarność*. I nie miał innego wyjścia, jak po prostu przyjąć to do wiadomości.

M.K.: *A czy były jakieś koleżeńskie kontakty z ludźmi z tej drugiej strony?*

Prof. Zbigniew Hołda: Kiedyś wpadliśmy na pomysł, żeby jakoś skontaktować się z organizacją związkową ZNP. Było to ważne nie tylko dla nas, ale także dla propagandy, świata. Chcieliśmy podkreślić, że jesteśmy normalnym związkiem zawodowym, który istniał, istnieje i będzie istnieć. Zaproponowaliśmy im spotkanie na uniwersytecie i oni się na nie zgodzili. Oczywiście odbyło się to u nich w lokalu, od nas i od nich przyszły po 3 osoby. Pamiętam, że nawet ja prowadziłem wtedy tamtą rozmowę z nimi i powiedziałem im, że był czas, że to oni byli słabsi, a my silniejsi. I że jeśli ich jakoś tam skrzywdziliśmy, to chcielibyśmy wybaczenia. Powiedziałem też, że dziś sytuacja się zmieniła, że to my jesteśmy w gorszej sytuacji, że bardzo nam zależy na legalizacji *Solidarności*, a także na ich pomocy.

Później, po spotkaniu, podpisaliśmy jakiś wspólny komunikat. Zupełnie nieważne co chcieliśmy razem robić, ważne, że w ogóle chcieliśmy. Szyb-

ciutko powieliliśmy, rozwiesiliśmy na uniwersytecie, ale co najważniejsze, różnymi kanałami podaliśmy w świat. I nawet Wolna Europa informowała o tym wydarzeniu, jak o czymś bardzo ważnym. To była taka wyraźna pomoc ze strony ZNP. Pomoc, która nawet ich zdziwiła.

Potem poszliśmy do Z. Cackowskiego. Przyjął nas uprzejmie. Dopytywał się, dlaczego właśnie tak bardzo zależy nam na związku zawodowym. Wytłumaczyliśmy mu, że jest to ważniejsze niż jakieś wydawnictwa, działalność partyjna. Poprosiliśmy go o zgodę na dwa publiczne spotkania na UMCS-ie. Jako *Solidarność* chcieliśmy zorganizować obchody 11 XI. Prosił nas, żeby nie robić tego jako *Solidarność*, przecież każdy będzie wiedział, że to my.

Mieliśmy też drugą, sprytnie obmyśloną propozycję. Chcieliśmy zrobić spotkanie z mecenasem Siłą-Nowickim, który wtedy działał w radzie konsultacyjnej przy Jaruzelskim. Z. Cackowskiemu było niezręcznie odmówić, przecież Nowicki był wówczas bardzo ceniony przez władzę.

Bardzo nam zależało, żeby wystąpić właśnie jako *Solidarność*. Z. Cackowski powiedział, że nawet gdyby nie chciał, to i tak raczej by się zgodził. W listopadzie, po 11, zrobiliśmy to spotkanie. Wszędzie było mnóstwo napisów *Solidarność*, ogromny tłum, wielkie wzruszenie.

Jak widać na tych przykładach, zarówno koledzy z ZNP, jak i rektor zachowali się bardzo przyzwoicie, po koleżeńsku.

S.J.Ż.: *Proszę nam powiedzieć, kiedy był punkt przełomowy, kiedy ta cała wspaniała, wzruszająca atmosfera padła?*

Prof. Zbigniew Hołda: Nie było jakiegoś wyraźnego momentu. Jesień '88 to było budowanie, atmosfera była świetna, potem porozumienia Okrągłego Stołu, było bardzo dobrze. Pamiętam, że w styczniu '89 doszło na uniwersytecie do zebrania całego związku i wtedy się okazało, że przez cały ten okres płacono składki około 500 osób. Jest to dużo, skoro pracowników na uniwersytecie jest około 3000. Był to okres znormalnienia.

Potem wybory. Ogromne zaangażowanie, o czym już mówiłem. Bardzo dużo osób właśnie ze środowisk akademickich aktywnie włączyło się do po-

mocy. Pamiętam, że ludzi trzeba było uczyć prostych, oczywistych rzeczy – zbierania się, pisania protokołów zebrań etc.

A.D.: *Czy były jakieś cele, które związek sobie postawił na najbliższy czas?*

Prof. Zbigniew Hołda: Ustalanie priorytetów nie odbywało się oczywiście na naszym szczeblu, ale przede wszystkim na krajowym. Trwał wielki spór, czy w ogóle iść do wyborów. Pamiętam taką wypowiedź Węglarza, który stwierdził, że w zamian za legalizację *Solidarności* musieliśmy zgodzić się na straszną rzecz, mianowicie na udział w wyborach. Taka była wówczas świadomość.

Sądziłyśmy, że wystarczy wywalczyć prawo do legalnego działania dla związku, a potem to już jakoś pójdzie. Ludzie byli typowo apolityczni.

A.D.: *Czy związek bał się tych wyborów, bo nie wierzył, że może wygrać?*

Prof. Zbigniew Hołda: Na szczeblu regionalnym chyba nie było obaw. Nawet wierzyliśmy w wygraną. Oczywiście nikt nie przypuszczał, że zdobędziemy 100% miejsc. To nie w tym był problem. My tylko chcieliśmy odbudować związek, tworzyć różnorodne stowarzyszenia, mieć prawo do wydawania wszystkiego. Baliśmy się uczestnictwa w partyjnym życiu PRL-u, który przecież nie był naszą wymarzoną i upragnioną ojczyzną. Była powszechna świadomość, że to państwo nie jest do końca nasze, bo to właśnie „oni” rządzą. Sądziłyśmy, że gdy wywalczymy prawa do zrzeszania się, pewne swobody polityczne, religijne, wolność słowa, czyli to co rozumiemy jako ogólnie pojęte prawa człowieka, to będzie w porządku i to nam w zupełności wystarczy.

S.J.Ż.: *Do kiedy ta Solidarność była taka, jak Pan Profesor opowiada?*

Prof. Zbigniew Hołda: Tak wyglądało to w 1989 roku. Koncepcja była taka: na pierwszym miejscu Solidarność, zaś wybory na drugim. Będziemy legalną opozycją, będziemy w parlamencie przyglądać się jak oni rządzą, patrzeć im na ręce. I co najważniejsze odbudujemy związek. I właśnie tu był problem. Bo skoro całą energię zużyliśmy i zaangażowaliśmy w organizowanie wybo-

rów, to były ogromne obawy, że nie uda się ożywić związku, który był przecież dla nas najwyższą wartością.

To był problem przede wszystkim na szczeblu krajowym. Pamiętam, że Władysław Frasyniuk był przeciwnikiem wyborów, chciał odbudowywać związek, a nie tworzyć jakieś Komitety Obywatelskie. To coś niewiarygodnego, ale tak było, że wygrywamy wybory (4 czerwca), potem ma być druga tura pod koniec miesiąca, a w międzyczasie Komisja Krajowa radzi rozwiązanie Komitetów Obywatelskich. Teraz trzeba zwinąć sztandary i odbudowywać związek – mówili.

M.K.: *Czy była świadomość, że ten system może upaść właśnie teraz?*

Prof. Zbigniew Hołda: Taka świadomość towarzyszyła nam od dawna. Dla jednych takim sygnałem był 13 grudnia 1981, wprowadzenie stanu wojennego jako aktu desperacji. Rok po roku, patrząc z mojej perspektywy i moich koleżanek, kolegów, osób zaangażowanych, wierzących, że warto coś robić, działać, system upadał. *Solidarność* słabła, ale władza słabła szybciej. To była swoista walka o przetrwanie. Dlatego tak gorliwie reanimowano związek. Dla wielu zaskoczeniem było, że strajki '88 odbywały się pod sztandarami *Solidarności*, że nowej generacji robotników odpowiada ten szyld. Mimo to przypuszczam, że bardzo wiele osób było zaskoczonych wydarzeniami samego roku '89, tempem w jakim postępował rozkład starego systemu.

W czerwcu ludzie zbyt nie chcieli się angażować w politykę. Każdy widział, że kraj jest w katastrofalnej sytuacji. Każdy cieszył się z tego co dostał – ja i moi koledzy jako środowisko akademickie radowaliśmy się swobodami uniwersyteckimi, dla związkowców ważna była legalizacja ich związku, nauczyciele cieszyli się, że będą mogli przeprowadzić zmiany w szkole np. wprowadzić programy autorskie, ludzie sądzili, że gospodarka się zmieni etc. Ot, takie myślenie po trochu pozytywistyczne. Nikt się nie spodziewał wyboru Mazowieckiego na premiera.

Wrzesień, październik to odbudowa związku i upadek Komitetów Obywatelskich. Szkoda, że tak się to skończyło.

S.J.Ż.: *Czy Pan Profesor sądzi, że Komitety Obywatelskie mogłyby być załącznikiem partii politycznych?*

Prof. Zbigniew Hołda: Myślę, że tak. Dziś to widzę. Trzeba było odbudowywać partie polityczne. Zresztą ja zgłosiłem taki pomysł, pisałem na ten temat. Pamiętam, że toczyłem polemikę na temat celu komitetów obywatelskich z Włodkiem Blajerskim. Pamiętam także tekst profesora Bendera, który ukazał się w lipcu 1989. Był czymś na kształt donosu, że Komitety Obywatelskie to partia polityczna o programie socjaldemokratycznym. Dziwiło nas to, a jednocześnie śmieszyło. Jak można było wygrać wybory i zlikwidować zaplecze polityczne? Był to cios zadany entuzjazmowi społeczeństwa. Komitety Obywatelskie już nie podniosły się po tym ciosie. Jeszcze odrodziły się na moment podczas wyborów do rad gminnych i miejskich w 1990 roku, i to był już ich faktyczny koniec.

Pamiętam też, że wtedy odbywał się zjazd delegatów w Gdańsku i ja zostałem na miejscu. Moją rolą było komunikowanie się z nimi, rozmawianie telefonicznie o kandydaturach.

Sądzę, że warto wspomnieć o systemie wybierania kandydatów na kandydatów. Był to bardzo piękny system. Zaczynaliśmy z kiepskiego punktu, po raz pierwszy należało dokonać wyboru kandydatów do władz lokalnych. Tak jak dzisiaj Lublin był podzielony na kilka okręgów, a ponadto istniały komitety lokalne. Dużo ludzi domagało się kandydatów przysłanych, nie było tak, że każdy chciał kandydować. Żądano ludzi z głośnymi nazwiskami, takich, co to mogą przyciągnąć wyborców. Może się bano, że tacy zwykli, porządni, ale zbyt mało znani, nie istniejący w mediach ludzie nie zdobędą wielu głosów, że przegrają. Obawiano się, że można ponieść klęskę w jakimś okręgu. Pamiętam, że sam miałem prowadzić taki rozdział kandydatów. Czasami było to przykre, że musiałem doprowadzić do tego, żeby ktoś nie kandydował.

W sumie to bardzo dobrze świadczy o ludziach, o tym, że poważnie podchodzą do przyszłych obowiązków, do pracy w radach.

Wtedy dostaliśmy, my – czyli ludzie związani z So-

lidarnością – dużo głosów, to już nie było 100%, ale jakieś 70%. Trochę głosów padło na osoby, które dzisiaj są związane z SLD.

S.J.Ż.: *Czy Pan Profesor nadal jest członkiem Solidarności?*

Prof. Zbigniew Hołda: Tak. Nigdy nie zrezygnowałem z członkostwa.

A.D.: *Czy Pan Profesor sądzi, że ta dzisiejsza Solidarność jest jeszcze ideowo związana z tamtym związkiem, Komitetami Obywatelskimi?*

Prof. Zbigniew Hołda: To nadal jest ta sama Solidarność. Nawet te zmiany, które związek przeszedł, biorąc pod uwagę okoliczności, nie są radykalne, ani nie doprowadziły do przerwania czy zmiany jego tożsamości.

A.D.: *Czy mógłby Pan spróbować ocenić, co było przyczyną takiego sukcesu Solidarności w 1989 czy nawet w 1990, a co teraz ludzi zniechęca do niej? Czy było tak tylko dlatego, że ludzie chcieli jakiś zmian?*

Prof. Zbigniew Hołda: Dużo zależy od chwilowych uwarunkowań. Wtedy była zupełnie inna sytuacja. Należy jednak oddać sprawiedliwość Solidarności, Komitetom Obywatelskim i całej tej rzeszy ludzi, którzy prowadzili działalność opozycyjną, podziemną, wydawniczą, kulturalną, oświatową.

Mówimy Solidarność, ale widzimy wiele strumyków, które razem tworzyły potężny nurt. To wszystko skupiało się wokół związku, wokół Lecha Wałęsy. Cały ten nurt cieszył się dużym autorytetem.

Warto i należy się zastanowić nad tym, że ludzie Solidarności, w szerokim tego słowa znaczeniu, wzbudzali szacunek i respekt zarówno u obywateli, jak i u ludzi z „tamtej strony”. Z relacji ludzi, którzy jako pierwsi przekroczyli mury tamtych urzędów, jak chociażby Adama Cichockiego – dyrektora wydziału zatrudnienia od jesieni 1989, a późniejszego wojewody – wynikało, że relacje z „tamtą stroną” były poprawne, a nawet dobre, koleżeńskie. Ludzie Solidarności cieszyli się respektem, uchodzili za mądrych i uczciwych.

A.D.: *Tego autorytetu dzisiaj wyraźnie brakuje. Czy to nie jest tak, że wchodząc w politykę ludzie*

jakoś się kompromitują, wchodzą w nie zawsze czyste układy?

Prof. Zbigniew Hołda: Mam potwierdzić, że mieli rację tacy jak Frasyński, którzy radzili nie wchodzić w politykę? Ale jeżeli chce się mieć wpływ na życie polityczne, trzeba być wybieranym. Inaczej nie da się tego zrobić.

Nie wiem, jak to się stało, w którym momencie czegoś zabrakło. Może trzeba to było zrobić po prostu lepiej.

W każdym bądź razie rok '89 to czas niezwykłego autorytetu. Ten autorytet jest widoczny nawet jeszcze w 1990 roku.

S.J.Ż.: *Kiedy karta się odwróciła?*

Prof. Zbigniew Hołda: No cóż, nie jest tak źle. Związek istnieje. Jest kilka partii politycznych, które się z niego wywodzą...

M.K.: *I brak poparcia społecznego dla całego ruchu solidarnościowego.*

Prof. Zbigniew Hołda: To jest niezaprzeczalny fakt, że dużo się straciło, ale minęło już przecież 10 lat. Jak sobie przypominam początek lat 90., to wyraźnie widzę, że błędem było to, co Wałęsa nazywa wojną na górze.

Na naszym regionalnym szczeblu było to bardzo sztuczne. Wyglądało to tak, jakby niektórzy koledzy za wszelką cenę chcieli spełnić ten właśnie stereotyp wojny na górze. Było to zarówno śmieszne jak i tragiczne. Mnie np. obwołano zwolennikiem Mazowieckiego, co mnie specjalnie nie zmartwiło.

Pamiętam, że np. zarzucano Mazowieckiemu, że w kampanii prezydenckiej jeździ samochodem jako premier. Na co on zareagował przesiadką z samochodu na pociąg. Absurdalna sytuacja, wyglądało to jak dom wariatów. Był także problem, czy związek może sfinansować kampanię prezydencką Wałęsy jako swojego przewodniczącego. Po części był to objaw jakiejś niedojrzałości.

Podsumowując: strata poparcia była wynikiem po części owej niedojrzałości, po części zaś pragnieniem gorliwego przebudowywania wszystkiego.

M.K.: *Czyli zaczęły szybko, w atmosferze niedojrzałości i absurdu, powstawać partie polityczne?*

Prof. Zbigniew Hołda: Tak. Partie zaczęły się tworzyć bardzo szybko. Nie było już Komitetów Oby-

watelskich, którym złamano kręgosłup, ludzie się trochę się rozproszyli.

Co jest normalne, zaczęła się konkurencja, przedwczesna rywalizacja, spory. Sądzę, co nie jest bardzo odkrywcze, że należało po prostu poczekać. Należało zbudować silną partię polityczną na bazie Komitetów Obywatelskich, która po jakimś czasie mogłaby się zacząć dzielić. Wiem, że np. pan Kaczyński twierdzi, że miał właśnie taki plan, że chciał cały ten ruch podzielić na dwie partie.

To był początek sporu. Niezbyt się orientuję, jak wyglądało to na szczeblu regionalnym, gdyż od 1992 nie jestem już w zarządzie regionalnym *Solidarności*.

S.J.Ż.: *Ale Pan Profesor nadal płaci składki?*

Prof. Zbigniew Hołda: Oczywiście. Nie ukrywam, że były momenty, że chciałem się z *Solidarności* wypisać. Mogę to szczerze powiedzieć. Działo się tak, gdyż czasami denerwował mnie sam związek zawodowy. Na moim uniwersytecie najwięcej ludzi opuściło *Solidarność* w 1993, gdy postawie *Solidarności*, między innymi z B. Borusewiczem, przyczynili się do upadku rządu H. Suchockiej. Było to tym bardziej szkodliwe, iż wówczas prowadzono prace nad „Paktem dla Przedsiębiorstwa”, na którym tak bardzo zależało związkowi. Nie dość, że przerwano proces legislacyjny, to jeszcze potem stracono władzę.

A.D.: *Czy został Pan w Solidarności tylko z sentymentu?*

Prof. Zbigniew Hołda: Mówię uczciwie, że wtedy może zbyt się zezłościłem. Nawet jakieś pisma pisałem. Poszedłem z tym do komisji zakładowej i dowiedziałem się, że akurat ja nie mogę się wypisać. Co sprawiło mi ogromną satysfakcję. Pamiętam też, że reprimendy udzielił mi sam przewodniczący M. Szczygieł.

A.D.: *Czy Pan Profesor uważa, że dzisiaj Solidarność nadal jest potrzebna?*

Prof. Zbigniew Hołda: Wiemy, że w nowoczesnej gospodarce rola związku zawodowego się zmienia, po prostu spada. Nie należy jednak zapominać, że mimo tego nadal należy bronić interesów ludzi pracy. *Solidarność* była szansą na zupełnie nową formułę związku zawodowego i szkoda, że się to zmieniło.

Pamiętam, że jeszcze w latach 80. M. Król tłumaczył mi, że *Solidarność* jest wielkim wydarzeniem, wręcz fenomenem, nawet w dziedzinie kultury, czymś na kształt egzystencjalizmu. Taka formuła, formuła ruchu społecznego była czymś niezmiernie ważnym i atrakcyjnym zarówno dla osób bezpośrednio zaangażowanych, jak i dla obserwatorów. Szkoda, że tego, właśnie tego, w owej eleganckiej formule, nie udało się przenieść, ochronić, zachować, że to gdzieś po drodze zginęło. Może, gdyby nie angażować się w wybory, w politykę, udałooby się ocalić tę bogatą, atrakcyjną formułę związku zawodowego?

A tak został wcale nie najpotężniejszy i nie najatrakcyjniejszy związek, któremu jednak trzeba przyznać laury za całkiem przyzwoite zachowywanie się w okresie owych wielkich przemian gospodarczych.

Solidarność była i nadal jest takim parasolem rozpiętym nad różnymi rządami, np. Bieleckiego czy Mazowieckiego, a teraz Buzka.

S.J.Ż.: *Zgadza się z tym trzeba przyznać, że jednocześnie słychać dosyć populistyczne występy tego związku dotyczące np. obaw związanych z integracją z Unią Europejską. Słychać to i w wypowiedziach M. Krzaklewskiego i jego związkowych kolegów.*

Prof. Zbigniew Hołda: Obawy są w pewnym sensie zrozumiałe. Nawet w krajach Unii związki zawodowe bronią praw pracowników. W wypowiedziach np. M. Krzaklewskiego zła jest przede wszystkim retoryka przejęta od pewnych partii politycznych. Nie zapominajmy, że w istocie od roku 1980 *Solidarność* jest bardzo proeuropejskim ruchem. Ruchem z jednej strony na rzecz praw człowieka, zaś z drugiej na rzecz Europy. Taka jest tradycja.

S.J.Ż.: *Ale czy jest tak nadal? Czy nie zapomina się właśnie o tej tradycji?*

Prof. Zbigniew Hołda: Wydaje mi się, że nie. Ja przynajmniej nie dostrzegam jakiś antyeuropejskich działań ze strony *Solidarności*. Wydaje mi się, że to, co obserwujemy mieści się jeszcze w kategorii walki związkowców o swoje interesy, o lepsze warunki pracy, wyższe płace etc.. W gruncie rzeczy zależy im chyba tylko na wywalczeniu

lepszego pozycji. Nie dopuszczam myśli, że M. Krzaklewski jest przeciwnikiem obecności Polski w Unii Europejskiej. Sądzę, że (jeżeli mogę troszeczkę pokrytkować) *Solidarności* brakuje inteligentnego zaplecza i może stąd te problemy z chociażby właściwą retoryką.

A.D.: *A czy to zaplecze nie znalazło się teraz w Unii Wolności?*

Prof. Zbigniew Hołda: Nie generalizujemy. Po pierwsze ludzi ci poszli na swoje miejsca: do szkół, na wyższe uczelnie, do prasy. Odnoszę wrażenie, że po 1989 wiele osób stwierdziło, że mają to, o co im chodziło, że już wykonali swoją pracę i że mogą odejść. Dobrym przykładem jest redaktor Wacław Biały z „Gazety Wyborczej”. Uważał, że wykonał swoją pracę w związku i że jego miejsce jest gdzie indziej. On sobie nie wyobraża, że mógłby robić coś innego. Po pierwsze ludzie robią to, co lubią i umieją. Wrócili na swoje miejsca i nie pełnią zastępczych ról, nie zastępują polityków.

S.J.Ż.: *W ostatniej dekadzie przełomowym wydarzeniem było powstanie Unii Europejskiej. Proszę nam powiedzieć, z perspektywy tych 8 lat, Europa i Polska zyskuje czy traci na procesach integracyjnych?*

Prof. Zbigniew Hołda: Patrząc na to z perspektywy prawnika, to Europa na tych procesach tylko zyskuje. Jak wiemy, europejski system prawa opiera się na prawie rzymskim. Polska przejęła ten system ponad 1000 lat temu. I właśnie z tego punktu widzenia dezintegracja Europy była czymś nienaturalnym. Dzięki Bogu po 1944 nie nastąpiło przerwanie ciągłości systemu prawnego. Dzięki temu jest nam łatwiej wracać do tego europejskiego systemu prawnego. Widzimy absolutnie wspólny i tożsamy fundament i nawet różnice, które są, przecież jest np. germańska czy romańska szkoła prawa, nie są ogromne i nie przeszkadzają we wzajemnym porozumieniu się.

Całe szczęście, że władza po 1944 zgodziła się na kontynuację systemu prawnego. Dzięki temu po roku 1989 było nam stosunkowo łatwo zrzucić różne naleciałości. I widzimy, że w sensie konstrukcji, podstaw, od Dorohuska do Lizbony jest prawie to samo. Jeżeli chodzi o prawo to czymś naturalnym jest integracja europejska.

Pierwszy z brzegu przykład: jak chronić własność intelektualną, jak nie na szczeblu międzynarodowym, europejskim?

M.K.: *Czy Unia Europejska to najważniejszy z organów jednoczących Europę?*

Prof. Zbigniew Hołda: Nie wiem, czy najważniejszy, ale na pewno nie jedyny. Nie zapominajmy o Radzie Europy, która niewątpliwie, generalnie rzecz biorąc, odgrywa mniejszą rolę niż Unia, ale w dziedzinie ochrony praw człowieka pełni bardzo ważną funkcję. Część zadań w tej dziedzinie Unia pozostawiła właśnie Radzie Europy. Państwa europejskie, także Rosja, ale też USA, integrują się w ramach OBWE. Jest to ważne, gdyż jest to największy krąg zbudowany na wspólnych wartościach, od Moskwy do Vancouver. Historycznie odegrało to ogromną rolę. Wygrano więcej niż się spodziewano. Dzięki doktrynie praw człowieka zmieniono bardzo wiele. OBWE stworzyła także doskonały system obrony praw mniejszości narodowych.

A.D.: *Czyli z jednej strony globalizm, zaś z drugiej duży nacisk na podkreślenie odrębności?*

Prof. Zbigniew Hołda: Taki pluralizm europejski? Tak oczywiście. Jest to ważne, np. Polska doskonale wypada jako państwo broniące praw mniejszości narodowych.

S.J.Ż.: *Często słyszymy takie hasła, że w przyszłej Europie będą obywatele klasy A i B. Do tej drugiej grupy ma należeć między innymi Polska.*

Prof. Zbigniew Hołda: Społeczeństwa zachodnie, tak jak i polskie, są już podzielone. Jest to jakby niezależne od procesów integracji europejskiej. Wynika to z różnorodnych wewnętrznych czynników.

Popatrzmy na to jednak w kategoriach europejskiego systemu praw człowieka. Nie zapominajmy, że są to prawa nie tylko osobiste (prawa pierwszej generacji) – np. zakaz tortur, prawo do uczestnictwa w życiu politycznym czy wolność słowa – ale także prawa ekonomiczne, społeczne, kulturalne (tzw. prawa drugiej generacji).

Europa jest socjalna (Europejska Karta Socjalna) i jest to niezmiernie ważne. Europa dba nie tylko o pewien standard w zakresie osobistych praw i wolności, bo to nie uchroniłoby nas przed biedą,

nierównością społeczną, jakimś wyzyskiem, obywatelami pierwszej, drugiej, a nawet trzeciej kategorii.

Unia jest bardziej socjalna niż nam to się wydaje. Nie powinno nas to dziwić, gdyż zbudowali ją socjaldemokraci i chadecy, a właśnie „socjalność” jest zgodna z ich ideowym projektem. Pod względem praw, unormowań Europa nastawiona jest na niwelowanie różnic, a nie na ich tworzenie.

Nie zapominajmy jednak, że zawsze jest jakieś centrum i peryferia. Polska zawsze była na krańcach Europy ze względu na swoje położenie i nie da się tego zmienić żadnym wysiłkiem. Tak musi być.

Europa bardzo dba o zapewnienie równości i dawanie ludziom takich samych lub bardzo podobnych szans.

S.J.Ż.: *Jaki jest stan dostosowania polskiego prawa do wymogów Unii Europejskiej?*

Prof. Zbigniew Hołda: Nie da się tego oceniać tylko pod względem samej Unii. Nie zapominajmy, że Rada Europy formuje pewne standardy zarówno do praw człowieka jak i do całej demokracji. Standardy można spełnić, Polsce się to udaje. Po rozszerzeniu Rady Europy do 41 państw my nie jesteśmy tymi, którzy ciągną w dół. My nie jesteśmy w lidze gorszych, a nawet jesteśmy wśród lepszych.

A.D.: *Ale czeka nas jeszcze wiele zmian?*

Prof. Zbigniew Hołda: Tak, niewątpliwie. Jednocześnie ciągle ratyfikujemy różnorodne konwencje, przestrzegamy ich, realizujemy i nie mamy z tym większych trudności. W 1993 ratyfikowaliśmy Europejską Konwencję Praw Człowieka, realizujemy ją, Polacy składają skargi, nawet wygrywają. Tak jak w każdym innym państwie. W 1997 ratyfikowaliśmy Europejską Kartę Socjalną i wchodzimy w ten system. Problem ochrony praw mniejszości, zakaz tortur – wszystko to respektujemy. Z rzeczy nowych – konwencja bioetyczna traktująca np. o transplantacjach. I z tym też jest dobrze. Nie jest to jakaś zaniedbana dziedzina, w której wiele należy zmieniać. Co do Rady Europy jest dobrze.

Z Unią jest pewien problem. Unia bowiem narzuca pewien standard w zakresie nie tylko respektowania praw człowieka przez państwo. Unia narzuca

inną niż dotychczas w Polsce organizację życia gospodarczego, społecznego. Dostosować się jest trudno, tym bardziej, że Unia zawiera cały, odrębny od prawa międzynarodowego, system norm unijnych. I to właśnie z przystosowaniem się do nich mamy pewne trudności. Nie zapominajmy, że Unia jest następczynią Wspólnot, a te mają za sobą wiele lat istnienia. Dlatego tam te prawa są czymś normalnym, zaś dla nas są zupełnie obce. My po prostu skaczemy od razu na głęboką wodę.

A.D.: *Czy Unia jest pomysłem na przyszłe lata, czy zdaje egzamin?*

Prof. Zbigniew Hołda: Mnie się wydaje, że tak. Jest to po prostu powrót do stanu naturalnego. Z jednej strony jest to dla nas ogromne wyzwanie, ale i szansa. Jest to wyzwanie dla całego społeczeństwa, ale także dla konkretnych grup. Chociażby prawników, którzy muszą zmienić i dostosować ogromne stosy ustaw czy innych norm prawnych. Nie zapominajmy, że Unia da nam szansę np. na lepszą wymianę gospodarczą.

M.K.: *A czy Unia jest także szansą dla polskiej nauki?*

Prof. Zbigniew Hołda: Tak, już teraz mamy pewne korzyści, prawo do korzystania z różnych programów pomocy np. dla studentów, z systemu stypendiów (Sokrates, Tempus, Erasmus, Europejski Fundusz Rozwoju Badań Naukowych). Można patrzeć na konkurencję jako na zagrożenie, ale nie powinno się. Konkurencja powoduje, że zechcemy tylko ulepszać, podnosić poziom.

Mamy duże możliwości, ale musimy uczyć się je wykorzystać. Chociażby prawidłowo wypełnić wnioski lub wytypować odpowiednich studentów czy pracowników naukowych. Trzeba też dostosować polskie programy nauczania, by np. student, który wyjedzie na rok czy semestr na zagraniczną uczelnię nie miał potem trudności z zaliczeniami, egzaminami. Wypada rozwinąć system akredytacyjny, lepiej informować o możliwościach, szansach.

Po prostu lepiej wykorzystywać to, co się dostaje i przede wszystkim nie bać się nowego.

A.D.: *A czy to nie będzie tak, że po wejściu do Unii polskie uczelnie zostaną zepchnięte na jakiś margines?*

Prof. Zbigniew Hołda: Ja sobie nie mogę tego wyobrazić. Gdyby Unii nie było moglibyśmy tak myśleć, ale Unia istnieje i tego procesu się nie obserwuje. Więc on nie zaistnieje, gdy i my do niej wejdziemy. Owszem, może wytworzyć się pierwsza liga, najlepsze uczelnie, ale przynależność do niej będzie zależna tylko od poziomu, a nie od państwa, w którym się one znajdują. Istnienie tej ligi nie oznacza, że inne uniwersytety zostaną zlikwidowane. Na dodatek będą miały doskonałą motywację do rozwoju.

Przydział pieniędzy będzie także kolejną szansą na rozwój polskiej nauki.

S.J.Ż.: *Tak na zakończenie – jak oceni Pan Profesor to 10-lecie z perspektywy bardzo osobistej i zawodowej?*

Prof. Zbigniew Hołda: Z perspektywy zawodowej jest świetnie, np. uczestniczyłem w pracach nad nowym prawem karnym. Ważne, że w Polsce tak szybko udało się wprowadzić nowe, ulepszone prawo. Co do dydaktyki – wolna Polska daje duże perspektywy dla rozwoju nauki, uniwersytetów. Chociaż i wtedy, tj. w PRL-u uniwersytety były swoistą enklawą wolnej myśli.

Zaś poziom nauk prawnych? Pojawiły się różne zagrożenia np. ludzie chcą zająć się zarabianiem dużych pieniędzy (a są do tego możliwości), a nie pracą naukową. Mimo tego, polska nauka prawna stoi na bardzo wysokim poziomie.

Na zakończenie powiem, że mnie osobiście po 1989 żyje się o wiele lepiej. Jestem zadowolony i w pełni usatysfakcjonowany, i sądzę, że nie zmarłowaliśmy tych 10 lat.

M.K.: *Dziękujemy za rozmowę.*

Opracowanie:
Małgorzata Kulik

Dekada nadziei

– rozmowa z Anną Materską-Sosnowską (UW)

Anna Materska-Sosnowska – absolwentka Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW; asystentka w Zakładzie Systemów Politycznych. Zainteresowania badawcze: współczesne systemy polityczne, partie i systemy partyjne. Współautorka książki pt.: „Wybory '97 – partie i programy wyborcze” pod red. Prof. Stanisława Gebethnera.

Bartek Panek: *Pamięta Pani przełom roku 1989? Miała Pani wtedy jakieś wyobrażenie o systemie partyjnym?*

Anna Materska-Sosnowska: Oczywiście, przygotowywałam się wówczas do matury i egzaminów wstępnych na nauki polityczne, tak więc z zapałem tym tchem śledziłam ówczesne wydarzenia, ale szczerze powiedziawszy miałam bardzo mgliste wyobrażenia o systemie partyjnym, tzn. nie zdawałam sobie sprawy, że praktycznie w przeciągu kilku lat będziemy mieli system partyjny jak w innych krajach Europy. Dopiero uczyliśmy się słów: „pluralizm” (społeczny, polityczny, ekonomiczny, ideologiczny), „wolność”, i co one oznaczają w demokratycznym państwie. Wiedziałam, że teoria stanowi, iż „partia polityczna to dobrowolna organizacja, której głównym celem jest zdobycie lub utrzymanie władzy państwowej w celu realizacji swojego programu politycznego, a podstawowym zadaniem partii jest pośredniczenie między społeczeństwem a państwem”. Natomiast to pośredniczenie jest różne w systemach demokratycznych i niedemokratycznych, w systemach monopartyjnych i wielopartyjnych. W krajach demokratycznych, gdzie partie mają swobodę działania, oczywiście w ramach przepisów prawnych, można wymienić trzy podstawowe funkcje partii: kształtowanie opinii społecznej, zdobywanie elek-

toratu i wybory, zdobycie i utrzymanie władzy. Tak więc rok 1989 to w systemie partyjnym wręcz rewolucja, nastąpiło przejście od systemu partii hegemonicznej w okresie PRL-u do systemu wielopartyjnego w III RP. Już w grudniu 1989 r. znowelizowano konstytucję, wprowadzając do niej przepis, stanowiący że: „1. Partie polityczne zrzeszają się na zasadzie dobrowolności i równości obywateli Rzeczypospolitej Polskiej w celu wpływania metodami demokratycznymi na kształtowanie polityki państwa; 2. O sprzeczności z konstytucją celów lub działalności partii politycznych orzeka Trybunał Konstytucyjny”. W lipcu 1990 r. weszła w życie ustawa o partiach politycznych, która wprowadziła dość liberalne przepisy dotyczące tworzenia partii.

B.P.: *Czy 10 lat to dużo dla politologa czy mało?*

Anna Materska-Sosnowska: Przyznam szczerze, że wówczas jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że ten proces może nastąpić u nas tak szybko i teoria będzie zgodna z praktyką. Jeżeli przypomnimy sobie sytuację sprzed 10 lat, nawet jeszcze z marca czy maja 1989 r., to dojdziemy do wniosku, iż 10 lat to ogrom czasu. Bardzo wiele przez ten czas zrobiliśmy i osiągnęliśmy. Pozwolę sobie na metaforę i powiem, iż u nas w Polsce tych ostatnich 10 lat minęło dużo szybciej niż w pozostałych krajach naszego regionu. Możemy

pochwalić się w pełni demokratycznym ustrojem, nową konstytucją, dynamicznym rozwojem, dostosowywaniem prawa nie do standardów podziwianej ciągle przez nas Europy Zachodniej, ale do „wyższego jej stopnia”, jakim jest Unia Europejska. Z drugiej strony, patrząc na to tylko „okiem politologa”, widać jak nieporadna jest jeszcze nasza scena polityczna czy też partyjna. W takim wypadku 10 lat to zbyt mało na ukształtowanie się odpowiednich struktur i mechanizmów. Przecież przez tę ostatnią dekadę tworzymy praktycznie zupełnie nowy system polityczny, a więc nie tylko organy państwowe, ale także partie polityczne, inne organizacje i grupy społeczne – czyli wszystkie podmioty uczestniczące w działaniach politycznych oraz przepisy, ogół zasad generalnych i norm regulujących wzajemne stosunki między tymi wszystkimi podmiotami. Musimy pamiętać, że w większości wypadków nasze partie zaczynały od zera, od początku tworzyły to, co w każdej partii jest najważniejsze, czyli struktury lokalne, aparat partyjny, system kreowania kadr partyjnych i liderów, zasady członkostwa, zaplecze finansowe i co najważniejsze – sposoby pozyskiwania elektoratu. Dlatego to wszystko nie funkcjonuje jeszcze u nas dobrze, ale ta pewna nieporadność oczywiście zniknie z czasem, bo „praktyka czyni mistrza”. Poza tym ciągle jeszcze nie mamy dobrze ukształtowanych np. przepisów dotyczących finansowania partii politycznych czy też przepisów antykorupcyjnych. Dlatego też jeżeli zarzucamy naszym partiom nieudolność, to pamiętajmy, że dopiero od 10 lat mogą robić to co robią i powiedzmy sobie, że są dopiero w „okresie szkoły podstawowej i to w klasach niższych”, ale oczywiście nie tłumaczmy tylko tym wszystkich wpadek czy niedoskonałości. Poza tym w życiu społeczeństwa dekada to jest „tylko” 10 lat – zaryzykuję twierdzenie, że nie jesteśmy jeszcze w pełni społeczeństwem obywatelskim. Społeczeństwo polskie jest słabo zorganizowane, ciągle istnieje niedorozwój instytucji reprezentujących różne grupy społeczne. Myślę, że pierwszych pięć lat minęło wręcz na przełamywaniu niechęci do partii politycznych. Na początku lat 90-tych słowo „partia” jednoznacznie i negatywnie kojarzyło się

bowiem z PZPR i okresem realnego socjalizmu. Przez tych ostatnich 10 lat przebyliśmy bardzo długą drogę i osiągnęliśmy wiele, ale dla społeczeństwa to jest tylko dekada.

B.P.: *Na jakim etapie obecnie znajduje się formowanie naszego systemu partyjnego?*

Anna Materska-Sosnowska: Przemiany systemu partyjnego w Polsce po 1989 r. są przede wszystkim przeobrażeniami jakościowymi. Obecny etap nazwałabym samodoskonaleniem. Proszę pamiętać, iż pod rządami poprzedniej ustawy o partiach politycznych z 1990 r. mieliśmy w ewidencji sądu rejestrowego (w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie) prawie 300 różnego rodzaju organizacji (np. organizacja zarejestrowana pod nazwą „Partia Eskimosów”), które chciały pretendować do miana partii politycznej. Proszę pamiętać, że partie nie zawsze w swojej nazwie używają słowa „partia”, tylko np. unia, związek, ruch, zjednoczenie, konfederacja, obóz. Dlatego też nie wszystkie organizacje, które nazywają się partią, są za nie uznawane, decyduje o tym przede wszystkim organizacja ugrupowania, program i funkcje, a przede wszystkim to, czy dąży ona do zdobycia lub utrzymania władzy. Ta magiczna liczba 300 „partii” wynikała, tak jak wcześniej wspomniałam, z łatwości z jaką można było utworzyć i zarejestrować partię, a także z faktu, iż zaprzestanie przez nią działalności czy zmiany nazwy nie powodowało wykreślenia z rejestru partii. Od 1997 r. zmieniły się przepisy, utrudniające założenie partii, ale nadal dzisiaj jest tych pseudo-partii kanapowych jest zbyt wiele (kanapowe ponieważ wszyscy jej członkowie zmieściliby się na jednej kanapie). Liczące się partie polityczne stają w szranki wyborcze i w nich konkurują, co stanowi najważniejszy sprawdzian. Wybory prezydenckie w 1990 r. doprowadziły do rozpadu obozu solidarnościowego, a wybory parlamentarne 1991 r. pogłębiły polaryzację. Proporcjonalna ordynacja wyborcza do Sejmu doprowadziła do bardzo dużego rozdrobnienia politycznego parlamentu (w Sejmie znaleźli się przedstawiciele 16 partii (!)), a następnie skłócenia i wewnętrznych podziałów tych ugrupowań. Konsekwencją tego była niemożność stworzenia stabilnej koalicji, która byłaby w stanie sprawować rządu przez pełną ka-

dencję. W rezultacie doszło do skrócenia kadencji parlamentu i przedterminowych wyborów w 1993 r. Wyciągając wnioski z wyborów z 1991 r., aby zapobiegać takiemu rozdrabnianiu parlamentu połączono w ordynacji system proporcjonalny z klauzulą zaporową 5% dla partii politycznej i 8% dla koalicji partii w skali kraju oraz zmieniono okręgi wyborcze. Ale szeroko rozumiana prawa strona była tak między sobą skłócona, że pomimo przewagi liczebnej w parlamencie nie do końca umiała uczyć się na własnych błędach i oddała pole opozycji. Przyjęcie tej ordynacji było zdecydowaną odpowiedzią na słabości nowo powstającego systemu partyjnego, ale zastosowana kuracja naszej sceny politycznej okazała się terapią wręcz szokową. Finał był taki, iż po wyborach 1993 r. została ograniczona liczba ugrupowań w parlamencie, ale właśnie kosztem prawej strony sceny politycznej. Wybory prezydenckie w 1995 r. także potwierdziły tezę, że tylko najwięksi mają szansę. To pomogło otrząsnąć się ugrupowaniom prawicy z awanturnictwa i połączyć się oraz zrozumieć, że obowiązująca ordynacja wyborcza sprzyja dużym, silnym ugrupowaniom. Tym razem w ostatnich wyborach parlamentarnych wahadło wyborcze odchyliło się na prawą stronę sceny politycznej, powodując wyraźną polaryzację sceny politycznej.

Teraz nastąpił proces konsolidacji, możemy w pewnym uproszczeniu porównać nasz system partyjny do niemieckiego – czyli są dwie silne partie oraz kilka mniejszych, dzięki którym można utworzyć koalicję i rząd. Moim ideałem jest model francuski tzw. dwublokowości. Polega to na tym, iż partie oczywiście konkurują ze sobą, ale podczas wyborów, a konkretnie między pierwszą a drugą turą, partie o zbliżonej ideologii np. Partia Komunistyczna i Partia Socjalistyczna, potrafią dojść do porozumienia i wystawić jednego, wspólnego kandydata.

B.P.: *W obecnej wielopartyjności polskiej sceny politycznej wyraźnie zaznaczają się dwa przeciwne obozy: AWS i SLD. Czy tak spolaryzowana scena polityczna jest czymś normalnym, czy też nie, w państwie demokratycznym?*

Anna Materska-Sosnowska: Uważam to za jak najbardziej „normalne”, a wręcz pożądane w państwie demokratycznym. Proszę spojrzeć na doj-

rzałe już demokracje państw Europy Zachodniej. Tam system partyjny jest dobrze ukształtowany, a metody weryfikacji potwierdzone przez lata wyborów, kampanii itp. Nawet w państwach, w których nie ma tzw. dwupartyjności (tzn. że na scenie politycznej liczą się praktycznie tylko dwie duże – oczywiście przeciwstawne sobie partie np. Partia Republikańska i Partia Demokratyczna w Stanach Zjednoczonych czy też Partia Pracy i Partia Konserwatywna w Wielkiej Brytanii) tylko wielopartyjność, np. we Francji czy też we Włoszech, następuje blokowanie się partii podobnych programowo (np. Włochy: koalicja „Drzewo Oliwne”, „Naprzód Italia”, czy ostatnie wybory w Hiszpanii, gdzie do wyborów poszły po raz pierwszy razem Partia Socjalistyczna z Partią Komunistyczną). System dwupartyjny czy też dwublokowy stwarza korzystne warunki dla równowagi systemu politycznego. Taki układ sprzyja wyłonieniu większości w parlamencie i utrzymania jej oraz rządu przez całą kadencję. System dwupartyjny w Polsce jest niemożliwy (przesłanki historyczne, ordynacja wyborcza; konstytucja także mówi o wyborach proporcjonalnych do Sejmu), tak więc tylko tworzące się bloki partyjne są w stanie zapewnić stabilność rządów. Proszę przypomnieć sobie parlament przed wyborami w 1993 r. i ciągle kryzysy rządowe. Wówczas przygotowano nową ordynację wyborczą, a jej zastosowanie w wyborach w 1993 r. doprowadziło co prawda do nadreprezentacji SLD i PSL, ale zapewniło stabilne rządy przez całą kadencję parlamentu. Ponadto partie, przyjmijmy standardowe nazewnictwo – prawicy, rozumiały, że pojedynczo nie mają większych szans w wyborach i doprowadziły do konsolidacji sił i sojuszu wyborczego. Tworzenie koalicji po obu stronach sceny politycznej było wynikiem przede wszystkim taktyki, która miała doprowadzić do zwycięstwa wyborczego, a nie jedności programowej. Rezultat takiego postępowania był już widoczny w ostatnich wyborach parlamentarnych. Ponadto proszę zauważyć, że Unia Pracy, która nie zdecydowała się na sojusz z SLD (oczywiście wynikało to z różnych przesłanek), przegrała wybory, nie przekroczywszy wymaganego progu. Obecnie toczą się w parlamencie prace

nad nową ordynacją (wynika to z konieczności dostosowania przepisów ordynacji do nowego podziału terytorialnego kraju). Oczywiście największe partie chcą utrzymania głównych zasad poprzedniej ordynacji z 1993 r., korygując tylko błędy. Jestem zdecydowaną zwolenniczką systemu blokowego, a w praktyce polskiej, konkretnie dwu- i pół-blokowego, tzn. potrzebne nam są dwa duże ugrupowania typu AWS i SLD oraz partie mniejsze UW, PSL, dzięki którym można utworzyć koalicje zdolne do utrzymania władzy, ponieważ przynajmniej na razie, raczej niemożliwe jest utworzenie rządu większościowego przez tylko jedną partię (aczkolwiek ostatnie badania opinii publicznej pokazują, iż gdyby wybory odbyły się teraz, to SLD mógłby zdobyć bezwzględną większość miejsc w parlamencie).

B.P.: *Czy rzeczywiście nasza prawica jest prawicą, a lewica lewicą? Janusz Korwin-Mikke określa UPR jako jedyną prawdziwą prawicę, Piotr Ikonowicz zdaje się natomiast mówić o PPS jako o prawdziwej lewicy.*

Anna Materska-Sosnowska: Należy zacząć od tego, że w większości polskie partie polityczne nie mają przejrzystych, klarownych programów, a uporządkowanie polskiej sceny politycznej jest zadaniem bardzo trudnym. Najbardziej znanym podziałem jaki przyjęło się w klasyfikowaniu partii jest właśnie podział na prawicę i lewicę. Zastanówmy się najpierw, co te kryteria wyznaczają: 1. w płaszczyźnie politycznej chodzi o kształt ustroju politycznego (np. czy model prezydencki czy parlamentarny); 2. kryterium ekonomiczne – wyznacza stosunek ugrupowań do ustroju gospodarczego i polityki społecznej; 3. płaszczyzna kulturowa – stosunek do tradycji, Kościoła, miejsca Polski we współczesnym świecie – stosunek do integracji europejskiej. Istnieją takie związki pojęciowe: prawica to: rodzina, tradycja, religia, akceptowanie nierówności, niechęć do jakichkolwiek zmian, gospodarka wolnorynkowa; lewica to: dążenie do zmian, słabe przywiązanie do tradycji, niechęć do autorytetów, opowiada się za większą równością i za udziałem państwa w gospodarce, szeroko rozwiniętą opieką państwa. W Polsce desygnaty lewicowości i prawicowości uległy rozpadowi. Jeżeli przeanalizujemy

programy partyjne to odpowiedź na postawione przez Pana pytanie jest jeszcze trudniejsza. Program żadnej partii, oprócz może UPR- u i PPS-u, nie potwierdza tego, że jest ona zdecydowanie prawicowa lub lewicowa. Tylko UPR w swoich programach opowiada się za ideologicznym kanonem prawicy, tzn. za niskimi podatkami, wolnym rynkiem, minimum ingerencji państwa w życie gospodarcze, prywatną własnością jako podstawą gospodarki, przywiązaniem do tradycji rodzinnej i katolickiej. Inne partie pomimo, że określają siebie jako prawicowe, to mają programy zbliżone do centrum. Ponadto istnieje w Polsce „prawica”, której podstawą jest związek zawodowy i nie kryje swoich sympatii dla żądań rewindykacyjnych. Profesor K. A. Wojtaszczyk z INP Uniwersytetu Warszawskiego w swoich badaniach stwierdził, że „Polska prawica jest głęboko podzielona na rynkową i etatystyczną, demokratyczną i autorytarną, liberalną i antyliberalną, reprezentującą chrześcijaństwo integrystyczne i otwarte, lustracyjno-dekomunizacyjną i wrażliwą na potrzeby społeczne. Podział prawicy jest strukturalny i programowy”.

Nie lepiej ma się nasza lewica (pomijam kwestie opieki socjalnej, równości itp., bo te faktycznie, jak przystało na lewicę, znajdują swoje odbicie w programach, zarówno SLD, jak PPS czy UP). Ale już na przykład stosunek do gospodarki nie jest tak jednoznaczny, i w programach największego ugrupowania lewicy – SLD można odnaleźć akcenty liberalne, centrowe. Często SLD określany jest jako typowe ugrupowanie interesu, które także nie jest wewnętrznie jednorodne. Obok skrzydła prorynkowego istnieje odłam rewindykacyjno-związkowy. Najbardziej lewicowym ugrupowaniem wydaje się być UP, która chciałaby być postrzegana jako socjaldemokratyczna lewica, a tradycje do których sięga to przedwojenny polski socjalizm. Niestety, podobnie jak UPR także UP znajduje się poza parlamentem. PPS natomiast faktycznie w programie jak i w nazwie ma hasła socjalistyczne, ale w praktyce działa wspólnie z SLD, a to nie zawsze jest zgodne z wyżej wspomnianymi hasłami.

Taki schemat „lewica-prawica” nie jest najlepszym punktem odniesienia dla polskiej sceny politycznej, ale także w demokracjach zachodnich

trwają dysputy, co we współczesnych czasach znaczą pojęcia prawicy i lewicy¹. Podziały w Polsce nie są ideologiczne, ale bardziej polityczne. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że to co dzieli naszą scenę polityczną to przede wszystkim stosunek do przeszłości i ocena PRL-u, żądanie dekomunizacji, lustracji lub bycie przeciwko nim, stosunek do Kościoła i jego miejsca w życiu publicznym, a także stosunek do aborcji. Jeżeli porównamy natomiast sprawowanie rządów zarówno przez lewicę jak i prawicę, to zobaczymy, że równie dużo jest cech wspólnych, np. wizja państwa, dążenie do NATO i Unii Europejskiej, polityka zagraniczna itp. Moim zdaniem to bardzo dobrze, że tak jest, i pomimo różnych sporów czy też podziałów żyjemy w normalnym, demokratycznym państwie, gdzie nieobce politykom jest pojęcie nadrzędnej racji stanu.

B.P.: *Niewątpliwie SLD przekształcając się z koalicji w partię, umocnił się znacznie. AWS dalej jest koalicją, choć obok istnieje partia – RS AWS. Dlaczego szefowie AWS nie chcą przekształcić swej formacji w silną chadecję? Czy według Pani, narodzona w bólach AWS przetrwa na scenie politycznej? Czy nieustanne wewnętrzne kłótnie rozbić mogą tę formację?*

Anna Materska-Sosnowska: Po pierwsze wyjaśnijmy, że AWS tworzą obok RS-AWS (któremu związek „Solidarność” przekazuje swoje parytey), także SKL, ZChN, PPChD. Gdy na początku tworzone blok prawicy, to przyświecała temu idea, aby była to stronnictwo oparte na zasadzie federacji, w której poszczególne ugrupowania nie tracą swojej tożsamości, a ich członkowie mieliby podwójną „przynależność” oraz płaciliby podwójne składki, tzn. na własną partię i na wspólne struktury. Prawo głosu mieliby wszyscy członkowie, którzy płacą składki, a kierownictwo (prezydium) bloku byłoby ustalane na zasadach parytetu w zależności od wielkości. Pan pyta, dlaczego szefowie AWS nie chcą przekształcić swej formacji w silną chadecję? Śmiem twierdzić, że już nie potrafią tego zrobić. Idea koalicji wyborczej AWS była dobra w okresie zagrożenia ponowną pora-

żką w wyborach, ale następnie należało, moim zdaniem, bardziej sformalizować struktury. Problem polega jednak na tym, że, tak jak już wcześniej wspomniałam, polska prawica jest głęboko podzielona, także niestety ideologicznie, i nie było takiego nurtu, wokół którego mogłaby się zjednoczyć. Ponadto partie, które weszły w skład AWS-u są zbyt silne i zbyt różnią się między sobą. Proszę spojrzeć co teraz dzieje się w AWS – praktycznie za kilka miesięcy rusza kampania wyborcza przed jesiennymi wyborami prezydenckimi, a my nie znamy nawet kandydata prawicy na prezydenta. Uważam, że przywództwo wymyka się Marianowi Krzaklewskiemu z rąk i nie jest on już w stanie połączyć AWS, a na pewno przekształcić jej w silną partię chadecją. Ostatni zjazd SKL-u, (w dniach 18 – 19.03.00.) ukazał, że szefostwo partii jest krytykowane i w samym jego tonie nastąpił podział. Najtrudniej jest być prorokiem we własnym kraju, ale obawiam się, że AWS, przynajmniej w takim kształcie, długo nie przetrwa. Niestety, rosnące niezadowolenie społeczeństwa, spadek popularności nie tylko rządu, ale nawet premiera oraz sondaże opinii publicznej, które AWS dają tylko 17% poparcia, nie sprzyjają konsolidowaniu się AWS i prawdopodobnie doprowadzą do jej rozbitcia, lub przynajmniej pewnych przetasowań sił i zmiany lidera.

B.P.: *Co oznacza przechodzenie niektórych polityków prawicy na lewicę, podczas gdy sytuacji odwrotnej się nie obserwuje?*

Anna Materska-Sosnowska: O, to niezupełnie prawda, np. A. Smółko czy R. Bujak z UP przeszli do UW. Ale tak poważnie myślę, iż bierze się to z dwóch powodów: 1. Pierwotnie w Polsce w 1989 r. był podział na szeroko rozumiany „obóz solidarnościowy” i obóz, nazwijmy to „pezetpeerowski”, tak więc ludzie o różnych poglądach ideologicznych znaleźli się pod jednym szyldem. Dopiero później nastąpiły następne podziały, i to przede wszystkim w tym pierwszym obozie. Partią, która miała najsilniejszą frakcję lewicową była Unia Demokratyczna, ale tylko do momentu połączenia się z gdańskimi liberałami czyli KLD i utworzenia

¹ Polecam słynną książkę profesora filozofii Uniwersytetu w Turynie – Norberta Bobbio *Prawica i lewica*, Kraków 1996.

Unii Wolności. Wówczas jej program przesunął się bardziej na prawo. Część osób o poglądach bardziej lewicowych mogła się w niej nie odnaleźć. Nie ma w Polsce silnej, liczącej się lewicy postsolidarnościowej, w związku z tym osoby, którym bliżej jest do lewicy, zwłaszcza z UW (np. B. Labuda, K. Piekarska, A. Celiński), której członkowie nie mają tak krytycznego stosunku do PRL i „partii postpezetpeerowskiej” jak inne ugrupowania, przechodzą nie tyle na lewicę, co konkretnie do SLD, który potencjalnie ma największe szanse na sprawowanie władzy. Ponadto nie wykluczałabym zwykłego koniunkturalizmu;

2. Przejście z SLD czy UP do UW jest możliwe i są na to przykłady, ale do jakiej innej partii po prawej stronie miałyby przejść osoba np. z SLD o „pezetpeerowskim” rodowodzie? Nie bardzo sobie to wyobrażam, taka droga jest już zbyt daleka, a podziały ideologiczne są zbyt głębokie.

B.P.: Czy SLD jest partią postkomunistyczną, czy też nowoczesną, europejską socjaldemokracją?

Anna Materska-Sosnowska: Obecne SLD to już nie jest sojusz wyborczy, tylko nowa partia powstała na bazie poprzedniej koalicji. Niemniej jednak uważam, że uzasadnione jest twierdzenie, że jest to partia wywodząca się z poprzedniego reżimu. Nie zapominajmy, że poprzedniczką SLD – SdRP była bezpośrednią sukcesorką PZPR i tworzyli ją ludzie należący kiedyś do PZPR, wykorzystując pieniądze i struktury poprzedniczki. Pyta Pan także, jakie skutki będzie miało obciążenie SLD odpowiedzialnością za „peerelowską przeszłość”? Przecież SLD cały czas obwiniano za przeszłość, praktycznie do 1993 r. SdRP w parlamencie traktowana była z dużą niechęcią, i dopiero przed wyborami zaczęła wychodzić z narzuconej nań izolacji. Ówczesny przewodniczący partii, a obecny prezydent A. Kwaśniewski przeproszał za błędy i wypaczenia PRL-u. Prawica nie przebaczyła, ale w tym momencie ważniejsze jest społeczeństwo, a ono powierzyło swój mandat lewicy już w 1993 r., co dla oponentów SdRP było szokiem. Późniejsze wybory prezydenckie, w których A. Kwaśniewski wygrał przecież z symbolem „Solidarności” – L. Wałęsą, a nawet ostatnie wybory parlamentarne, w których pomimo przegra-

nej, SLD zdobył więcej głosów poparcia niż w 1993 r., potwierdziły, że sojusz jest partią absolutnie akceptowaną i potrzebną. Ponadto uważam, że pomimo swoich „poskomunistycznych” korzeni obecnie zasługuje na miano europejskiej socjaldemokracji i jest przez swoich odpowiedników na Zachodzie akceptowany i traktowany na równi.

B.P.: Jakiemu wydarzeniu winny być, Pani zdaniem, towarzyszyć najgłośniejsze gwizdy, a jakiemu najdłuższe oklaski w ciągu ostatnich 10 lat?

Anna Materska-Sosnowska: Zaczniemy od wspomnień przyjemniejszych, a więc od oklasków. Poza jakąkolwiek konkurencją, oczywiście wszystkie wizyty Papieża i jego kazania – to jedna, długa owacja na stojąco. Najdłuższe oklaski dałabym za wybory czerwcowe 1989 r. i zwycięstwo „obozu solidarności”, to było tak, jakbyśmy nagle obudzili się z jakiegoś koszmarne snu w wolnej Polsce, nie zapomnę także znaku „victorii” T. Mazowieckiego po zaprzysiężeniu jego rządu. Takie wzniosłe uczucie towarzyszyło mi także w dniu, kiedy wciągnięto polską flagę na maszt przed siedzibą Sojuszu Północnoatlantyckiego. Poza tym pierwszy niekomunistyczny prezydent, parlament. W tej dekadzie większość wydarzeń była „po raz pierwszy”: giełda, paszporty w domu, pełne sklepy itd., ale te pierwsze wspomnienia są chyba najsilniejsze. Natomiast największe gwizdy dałabym za S. Tymińskiego, tzn. za to, że tak nas jako społeczeństwo „omotał”, iż znalazł się w drugiej turze wyborów prezydenckich w 1990 r. Ponadto równie duże gwizdy należą się wszystkim politykom, którzy uczestniczyli w różnego rodzaju „wojnach i kłótniach na górze”, zwłaszcza dotyczy to polityków prawicy. Zdecydowanie największą ilość gwizdów, moim zdaniem oczywiście, powinna dostać polska lustracja. Nie sama idea lustracji czy dekomunizacji, jak to miało miejsce w Czechach, ale sposób jej przeprowadzenia, i to praktycznie od samego początku, tzn. od nieszczęsnej „listy Macierewicza”. Sposób przeprowadzania lustracji w moich oczach skompromitował się już ostatecznie przy sprawie prof. W. Chrzanowskiego.

Opracowanie:
Bartek Panek

1956

1968

1976

1980

1981

1989

1999

Prehistoria Dekady

Ireneusz Ziemiński

Widok z okna

Urodziłem się w przeddzień dwudziestego stulecia, dokładnie na czternaście minut przed – jak wtedy mówiono i pisano – początkiem nowej ery. Rodzice moi nie mieli czasu ani okazji świętować tej chwili historycznego przełomu, ponieważ poród przebiegał z poważnymi komplikacjami i powikłaniami. Dom pełen lekarzy, krewnych i znajomych pogrążony był w lęku, a potem żałobnej rozpacz. Moja Mama nie przeżyła porodu i trzy godziny potem, na skutek nadmiernego ubytku krwi, zmarła. Jej śmierć była – przynajmniej dla naszej rodziny, zwłaszcza zaś dla mego ojca i starszych braci – symbolicznym znakiem tego, co nadchodzący wiek miał przynieść ludziom w skali globalnej. Tamtej nocy nikt zapewne (może poza urodzonymi pesymistami albo prorokami) nie przewidywał grozy tego, co niebawem miało nadejść. Nową erą witano w religijnym niemal uniesieniu, bawiąc się i snując przed ludzkością wizję spełnienia opowieści o raju na ziemi. Raj był tak blisko, że wystarczyło tylko przekroczyć jego szeroko otwarte wrota...

Śmierć Matki, jak powiedziałem, była jakby pierwszym zwiastunem tragicznej przyszłości. Dla mnie miała ona znaczenie szczególne – naznaczyła mój los piętnem zbrodniarza. Tego piętna nie pozbyłem się do dziś – dane mi zapewne będzie z nim umierać. Do dziś bowiem czuję się winnym tej śmierci, przedwczesnej i świętej. Do dziś mam też przed oczami pełne żalu (a może nawet pretensji, wyrzutów i nienawiści) spojrzenie mojego ojca, którym witał mnie każdego ranka. Wiedziałem, że mnie kocha, nigdy nie zwątpiłem nawet przez chwilę w jego bezgraniczną miłość i poświęcenie dla mnie. A jednak jego oczy, jego słowa, jego obecność stawały się dla mnie z czasem coraz większym, trudniejszym do zniesienia ciężarem. Cała jego postać zdawała się mówić do mnie: „To przez ciebie, gdyby nie ty, ona by żyła...”

Rozumiałem ojca doskonale. Dziś rozumiem go może jeszcze bardziej niż w młodości. A jednak budzę się czasami zlany potem, krzycząc, że przecież jestem niewinny. Postać ojca, surowego sędziego, zjawia się we śnie niczym upiór przeszłości. Tak już zapewne zostanie do końca.

* * *

Z długich i nie kończących się opowiadań ojcowskich wiem, że matka była osobą niezwykle wrażliwą, głęboko religijną, inteligentną i nad wyraz piękną. W młodości, zanim poślubiła ojca, pisała muzykę, która przyniosła jej i jej rodzicom duży rozgłos. Jej utwory, dziś całkiem zapomniane, grane były w salach koncertowych całej Europy, od Petersburga po Paryż. Kariera ta nie trwała jednak długo. Nasz dziadek bowiem, zamo-

żny ziemianin, stracił cały majątek w wyniku powstania styczniowego i późniejszych represji. Skazany na zesłanie popełnił samobójstwo, zostawiając swoją żonę i dwie córki (w tym naszą mamę) bez jakichkolwiek środków do życia. Małżeństwo z moim ojcem było dla matki jedynym ratunkiem przed nędzą i powolną śmiercią głodową. Było jednak zarazem, jeżeli wierzyć opowieściom naszej babci i ojca, początkiem wielkiej miłości, która nie wygasła nigdy. W sensie dosłownym przetrwała ona za grób. Nigdy już, po śmierci swej żony, ojciec mój nie odważył się spojrzeć na kobietę. Ta jedna była dla niego wszystkim. I to właśnie ja miałem mu ją – przychodząc na świat – na zawsze odebrać.

Ojciec nasz po tym ciosie już się nigdy nie podniósł. Wprawdzie żył jeszcze z nami przez prawie dwadzieścia lat, jednak nigdy nie można było odkryć na jego twarzy śladu radości czy wesołego uśmiechu. Pamiętam go zawsze z tym wzrokiem pełnym bólu i mimowolnych, może nawet nie do końca uświadamianych pretensji, że to ja żyję, a nie ona. Ilekroć popełniliśmy jakąś niestosowność, ojciec miał tylko jedno do powiedzenia: „Dlaczego nie potraficie uszanować pamięci waszej Matki?” Były to słowa, których znaczenie nam umykało, które wydawały się zbędnym przywoływaniem imienia zmarłej. A jednak dzisiaj rozumiem, że ona naprawdę żyła nadal w jego sercu i myślach. Identyfikował się z nią absolutnie i do końca. Była obecna w jego życiu jako jego drugie, głębsze ja. Nie podejmował żadnych istotnych decyzji bez głębokiej modlitwy nad jej grobem, kiedy to – jak miemam – głęboko wierzył, że z nią rozmawia, czuł jej dotyk na swojej zmęczonej twarzy, doświadczał jej obecności silniejszej i trwalszej niż więzi czysto doczesne.

Z jej śmiercią nie pogodził się nigdy. Czasami ośmielił się zapytać nas, zwłaszcza, gdy już byliśmy młodzieńcami, czy uważamy to za sprawiedliwe, że ona odeszła tak wcześnie. Raz nawet zapytał, czy Bóg naprawdę jest miłosierny, skoro pozwolił umrzeć tej, która była uosobieniem świętości? Pamiętam, że po tym pytaniu zaległa w pokoju głucha cisza, a ojciec, jakby zawstydzony tym, co ośmielił się nam wyznać, ale co zapewne od dawna go gnębiło, zmienił nagle temat rozmowy. Nie powrócił już do tego tematu, na ile pamiętam, nigdy.

* * *

Jedno wspomnienie z dzieciństwa zapadło mi szczególnie w pamięci. Był to cmentarz w pobliżu którego mieszkaliśmy. Chodziłem tam z ojcem prawie codziennie, nosząc świeże kwiaty na grób matki. Ojciec przez cały czas starał się zaszcześcić we mnie miłość do tej, która dała mi życie w sensie najbardziej dosłownym. Lubilem te spacerować z nim, który dawał poczucie bezpieczeństwa, który ścisnął mi rękę, gdy opowiadając o jej życiu nie potrafił powstrzymać łez.

Z czasem polubiłem te spacerować na cmentarz także z innego powodu. Odkryłem bowiem, że ten olbrzymi, spowity w ciszy plac, kryje w sobie wiele tajemnic. Zwiedziłem każdy jego zakątek, odczytałem po wiele razy każdy napis na płycie nagrobnej, byłem w stanie rozpoznać każdą postać, której popiersie wyrzeźbione w kamieniu ozdobiło aleję zasłużonych. Nie mogłem wtedy zrozumieć, dlaczego jedne groby toną w kwiatach, dlaczego zdobione są potężnymi marmurowymi płytami, bądź otoczone żelaznymi ogrodzeniami, inne natomiast zarośnięte trawą, pozbawione krzyża i tablicy z nazwiskiem, jakby ktoś o nich chciał na zawsze zapomnieć. Ojciec wyjaśniał mi topografię cmenta-

rza, która była wiernym odbiciem topografii miasta i wsi; każdy nawet po śmierci miał swoje ściśle określone miejsce, odpowiadające temu, jakie zajmował w hierarchii swego środowiska. Te groby zapomniane, mówił ojciec, porośnięte trawą, to groby ludzi potępionych, samobójców i zbrodniarzy. Pamiętam, że ogarniał mnie lęk, gdy zatrzymywałem się nad wysepką ziemi kryjącą w sobie zbrodniarza czy samobójcę. Modliłem się wtedy, żeby Bóg ocalił mnie przed takim losem. Nie pamiętam jednak, abym tych ludzi potępiał. Opuszczenie i samotność, jakiej doznali po śmierci budziła raczej moje współczucie i litość, niż niechęć. Sądziłem, że bezimienny grób, na którym zwyczajowo nie było wolno położyć wiązanki kwiatów ani zapalić świeczki, był dostateczną karą za to, co ci ludzie mieli na sumieniu. Dlatego nie mogłem pogodzić się, że – według ojcowskich wyjaśnień – bezimienny grób jest jedynie symbolem wiecznego potępienia, na jakie zesłał ich Bóg.

Osobne miejsce zajmowały na cmentarzu groby żołnierzy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego były one zawsze posprzątane i otoczone najgłębszym szacunkiem ludzi. „Przecież oni także zabijali”, ośmieliłem się kiedyś powiedzieć do ojca. Nie mogłem zrozumieć, że jedno zabójstwo jest zbrodnią, a inne powodem do nieśmiertelnej czci i chwały, że jedno samobójstwo jest najcięższym grzechem, wręcz bluźnierstwem okazanym Bogu, inne zaś wyrazem odwagi i bohaterstwa. Wtedy ojciec zaczął mi opowiadać o zniewolonej ojczyźnie, która ma prawo oczekiwać od każdego z nas ofiary najwyższej. Sens tych słów, które wtedy doprowadziły mnie do łez i szczerego postanowienia poświęcenia swego życia dla ojczyzny, zrozumiałem dopiero po latach, kiedy ojczyzna zażądała mego poświęcenia, kiedy musiałem porzucić żonę i dziecko, by wypełnić rozkaz, kiedy ubrano mnie w mundur, dano karabin i pod groźbą śmierci wysłano na pierwszą linię frontu zabijać tych, którzy mówili innym językiem i pod innym służyli sztandarem.

* * *

Odkrycie cmentarza i przeżycia z tym związane, chociaż niezwykle silne, nie były jeszcze dla mnie odkryciem śmierci. Tę miałem poznać nieco później, kiedy dotknęła mnie osobiście, zabierając najbliższych. Cmentarz jednak zaczął mnie fascynować do tego stopnia, że obserwowałem każdy kondukt pogrzebowy przechodzący pobliską drogą, a jedyną zabawą, jaka rzeczywiście sprawiała mi przyjemność, były inscenizowane przeze mnie pogrzeby wyimaginowanych osób. Kopanie dołka, by pochować w nim pudełeczko z nieżywą biedronką lub ptaszkiem, potem długie modlitwy i łzy wylewane nad zmarłym, wreszcie zasypywanie pochowanego ciała i układanie suchych liści, traw i kwiatków na usypanym kopczyku sprawiały mi rozkosz, której nie potrafię do dziś z niczym porównać. Ojciec, kiedy odkrył moje zabawy w pogrzeb, próbował je z początku zbagatelizować, z czasem jednak jego niepokój, a może nawet przerażenie wzrastało. Doszło do tego, że zabronił mi podobnych zabaw, co zmusiło mnie do prawdziwej konspiracji. Był nawet taki czas, że przestał mnie zabierać na grób matki, tłumacząc to tym, że nie potrafię okazać prawdziwego szacunku w obliczu śmierci. Sądzę jednak, że przyczyna zakazu była zupełnie inna. Ojciec prawdopodobnie bał się, że częstsze wizyty na cmentarzu i obcowanie z umarłymi mogą wtrącić mnie w stan kompletnego rozstroju nerwowego. Prawdopodobnie sam czuł się winny zaistniałej sytuacji, wszak to on był tym, który uświadomił mi istnienie i funkcję cmentarza.

Pogrzebów było w tamtym czasie bardzo dużo, niemal codziennie mogłem obserwować z okna pogrążonych w smutku ludzi, idących za ubranym na czarno księdzem, śpiewającym żałobne pieśni. Były pogrzeby okazałe, wystawne, gromadzące najświetniejsze towarzystwo z całej okolicy, lecz były też pogrzeby milczące, skromne, pozbawione religijnej oprawy, były wreszcie pogrzeby, w których uczestniczył tylko woźnica odprowadzający trumnę na cmentarz. W tamtym czasie kojarzyłem je właśnie z tymi zapomnianymi na cmentarzu, jak mówił ojciec – zbrodniarzami i samobójcami; prawda jednak, jak z czasem miałem się przekonać, była bardziej skomplikowana i bolesna. Uświadomił mi ją pogrzeb dziecka, które zmarło w sąsiedniej wsi na gruźlicę. Małą, wyciosaną w drewnie trumienkę niósł ojciec, przerzucając ją co chwila z jednego ramienia na drugie. Za nim, często nie mogąc dotrzymać mu kroku, szła kobieta, zapewne jego żona, matka zmarłej dziewczynki lub chłopczyka. Chociaż nie mogłem dosłyszeć, o czym rozmawiali, byłem pewien, że kobieta płakała. Biła się w piersi, czasami spoglądała w niebo, jak gdyby tam szukała odpowiedzi, dlaczego taki spotkał ją los. Mężczyzna, młody i silny, nie rozpaczał. Szedł miarowo i dość szybko. Po mniej więcej godzinie oboje wracali, zakopawszy trumienkę na cmentarzu. On pomagał jej iść, podtrzymując za ramię, ona zdawała się skłaniać głowę na jego piersi.

Nie wiem, kim byli. Już nigdy więcej nie było mi dane ich spotkać. Zresztą z oddali nie byłem w stanie rozpoznać ich twarzy. Zniknęli z mego życia tak nagle, jak się w nim pojawili. Samotni, oszukani przez los, pogodzeni z tragedią, której sensu nikt nie jest w stanie przeniknąć. Ten pogrzeb uświadomił mi, że śmierć to coś więcej, niż obrzęd w towarzystwie księdza, organisty i tłumu gapiów, którzy udają zrozpaczonych i gotowych nieść pomoc przyjaciół.

Czym był człowiek zamknięty na zawsze w drewnianej skrzynce i zasypyany ziemią? To pytanie, które dojrzywało we mnie przez lata, do dziś pozostało bez odpowiedzi. W co zamienia nas śmierć, kiedy przychodzi po swoją ostatnią zapłatę? Kim było nieznane mi dziecko, którego rodziców widziałem przed laty z mojego okna? W co zamieniła się moja matka, której grób nawiedzałem w towarzystwie ojca? Po co człowiek w ogóle przychodzi na świat, skoro po pewnym czasie musi go na zawsze opuścić, odchodząc w ciemności i mrok? Co znaczyć miało rozpięte na krzyżach nagrobnych ciało Chrystusa? Czy rzeczywiście mogło symbolizować nadzieję, że nie do śmierci należy ostatnie słowo? Czy nie było raczej dowodem słabości Tego, który miał po trzech dniach zmartwychwstać? Więcej, czy nie objawiało prawdy o klęsce, jaką i On ostatecznie, w pojedynku ze śmiercią, poniósł?

Nie znałem i dziś nie znam odpowiedzi. Może jednak w młodości miałem nadzieję, że odpowiedzi są proste, wystarczy tylko je przyjąć. Dziś nieufność jest we mnie większa. Może dlatego, że śmierć osacza mnie z każdej strony, stała się na tyle bliska, że każdego dnia ma prawo mnie zabrać. Stojąc u bram śmierci człowiek nadal nie wie, czym one są; obawia się, że nadzieja nieśmiertelności może okazać się iluzją jeszcze jednym mitem, w który wygodnie byłoby uwierzyć.

Dokąd odeszła ta zamknięta w skrzynce istota, niesiona na cmentarz na ramionach swego ojca? Czy jest poza tym życiem jeszcze jakieś „dokądś”, gdzie możemy pójść? Pytania te z całą mocą stały przede mną po latach, kiedy to najpierw na froncie, a potem w niewoli miałem znaleźć się w samym centrum królestwa śmierci. I właśnie wte-

dy objawiła mi się jako tragiczny, obojętny dla świata i tych, co zostają przy życiu – banał. Tam nie starałem się rozumieć, chciałem po prostu przeżyć.

* * *

Po latach cmentarz zamknięto. Przyszli jacyś uczeni i po wielu tygodniach pomiarów, obliczeń i skrupulatnych zapewne, chociaż dla mieszkańców naszej wsi zupełnie niezrozumiałych badań – orzekli, iż zatruwa on pobliskie zbiorniki wody, grożąc w każdej chwili wybuchem epidemii.

Droga na cmentarz zarosła zielskiem, niepotrzebna nikomu. W sąsiedniej wsi przygotowano plac pod nowy cmentarz. Niewielu jednak ludzi zdążyło na nim znaleźć swoje ostatnie mieszkanie. Wraz z wybuchem wojny cmentarzem stał się każdy ogród, skwer czy zgliszcza domu. Ten, na którym złożone zostały ciała moich rodziców, został kompletnie zdewastowany. Wybuchy bomb poniszczyły pomniki, nagrobki i płyty. Nie oszczędziły też ciał zmarłych, wyrzucając ich kości na powierzchnię, gdzie stanowiły pokarm dla bezdomnych psów.

Piotr Szalek

Józef Czapski (1886-1993) Wspomnienie świadka XX wieku

*Nic więcej mnie nie obchodzi poza
nieszczęściem mego kraju i agonią chrześcijaństwa.
Georges Bernanos*

W ostatniej dekadzie zmarł jeden z najwybitniejszych polskich intelektualistów XX wieku – Józef Czapski. Jego życie rozciąga się na cały wiek XX-ty. Co więcej, jak sam podkreśla, stulecie to przyszło mu przeżyć niemal zawsze tam, gdzie człowiek (jako indywiduum i zbiorowość zarazem) był wystawiony na próbę. Wszędzie dawał godne świadectwo tego, że jest Polakiem, arystokratą (z urodzenia i czynów), katolikiem. Wszystko to czynił ze świadomego wyboru, co dodaje wagi jego postawie. W czasie chaosu szedł drogą prostą, choć nie zawsze łatwą. Zawsze otwarty na ludzi i piękno (malarskość) świata.

Niech tych kilka słów będzie świadectwem o człowieku, którego choć nie było mi dane osobiście poznać, ale którego postawa odcisnęła na mnie ważne piętno.

Wybór kultury polskiej jako tej, z którą się utożsamiał był świadomy. Jego rodzina bowiem miała korzenie zarówno w Polsce, jak i w Austrii, Niemczech oraz Rosji. Każdy z tych narodów mógł traktować jako własny z urodzenia, jak również z powodu znajomości ich kultur. Wybór Polski jest więc znaczący. A w swej konsekwencji, chyba jedyny w XX-wiecznej kulturze polskiej. Okoliczności historyczne sprawiły, że musiał dać wyraźne świadectwo swojej polskości. Dawał świadectwo swojemu wyborowi w czasie uwięzienia w łagrze sowieckim, w poszukiwaniu polskich oficerów, jak się później okazało, zamordowanych w Katyniu. Równie konsekwentnie pozostawał Polakiem także dla przyszłej wolnej Polski, będąc na emigracji. Współtworzył „Kulturę” paryską. Maisons-Laffitte stał się po 1945 r. jego domem. Oddany działalności pisarskiej i publicystycznej nie zaniedbał przy tym swojego powołania. Był artystą, malarzem w pełni świadomym swojego warsztatu. W ostatnich latach życia pracował, mimo postępującej utraty wzroku. Był artystą z powołania, Polakiem z wyboru. Miejscem świadomych poszukiwań Czapskiego była też religia. Nie traktował jej bowiem jako czegoś danego, ale jako coś, co zostało zadane. Zmagania z katolicyzmem wielokrotnie ujawni-

nają się na stronach jego „Dziennika”. Wydaje się, że katolickość (chrześcijaństwo) Czapskiego była ściśle zespolona z całą jego postawą życiową.

Po śmierci swojego przyjaciela Colina, również malarza, napisał: *Teraz chodzi o to, żeby poprzez jego malarstwo, poprzez jego teksty inni mogli znaleźć w nim pocieszenie*. Ja słowa te odnoszę również do Czapskiego.

Jacek Zalewski

Homo Sovieticus albo hamulec w mózgu

Leży przede mną na biurku, wydana przez krakowskie wydawnictwo Znak, niewielka książka Józefa Tischnera, *Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*. Składają się na nią dwa różne teksty, których powstanie dzieli cała dekada. I chociaż pierwszy tekst wydawany był osobno, często nielegalnie (początek lat osiemdziesiątych), a także zagranicą (mam na przykład w domu paryskie wydanie *Etyki...* z roku 1982), to jednak po latach, kiedy było już po Okrągłym Stole, kiedy PRL przeobraziła się w RP – postanowiono oba teksty wydać łącznie.

Niezwykłe i zarazem dramatyczne były okoliczności, w których rodziła się *Etyka solidarności*. W Polsce działy się rzeczy, co do których już wtedy przeczuwano, iż utrwalały się one w powojennej historii Polski. Oto jest 19 października 1980 roku, godzina ósma – tego jesiennego poranka zgromadzili się na Wawelu w Krakowie przywódcy nie zalegalizowanej jeszcze „Solidarności”, żeby wziąć udział we mszy św. Jako że w mieście nie było akurat żadnego biskupa, mszę odprawił kanonik wawelski, ksiądz Stanisław Czartoryski. O wygłoszenie kazania poproszony został ksiądz Józef Tischner. A w kościele obecni są, m.in. Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, Marian Jurczyk, którzy – wspomina Tischner – „usiedli przed konfesją św. Stanisława, biskupa krakowskiego i męczennika. Siedzieli wciśnięci między sarkofagi polskich królów, jakby chcieli wziąć w siebie część ich wielkości. Byliśmy pełni niepokoju. Był to przecież dopiero 1980 rok. Ale w głębi duszy każdy czuł: tym razem musi się udać” (ES,5). A czas był rzeczywiście szczególny; niespełna rok wcześniej – pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Polski i pamiętne słowa Papieża: „Polski nie można zrozumieć bez Chrystusa”. Lato 1980 – strajki lipcowe, zaraz po podwyżkach cen. Strajkuje Lublin, Świdnik, Sanok, Tarnów, Włocławek, Mielec, Warszawa. Dnia 14 sierpnia staje Stocznia Gdańska. W nocy z 16 na 17 sierpnia wyłania się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, któremu przewodzi Lech Wałęsa. Formułowane są konkretne postulaty. Listę tych postulatów – jest ich 21 – ogłoszono 18 sierpnia. Domagano się uznania wolnych związków zawodowych.

Przeglądam archiwalne numery „Tygodnika Powszechnego”. Natrafiam na – pisany na bieżąco – dziennik Kazimierza Łastawieckiego, dokumentujący atmosferę tamtych gorących dni. „Strajkują stocznie, porty, komunikacja, rafineria, Gdańsk otoczony kordonem milicji” (ODS). Strajki nazywa „sądem klasy robotniczej nad biurokratami”. Z kolei biskup Kazimierz Majdański – ordynariusz Szczecińsko-Pomorski, notuje później: „Nawet w poważnej przed Bogiem refleksji nie powiemy o tym dniu, o 18 sierpnia,

wszystkiego. Wszedł ten dzień do historii i nikt go już jej nie odbierze. Historia będzie długo rozważać. Może nawet zboczy z drogi prawdy, jak to się niekiedy zdarza. Ale nie trzeba się lękać: prawda ostatecznie zawsze zwycięża” (TP,35/81). Znajduję także fragmenty wiersza, który ukazał się wówczas w biuletynie informacyjnym „Solidarność” nr 4. Wybieram trzy zwrotki utworu, pod znamienym tytułem: *Postulat 22*.

*Przestańcie stale nas przepraszać
I mówić że błędzicie
Spójrzcie na nasze zmęczone twarze
Szare i zmięte jak nasze życie
(...)*

*Przywróćcie wartość wielu słowom
By już nie były pustymi słowami
By żyć z godnością i pracować
Z solidarnością między nami*

*Przestańcie stale nas przepraszać
I mówić że błędzicie
Spójrzcie na nasze matki, żony
Szare i zmięte jak nasze życie*

I wreszcie 31 sierpnia – dzień, w którym podpisane zostaje porozumienie akceptujące m.in. wolne związki. Łastawiecki przytacza w swoim notatniku słowa, które padły podczas podpisywania owego porozumienia. Wałęsa: „Zdobyliśmy co chcieliśmy zdobyć, lecz nie bez ustępstw”. Jagielski: „W tym konflikcie nie ma zwycięzców i nie ma zwyciężonych. Rozmawialiśmy ze sobą jak Polak z Polakiem”. O tym dniu tak później powie Adam Michnik: „Od tego dnia, od 31 sierpnia 1980 roku wiedziałem już, że PRL może się kręcić, kąsać, gnić przez lata, ale musi zdechnąć” (MPAP,292). Mam przed sobą jeszcze jeden – z wielu, jakie później powstały – komentarz; tym razem wskazujący na przeobrażenie, jakie dokonało się w świadomości Polaków. „W Sierpniu 1980 roku dokonało się wspólne *katharsis*. Najbardziej powszechnym doświadczeniem Polaka było wówczas poczucie prostowania się, podnoszenia głowy. Przeżywano szczególną równość, taką oto: jeszcze wczoraj byliśmy zastraszeni, ogłupiali, okłamani. A teraz przejrzelśmy na oczy, zrozumieliśmy oszustwo, któremu ulegaliśmy przez tyle lat, nauczyliśmy się bronić, przestaliśmy się bać” (PK,176). Godność człowieka odnalazła swój wymiar społeczny.

Zrozumiała jest przeto nadzieja tych, którzy owego październikowego poranka uczestniczyli we mszy św. celebrowanej przez księdza Stanisława Czartoryskiego, potomka rodów książęcych i słuchali kazania głoszonego przez Józefa Tischnera, duszpasterza i filozofa, górala z Łopusznej. „Tym razem musi się udać...” – nadzieja, którą *ex post* i *explicite* wyraził Michnik: PRL „musi zdechnąć”.

Zadanie, które ustawił przed sobą Tischner polegało – z jednej strony – na rozumiejącym opisanu i nazwaniu rzeczywistości, w której „historia Polski wchodziła w

ręce robotników”, oraz – z drugiej strony – na oczyszczeniu znaczenia pewnych podstawowych pojęć, którymi rzeczywistość tę można opisać i nazwać. Redakcja „Tygodnika Powszechnego” zachęciła Tischnera do kontynuowania pracy nad zagadnieniami poruszonymi w kazaniu na Wawelu. I tak powstała *Etyka solidarności*. Pytał się filozof sam siebie: co znaczy solidarność? Odpowiedź przyszła od św. Pawła – „Jeden drugiego ciężary noście, a tak wypełnicie prawo Boże” – oto formuła, w której zawiera się istota solidarności. „Cóż znaczy być solidarnym? Znaczy nieść ciężar drugiego człowieka. Nikt nie jest samotną wyspą. Jesteśmy zespoleni, nawet gdy tego nie wiemy. Łączy nas krajobraz, łączy nas ciało i krew – łączy praca i mowa” (ES,8). I jeszcze to: „To, co przeżywamy, jest wydarzeniem nie tylko społecznym czy ekonomicznym, lecz przede wszystkim etycznym. Najgłębsza solidarność jest solidarnością sumień” (ES,9). Z naciskiem powtarzać będzie Tischner te słowa jeszcze wielokrotnie; powtórzy je także przy okazji Zjazdu Solidarności, powie: „Specyfiką polskiej solidarności jest jej niezwykle głęboki wymiar etyczny. Solidarność jest przede wszystkim solidarnością sumień. Wszystko inne przychodzi potem. Sumienie solidarności ma swoje pola wrażliwości. Owe pola wrażliwości wyróżniają je od innych sumień w Polsce. Wyróżniają, co nie znaczy, że stawiają w opozycji. Na co innego wrażliwy jest lekarz, a na co innego nauczyciel. Podobnie sumienie solidarności” (TS). W ten oto sposób – po pierwsze – wskazuje Tischner pozytywną płaszczyznę identyfikacji tym, którzy orientują się na określony typ wartości i posiadają owo specyficzne „pole wrażliwości”; oraz – po drugie – mówi, że wszelkie solidarne działanie, praca, życie społeczne, a także szukanie dróg realizacji własnych zamierzeń, budowane będzie odtąd z wnętrza etyki. Oto bowiem sumienie jest naturalnym „zmysłem etycznym” człowieka, sumienie jest zmysłem „czytania drogowskazów”; bez sumienia – uważa Tischner – solidarność byłaby niemożliwa. *Etyka solidarności* jest książką, która przynależy do swojego czasu; powstawała z potrzeby chwili jako propozycja wpisująca się w doraźne potrzeby społeczeństwa, które – jeszcze przed narastającymi konfliktami, a przede wszystkim jeszcze przed stanem wojennym – poczuło się chociaż trochę bardziej wolne i z podszytą niepokojem nadzieją spoglądało w przyszłość; społeczeństwo, które gdzieś tam przed sobą zobaczyło „światelko w tunelu”. Powszechna była jednak obawa, żeby wytworzonej szansy nie zaprzepaścić; prymas Wyszyński powtarzał: „nie wywróćcie tej łodzi”. *Etyka...* starała się nadać kształt tej nadziei. Kiedy patrzę na teksty polemiczne z *Etyką...*, widzę różne rzeczy. Jeden pisze, iż jest to książka pomyślana jako atak na socjalizm, gdzie indziej czytam, że jest to „piękna książka”; ja osobiście odczytuję ją poprzez pryzmat nadziei, obecnej w etycznym wymiarze zapisanych w tej książce treści. Nadzieja była tym ludziom potrzebna; dekadę później już będą musieli znaleźć się w nowej rzeczywistości i inna też będzie potrzebna im nadzieja, tymczasem trzeba było jakoś tak sterować tą wspólną łodzią, żeby jej „nie wywrócić”.

Mam przed sobą inną książkę Józefa Tischnera, *Polski młyn*. Składają się na nią teksty pisane od momentu wyboru Karola Wojtyły na Papieża, aż do roku 1989. Wszystko tutaj jest – teksty o Papieżu i jego encyklikach *Redemptor hominis*; *Laborem exercens*; *Dives in misericordia*; *Sollicitudo rei socialis*; teksty o patriotyzmie, Ojczyźnie, o pracy i wolności, jest też Norwid i sprawy narodu... Przeglądając ponownie te teksty – przecież nie chronologicznie ułożone – widać jak wyłania się z nich sprawa – coraz bardziej pil-

nej – potrzeby dialogu. Oto esej *Dokąd prowadzi ta droga?*; otwiera go autor tymi oto słowami: „I znów stajemy wobec pytania: dokąd idziemy? Trzeba zrozumieć sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Mamy bowiem wrażenie, że po raz kolejny w naszej historii odwaga wyprzedziła w nas rozumienie. Gdzie jest nasz cel? Stawiając takie pytanie, trzeba również rozważyć kwestię punktu wyjścia. Od czego odchodzimy?” (PM,311). Tischnera nie zadowalają odpowiedzi: odchodzimy od komunizmu, socjalizmu, totalitaryzmu, nomenklatury; proponuje on określenie: komunizujący totalitaryzm. Totalitarne metody wprowadzania komunizmu – oto znamienny według niego rys czterdziestu powojennych lat historii Polski. Pytanie jednak brzmi: „dokąd prowadzi ta droga?” Dokąd zmierzamy? Do „państwa ładu prawnego” – pada odpowiedź Tischnera. Droga prowadzi więc – mówiąc inaczej – od monologu do dialogu. Problem jednak w tym, że przejście to nie pokrywa się w całości z przejściem od jednego systemu do drugiego. Zresztą – twierdzi filozof – nie byliśmy nigdy do końca społeczeństwem monologicznym, a przejście dokonywać się zaczęło już wcześniej. Jako „punkt orientacyjny” podaje on wspomniane już porozumienia sierpniowe.

Jednakże jeszcze wcześniej, to znaczy od momentu wyboru Karola Wojtyły na Papieża, pojęcie dialogu nabrało nowego sensu; o ile przedtem mowa o dialogu maskowała jego brak, to stopniowo przemieniał się on z pozornego w rzeczywisty, a „totalitaryzm wszedł w stadium pęknięcia”. W jaki sposób radził sobie dialog w społeczeństwie, w którym zdjęcie sankcji ustrojowych wytworzyło pole sprzyjające twórczemu dialogowi? Otwieram jeszcze inną książkę Józefa Tischnera; tym razem jest to książka – wydana pod znamienym tytułem – *Nieszczęsny dar wolności*. Oto podejmuje filozof próbę zrozumienia sytuacji, w której tożsamość człowieka przestała budować się poprzez negatywny kontekst odniesienia, jakim był system komunistyczny, a stanęła przed otchłanią świeżo odzyskanej wolności. Stara się przeto Tischner wyartykułować lęki, lecz także i nadzieje, jakie – poprzez nieuchronne błędy – wpisują się w nową, demokratyczną rzeczywistość. „Czy nie stajemy się dziś ofiarami nowego, nie znanego nam dotąd lęku – lęku przed wolnością? Jeszcze nie tak dawno potwierdzaliśmy dzielnie naszą tożsamość w oporze przeciw gwałtowi, a dziś – odnoszę wrażenie – nie potrafimy spojrzeć w głąb odzyskanej wolności. Czyżby to, o co tak długo walczyliśmy, było dla nas zapowiedzią samego tylko piekła?” (NDW,7). Obawy filozofa nie są bezpodstawne – „to, o co tak długo walczyliśmy”, przyniosło nam oprócz wolności także nieoczekiwane podziały, które nie tylko polaryzowały polskie społeczeństwo, ale także – odwołując się do słów Prymasa Tysiąclecia – kołysały naszą wspólną, polską „łodzią”.

Dochodzę teraz do sedna niniejszego tekstu. Kim jest *homo sovieticus*? Kim jest „człowiek sowiecki”? Powiedzieć można, iż jest to ktoś, kto przyczynia się do tworzenia i utrwalania nowych – nie zawsze pożytecznych w otwartej przestrzeni pluralizmu – podziałów w społeczeństwie; więcej: żyje on polaryzacją społeczeństwa, jego żywiołem jest świat, w którym zawsze jest coś do zrobienia, ale jest to przede wszystkim robota destrukcyjna – coś trzeba obalić, kogoś zwalczyć, a jeszcze kogoś innego – zde maskować. *Homo sovieticus* jest „mistrzem podejrzeń”; jego autoidentyfikacja dokonuje się poprzez uchwycenie w drugim człowieku tego, co on sam postrzega jako zło – *homo sovieticus* konstruuje własną tożsamość wskazując w innym to, co jest niezgodne

z wyznawanymi i uznawanymi przez siebie wartościami. Szuka on więc swojej antytezy, a kiedy ją znajdzie – zwalcza, wzmacniając tym samym własną tożsamość.

Homo sovieticus nie wziął się „znikąd”. „Człowiek sowiecki” – najogólniej rzecz biorąc – to ktoś, kto żył w systemie sowieckim, może nawet walczył z sowietyzmem, ale w końcu zaczął myśleć po sowiecku. Samo pojęcie *homo sovieticus* – w skrócie: „homosos” – upowszechnił rosyjski dysydent i emigrant, profesor logiki, Aleksander Aleksandrowicz Zinowiew. Chciał za pomocą tego pojęcia opisać człowieka ukształtowanego przez komunistyczną ideologię.

Walcząc z przeciwnikiem, nieświadomie przejmuje się jego reguły gry; wchodząc w jedną z nim przestrzeń, oddychając tym samym powietrzem, nierzadko żywiąc się tą samą nienawiścią – działając i myśląc tak jak on – upodabnia się do niego; chociaż obaj grają do różnych bramek, piłka jest jedna i zasady są jednakie. Oto fragment rozmowy pomiędzy Adamem Michnikiem i Józefem Tischnerem: „A.M.: Przychodzi taki moment, kiedy ofiara zaczyna upodabniać się do swego kata. Jeden z moich przyjaciół opowiadał o Żydach, którzy wyszli z obozu, a po paru dniach, kiedy już się najedli, złapali na drodze trzech esesmanów... i przecinali tych ludzi piłą. Kiedy próbował ich jakoś powstrzymać, słyszał: «Oni nas katowali» (...)

Kiedy tak dramatycznie protestowałem przeciwko dekomunizacji i lustracji, to właśnie dlatego, żeby nie dopuścić do powtórki z komunistycznych polowań na «pogrobowców sanacji» i «przedwojennych dwójkarzy». My mieliśmy być inni.

J.T.: Tu jest głębsza kwestia. Twoja analiza zakłada, że jest ten esesman i że Żyd też jest. Natomiast przypadek Kościoła jest taki, że esesmana nie ma. A rżnięcie piłą pozostaje” (MPAP,619). „Człowiek sowiecki” – nauczony tak i wychowany – myśli w kategoriach walki, przeciwnik jest koniecznością i zasadą jego funkcjonowania społecznego. Tischner zwraca uwagę na znamieny fakt: oto w dogorywającym PRL-u komunista był rzadkością, tymczasem po jego upadku ugrupowania chrześcijańskie nie miały większych problemów ze wskazaniem całej masy komunistów. Myślenie w kategoriach walki to myślenie odwetem, a brak komunisty nie jest tutaj żadnym problemem – jest piłą, to i winny się znajdzie.

Etyka solidarności wskazywała na ludzi, którzy walczyli o lepszą przyszłość. O wolność. I oto wolność się wydarzyła. Wydawałoby się – zwycięstwo – oto udało się otworzyć w polskiej historii nową kartę, którą ludzie dobrej woli zapełnią teraz wyraziście brzmiącymi, twórczymi czynami. Tischner jednak odsłania jakąś szczególną świadomość przegranej. Wspomina Norwida: „Po upadku zrywu wolności, jakim była Wiosna Ludów, Cyprian Norwid pisał w liście do Jana Skrzyneckiego: «Całe to pokolenie jest na hekatombę dla przyszłości – zniszczy się jak narzędzie potrzeby jakiejś, co nie była. I szczęśliwi jeszcze, którym dano nie rozumieć tego położenia. Zarozumiałość ich pocieszy, hardość się uda za odwagę, za filozofię stanie cynizm, a wyobraźnia schorowana religii postać weźmie na się».

Norwid pisze o pokoleniu klęski – o własnym pokoleniu. Pokolenie to żyło wybuchami entuzjazmu i rozpacz. Najpierw pojawiała się nadzieja. Tłumy wylegały na ulice, podnosił się krzyk: «Precz z tyranią!». Wybuchło powstanie, było kilka bitew, ale po niedługim czasie wszystko wracało do dawnego stanu. Klęska? Tak, lecz klęska

szczególna nie tylko zewnętrzna, ale i wewnętrzna. Cios szedł w głąb duszy człowieka i pozostawiał trudno gojącą się ranę (...).

Od Wiosny Ludów minęło dobre półtora wieku. Do tamtych przegranych doszły nowe. Było jeszcze powstanie styczniowe, powstanie warszawskie... Kto dziś chce o nich pamiętać? Ale przecież w drugiej połowie wieku dwudziestego los się do nas uśmiechnął – zwyciężyliśmy. Komunizm upadł. Znow jesteśmy wolni. Jaki sens miałoby rozdrapywanie starych ran? Lecz oto dzieje się coś zagadkowego: mimo niewątpliwej wygranej, nie ma w nas świadomości wygranej. Nikt nie myśli o tym, by ustalić jakąś datę zwycięstwa nad komunizmem, jakieś święto, jakąś akademię lub pochód. Dlaczego nikt o tym nie myśli? Bo nie ma w nas świadomości zwycięstwa. Wciąż snuje się pomiędzy nami świadomość jakiejś przegranej. Wygrali, a jednak przegrali. Czyżby i nasze pokolenie było «na hekatombę dla przyszłości?» (KSW,5,7). Wskazuje Tischner i podkreśla świadomość przegranej – oto zwycięstwo, które nie cieszy – jest wolność, ale co dalej? Wraz z wolnością przyszło rozczarowanie; oto jest inaczej niż być powinno, sprawiedliwości nie stało się zadość. W kontekście gorzkich słów Tischnera niezwykle aktualnie brzmią słowa Norwida – pytanie filozofa wszak z niego jest: czyżbyśmy i my byli na hekatombę dla przyszłości?

Jeszcze raz sięgam po *Etykę solidarności*. Otwieram ją na rozdziale poświęconym rewolucji. Dwie wydają mi się kluczowe idee tego tekstu. Pierwszą powtarza Tischner za Heglem: „Nowość przynoszą tylko te zmiany, które zachodzą w świecie ducha” (ES,48). I druga: „Istota sprawy leży nie w przewrocie, ale w postępie”(48). Rewolucja nie polega na przewrocie, w wyniku którego stara władza zastępowana jest przez nową. Tak to już bowiem jest z rewolucjami, że rewolucyjni przywódcy, zajmując miejsce dawnych tyranów, upodabniają się do nich i sprawa zaczyna się na nowo; tym razem gnębiona jest dawna klasa rządząca. Taka jest dialektyka rewolucji, jeżeli rewolucja nie jest wydarzeniem w sferze ducha. Wtedy także idea postępu jest nieobecna, nie ma bowiem postępu tam, gdzie dawny pan w wyniku przewrotu stracił władzę na rzecz niewolnika, który teraz – jako nowy pan – ubezwłasnowolnił wcześniejszego swojego prześladowcę. Kat zamienia się w ofiarę, ofiara staje się katem własnego kata. Pamiętajmy słowa Michnika. Jest piła i jest realna jej groźba użycia.

Każda nowożytna rewolucja stała w ścisłym związku z rozwojem nauki i techniki. Chociaż dzisiaj technika – zwłaszcza po wspaniałych analizach Heideggera, ale nie tylko; jej zagospodarowanie podczas II wojny światowej zrodziło głęboką nad nią refleksję – posiada pewne negatywne obciążenie, to jednak w zasadniczy sposób wpłynęła ona na kształt pracy – praca stała się lżejsza i bardziej wydajna. Postęp techniczny otwiera nowe możliwości – wprowadzie również ucisku – ale przede wszystkim pozwala rozumnie organizować życie społeczne. „Nie chodzi o to, żeby rewolucja była krwawą zemstą nad tyranami, lecz o to, by była zaprowadzeniem rozumnego ładu wśród ludzi. Jeśli tyran ma odejść, to nie tylko dlatego, że okazał się zbyt krwawy, lecz raczej dlatego, że okazał się zbyt głupi. Niewesołe są losy tych, którzy nie mądrzeją w porę. Na tym polega sens postępu” (ES,50). Dlatego rewolucja na poziomie ducha zawsze powiększa w człowieku obszar wolności, rewolucja taka to „święto wyzwolenia człowieka ze strachu przed człowiekiem”.

Wydaje się, iż aktualność tych słów nie zmieniła się dzisiaj ani na jotę; można je odnieść także i do *homo sovieticusa*. Rewolucja to takie myślenie, które wcielone w czyn, niesie ze sobą postęp. Pokazuje to Tischner na przykładzie kołowrotka; wcale nie było tak, że ktoś najpierw zniszczył wszystkie kołowrotki i konieczne stało się wynalezienie maszyny tkackiej. Przez jakiś czas było jedno i drugie, aż kołowrotek – używając pojęcia wprowadzonego przez Zdzisława Cackowskiego – „uzbębnił się”. „Uzbębnienie się” kołowrotka to „rewolucja” w technice tkackiej. W dodatku – rewolucja bezkrwawa. Zmiana nie polega tutaj na prostym zastąpieniu jednego narzędzia przez drugie; oto bowiem zmiana ta podnosi wydajność, wpływa na kształt i organizację pracy, przeobraża cały proces wyrobu tkanin.

Zajrzyjmy teraz do głowy *homo sovieticusa*, żeby zobaczyć, w jaki sposób przebiega jego myślenie, spójrzmy na niego od strony wydarzających się rewolucji; spójrzmy na niego od strony ducha. Kluczowym pojęciem nakładającym się na sposób myślenia *sovieticusa* jest pojęcie zniewolenia. *Homo sovieticus* to ktoś, kogo myślenie funkcjonuje pod znakiem zniewolenia, to „zniewolony przez system komunistyczny klient komunizmu (...), to postkomunistyczna forma «ucieczki od wolności», którą opisał kiedyś Erich Fromm”(HS,125). Zniewolenie na poziomie myślenia odsłania się u niego jako szczególna więź z ideologią, hasłami, autorytetami; więź, będąca w zasadzie podporządkowaniem się instancji nadrzędnej, która jest także ostatecznym kryterium weryfikującym rzeczywistość. Instancja ta – niech to będzie na przykład autorytet kościelny, dlaczego nie? – jest w istocie mózgiem nie potrafiącego samodzielnie myśleć, funkcjonującego w oparciu o tenże autorytet, *homo sovieticusa*. Tischner jest szczególnie wrażliwy na jego obecność właśnie w Kościele. Gdyby nie to, że „człowiek sowiecki” zasymilował się z Kościołem, to – według słów samego Tischnera – „co by mnie on obchodził...?” Wróć jeszcze do tego.

Dwie są płaszczyzny, na których pragnę uchwycić istotę *homo sovieticusa*. Pierwsza z nich wiąże się ze sprawą posiadania, druga natomiast związana jest z podziałami wewnątrzspołecznymi, o których wspomniałem wcześniej. *Homo sovieticus* z natury nie jest w stanie samodzielnie myśleć, przeto sądy swoje artykułuje w oparciu o autorytet. Określając w ten sposób swój status – gotów jest z tej pozycji gromić wrogów swojego autorytetu. Inną jest sprawą, czy *sovieticus* rzeczywiście prowadzi swoją krucjatę w obronie wartości reprezentowanych przez autorytet, czy jedynie wkłada on swój sentyment w usta autorytetu. Zajmę się tym w dalszej części tekstu; tymczasem powracam do zagadnień usytuowanych na pierwszej płaszczyźnie.

Komunizm był totalną negacją własności prywatnej, obarczał ją w dodatku winą za wszelkie społeczne zło. Na początek anegdota, opowiedziana słowami Józefa Tischnera. „Przed kilkanaście dniami postawiono mi w Nowym Targu trudne pytanie: czy na Podhalu był *homo sovieticus*? W odpowiedzi przypomniałem następujące wydarzenie. W jednej ze wsi podhalańskich miała się odbyć wizytacja biskupia. A działo się to w końcowym okresie gomułkowszczyzny. Mieszkańcy wsi przygotowali banderę konną. Wyjazd banderii konnej na drogę publiczną wymagał specjalnego zezwolenia, którego władze – oczywiście – nie udzieliły. Górale mimo to pojechali. Jednego z nich zatrzymuje młody milicjant i groźnie pyta: «Gdzie???». Zatrzymany robi zdumioną minę i mówi: «Co ci chłopce do tego? Koń mój, dusa moja, jade ka kcem».

Myślę, że *homo sovieticus* mógł zagnieździć się jedynie tam, gdzie człowiek nie miał ani «swojego konia», ani «swojej duszy». Gdzie koń był własnością pegeeru, a dusza była «wysoko zorganizowaną materią», albo – co gorsza – «świadomością określoną przez byt» (NDW,27). Szczególnie daje do myślenia problem duszy *sovieticusa*; jako taki, nie mógł on jej posiadać, albowiem jest to sprzeczne z dorobkiem klasyków marksizmu. Przeto eufemizmy, które podaje Tischner, w karykaturalny sposób redukują duszę już to do „materii”, już to do „bytu”. W gruncie rzeczy nieistotne do czego, ponieważ dusza *sovieticusa*, pojmowana materialistycznie jako „coś z tego świata”, wmontowana zostaje w totalitarny system władzy, jako element określany przez prawa, będące instrumentem nadzoru systemu nad człowiekiem. Stąd wysunięte do przodu znaczenie bytu; jego prymat określa to, co jest „świadomością” *homo sovieticusa*. Staje się on przeto niewolnikiem materialnego charakteru swojej obecności na świecie. Jednoznacznie artykułuje tę prawdę Tischner: „Sprzedać wolność za chleb – to być sobą” (HS,166). Tak jak w *Legendzie o Wielkim Inkwizytorze* Fiodora Dostojewskiego, gdzie człowiek okupywał swoją wolnością perspektywę spokojnego, bezpiecznego, ale i *bezmyślnego* życia, poprzez złożenie całości odpowiedzialności na ręce władzy; gdzie to właśnie władza była sumieniem i autorytetem w ostateczny sposób sankcjonującym porządek świata. Píše Dostojewski w *Legendzie...*: „Powiadam Ci, zaiste najbardziej dręczącą troską człowieka jest to: znaleźć kogoś, komu można by jak najprędzej oddać dar wolności, z którym ta nieszczęsna istota się rodzi. Nad wolnością ludzi zaś zapanuje ten, kto uspokoi ich sumienie. Chleb był wielkim, niewątpliwym sztandarem; dasz chleb i człowiek się pokłoni, albowiem nie ma nic bardziej niewątpliwego, niż chleb; jeżeli jednak kto inny opanuje jednocześnie sumienie człowieka, człowiek porzuci nawet Twój chleb, żeby iść za tym, kto znęci jego sumienie” (BK,287). Na dobrą sprawę, jest to ekstrakt z „duszy” *sovieticusa* – chleb i spokojne sumienie; temu ostatniemu poświęcę dalsze partie tekstu, teraz jeszcze o chlebie.

Homo sovieticus to „klient komunizmu” – powiada Tischner. Jego zniewolenie, które odsłania się na poziomie myślenia, przybiera – może nawet przede wszystkim – postać uzależnienia; wskazuje Tischner na pracę, władzę i godność, jako trzy szczególne wartości, wiążące *sovieticusa* mocą potrzeb, które dzięki powyższym wartościom mógł on zaspokajać. Funkcjonując w przestrzeni tradycji rozciągającej się od Wawelu po Jasną Górę, starał się *homo sovieticus* zadość czynić swoim potrzebom najpierw w komunizmie, a gdy ten nie był w stanie sprostać jego wymaganiom – wziął on udział w buncie. W jakimś sensie przyczynił się więc do obalenia komunizmu, atoli – przyczyniając się do tego, iż komunistów zastąpili „kapitaliści” – stworzył *sovieticus* paradoks. Oto bowiem teraz od nich domaga się on tego, czego wcześniej domagał się od komunistów. Wyzwolony z jednego poddaństwa, szuka teraz sobie innego pana, któremu mógłby oddać swoją niepodległość w zamian za chleb. Jest to w gruncie rzeczy heglowska potrzeba „uznania”, bez którego *homo sovieticus* nie potrafi egzystować. Spójrzmy najpierw jak przebiega owo uznanie przez pracę.

Homo sovieticus pracując w zakładzie gospodarki uspołecznionej, w naturalny sposób podlegał swoim pracodawcom. Nie chodzi tutaj o zwykłą hierarchię zawodową; pisze Tischner, iż „praca w komunizmie była nie tylko źródłem utrzymania, ale również podstawą przekonania, że światem rządzi jakaś rozumna siła, która troszczy się o los

pracującego człowieka. Praca była wyrazem planu, a plan był wcieleniem racjonalności dziejów. Czym w religii jest Opatrzność, tym w komunizmie jest plan”(HS,126). W ten sposób – wmontowany w system – czuł się człowiek sowiecki częścią tego rozumnego logosu, który organizował całą rzeczywistość. Ograniczał on wprowadzenie jego wolności, ale nadawał sens istnienia. Lecz w pewnym momencie ta rozumność się załamała, a „klient komunizmu”, wypchnięty ze swojego świata, poczuł się zagubiony. „Jeszcze wczoraj był «uspołeczniony», a dziś jest «niczyj»”.

Kolejne uzależnienie, na które wskazuje autor *Etyki solidarności* – to władza. Wiąże ją filozof z pojęciem socjalizmu. Według niego, znaczenie tego pojęcia ewoluowało do tego stopnia, że w końcu stało się ono nieczytelne. Wszelako dawało poczucie bliskości władzy – „bo tylko ten, kto ma władzę, czuje że naprawdę jest”. Władza legitymizowała i to jest jej znamieny rys, o który klient komunizmu tak zabiegał. Jego status domagał się potwierdzenia (owego uznania o którym pisał Hegel), a tego udzielić mu mogła właśnie władza. Dzisiaj, gdy socjalizm stał się „błędym kołem”, zniknęła także instancja legitymizująca. Uzależniony od legitymizacji *homo sovieticus* stracił uprawomocniającą go instancję.

I jeszcze poczucie godności. Przypomina Tischner o pewnej rubryce obecnej w kierowanych do władzy kwestionariuszach; rubryce, do której wpisywano pochodzenie społeczne. Uprzywilejowane było – oczywiście – pochodzenie „z ludu”, które ideologia podniosła do rangi podstawowej; wiadomo: „instynkt klasy robotniczej jest nieomylny”. Z drugiej strony – godność odsłaniała się poprzez oczyszczające z win cierpienie – „nie ma już grzechu, są tylko głodni”. I oto okazuje się, że lud nie jest ani nieomylny, ani bezgrzeszny. „Cierpiący też ponoszą odpowiedzialność i mogą być poddawani krytyce. W końcu nie można traktować ich jak dzieci. Dla niektórych wygląda to jak poniżenie godności, naprawdę jednak oznacza to jej przywrócenie”(HS,128).

Zestawiając ze sobą te trzy wartości, które uzależniają od siebie *homo sovieticus*: pracę, władzę i godność – widać jedno: przegląda się w nich człowiek, którego świadomość naznaczona jest przez byt. Albowiem nawet poczucie godności bierze się nie z transcendentnych wartości, lecz z wartości miejsca, które zajmuje człowiek na ziemi. Sprawa wiąże się z pojęciem wartości prywatnej; pamiętamy: „sprzedać wolność za chleb – to być sobą”. I tutaj tkwi problem człowieka sowieckiego. Uczony, że posiadanie jest złem, musiał poradzić sobie z pokusą posiadania własności prywatnej. Dlatego trzeba było tak posiadać, jakby się nie posiadało. Znaczyło to jedno: trzeba posiadać w sposób nieposiadający – a takie nieposiadające posiadanie jest niczym innym jak używaniem. „W końcu ten, kto posiada, nie posiada, bo przecież tylko używa, ale jednak posiada, bo zaspokaja potrzeby, a czyż nie o to chodzi istocie, która wierzy, że jest wielkim zestawem potrzeb?”(HS,166). *Homo sovieticus* jest „mistrzem używania”, jego dusza jest „z natury materialistyczna”.

Napisałem wcześniej, iż człowiek sowiecki, ów klient komunizmu, także miał swój udział w przeobrażeniach ustrojowych. Wydawać mogłoby się to dziwne; jak bowiem ktoś z natury sowiecki, mógł przyłożyć rękę do obalenia systemu sowieckiego? Otóż – powiedzieć należy – *homo sovieticus* wcale nie musiał być sowietą, wcale nie musiał należeć do partii, czy wręcz – być gorącym zwolennikiem systemu. Przeciwnie – często bywał *sovieticus* w opozycji, mógł nawet czynnie zwalczać system, w którym egzysto-

wał. I robił to, kiedy ten system nie zaspokajał jego potrzeb. Pisze Tischner: „*Homo sovieticus* to nie to samo co komunista. Komuniści – mimo iluzji, jakich padali ofiarą – umieli być jednak wolni, podczas gdy *homo sovieticus* wolnym być nie umie”(NDW,35). Człowiek sowiecki wykracza daleko poza granicę obozu sowieckiego, jego tożsamość nie pokrywa się z żadną ideologią. Wprawdzie – ideologia kształtuje jego myślenie, ale znaczy to tyle, iż myślenie takie – ukształtowane przez komunizm – funkcjonować będzie na tych samych zasadach także poza systemem. I to jest rys, któremu poświęca swoje analizy Józef Tischner. Aleksander Zinowiew przedstawia *homo sovieticus* („homososa”) w stanie czystym, niby Maxa Webera – „typ idealny”. Tischner tymczasem bada go, patrząc na niego przez pryzmat transformacji ustrojowej. Komunizm upadł – *homo sovieticus* pozostał. Dla Tischnera istotny jest problem, w jaki sposób typ myślenia, wyprodukowany przez system, radzi sobie w obcym środowisku, poza systemem.

Nawiasem mówiąc, jedna uwaga: myślenie rozumiem tutaj bardzo szeroko, włączając weń także specyficzną mentalność, sposób zachowania, oraz to, co nazwać można *niemyśleniem*, a które jest tak charakterystyczne dla *sovieticus*: niemyślenie, które mam tutaj na myśli to takie myślenie, które przybiera postać wyuczonych odruchów myślowych. U Zinowiewa jest przykład dyrektora dużej fabryki, który mając do wyboru: wypromować nowy wynalazek, co wiąże się z ryzykiem utraty stanowiska, albo „ukręcić łeb sprawie” i spokojnie żyć po staremu, bez wahania wybierze to drugie. Słowo „wybór” zaznaczyłem, albowiem wybór jako taki jest tutaj iluzją; dyrektor wcielił w życie daną opcję nie w wyniku świadomej podjętej decyzji, ale realizuje wdrukowane w swoje myślenie schematy.

Człowiek sowiecki często posługuje się wyuczonymi odruchami myślowymi; instynktownie orientuje się na autorytet, z którego czerpie on swoje sądy. Autorytet bowiem jest ośrodkiem decyzyjnym *sovieticus*, jest jego mózgiem. Wprzęgnięty w krwioobieg systemu – niczym pasożyt czerpie prawdę i rację swojego istnienia z prawd leżących u podstaw systemu.

Oto druga płaszczyzna, na której zamierzam uchwycić *homo sovieticus*. Wiaże się to ze sprawą jego sumienia. Tischner dlatego się zajął człowiekiem sowieckim, ponieważ wytropił jego obecność w Kościele; *homo sovieticus* zakotwiczył swoje myślenie w magisterium Kościoła, co pozwala mu patrzeć na świat przez pryzmat prawd, które uważa on za kościelne. Mechanizm jest następujący. *Homo sovieticus* funkcjonuje w systemie komunistycznym. System ten ukształtował jego mentalność i myślenie, ale *homo sovieticus* o tym nie wie. Jeżeli czegoś domaga się od systemu, to tylko będąc przekonany o słuszności własnych żądań. Gdy system nie zaspokaja potrzeb, buntuje się on przeciwko systemowi i przyłącza do tych, którzy go zmieniają. *Homo sovieticus* jest tedy rewolucjonistą. Przykłada rękę do zmiany ustroju. Jest on jednak rewolucjonistą na sposób, o którym pisał Tischner jako o prostym zastępowaniu jednej instancji zarządzającej – drugą. Jego rewolucyjność nie może mieć charakteru duchowego, albowiem „homosos” jest istotą bez-duszną. Nie posiada on duszy. Rewolucja – tak jak on ją rozumie – nie polega na postępie, lecz na zmianie. Dlatego, gdy już ta zmiana się dokona – nadal myśli on w starych kategoriach, wysuwa on wciąż te same roszczenia. Od „kapitalistów” domaga się opieki socjalnej – wynosząc ze starego systemu przekona-

nie, iż słusznie należą mu się pewne od państwa przywileje. Ale to tylko przykład myślenia *sovietica* na poziomie własnych potrzeb; jest to myślenie „na poziomie chleba”. Lecz odsłania się ono także i „na poziomie sumienia”. Pamiętamy u Dostojewskiego: człowiek oddając panu w depozyt swoje sumienie, staje się jego najwdzięczniejszym niewolnikiem. I gotów jest na wszystko. Podobnie *homo sovieticus* składa swoje sumienie pod opiekę Kościoła i jest gotów za wszelką cenę bronić Kościoła przed jego wrogami. Kościół wprowadzony zostaje na arenę polityczną.

Problem Kościoła jako instrumentu gry politycznej poruszył Jarosław Gowin w swojej znakomitej książce *Kościół w czasach wolności 1989-1999*. Przestrzega on w niej przed wprzęgnięciem Kościoła w świat politycznych zawirowań, łatwo bowiem wtedy zapomnieć o rzeczywistej roli Kościoła, który jest przede wszystkim „znakiem miłości i zbawienia”. *Sovieticus* zapomina o tym; jego wiara wiąże się wszystkim z ideologiczną identyfikacją, za którą kryje się brak tolerancji. Być sobą – to utożsamiać się nie tylko z danymi poglądami, lecz także zwalczać poglądy inne niż swoje. Oto w jaki sposób znajduje swój wyraz wiara *sovietica*: „Motywem przewodnim wiary, która szukała politycznego wyrazu, było przeświadczenie: «nie jesteśmy jako oni». Nie jesteśmy jako «Owsiaki», «Kuronie», «Michniki», «Żydy», «masoni», «liberałowie», itp. itd. Jesteśmy lepsi. Wiara nasza jest «lepszą wiarą», ma moralne prawo do posiadania władzy politycznej w kraju. Największym zagrożeniem «lepszego wiary» jest obecność dobra poza obrębem jej świata. Wiara ta nie jest, wbrew pozorom, skłócona ze «złem tego świata», lecz z dobrem, które nie jest jej dobrem” (KSW,289). Znamienisty rys takiej wiary i takiego myślenia odsłania tutaj Tischner; wyrazić go można znaną formułą: „poza Kościołem nie ma zbawienia”. A problemem – jak się okazuje – jest nie zło leżące na zewnątrz Kościoła, lecz leżące tam Dobro. Przytoczona przed chwilą formuła w zasadzie kwestionuje możliwość pluralistycznej obecności wielu obok siebie wyznań. „Jedyną słuszną” jest prawda Kościoła i kropka. Blisko stąd do postawy integrystycznej, wyrażającej ogół zwartych, hermetycznych prawd, zamkniętych na dialog. Coraz bardziej popularny w Polsce schizmatyk, abp Marcel Lefébvre jest przykładem takiej postawy; przeciwnik Soboru Watykańskiego II, „herezją” nazywa możliwość zbawienia poza Kościołem.

Współczesny *homo sovieticus* – nawet nie znając abpa Lefébvre’a – często podziela jego poglądy nie tylko na temat zbawienia. Istotnym rysem postawy integrystycznej jest dzielenie świata na pół: na „nas” – tych dobrych; oraz na „nich” – czyli tych złych. Prosty to model, ale skuteczny w określaniu i identyfikowaniu przeciwnika; „kto nie jest z nami...” – wiadomo: jest zły. Oto jak charakteryzuje integrystę Józef Tischner: „Integrystą jest ten, kto – myśląc o wierze – nie jest w stanie wyzwolić się od modelu władzy i poddania; integrystą jest ten, kto nie jest zdolny do dialogu; integrystą jest ten, kto sakralizuje państwo i upaństwowia religię; integrystą jest ten, kto nie widzi etycznego wymiaru religii; integrystą jest ten, dla kogo godność człowieka opiera się na wyznawanej przez człowieka «prawdzie». Co jeszcze? Najlepiej poznać integrystę po jego wrogach: powiedz mi, kto jest twoim wrogiem, a ja ci powiem, kim jesteś. Integrystą jest ten, kto od krytyki liberalizmu przechodzi natychmiast do ataku na wolność. Dla integrysty nie ma większego skandalu niż wolny człowiek – ten, kto ma władzę nad każdą władzą i kto rozbija obręcz z niewolonego lękiem myślenia” (KSW,188). Integry-

sta zatem to ktoś, kto myśli mono-logicznie, ktoś, kto jest wprawdzie gotów umrzeć na stosie za swoje poglądy, ale zarazem jest w stanie podpalić stos pod każdym, kto wyznaje inne niż on sam wartości.

W jaki sposób odnajduje się *homo sovieticus* w Kościele? Najpierw przyznać trzeba, iż wytropienie go w łonie Kościoła przez Tischnera wywołało małą burzę; nie wszystkim odpowiadał wynik analiz filozofa, co więcej – nikt nie przyznałby się, że *może* chodzić także o niego. Tymczasem *homo sovieticus* – gdy upadł komunizm – możliwe nawet, iż był przekonany, że oto w naturalny sposób komitety wojewódzkie zostaną *zastąpione* przez rady parafialne (pamiętamy jak rozumie *sovieticus* rewolucję – jako *zastępowanie*, a nie jako *postęp*). I doznał przykrego zawodu. Oto co mówi na ten temat Adam Michnik: „Zawsze wiedziałem, że istnieje niebezpieczeństwo rozłamania się „Solidarności” według klucza – katolicy-reszta świata, ale wierzyłem, że nawet jeżeli część moich kolegów z OKP będzie miała takie pomysły, to Kościół ich nie poprze, bo jest wolny od resentymentów. Byłem dość naiwny, sądząc, że wielka instytucja, która ma za sobą pół wieku zmagania się z totalitaryzmem, będzie niewrażliwa na pokusę sięgnięcia po wizję władzy ideologicznej. I nie przypuszczałem, że w samym Kościele, który czterdzieści lat opierał się komunizmowi, tak silny będzie syndrom *homo sovieticus*” (MPAP,618). Siegam teraz do Teresy Boguckiej, która problem tak oto przedstawia: „Oczywistym reprezentantem robotników, dziedzicem ich tradycji, ich buntów, jest druga „Solidarność”. Mało przypomina pierwszą. Nie znajduje radości w szerokiej wspólnocie, lubi dzielić i piętnować, nie kultywuje braku przemocy, zamiast tego lubi stosować teatralne oznaki ledwo powstrzymywanej, gniewnej determinacji i siły, postawy godnościowe zastępuje ludowym wulgaryzmem. Pierwsza „Solidarność” zrealizowała literacki, inteligencki mit ludu, jego solidarności i ofiarności. Druga, wobec gospodarczego trzęsienia ziemi, musiała zająć się prozą, nie chciała zarazem zrezygnować z funkcji przewodniej. Początkowo kłębiły się w niej emocje: poczucie siły z obalenia ustroju, zawodu z trudności, pretensji o wszystko. A stąd rodziły się radykalne pomysły: zdjąć dyrektora, pogonić obcego inwestora, zablokować zmiany, wystrajkować pożyczkę – i nade wszystko pokazać politykom, gdzie ich miejsce” (PK,10). Oto dwa przykłady odsłaniające problem, na który natrafia myślenie, przed którym ustawiono zadanie odnalezienia się w nowych czasach. Michnik *explicite* artykułuje obecność sowieckiego myślenia w Kościele; wszelako to, o czym mówi Teresa Bogucka, również odsłania ten syndrom – oto znowu brak rozumienia, znowu zastępowanie, a nie postęp.

Rzeczywiście – pokusa władzy jest przemożna, zwłaszcza kiedy istnieje realna szansa na jej przejęcie. A w sytuacji, w której Kościół w tak znaczący sposób przyczynił się do wywalczenia demokracji, niektórym wydawało się oczywiste, iż teraz właśnie Kościół będzie rządził; stąd tendencje – widoczne zwłaszcza na początku lat 90-tych, do przekształcenia Polski w państwo wyznaniowe. Jerzy Szacki mówi o „teleokracji”, czyli o władzy, która bezwzględnie porządkuje rzeczywistość w imię założonego celu. Widzi on w Kościele pierwiastki takiej teleokracji – w posttotalitarnej epoce pojawia się zagrożenie neototalitaryzmem; recepcja totalitaryzmu konstruuje się na bazie myślenia uprzednio zwalczającego totalitaryzm.

Jest taki fragment u Zinowiewa, który traktuje o klęczeniu przed władzą; znakomicie ilustruje on sposób, w jaki władza totalitarna, zarządzająca wolnością człowieka,

daje mu pozór wolności. Oto ten fragment: „Obserwując nasz sposób postępowania, ludzie Zachodu oceniają go w świetle swoich pojęć i wyobrażeń. Są np. przekonani, że naród radziecki klęczy przed władzą. Ale o naszym zachowaniu można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że klęczymy przed władzą. Klęczeć można przed popami, carami, panami. Przy czym można to robić tak, że zdawać by się mogło, iż żadnego klęczenia nie ma. Natomiast klęczenie przed naszą władzą jest niemożliwe, nawet gdybyśmy tego bardzo chcieli, bowiem tą władzą jesteśmy my sami. Komunizm wyzwala ludzi od klęczenia – na tym polega psychologiczna istota sprawy. Gdybyśmy nawet zapragnęli ukłęknać przed władzą, to nie pozwoliłaby nam tego uczynić. Tak by nam dała po łbie, że przestalibyśmy nawet marzyć o takiej wolności, jak klęczenie. W komunizmie klęczenie jest zabronione! W komunizmie człowiek ma stać na baczność, tzn. pięty razem, stopy rozwarłe, ręce wzdłuż tułowia, oczy maksymalnie wytrzeszczone i kornie wlepione w rządzących!” (HOM,25). Jest to wypowiedź z wnętrza epoki totalitarnej; chciałbym zestawić ją z krótką wypowiedzią Adama Michnika, który jest przecież intelektualistą współczesnej – posttotalitarnej epoki, mówi on: „*Homo sovieticus* będzie z uporem trwał w swojej totalitarnej logice. Będzie myślał na baczność, mówił na baczność, pisał na baczność” (MPAP,592). Obie wypowiedzi – jedna po drugiej – pokazują *sovieticusa* jako owoc pewnej tresury; sterująca nim „totalitarna logika” to wynik wieloletniego programowania mózgu, który funkcjonuje – wyłącznie – w postawie „na baczność”, zakaz wolności do klęczenia obecny jest na zasadzie *inprintu*, obecny jest w *matrix* natury (bo przecież nie duszy) *sovieticusa*. Tylko wtedy jest „wolny”, kiedy przeży się przed autorytetem i mu raportuje.

I kiedy usytuuje się *homo sovieticus* w łonie Kościoła, funkcjonować będzie na tych samych, totalitarnych zasadach myślenia. Tropił on będzie bezwzględnie wrogów Kościoła, albowiem jego myślenie zaprogramowane zostało w trybie wojskowym, w postawie „na baczność”; jest to myślenie – mówiłem już o tym – w kategoriach walki, a ta natychmiast przekształca się w myślenie odwetem. Oto jeszcze jeden fragment rozmowy Adama Michnika z Józefem Tischnerem: „A.M.: Ale *sovieticusa* w Kościele nie przewidywałem. J.T.: A on ma tu doskonale legowisko. Bo popatrz – *sovieticus* ma najgłębsze przekonanie, że drugi jest świnią. Ono nie bierze się z oglądu drugiego człowieka, ale legitymizuje się odwołaniem do autorytetu, a konkretnie przekonaniem, że taka jest prawda Kościoła.

Homo sovieticus z natury nie posiada własnego zdania. Więc swój własny sentyment wkłada w usta Kościoła, który niby jest „takiego zdania”. Świecki w usta proboszcza, proboszcz w usta biskupa, biskup w usta papieża. To „zdanie” jest rodzajem aktu wiary. Dlatego tak trudno je naruszyć. Zwykłą argumentacją tego zdania nie rozbijesz, bo słowami nie rozbije się aktu wiary” (MPAP,621). Oto dlaczego tak trudno jest naruszyć integralność *homo sovieticusa*. Tożsamość swoją buduje on w oparciu o to, co na zewnątrz, tak więc żeby naruszyć koherencję przekonań *sovieticusa*, trzeba dobrać się do uznawanego przez niego autorytetu. Wszelako nie jest to takie proste, albowiem rzecz polega na tym, iż tak naprawdę to nie autorytet jest tutaj tą ostateczną instancją rozstrzygającą wszelkie dylematy, lecz *sovieticusa* wyobrażenie o autorytecie. Wszak – powiedział to powyżej Tischner – *sovieticus* wkłada swój sentyment w usta Kościoła. Żyje więc człowiek sowiecki w stanie permanentnej iluzji. Polega to na tym, że – na

przykład – parafianin słucha kazania, a potem po swojemu ustawia sobie w głowie słowa proboszcza, przeinacza je i reinterpretuje, będąc szczerze przekonany, że wspólnie z proboszczem wyznają te same poglądy. A potem widzi wszędzie masonów, wyrzuca za drzwi świadków Jehowy i jest święcie przekonany, że proboszcz pochwaliłby jego postępowanie. A tymczasem proboszcz wcale nie musi mieć w sobie *sovieticus*; może go mieć tylko ów nieszczęsny parafianin.

Z drugiej strony – absolutyzowanie autorytetu – pociąga za sobą zabsolutyzowanie jego wrogów; tym można wytłumaczyć nieustępliwość, z jaką *sovieticus* rozprawia się z nimi, dekomunizuje, lustruje, demaskuje... Oto odwołanie do świata polityki: „Partie nacierające nie używają formy agresywnej jedynie taktycznie, one w swe wizje Polski głęboko wierzą. Poseł Niesiołowski (tekst pisany był do Gazety Wyborczej w roku 1992, gdy Niesiołowski był jeszcze posłem – przyp. J.Z.), człowiek wykształcony i kulturalny naprawdę jest przekonany, że sprzeciwić się zakazowi aborcji mogą jedynie bezbożni komuniści i oni to gromadzą jakąś swoją hołotę przed Sejmem” (PK,57). „Nie jesteśmy jako te Owsiaki, Michniki, Żydy...” – identyfikacja przeciwnika przebiega – jak widać – bez problemów.

Jak już powiedziałem, *sovieticus* nie potrafi istnieć w sposób wolny, on musi komuś wręczyć swoją wolność. Jest to w jakimś sensie upośledzenie – takie uciekanie z jednej niewoli w drugą. Fromm pisał, iż człowiek ucieka od wolności, albowiem nie potrafi udźwignąć jej ciężaru. Dla *sovieticus* związana z wolnością odpowiedzialność także jest ponad miarę jego sił; ukształtowany on bowiem został przez system, który nie wyposażał człowieka w strategie pozwalające zarządzać mu własną wolnością. Tischner pisał, iż *sovieticus* wolnym być nie umie. Stąd bezwzględna potrzeba identyfikacji, potrzeba wpisania się w strumień prawdy płynącej z cudzych ust. *Sovieticus* służąc swojemu panu, w ten sposób usprawiedliwia własną niemoc. Sam przed sobą nie przyzna się do tego że potrzebny jest mu ktoś, kto będzie nim rządził; raczej powie on, iż dobrowolnie wstępuje na służbę, ponieważ zgadza się z poglądami głoszonymi przez swojego pana. Pozwala to zachować mu dobre samopoczucie, które wszelako zbudowane jest na iluzji. Gdy panem, do którego zgłasza się *sovieticus* na służbę jest Kościół, to – pamiętamy słowa Tischnera – wkłada on swój sentyment w usta Kościoła, i głosi później, że „taka jest jego prawda”, a on jedynie walczy o uznanie tej prawdy w świecie. W ten sposób tworzy zniewolony człowiek fałszywe wartości, które nie mają nic wspólnego z Kościołem, a jedynie usprawiedliwiają słabość człowieka

Tego typu iluzja posiada swoją nazwę. Tworzenie fałszywych wartości gwoili legitymizowania własnych słabości – nosi nazwę resentymentu. Nietzsche, który ponad sto lat temu wytropił resentyment na gruncie chrześcijaństwa, nazywa go „moralnością niewolników”. Jest to takie odwrócenie wartości, w którym słaby – nie mogąc inaczej pokonać silnego – mści się na nim przez stworzenie tego rodzaju hierarchii wartości, w której silny zostanie uznany za „złego”, chrześcijanin zaś cierpienia na ziemi powetuje sobie nagrodą po śmierci. „Ostatni będą pierwszymi”. „Ci słabi chcą bowiem by kiedyś i oni byli silni, to niewątpliwe; kiedyś ma nadejść i ich «królestwo» – «królestwem bożem» zwa to po prostu” (GEN,46). Oto bajka o lisie, który miał apetyt na słodkie winogrona. Ale winogrona rosną wysoko, a lis jest mały i nie może ich dosięgnąć. Ratuje więc lis swoje dobre samopoczucie wmawiając sobie, że winogrona są kwaśne i każdy

kto je spróbuje, musi być z konieczności głupi albo zły. I tak, kruk, który bez problemu sięga winogron, uznawany jest przez lisa za frajera, który nie wie, co jest dobre.

Inaczej można zilustrować resentyment poprzez wskazanie na tzw. „moralność starej panny” – jest brzydka i głupia i nikt jej nie chce. Wmawia więc sobie, że ona sama jest w porządku, natomiast chłopcy, którzy wolą inne dziewczęta, są źli, zepsuci i bez gustu, bo przecież gdyby mieli gust, to zainteresowaliby się nią. W konsekwencji obnosi ona w towarzystwie opinię, iż to ona specjalnie unika chłopców za ich niemoralne prowadzenie się; sama jest przecież cnotliwa i nie będzie się z nimi zadawała.

Oczywiście, gdyby jakiś chłopiec się nią zainteresował, rozumowanie takie wzięłoby w łeb; podobnie lis, gdyby podskoczył dostatecznie wysoko, z przyjemnością skosztowałby winogron – ale to tylko odsłania iluzoryczny charakter tworzonych przez resentyment wartości; odsłania świadomość zniewoloną iluzorycznym charakterem tych wartości. Iluzja ta ma jednak wielką moc twórczą, co widać choćby na przykładzie *homo sovieticus* – ale oto oddaję głos Nietzschemu: „Bunt niewolników na polu moralności, zaczyna się tem, że *ressentiment* samo się staje twórczem i płodzi wartości: *ressentiment* takich istot, którym właściwa reakcja, reakcja czynu, jest wzbroniona i które wynagradzają ją sobie tylko zemstą w imaginacji. Gdy wszelka dostojna moralność wyrasta z tryumfującego potwierdzenia siebie samej, moralność niewolnicza mówi z góry «nie» wszystkiemu, co «poza nią», co «inne», co nie jest «nią samą»: i to «nie» jest jej twórczem czynem. To odwrócenie ustanawiającego wartości spojrzenia – ten konieczny, kierunek na zewnątrz miast wstecz ku samemu sobie – jest właściwe uczuciu *ressentiment*; moralność niewolników, by powstać potrzebuje najpierw zawsze świata przeciwnego i zewnętrznego, potrzebuje, fizyologicznie mówiąc zewnętrznych podnieć, by w ogóle działać, – jej akcja jest z gruntu reakcją” (GEN,30-31). Zbuntowany niewolnik przewraca wartości – słodkie winogrona stają się kwaśne, chłopiec który nie chce brzydkich i głupich dziewcząt sam jest zły i głupi; ci, którzy nie uznają jego poglądów, uznają poglądy z gruntu niewłaściwe. Wspominając wcześniej o wierze politycznie się wyrażającej, w gruncie rzeczy pisałem o resentymentcie w łonie Kościoła. Dobro na zewnątrz Kościoła nie jest Dobrem właśnie dlatego, że jest ono na zewnątrz Kościoła. Obcy autorytet jest zły właśnie dlatego, że jest na przykład: laicki. Wiadomo: poza Kościołem nie ma zbawienia. Ironiczna uwaga Józefa Tischnera: „Mali ludzie wzięli w dzierżawę moralność i za jej pomocą pryskają błotkiem na tych, którzy udowodnili, że winogrona nie były kwaśne. Stara to prawda: nawet najmniejszy gest wolności jest wielką obrazą tych, którzy grzali ciała w cieplej niewoli. Dziś oglądamy owoce wczorajszej obrazę” (NDW,25). Wewnętrzne zniewolenie odsłaniające się w zresentymentalizowanej postaci wykazuje nieustępliwą nietolerancję w stosunku do wszelkiego dobra, które obecne jest na zewnątrz Kościoła. Jest to myślenie, które nie bacząc na brak wewnętrznej spójności, formułuje sądy typu: „porządny człowiek, ale tak naprawdę świnia”, „dobry człowiek, ale nie chodzi do kościoła”, „zrobił dużo dobrego dla nas, ale niekatolik”. I sprawa jest jasna. My, lisy, nie mamy zrozumienia dla niekatolików. Wszak żywią się oni kwaśnymi winogronami, nie wiedzą co jest dobre, błędzą, żyją w nieprawdzie. Tylko my wiemy, co jest słodkie. Znamy prawdę i wiemy, że jedynie wiara katolicka prowadzi do zbawienia. Każdy, kto jest na zewnątrz – grzeszy. Jeżeli ktoś odchodzi od Kościoła, bądź w ogóle znajduje się poza jego obrębem, to albo trzeba go

na gwałt nawracać, albo napiętnować jako niewierzącego, albo „wierzącego inaczej”. Zresztą, czy ja wiem? Po prostu coś jest nie tak z człowiekiem, który funkcjonuje poza wiarą katolicką. I z tego powodu jest podejrzany. Niełatwo bowiem uznać jest istnienie Dobra poza Kościołem, niełatwo uznać jest wartość człowieka o innej tożsamości religijnej, czy wręcz – ateisty.

Nie chcę być źle zrozumiany – nie idzie mi o aplogię konkurencyjności wobec siebie różnych doktryn religijnych; zgadzam się jednak z Tischnerem, że są religie lepsze i gorsze. Religie pragnień i religie potrzeb; religie łaski i dialogu, i religie fatum. Chrześcijaństwo jest religią bezinteresownego pragnienia, łaski i dialogu; przeto jest religią *lepszą* od religii potrzeb i fatum. Tutaj wszelako idzie mi o całkiem zwyczajną rzecz – o prawo uznania Dobra poza religią chrześcijańską, która nie może rościć sobie pretensji do monopolu na Dobro. Formuła „poza Kościołem nie ma zbawienia” w istocie prowadzi do zawłaszczenia Dobra na rzecz Kościoła.

Jeszcze raz pragnę wrócić do książki, z której cytowałem już wypowiedzi Adama Michnika i Józefa Tischnera. Oto rozdział pt. „Pan Bóg laika”. Wypowiada się w nim Michnik na temat własnego stosunku do wiary. „Mogę wszystko zmienić w moim życiu, mogę zweryfikować każdą opinię polityczną, ale swojego stosunku do Ewangelii już nie zmienię. Wszystko inne mogę dyskutować. Z jednym zastrzeżeniem.

Należę do tej kategorii czytelników Ewangelii, dla których kluczowym zdarzeniem nie jest ani Boże Narodzenie, ani Zmartwychwstanie, tylko Krzyż. Wielki Piątek to jest dla mnie najważniejsza data chrześcijaństwa. Mam natomiast trudności z uwierzeniem w Zmartwychwstanie. Nie mówię «nie», ale trudno jest mi powiedzieć «tak». To jest właśnie moja chmura niewiedzy. Natomiast kluczem jest Krzyż” (MPAP,365). Co ma zrobić *homo sovieticus* obecny w łonie Kościoła z kimś takim, jak Adam Michnik? Z człowiekiem inteligentnym, który szuka wiary, może nawet błądzi, ale jest świadomy swojej „chmury niewiedzy”, swoich braków? Jeżeli zbawia tylko Kościół, to jest oczywiste, że heretyk Michnik nie pójdzie do nieba, dopóki nie uwierzy w Zmartwychwstanie. A propos tej wypowiedzi, pyta Jacek Żakowski Józefa Tischnera: „Czy to jest człowiek wierzący, proszę Księdza?” Zanim przytoczę odpowiedź Tischnera, sięgam po cytaty z innej jego książki, w której ustosunkowuje się on do wielokrotnie tutaj przytaczanej formuły: „czy poza Kościołem istnieje zbawienie?” „Jedna rzecz jest bezsporna. Bóg ma powszechną wolę zbawienia, chce przygarnąć do siebie wszystkich. Jakimi środkami się w tym celu posługuje, tego już nie wiemy. Na poziomie administracyjnym wszystko jest proste: trzeba uczestniczyć w życiu parafii, przystępować do sakramentów, posyłać dzieci na katechezę, przyjmować księdza po kolędzie. Wtedy ma się na zbawienie duże szanse.

Ale teologowie próbują przemyśleć sprawę głębiej. Mówiąc, że zbawienie dokonuje się poprzez Chrystusa, doktryna teologiczna głosi, iż Syn nabył ludzkość na własność przez swoją śmierć na Krzyżu. Kategoria zbawienia nie jest jednak w Kościele dostatecznie wypracowana. Rolę decydującą odgrywa ciągle dziecięca wyobraźnia – wyobrażenie człowieka w niebie” (PPB,39-40). Wskazuje Tischner więc na niejasności w kwestii zbawienia. Jest to tajemnica, której nie zgłębi teologia, miejscowy proboszcz, ani tym bardziej *homo sovieticus*. Może więc ten ostatni zanim osądzi Michnika, odda sprawę jego zbawienia Panu Bogu, miast już tutaj na ziemi go osądzać (a właściwie

od-sądzać od wiary)? Oto obiecana, genialnie prosta odpowiedź Tischnera na pytanie Jacka Żakowskiego: „O wierze albo niewierze nie może stanowić ktoś drugi. Każdy ma tu swoją drogę. «W domu Ojca mego jest mieszkań wiele»” (MPAP,365). Trudno wyrazić tę prawdę w sposób bardziej jasny. To nie człowiek decyduje o zbawieniu drugiego człowieka, tylko Bóg, a On ma wolę zbawienia każdego człowieka. Zrozumienie tego mogłoby powstrzymać tych, którzy w przeświadczeniu iż ich wiara jest słuszna, usiłują zrobić prezent Panu Bogu w postaci osobiście nawróconego grzesznika. Abp Lefébvre jest tutaj paradygmatycznym przypadkiem. Vaticanum II ogłosiło *Deklarację o wolności religijnej*, która to wolność polega na tym, iż „wszyscy ludzie powinni być wolni od przymusu ze strony czy to poszczególnych ludzi, czy to zbiorowisk społecznych i jakiegokolwiek władzy ludzkiej, tak aby w sprawach religijnych nikogo nie przymuszano do działania wbrew jego sumieniu ani nie przeszkadzano mu w działaniu według swego sumienia w życiu prywatnym i publicznym, indywidualnym lub w łączności z innymi, byle w godziwym zakresie” (nr 2). Abp Lefébvre nie podpisał Deklaracji, respektuje ona bowiem godność także tych, którzy funkcjonują poza wiarą katolicką. „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele” – może nie trzeba na siłę ewangelizować niekatolika, który – nawet jeżeli błędzi – to także posiada własną godność, a w końcu przecież wcale nie musi błędzić ten, kto katolikiem nie jest. A drugi człowiek nie powinien osądzać czy Adam Michnik błędzi, czy nie. Zwłaszcza, iż Tischner nie ma wątpliwości co do Michnika – *anima naturaliter christiana*; ten heretyk jest po prostu „człowiekiem z natury chrześcijańskim”.

W ogóle Adam Michnik jest wdzięcznym obiektem ataków *sovieticusa*, który nie może przejść obojętnie obok kogoś, kto nie zachowuje postu w piątek i najchętniej dla zbawienia jego duszy wybiłby mu kilka zębów (jak to – zdaje się – bywało w średniowieczu). Może dobrze by było, gdyby zamiast na własną rękę (tutaj: pięść) zbawiać Michnika, zostawiłby *sovieticus* tę robotę Bogu? Nawet jeżeli Adam Michnik błędzi, to – formułuję tutaj prywatną tezę – może najlepszą rzeczą jaką można czasami uczynić dla drugiego człowieka, to pozwolić mu błędzić? Co na to *homo sovieticus*?

Chcę jeszcze powrócić na płaszczyznę polityczną. W zasadzie to nie opuściłem jej do końca, albowiem resentment przejawia się bodaj na każdym poziomie myślenia *sovieticusa* (a więc zniewala również jego „rozum polityczny”); natomiast, jeżeli chodzi o Adama Michnika, to – jako redaktor naczelny największego w Polsce dziennika – ma on z polityką do czynienia na co dzień. Nie można bowiem gromić wrogów Kościoła i różnych innych bezbożników, nie wkraczając w końcu na płaszczyznę polityczną. Pisałem już o tym; wspominałem o książce Gowina i o Kościele uwikłanym w politykę. Wiadomo już, na jakich zasadach funkcjonuje *homo sovieticus*. Jedną z nich jest bezlitosne tropienie tych, którzy wyznają inne niż on sam wartości (o wrogach raczej trudno tutaj mówić; jeżeli już, to istnieją oni raczej w mniemaniu *sovieticusa*, niż w obiektywnej rzeczywistości). Oto minęło już jedenaście lat od wprowadzenia ustroju demokratycznego, a Sądy Lustracyjne ciągle jeszcze mają coś do roboty. Pytanie: na ile jest to próba rzetelnego rozliczenia przeszłości osób współpracujących z tajnymi służbami, a na ile działania odwetowe, bądź służące doraźnym celom politycznym osób, w których interesie leży zniszczenie rywali? Przeglądam aktualną prasę; oto poseł SLD, Tadeusz Matyjek, w lutym b.r. został przez Sąd Lustracyjny II instancji uznany „win-

nym kłamstwa lustracyjnego”, co w przełożeniu na „ludzki” język, znaczy – współpracował ze „specsłużbami” PRL-u. Za sfałszowanie swojej biografii Matyjek zapłaci utratą mandatu i dziesięcioletnim zakazem sprawowania niektórych funkcji publicznych. Gdzie indziej czytam, iż Wiesław Kiełbowicz, poseł AWS również „złożył niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne”, czyli zataił swoją współpracę z tajnymi służbami – tak niedawno orzekł Sąd Apelacyjny. Orzeczenie nie jest prawomocne, Kiełbowicz zapewne będzie się od niego odwoływał, więc nie wiadomo czym zapłaci i czy w ogóle zapłaci. Tymczasem – podobnie jak Matyjek – nie przyznaje się on do żadnej współpracy. Może sądy rzeczywiście się mylą?

To, że ludzie współpracowali z SB to nie mit lecz rzeczywistość, która swoimi maczami obejmowała także tych, którzy sprawują dzisiaj funkcje publiczne i wypierają się jakiegokolwiek tego rodzaju współpracy. Na ile jednak – pytam ponownie – działania przeciwko tym osobom to działania odwetowe, a na ile jest to próba rzetelnego ich rozliczenia?

Przejdę na chwilę do naszych sąsiadów. Gleb Pawłowski, konsultant Kremla w dziedzinie mediów, były więzień polityczny spotyka się dzisiaj w pracy ze swoimi dawnymi prześladowcami. Mówi o tym: „Nie mogę nie reagować emocjonalnie i nie myśleć o tym. Ale etykieta znaczy dla mnie niewiele. Podobnie zresztą było w przeszłości. Bywa więc, iż rozumiem lepiej starych oficerów śledczych którzy złączyli, niż zgłupiałych dysydentów” (CNW). Ostatnie zdanie tej wypowiedzi wydaje mi się szczególnie cenne; sugeruje, iż Pawłowski nie jest człowiekiem, który myśli kategoriami typowymi dla *homo sovieticus*. Może dlatego daje on wyraz pragmatyzmu i realizmu politycznego, ale raczej nie myśli odwetem. Proponuję spojrzeć w tym kontekście na znamienne wypowiedź Adama Michnika, który mówi: „boję się takiego paradoksu, który sprawi, że będę miał więcej zrozumienia dla Generała niż dla niektórych jego ofiar domagających się wymierzenia mu sprawiedliwości” (MPAP,600). Wypowiedź pozornie szokująca – odsłania bowiem problem działania odwetowego, o którym Michnik tak sugestywnie wypowiadał się wcześniej – dzisiaj po prostu zbyt wielu dawniej skrzywdzonych ma dostęp do piły. Wrócę na chwilę jeszcze do Pawłowskiego; na jego postać rzuca światło fragment rozmowy, jaką z Siergiejem Kowalowem – zasłużonym obrońcą praw człowieka, byłym dysydentem i współpracownikiem Andrieja Sacharowa, a obecnie deputowanym do Dumy – przeprowadził Jan Strzałka. Rozmowa dotyczy Władimira Putina, który – według Kowalowa – jest „tworem wyprodukowanym przez pewną wpływową grupę – całkowicie pozbawioną sumienia, nieskończenie cyniczną, ale doskonale rozumiejącą, co pragnie osiągnąć”. Częścią tej grupy jest według rosyjskiego obrońcy praw człowieka, właśnie Pawłowski. Ocenę moralną wystawia mu Kowalow wręcz druzgoczącą: „Pawłowski jest pozbawionym morale politycznym technologiem. Wszyscy wiemy o związkach Bieriezowskiego i Pawłowskiego z jelicynowską »rodziną«. Całe to towarzystwo nazwałbym moralnymi inwalidami. Nie istnieje dla nich pojęcie przyzwoitości, istotny jest tylko wynik osiągnięty za pewną cenę”(ZS).

Sięgam teraz po „Tygodnik Powszechny” (nr 9/2000), gdzie znajduję znakomity artykuł będący fragmentem książki Vlasty Chramostovej, *Cyrograf*. Ta wielka dama czeskiej sceny teatralnej swego czasu także była współpracowniczką tamtejszej służby bezpieczeństwa. Podpisała dokument następującej treści:

„Praga, 13 XI 57

Całkowicie dobrowolnie zobowiązałam się pomóc organom ministerstwa wewnętrznego, kontrwywiadowi wojskowemu i świadoma jestem faktu, że chodzi o tajemnicę państwową, przysięgam we wszystkich okolicznościach i w kontaktach z osobami zachować całkowite milczenie w tej sprawie. Używać będę kryptonimu KLARA”.

Dlaczego go podpisała? „Dlatego, że chciałam być sławna, że chciałam bez przeszkód wykorzystywać wszystkie swoje zdolności, które mimo wielkiego sukcesu ciągle wydawały mi się nie w pełni zrealizowane, że chciałam kiedyś zobaczyć zagranicę, podróżować, poznać świat, zarobić jakieś pieniądze, a nie ciągle liczyć każdą koronę, zaciągać pożyczki, kogoś utrzymywać. Chciałam raz być także szczęśliwa!” (C). Czeski brukowiec *Rude Kravo*, opublikował jakiś czas temu listę współpracowników tamtejszej bezpieki. Nazwisko Chramostovej figuruje na tej liście. Aktorka przechodzi załamanie nerwowe, trafia do szpitala psychiatrycznego. Teraz żałuje.

Dlaczego o tym piszę? Ludzie z różnych powodów podpisywali współpracę. Czasami tylko dlatego, żeby bezpieka wreszcie się od nich odczepiła – podpiszą, a potem będą bezpiece „wciskać jakiś kit”, nic złego się przecież nie stanie; inni – jak Chramostová – z głupoty. „Czym jest jeden podpis? Oszwabię los i służby bezpieczeństwa. Podpiszę cyrograf i nic nie będę robić” (C). Żeby była jasność: uważam, iż każdy powinien ponosić konsekwencje własnego postępowania. Jednakże niech decyduje o tym kompetentna komisja, a nie agora. Media zaś często ferują wyroki, zanim dokona tego upoważniona instancja. A już z całą pewnością *homo sovieticus* w takim przypadku milczał nie będzie.

Dosyć polityki. *Homo sovieticus* – jak widać – jest „mistrzem podejrzeń”. Jego nieustępliwość godna jest często lepszej sprawy. Wszelako – podejrzliwy niczym Freud – tropił będzie afery także na poziomie życia codziennego.

Oto niedawno w dużym sklepie odbywała się promocja jogurtów. Młode, uśmiechnięte dziewczyny zachęcały do degustacji. Jogurt był rzeczywiście pierwsza klasa (próbowałem), jednakże dwie starsze panie odmówiły degustacji, komentując to: „jak rozdają za darmo, to pewnie przeterminowane”. Tym paniom nie przyszło do głowy, że firma chce zwyczajnie w świecie wypromować swój produkt. Podejrzliwość tych pań była rodem z PRL-u, gdzie – może nie tyle uzasadniona – to z całą pewnością była ona powszechna; myślenie w kategoriach „my” kontra „oni”, nieuchronnie prowadzi do aksjologicznej deprecjacji „onych”. „My” jesteśmy dobrzy; „oni” są źli, chcą nas oszukać, wepchnąć nam do kieszeni bubel. Nawiasem mówiąc, podobny przykład odnalazłem gdzieś w książkach Tischnera; dotyczył on – o ile pamiętam – czekolady; ale świadczy to tylko o tym, że pewne reakcje są po prostu typowe, raz wydrukowane do głowy – funkcjonują na zasadzie odruchu myślowego. Swoją drogą, ciekawe jaki autorytet skłoniłby te panie do konsumpcji jogurtu? Książdz z ambony?

Może to uznać ktoś za wyraz złośliwości z mojej strony, ale ambona, Radio Maryja, po swojemu rozumiane słowa Papieża, często są wyrocznią w sprawach o największym nawet stopniu uszczegółowienia. Spójrzmy od tej strony na słynne już kremówki, które stały się swego czasu hitem cukierni – tylko dlatego, iż Papież publicznie wyraził im

swoje uznanie. Od strony marketingowej – chwyt bez zarzutu. Jest to jednak przykład w jak bezkrytyczny i – co tu ukrywać – bezmyślny sposób traktowany jest przykład autorytetu.

Jedną z kluczowych tez, które pragnę przekazać w niniejszym tekście, jest to, iż *homo sovieticus* kryć się może w każdym z nas. Nawet ci, których świadome życie rozpoczęło się już w epoce posttotalitarnej, mogą być zarażeni wirusem *homo sovieticus*. Mam bowiem wrażenie, iż syndrom człowieka sowieckiego uchwycić można dwójako. Z jednej strony – *homo sovieticus* to ktoś, kto funkcjonując w systemie sowieckim, nabył w nim odpowiedni zestaw cech, które nominują go na *homo sovieticus*. Cały niniejszy tekst poświęcony jest w zasadzie takiemu klinicznemu przypadkowi człowieka, który myśleć inaczej, niż poprzez wzorce wdrukowane mu przez komunizm, nie potrafi. Cechy te nie są stałe, przybierać mogą różne postaci, oraz łączyć się będą w różnych konfiguracjach, a ich zmienność łatwiej pozwala *sovieticusowi* wtopić się w otoczenie. Nie istnieje wzorcowy model teoretyczny *sovieticus*, za pomocą którego można byłoby go identyfikować i zwalczać. Nie musi być też tak, że *cały* człowiek jest tylko *homo sovieticusem* – on ponadto może jeszcze być na przykład proboszczem miejscowej parafii i robić całą masę pożytecznych rzeczy. Píše Tischner: „*Homo sovieticus* nie występuje nigdzie w stanie idealnym – nie znaczy to jednak, że w ogóle nie istnieje. Od czasu do czasu może go odczuć w sobie każdy z nas, gdy nagle ogarnia go niepokój z powodu pustki, jaka pozostała po «racjonalnej» wizji pracy, po «socjalizmie» czy po rubryce «pochodzenie społeczne», która odgrywała rolę istotną» (HS, 1280). Spójrzmy tedy na siebie od strony owej „pustki”. Do czego nas ona sprowokuje? Co uczynimy, żeby ją wypełnić? Czy będziemy szukać winnych, czy zadowolimy się westchnieniem: „komuno wróć”?

Z drugiej strony – traktować można *homo sovieticus* jako pewien *paradygmat* – jako pewien paradygmatyczny zestaw cech, niekoniecznie nabytych w toku komunistycznej tresury. Zarówno Zinowiew, jak i Tischner są – jak się wydaje – tego samego zdania; wyrażają oni przekonanie, iż *homo sovieticus* („homosos”) jest zjawiskiem ogólnoludzkim, uniwersalnym i występuje pod każdą szerokością geograficzną. Świat podzielony na dwie połówki – „my”-dobrzy i „oni”-źli; niewolnicze uzależnienie się od autorytetów; pozowanie na ofiarę i szukanie winnych poza sobą; „mistrzostwo używania” i „mistrzostwo w podejrzliwości”; brak tolerancji dla wyznających inne wartości – cechy te i wiele innych niekoniecznie wykształcić się muszą w systemie komunistycznym. Austria kilka miesięcy temu stała się głośna za sprawą Jörga Haidera oskarżanego o nacjonalizm, a przez niektórych wręcz o faszyzm. Ile w tym jest prawdy? Media nie są tutaj miarodajnym źródłem informacji, ponieważ w znacznej mierze to one wywołały nagonkę na Haidera. Oskarżenie o faszyzm to chyba przesada, wszelako opinie o nim statystyczny człowiek wyrabia sobie nie na podstawie obiektywnych i sprawdzonych informacji, lecz w oparciu o doniesienia prasowe. I już wiadomo: Haider jest zły. A prawda – jak zwykle – nie jest wszak ani oczywista, ani tak jednoznaczna. Wystarczy bliżej przyjrzeć się całej sprawie.

Wniosek z tego jest taki, że uważnie należy przypatrzyć się sobie, czy przypadkiem i w nas nie ma *homo sovieticus*. Mam jednak wrażenie, iż żeby zacząć szukać w sobie pierwiastków totalitarnego myślenia obecnego w postaci syndromu *homo sovieticus*,

należy dysponować przynajmniej częścią jego podejrzliwości. Tropić *sovieticusa* w sobie, to już go mieć, to już być zarażonym, znaczy to także: nie być niewinnym. Oto bowiem zrozumienie fenomenu *homo sovieticusa* – konieczne, żeby jego piętno odnaleźć w sobie – możliwe jest tylko poprzez własną wewnątrz tego fenomenu obecność. Rzec ciekawa, badanie takie będzie maksymalnie miarodajne jedynie przy minimalnej jego obiektywności; tutaj – jak się wydaje – nie można zachować klinicznej czystości badacza, którego własna metodologia dystansuje wobec obiektu badania. Miarodajne wyniki pochodzić mogą tylko z autopsji; znaczy to: żeby zrozumieć, kim jest *homo sovieticus*, należy najpierw odnaleźć go w sobie. Należy najpierw doświadczyć własnej obecności i własnego uwikłania w syndrom *homo sovieticusa*. Píše o tym Jadwiga Mizińska: „Tak w istocie się stało, że samo pojęcie *homo sovieticusa* i najbardziej wnikliwe opisy tego, co się pod nim kryje, wyszły spod pióra osób, które przeżyły dłuższy bądź krótszy romans z Doktryną. Wystarczy przywołać spośród polskich autorów nazwiska Cz. Miłosza, A. Wata W. Woroszyńskiego czy L. Kołakowskiego.

Lecz i analizy tego rodzaju, co *Zniewolony umysł* nie dają jeszcze dokładnego pojęcia o fenomenie, który z całą siłą pragnę tu uwypuklić. Wyznania polskich pisarzy, zarażonych swego czasu (zwykle we wczesnej młodości) entuzjazmem dla komunizmu (wtedy jeszcze nie było wiadomo, jak dalece ulegnie skarykaturowaniu w swej stalinowskiej postaci), są pisane *post factum*, po otrząśnięciu się z młodzieńczego oczarowania. A zatem – pretendują one także do bezstronności, przynajmniej takiej, jaką może osiągnąć osoba już wyleczona ze swego minionego, chorobowego stanu. Co tu dużo mówić: studia nad wschodnim totalitaryzmem podejmowane przez „obcokrajowców”, to jest ludzi, którym zaledwie na czas jakiś zdołano przeszczepić sposób myślenia obcy wzorcom kulturowym, w jakich wyrosli, zawsze pozostaną widokiem przez okno” (CZ,93). Zinowiew pisząc *Homo sovieticusa*, przyznaje, iż nosi go w sobie. A Tischner? Czy on także zna ten syndrom z autopsji, czy jego analizy to tylko – mówiąc słowami Mizińskiej – podglądanie problemu przez okno?

Po raz ostatni sięgam do książki, w której Jacek Żakowski rozmawia z Adamem Michnikiem i Józefem Tischnerem. Każdy z nich, po kolei, szuka w sobie sowieckiego demona, i – co znamienne – znajduje go. Oto ten fragment: „A.M.: W sprawie *homo sovieticusa* zgadzam się z Księdzem Profesorem; jestem tu absolutnie kompetentny, bo widzę go w sobie. Łapię się na tym, że pewnych rzeczy napisać czy wydrukować nie mam odwagi.

J.Ż.: To strach.

A.M.: To jest specyficzny strach. Bo przez czterdzieści pięć lat żyłem w systemie, który tworzył strach zinstytucjonalizowany. I dziś jest we mnie lęk, typowy dla *homo sovieticusa*.

J.Ż.: Redaktor „New York Timesa” też się boi pewne rzeczy napisać.

A.M.: Bo może przyjąć gangster i go utłuc. To jest zdrowy, racjonalny strach. A ja mam rodzaj hamulca w mózgu.

J.Ż.: Jakiego hamulca?

A.M.: Hamulca, który mnie przystosował do systemu sowieckiego, gdzie tekst ogłoszony to często był wyrok – albo na tego, o kim się pisało, albo na tego, kto pisał (...) Czasem więzień przejmuje mentalność klawisza – i to jest *homo sovieticus* (...)

Wiem na przykład, że nie ma nic niestosownego w zarabianiu dużych pieniędzy, ale mam mentalność *homo sovieticus*, który uważa, że skoro są obok biedni ludzie, mnie nie wypada zbyt zamożnie się ubierać. *Homo sovieticus* się wstydzi, że uczciwie zarobił pieniądze. To we mnie siedzi i nic na to nie poradzę. W pewnym stopniu dałem sobie też wmówić lęk przed obcym kapitałem. Do dziś się boję, że przyjdą obcy i mi tę Polskę wykupią.

J.Ż.: Ja odkryłem w sobie *homo sovieticus*, kiedy w 1968 roku pierwszy raz zobaczyłem w Wiedniu ogromny dom towarowy Hertzmański'ego i pomyślałem: „Czy to też prywatne?”

A.M.: A ty, Jacek, nie masz tego w sobie?

J.Ż.: Ja mam żal, kiedy się prywaciarzom sprzedaje dobre przedsiębiorstwa, złe niechby sobie wzięli. Ale po co sprzedawać to, co pracuje i daje zysk?

A.M.: Typowo sowieckie, absurdałne rozumowanie. To w każdym z nas siedzi” (MPAP, 590). Słusznie. Moje świadome życie rozpoczęło się już po obaleniu komunizmu: jestem dzieckiem epoki posttotalitarnej, a mimo to miałem obawy przed napisaniem niniejszego eseju. Kto wie, jaki jest tego *rzeczywisty* powód? To już naprawdę ostatnie słowa. Oddam je Adamowi Michnikowi: „W każdym z nas jest *homo sovieticus*. Kto temu przeczy – łże”.

Nota bibliograficzna:

1. teksty ks. Józefa Tischnera:

ES – *Etyka solidarności*, Paryż 1981.

HS – *Etyka solidarności oraz homo sovieticus*, Kraków 1992.

MPAP – *Miedzy panem a plebanem*, Kraków 1998.

NDW – *Nieszczeny dar wolności*, Kraków 1997.

KSW – *W krainie schorowanej wyobraźni*, Kraków 1998.

PPB – *Przekonać Pana Boga*, Kraków 2000.

PM – *Polski młyn*, 1991.

TS – *Trzy sprawy*, „Tygodnik Powszechny” 1981, nr 37.

2. inne

PK – T. Bogucka, *Polak po komunizmie*, Kraków 1997.

HOM – A. Zinowiew, *Homo sovieticus*, tłum. S. Deja, Londyn 1984.

GEN – F. Nietzsche, *Z genealogii moralności*, przeł. G. Sowiński, Kraków 1997.

CZ – J. Mizińska, *Świadomość czasu zwichniętego*, Lublin 1994.

ODS – K. Łastawiecki, *Osiemnaście dni sierpnia*, „Tygodnik Powszechny” 1981, nr 33.

CNW – G. Pawłowski, *Czy nauczyciel wróci?*, wywiad: rozm. K. Wrubel, „Rzeczpospolita” 2000, nr 10.

C – V. Chramostová, *Cyrograf*, „Tygodnik Powszechny” 2000, nr 9.

ZS – S. Kowalow, *Człowiek do zadań specjalnych*, „Rzeczpospolita” 2000, nr 72.

1999 – 1989 = 10

Pokolenia i Dekada

Małgorzata Kulik

Wolni po 1989 roku

Dla wielu osób synonimem roku 1989 jest upadek komunizmu, zaś z tym od razu kojarzy się wolność. Wyswobodzenie spod dominacji ZSRR, przyznanie pełnych swobód politycznych, otwarcie granic, demokracja...

Dla osób, które długo żyły w PRL-u była to zdecydowana zmiana. Wydaje mi się, że tylko oni w pełni rozumieją to słowo, umieją docenić znaczenie wolności.

A jak jest z ludźmi, dla których rok 1989 jest jakimś niejasnym wspomnieniem, znany bardziej z opowiadań czy książek niż z własnych doświadczeń i przeżyć?

Dla większości ludzi młodych „wolność” to „pełne wyswobodzenie się spod czyjejś dominacji”. Taka, niemalże słownikowa, definicja powstała po przepytaniu 10 przypadkowych osób z pokolenia X.

Zupełnie słuszne – można by powiedzieć. Ale czym jest owa dominacja? Przeważnie rodzicielską władzą czy raczej pieczęcią i obowiązkiem szkolnym? „Człowiek jest wolny, gdy starzy nie mówią mu co ma robić i nie musi chodzić do szkoły” – siedemnastolatek tak rozumie swoją wolność.

„Wychodzenie z domu bez mówienia dokąd się idzie i powroty nad ranem” – dla Kaśki, bywalczyni modnych knajp, słowo to nie znaczy nic ponad to.

Czy takie rozumienie wolności jest słuszne i dobre? Otóż nie do końca. Socjologowie wyróżniają 2 aspekty wolności: negatywny i pozytywny. Powyższe przykłady to ta negatywnie rozumiana wolność – wolność, która jest tylko uwolnieniem od obowiązków, odrzuceniem zobowiązań, pewnych norm, nakazów. Taką wolnością jest też robienie tego, na co się ma ochotę, bez zwrócenia uwagi na otaczających nas ludzi. Wolność to nie wyjście na ulicę z kijem w ręku i „dowalenie” każdej spotkanej osobie. („Żeby czuć się wolnym idę np. na mecz i robię zadymę” – tak brzmi zatrważająca i smutna wypowiedź 16-letniego fana piłki nożnej).

Wolność rozumiana w pozytywnym aspekcie pozwala na tworzenie rzeczy nowych, pięknych, na samorealizację. To owo słynne augustyńskie „Kochaj i rób co chcesz.”

Wolność to także możliwość samostanowienia o sobie. „Trochę pomagam ludziom chorym. Dzieci, którymi się opiekuję są skazane. Nie mają wolnego wyboru. Umrą. Ja żyję, studiuję, mam wybór. Mogę realizować swoją wolność” – Anka ze smutkiem zwiesza głowę.

„Jestem wolontariuszką w świetlicy. Dzieciaki, które do nas przychodzą są biedne, zaniedbane, często z patologicznych rodzin. One w większości nie będą mogły realizować swoich marzeń. Powielą schemat rodzin, z których się wywodzą. Nie wyrwą się z tego bagna, na które je skazano” – dla wielu osób zrozumiałe jest to, że ciężko się wy-

rwać z biedy i patologii, na którą skazują dziecko rodzice. Te dzieci nie mogą realizować swojej wolności.

Niektórzy młodzi jeszcze inaczej rozumieją słowo „wolność”: „Mogę swobodnie wybrać zawód, miejsce pracy, wyjechać na stypendium” – Jarek bez wahania tłumaczy, czym jest dla niego wolność. Właśnie to zmieniło się po roku 1989 – lepsze perspektywy, otwarcie granic, wakacje w Paryżu czy na Majorce... A także dobrze płatna praca jako wynik rozwoju gospodarczego, otwarcia się na Zachód. „Pieniądze mnie uwalniają. Dają mi niezależność. Piwo, bilet do kina, chesne – to owoce mojej pracy. Papierek z wizerunkiem króla daje mi poczucie samodzielności” – dla Kamili pieniądze są wolnością.

„Mam pieniądze – mogę decydować o tym, gdzie pojadę na wakacje, czy pójdę do kina, czy do teatru. Brak pieniędzy to uzależnienie od kogoś – najpierw od rodziców, potem od państwa, opieki społecznej, dobroci innych ludzi.” – taka opinię prezentuje 17-letnia Marysia.

Ale czy zawsze? Ciężka harówka od świtu do nocy, brak urlopów, weekendy spędzone na kursach i szkoleniach – uzależnienie od mamony, która już nie uwalnia, a zniewala.

A jak z rozumieniem słowa „wolność” w aspekcie pełnych swobód politycznych, społecznych, gospodarczych? Dla ludzi młodych wolna Ojczyzna jest oczywistością. Swobodny wybór prezydenta, partii, do której chce się należeć, możliwość strajku czy demonstracji – to coś zupełnie normalnego, stałego, istniejącego od zawsze. Młodzi ludzie z niedowierzaniem słuchają opowieści, że dawniej można było pójść do więzienia za kawał polityczny czy wyrażenie negatywnej opinii o rządzie. Strzały do robotników, cenzura, zagłuszanie radiowych stacji – to dla nich coś nierzeczywistego, niewyobrażalnego, coś z innego świata.

Sądzą też, że demokracja, to system, który pozwala na wszystko, że np. każda forma wyrażania niezadowolenia jest dobra i właściwa.

Cieężko jest zrozumieć, że wolność daje pewne ograniczenia, sankcje. Niektórzy młodzi chcieliby zlikwidować np. wszystkich ciemnoskórych czy chorych, bo wolność to możliwość decydowania o świecie, w którym się żyje. Dla nich nie jest ważne, że są pewne granice wolności. Że wolność to obowiązek przestrzegania słusznych praw np. praw człowieka.

Wolność to także umiejętność podejmowania dojrzałych decyzji i brania za nie odpowiedzialności. Takie ujęcie młodym jest trudno zrozumieć. Chcą robić wszystko na co mają ochotę, ale nie patrząc na ewentualne konsekwencje. Podobno odpowiedzialność i dojrzałość przychodzą z wiekiem. A jeżeli nie przyjdzie? Jeżeli młodzi ludzie zawsze zechcą tylko się bawić, szaleć, a swoje kłopoty – wynik nadużywania wolności zrzucić na innych? Jaki będzie świat, który sami tworzą?

Rok 1989 sprawił, że w naszym języku i świadomości na dobre zagościło słowo „wolność”. Nie jest to już jakiś sen, ułuda. Sen się ziścił. Po początkowym zachłyśnięciu się swobodą i wyzwoleniem przyszedł czas na odpowiedzialne realizowanie tego, o co się walczyło. Nie dotyczy to tylko wolności w sensie swobód politycznych. Wolne państwo daje nam duże możliwości: wolny wybór pracy, wykształcenia, miejsca zamieszkania, różnorodne swobody osobiste... Trzeba nauczyć się tylko z tego odpowiedzialnie i dojrzałe korzystać.

By ziszczony sen nie zmienił się w horror na jawie.

Maciej Serweta

Pokolenie 1989 – pokolenie 1999

Co ich różni, a co łączy?

Jako przedstawiciel grupy wiekowej 20-30 latków – wedle ukutej przez kanadyjskiego socjologa Douglasa Couplanda definicji – należę do tak zwanego „pokolenia X” (Generation X). Pokolenia bez konkretnych wizji, zainteresowań, autorytetów, które cechuje nastawienie na konsumpcję, hołdującego zasadzie „minimum wysiłku – maksimum korzyści”. Tymczasem osobiście nie czuję się związany z tym pokoleniem. Dzieje się tak dlatego, gdyż moja życiowa postawa jest dokładnym zaprzeczeniem tego, co założył Coupland. Jeśli chodzi o większość młodzieży – problem „X” niestety istnieje. I nie jestem do końca przekonany, czy moi rówieśnicy zdają sobie z tego sprawę. Część na pewno tak. A co z resztą?

Zanim jednak dam odpowiedź na powyższe pytanie, chciałbym dokonać pewnej analizy pokolenia roku 1989. Tych wszystkich, którzy w przełomowym dla nas roku mieli lat 20-30. Jaki cel im przyświecał, jakie autorytety, w co się angażowali, wreszcie, co dawało im motywację do życia.

W 1989 roku byłem za młody, by brać aktywny udział w przemianach społeczno – ustrojowych. Nie miałem także specjalnie pojęcia o innych autorytetach, niż rodzice. Jedynym wyznacznikiem ówczesnej rzeczywistości była ilość wyprodukowanych domowym sposobem petard z saletry i cukru oraz liczba posiadanych samochodzików *matchbox*. Obok tego świata był drugi, ten prawdziwy, który rządził się swoimi prawami i niekoniecznie był przeze mnie i moich rówieśników zrozumiały.

Dzieci Przełomu – jak określa je Paweł Wujec w artykule pt. *Na wyspie skarbów* (Gazeta Wyborcza, 9-10.01.1999) – nie w pełni dorośli, a jednak świadomi przemian zachodzących w naszym kraju. Dzieci Przełomu – które wraz ze starszymi kolegami, pod osłoną nocy w Warszawie zakradały się pod pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, po to, by pomalować jego ręce czerwoną farbą. To wreszcie ci, którzy nie doświadczyli na własnej skórze pałki ZOMO-wca, a jednak ryzykujący zatrzymanie w trakcie roznoszenia ulotek i rozlepiania plakatów przed wyborami 4 czerwca 1989. Niejedna grupa studentów i licealistów spędziła długie noce na rozmowach o wolności, o sprawiedliwości, o nowym lepszym ustroju. W wolnych chwilach dominowała książka. Dobra lektura była czymś więcej niż tylko formą odpoczynku biernego. Z książki czerpało się wiedzę, która była traktowana wręcz jak wielka przygoda. Ileż było sensacji i radości, kiedy udało się zdobyć publikację z tzw. „drugiego obiegu”. Wreszcie studia. Najlepsze lata

życia spędzone na intelektualnym ucztowaniu. Całe tygodnie spędzone w bibliotekach, z rzadkimi przerwami na posiłek, czy też kawę. I nie z przymusu, a z własnej woli. Bardzo popularne były kierunki humanistyczne, takie jak filozofia, psychologia, czy socjologia. Dyskoteka dla owego pokolenia była rzeczą raczej mało znaną. Bardziej stosowne było przebywanie na różnego rodzaju prywatkach, gdzie słuchano Doorsów, Floydów, czy Perfectu. Takie postacie sceny muzycznej jak Kaczmarek, czy Gintrowski były chodzącymi symbolami sprzeciwu.

Dwudziestolatkowie roku 1999 są już diametralnie innym pokoleniem niż ich rówieśnicy roku 1989. Przez dziesięć lat doszło do niewiarygodnie radykalnych zmian w sposobie myślenia młodych obywateli III Rzeczypospolitej.

Bo oto nagle okazuje się, że przeciętnemu młodemu człowiekowi śmierć górników z kopalni „Wujek” po prostu „wisi” i mają poważne trudności ze wskazaniem swojego autorytetu. Książka? Dziś pytanie o to, „co się czyta?” nie ma najmniejszego sensu. Bardziej właściwe jest pytanie „czy się czyta?”. Książka umiera, a na jej miejsce wchodzi głupawe programy telewizyjne i internet. Nie ma także mowy o poważnych dyskusjach w gronie znajomych. Dziś dla wielu moich rówieśników jedynym tematem do konwersacji jest temat seksu, ilości spożytego alkoholu, czy nawet stanu fizycznego po wypaleniu kilku „lufek” trawki. Kultura muzyczna ogranicza się do jednostajnych dźwięków i rytmów generowanych przez urządzenia komputerowe. Kto choć raz miał styczność z muzyką *techno* doskonale wie, jaką „wartość” ona ze sobą niesie.

Swoistym signum dzisiejszej młodzieży stał się walkman. Przez nasze miasto przemierzają całe rzesze młodych ludzi ze słuchawkami na uszach. Co chcą zagłuszyć? Własne pytania? Wewnętrzne ja? Od czego chcą się odizolować? A może nie chcą słyszeć innych głosów, by nie burzyć wewnętrznego poczucia beztroski i nieustającej zabawy.

Bardzo niepokojącym zjawiskiem jest nasilająca się agresja w szkołach, zarówno tych podstawowych, jak i ponadpodstawowych. Nie muszę chyba tu przytaczać przykładów bestialskich zachowań uczniów wobec swoich rówieśników. Tak potępiane przez nas zjawisko „fali” – znane nam z wojska i potępiane w czambuł, ukradkiem przeniosło się do szkół. Podam tylko najbardziej charakterystyczne cechy „fali” w szkole: wymuszanie pieniędzy od młodszych kolegów, fizyczne znęcanie się, przymuszanie do wykonywania upokarzających czynności. Jakby tego było mało, nawet zorganizowany letni wypoczynek dla młodzieży naszpikowany jest tego typu zachowaniami. Oto na koloniach mają miejsce zachowania takie same jak w szkołach. Jedna z młodszych latorośli w mojej rodzinie musiała opuścić kolonie ze względu na to, że została okradziona, a nawet bita przez rówieśników.

Pytam więc, skąd takie pokłady agresji wśród czternastolatków?

Jeśli chodzi o studia akademickie – wiem to z własnych obserwacji, bardzo duża część ambitnej młodzieży wpada jak burza na zajęcia, a po ich zakończeniu jeszcze szybciej ucieka z uniwersytetu, gdzieś tam do swoich zajęć. Wspólne spotkania towarzyskie? Kto ma na to czas! Tak zwane dyskusje akademickie? Prowadzą je ci, którzy posiadają luksus wolnego czasu.

Przyznam się szczerze, że sam go nie posiadam. Na swoim roku znam raptem kilka osób, z którymi zetknąłem się dodatkowo gdzieś w swojej pracy. Reszta kolegów i koleżanek jest dla mnie anonimowym tłumem..

Dziś studiuje się po to, by zdobyć szybko i w miarę bezboleśnie niezgorsze wykształcenie. Potem pracę. Mam obawy, że na uniwersytetach pojawi się w niedalekim czasie zjawisko zwane „wyścigiem szczurów”. Po to tylko, by być o tych kilka punktów lepszym od konkurenta? Jeżeli tak, to z trwogą patrzę na miejsce uniwersytetów w wychowaniu nowych pokoleń młodzieży. Obym się mylił.

Dlaczego więc przez ostatnie dziesięć lat tak diametralnie zmienił się sposób myślenia młodzieży? Czyżby takie były konsekwencje gorąco dyskutowanej i wreszcie wywalczonej wolności? Złożyło się na to wiele czynników.

Ja przywołam w moim przekonaniu najważniejszy: jest to brak „przeżycia pokoleniowego”. Ewidentny brak jakiegokolwiek celu do realizacji, który jednoczyłby w jeden organizm większość młodego społeczeństwa. Brak jednego jasno i wyraźnie wskazanego pozytywnego celu, który komasowałby duży procent młodych. I właśnie ten brak jest głównym czynnikiem sprawiającym, że moi rówieśnicy trwają w jakimś dziwnym zawieszeniu pomiędzy tym, co dobre, a tym, co złe. I to jest w moim mniemaniu istota problemu „generacji X” Couplanda.

Dla przykładu przytoczę tu pewne dziwne zjawisko. Ilość młodych, zażywających narkotyki rośnie z każdym rokiem. Jednocześnie na spotkania z Ojcem Świętym przychodzą niezliczone zastępy młodzieży. Gdzie jest zasada, wedle której można wyjaśnić to zjawisko?

Jak wobec tego przeciwdziałać negatywnym postawom wśród moich rówieśników? Po pierwsze wykreślić z życia pewnego idiotę, który wszystkich przyrównuje z wielkim powodzeniem do siebie. Jest nim telewizor. Kiedy wreszcie filmy bez jakiegokolwiek pozytywnej treści przestaną wśród młodzieży zacierać granice między tym, co etycznie właściwe, a tym, co dyktuje prawo kałasznikowa, należy zacząć usilne poszukiwanie alternatywnych propozycji, które staną się celem dla większej części młodego pokolenia. Nie dla jakichś 25% młodych, ale 60% tych, którzy na ulicy mijają nas z walkmanami na uszach, izolujących się od reszty społeczeństwa. Czy dziś jest to możliwe? Mam poważne wątpliwości. Obawiam się, że gdyby moi rówieśnicy zaczęli już dziś nad tym pracować, to efekty będą odczuwalne dopiero przez pokolenie naszych wnuków.

Niemniej jednak takowe starania należy podjąć już dziś. Choćby po to, by została przynajmniej w pewnym stopniu zahamowana tendencja do zniżania się do poziomu „generacji X”. Gdzie z kolei szukać pozytywnych, alternatywnych wartości? To już całkiem inna historia!

Małgorzata Kulik

Oczami młodych

Kończy się stulecie. W ofertach handlowych namnożyło się różnych produktów milenijnych. Media zalewają nas setkami ankiet na najlepszego sportowca, piosenkarza, film etc.... mijającego wieku. Gdzieś tak na uboczu stanął mały wycinek stuletniej rzeczywistości – ostatnich 10 lat, 10 razy po 365 dni. Ogrom czasu. Czasu wykorzystanego nader pracowicie – upadł komunizm, powstała Unia Europejska, wybuchło kilka konfliktów zbrojnych, powiększyło się NATO, rozwinął się i upowszechnił Internet... Setki wydarzeń, ludzi przewinęło się przed naszymi oczyma.

Każdy patrzy na ten okres trochę przez pryzmat własnych doświadczeń. Postanowiłam zrobić to samo, nie żebym specjalnie chciała się rozpisywać o tym, jak ja widzę ostatnią dekadę, ale popatrzeć na nią razem z moim znajomymi, znajomymi znajomych etc. Jednym słowem oczami mojego pokolenia (o ile taki „twór” istnieje, ale chwilowo pominiemy rozważania na ten temat).

Uściśliśmy kilka kwestii – urodziliśmy się w czasach powstawania „Solidarności”, stan wojenny przeżyliśmy zupełnie nieświadomie, w kołyskach, wózkach i na kolanach opiekuńczych mam. Schyłkowe lata PRL-u to nasze głębokie dzieciństwo – piaskownice, malinowe lody, o ile można je było kupić, kolejki...

Przełom '89 przeżywaliśmy już bardziej świadomie, współuczestniczyliśmy w entuzjazmie i narodowej radości. Rodzenie się III RP to nasze dorastanie. Rośliśmy i rośniemy wraz z nią albo ona wraz z nami.

Nie zmienia to faktu, że każde z nas patrzy trochę inaczej na ten okres, przez pryzmat własnych doświadczeń, wspomnień, przeżyć.

Zgodnie z panującą tendencją postanowiliśmy znaleźć najważniejsze wydarzenie ostatnich 3650 dni. Tylko jedna kwestia nas nie podzieliła. Wszyscy zgodnie wytypowali upadek komunizmu, bo jak stwierdziliśmy – bez tego niemożliwe byłoby wszystko inne.

Każde z nas miało troszeczkę inną wizję, inaczej pamiętało tamte burzliwe wydarzenia.

Jarek, całkiem poważny tegoroczny maturzysta wybierający się na przyszłościowe prawo, koniec komunizmu widzi tak: „Pamiętam upadek muru berlińskiego. Entuzjazm ludzi i łzy w oczach mojej mamy. Wiedziałem, że dzieje się coś bardzo ważnego, niepowtarzalnego”.

„Grono poważnych, zagarniturowanych ludzi siedziało przy czymś okrągłym i lśniącym. Gdzieś stał wielki biało – czerwony bukiet. Ludzie na ulicach głośno dyskutowali. Do nas przychodzili sąsiedzi na telewizję. Nie żeby w ich domach nie było telewi-

zora, ale potem rodzice wraz z nimi wznosili toasty i dyskutowali do białego rana”. – taka była agonia nienawistnego systemu widziana oczami 18-letniej Moniki.

Zdecydowanie inną wizję miał Artur, znany w towarzystwie jako „luzak” i bywalec każdej imprezy: „Nie było w sklepach czekolady i cukru, tylko ocet, a potem nagle skądś się pojawiła. Domagałem się jej nieustannie. Moja mama, a może babcia, ulegała. Kupowały mi codziennie, aż dostałem czekoladowej choroby”. Pustka w sklepach lub samotny ocet na półce – częsty to synonim PRL.

W moich wspomnieniach jest i Okrągły Stół, który się oglądało w przedpotopowym, czarno-białym telewizorze, i pączki, które kupowała mi babcia, gdy wracałam ze szkoły jako dumna uczennica pierwszej klasy (wszystko to miało miejsce w 1989 roku).

Tak dla nas – dzieci upadał komunizm. Zanim, jednak runął w gruzach, trwał w naszej świadomości przez parę lat, żyliśmy w tamtym systemie, oddychaliśmy innym powietrzem (zdaniem Artura w PRL-u powietrze było stęchłe i skażone głupotą i nienawiścią). Drobne okruchy, które zostały w naszej pamięci pozwoliły nam na patrzenie z pewnym dystansem na kolejnych 9 lat. Mamy jakieś odniesienie, porównanie.

W naszej pamięci PRL złożony jest z kilku symboli – kolejki, chroniczny brak wszystkiego, szczególnie mięsa i słodczy, smutek malujący się na twarzach ludzi, szare ubrania, nieciekawa telewizja, brak radosnych i kolorowych reklam na ulicach, komputerów, ładnych zabawek, wakacje spędzane nad Bałtykiem, a nie nad Morzem Śródziemnym...

Tamta rzeczywistość ma dla nas kolor szary, chwilami nawet zbliżający się do czerni. Gdy tymczasem nowy, lepszy świat jest barwny, migotliwy, radosny...

Jak oceniamy minionych 10 lat – okres wielkiej transformacji, budowy normalnej rzeczywistości, doganiania Zachodu? Okres rodzenia się nowego, światowego porządku?

Wystawiamy mu notę- pozytywnie, nie dobrze, nie rewelacyjnie, wspaniale, ale właśnie pozytywnie. Czyli nie jest źle, ale musi być lepiej, trzeba poprawiać, modyfikować, zmieniać, ulepszać i doskonalić.

Najważniejsze wydarzenia, które kształtowały lata 90. – tu lista jest długa, każdy wskazuje po 3, 4, rekordzista nawet 10, w tym większość dotyczy sportu i zdobywania przez jego ukochane kluby piłkarskie kolejnych laurów.

Tomek, piekielnie krytyczny, ale nie samokrytyczny człowiek, przyszły ekonomista, – za najważniejsze uznaje: „Reformy Balcerowicza – to one sprawiły, że na naszych półkach ponownie pojawił się towar, to one zaczęły zbijać inflację”.

Dużo osób wskazuje na wejście do NATO, jako na wydarzenie przełomowe. „Było to swoiste przypieczętowanie naszej młodej demokracji”- stwierdził Artur.

„Dla mnie NATO to gwarancja bezpieczeństwa naszego państwa, docenienie wysiłku wkładanego w modernizację państwa” – Monika uśmiecha się z uznaniem.

Duże znaczenie ma też powstanie Unii Europejskiej i starania Polski o przyłączenie się do tego ponadnarodowego „tworu”.

„Unia to takie zjednoczenia ponad podziałami, pretensjami. To pokazanie, że dużo nas może łączyć, mimo, że wiele dzieli” – Paweł jest zdecydowanym euroentuzjastą i bezlitośnie tępi przeciwników zjednoczenia.

Dla Agaty (siedemnastolatki, marzącej o karierze modelki) Unia Europejska to „szanse na znalezienie lepszej pracy, wygoda związana z planowanym wprowadzeniem jednej monety i konieczność dla Polski”.

W rankingu ważnych wydarzeń są jeszcze inne typy: Nobel dla W. Szymborskiej („Bo w końcu doceniono, że Polacy nie gęsi i swój język mają. A nawet posługując się nim umieją stworzyć arcydzieła” – powiedziała Kamila pasjonująca się literaturą, nie tylko polską), Oscar dla A. Wajdy („Zawsze uważałem go za mistrza, osobę nieprzeciętną, i dobrze, że go doceniono” – 18-letni Dominik śmieje się radośnie).

Widać, że młodzi ludzie interesują się kulturą, może nawet bardziej niż polityką. Ważne są dla nas ekranizacje wielkich i ważnych polskich dzieł (Nam się bardziej podobał „Pan Tadeusz”, niż „Ogniem i mieczem”), kolejna część „Gwiezdných wojen”, filmy łamiące pewne tabu (np. „Idioci”)... Cieszymy się z Nobla dla G. Grassa – w jakiś sposób związanego z naszą Ojczyzną. Artur, który woli tańczyć w klubie niż czytać powiedział: „Jak on mógł dostać Nobla, to ja przeczytam jego książkę” – i już kolejny raz zmienia czytany utwór, bo jak na razie żadnego nie może skończyć, gdyż: „Jego książki są strasznie mądre i piekielnie trudne”.

Ale ostatnich 10 lat to nie tylko radość związana z docenianiem wysiłku wkładanego w reformy i zmiany, z nagród dla Polaków, wspaniałych filmów, książek, medali na zawodach sportowych...

To także smutek i przygnębienie, a często złość, bo: „Ludzie giną, a nikt nic nie robi. Każdy martwi się tylko swoimi sprawami i własnym podwórkiem” – tak Adam skomentował wojnę, już kolejną, w Czeczeni.

Konflikty zbrojne, terroryzm międzynarodowy, chroniczne łamanie praw człowieka w Chinach, komunizm na Kubie – te problemy nas martwią, to chcielibyśmy zmienić. Karolina, pacyfistka i osoba, która nie może żyć nie pomagając innym powiedziała: „To wstyd wchodzić w XXI wiek z takim bagażem nierozwiązanych spraw. Musimy coś z tym zrobić! Koniecznie”.

Martwi nas o wiele więcej. Choćby bieda – „Przykro mi się robi, gdy wracam ze szkoły, a na ulicy Lubartowskiej widzę biedne, głodne i ubrane w podarte rzeczy dzieci. Najgorsze, że nie wiem, jak im mogę pomóc” – Karolina, ucząca się w Biskupiaku prawie codziennie pokonuje tę trasę.

„Dam 2, 3 złote biedakowi, żebrzącej Rumunce, ale czy to zmieni ich sytuację?” – Adam przecząco kręci głową.

Bieda to jeden z przygnębiających aspektów nowej rzeczywistości. Obok niej stoi przestępczość. Młodzi ludzie, choć sami popełniają wiele coraz brutalniejszych przestępstw, boją się zarówno nocnych eskapad po zaułkach, nieoświetlonych parkowych alejek i odludnych skwerów, jak i pijanego kolegi z bloku czy osiedlowej bandy.

„Czasem można dostać za sam wygląd lub za to, że się znalazło w nieodpowiednim czasie w danym miejscu” – dla Dominika sprawa przestępczości jest jasna. Lekarstwo: więcej policji, Straży Miejskiej, surowsze i nieuniknione kary. Kara śmierci? Raczej nie. „Sąd może się pomylić, skazać niewinnego, a poza tym to niehumanitarne” – zdaniem Karolina wprowadzenie tej kary nie zmieni sytuacji.

„Przestępcę bardziej niż krzesło elektryczne odstraszy to, że jego czyn zostanie na pewno wykryty” – Artur ma gotową receptę także na ten problem.

Dla każdego z nas ta dekada jest ważna także z innego powodu – otworzyła przed nami ogromne możliwości. „Wiem, że kiedyś nie mógłbym zdobyć takiego wykształcenia” – Paweł, student dwóch kierunków, uśmiecha się radośnie.

To prawda, że ostatnich 10 lat, otworzyło przed nami wrota do edukacji. Mamy możliwość korzystania z przeróżnych kursów od językowych, poprzez teatralne, skończywszy na garncarskich czy ratownictwa wodnego. Możemy też dowolnie wstępować do organizacji, stowarzyszeń, uczestniczyć w przeglądach, konkursach. Czekają na nas zagraniczne stypendia oferowane dzięki programom Unii Europejskiej – *Tempus* czy *Sokrates*. Możemy wyjechać na semestr do Berlina, Paryża czy nawet do Tokio. Nie mówiąc o tym, że języka można się uczyć nie na drętwych kursach, a u samego źródła, czyli w konkretnym kraju.

Rozwój gospodarczy, zakładanie przez zagraniczne koncerny swoich filii daje nam możliwość ciekawszej pracy, z wyższą płacą oczywiście. Nowe dziedziny np. przemysł reklamowy to pole do realizacji dla osób twórczych i kreatywnych.

Zalety naszych czasów i szanse jakie nam dają można by mnożyć. Może właśnie teraz realizuje się maksimum, że żyjemy na najlepszym ze światów?!

„Czasy są piękne, tylko my czasem nie umiemy tego dostrzec i wykorzystać” – tak Karolina podsumowuje nasze rozważania. By nowe tysiąclecie dawało nam jeszcze więcej szans i umiejętności ich wykorzystywania – tego Wam i sobie życzę. I kończę, bo czeka na mnie kolejna lekcja origami.

Adam Dobrzyński

Nie tylko dla pajaków Dziesięciolecie WWW

Bardzo często używa się zamiennie określeń Internet i World Wide Web (*Ogólnoświatowa pajęczyna*). Nie są one jednak równoważne. WWW bez sieci nie istnieje, Internet zaś może działać bez *Ogólnoświatowej Pajęczyny*. A choć WWW przyniosła Sieci sławę, jest ona tylko jej młodszą siostrą. Zaczniemy jednak od początku.

Pierwsze badania nad technologiami wykorzystywanymi dziś w Internecie zostały zapoczątkowane w latach 60. w Stanach Zjednoczonych. Okres zimnej wojny powodował, iż Stany Zjednoczone przeznaczały duże sumy na rozwój nowoczesnych technologii. Wtedy też Siły Powietrzne USA zwróciły się do instytucji badawczej RAND (Research and Development) z prośbą o opracowanie systemu komunikacji głosowej, która przetrwałaby ewentualny atak atomowy. Wkrótce w wyniku badań uczonych z RAND powstała koncepcja sieci pozbawionej centrali, czy pojedynczego punktu, co miało uniemożliwić jej szybkie zniszczenie.

Już w 1962 r. J. C. R. Licklider z Massachusetts Institute of Technology (MIT) przedstawił pierwszą wizję sieci komputerowej oplatającej Ziemię, w której można używać tych samych danych i programów. On też pokierował pracami nad komputerowym programem badawczym finansowanym przez należącą do Ministerstwa Obrony USA agencję ARPA (Advanced Research Projects Agency), a w którym chodziło o prace nad pakietowym przesyłaniem danych komputerowych. Pod ich egidą powstała sieć ARPANET (poprzedniczka Internetu) łącząca centra badań i uczelnie, umożliwiając im prace nad technologiami sieciowymi. Pierwsze węzły, łączące Uniwersytet Kalifornijski (UCLA) i Instytut Stanforda (SRI), podłączono w 1969 r., publicznie zaś ARPANET zademonstrowano w roku 1972 na International Conference on Computer Communications. W tym też roku „ruszyła” poczta elektroniczna.

Oczywiście początkowo Sieć nie pracowała jeszcze zgodnie z protokołem TCP/IP (Transmission Control Protocol/Internet Protocol), tj. protokołem komunikacyjnym używanym obecnie przez wszystkie komputery podłączone do Internetu. Protokół ten powstał bowiem dopiero dzięki programowi ARPA, znanemu pod nazwą „interneting project”, mającym umożliwić współdziałanie różnych typów sieci komputerowych (*inter*=między; *net*=sieć). Standardem zaś systemu operacyjnego Unix (czyli systemu, który przez wiele lat był jedynym systemem wykorzystywanym w Internecie) protokół ten stał się dopiero na początku lat 80. Z czasem za standard uznało go też Ministerstwo

Obrony USA oraz użytkownicy sieci ARPANET, którzy podłączyli ją do TCP/IP na przełomie 1982/83 roku.

W tym też czasie (1981 r.) „ruszyła” sieć BITNET (Because It's Time NET-work), łącząca wyższe uczelnie. W Europie zaś powstała sieć Eunet. Z każdym kolejnym rokiem kolejne instytuty i wyższe uczelnie w różnych krajach łączyły się z sieciami, które najczęściej powstają dla realizacji konkretnych programów badawczych. W r. 1984 z inicjatywy JANET (Wielka Brytania) i programu NSF (Narodowej Fundacji Nauk z USA) z 1985 r. rozpoczęto budowę sieci, która mogłaby być dostępna dla naukowców różnych dyscyplin. To właśnie sieć NSFNET przekształciła się w główny szkielet Internetu, z którym stopniowo łączyły się porozrzucane po całym świecie sieci komputerowe.

Wszystkie dotychczas omówione technologie internetowe powstały w USA. Europa jednak stała się miejscem narodzin czegoś, co stało się przełomem dla Internetu. Albowiem pomysłodawcą WWW był w 1989 r. Tim Berners-Lee z CERN (ośrodka badawczego w Genewie zajmującego się fizyką cząsteczkową). Jego zamiarem było usprawnienie komunikacji między naukowcami. Przedstawiona jednakże przez niego idea nie od razu spotkała się ze zrozumieniem. Władze CERN uznały bowiem rozwiązanie za zbyt kosztowne w stosunku do korzyści, jaki może przynieść. Dopiero w lutym 1993 r., kiedy Marc Andreessen z NCSA (National Center for Supercomputing Applications) zaprezentował program Mosaic, czyli pierwszą graficzną przeglądarkę WWW działającą na komputerach osobistych, doceniono pomysł uczonego z CERN. Wkrótce też rozpoczęło się „sieciowe szaleństwo”.

To, co dziś określamy mianem WWW, miało na początku charakter *hipertekstu*, to znaczy gigantycznego zbioru dokumentów powiązanych milionami *odsyłaczy (links)*, czyli elementami dokumentu (słowo lub obraz), wyróżnionymi graficznie, od których można się przenieść do innego dokumentu znajdującego się bądź na tym samym serwerze, bądź też na jednym z milionów innych serwerów. Hipertekst wymyślił w połowie lat 60. Ted Nelsen. Rozwiązanie to miało pomóc w przeglądaniu dużych zbiorów danych komputerowych. Jednakże dopiero Tim Berners-Lee postanowił wykorzystać hipertekst do łączenia dokumentów, które publikował w Internecie razem ze swoimi kolegami, aby ułatwić między sobą współpracę.

WWW powstała zatem jako system połączonych dokumentów hipertekstowych. Natomiast strony WWW umieszczane są na podłączonych do Internetu komputerach wyposażonych w oprogramowanie dla tzw. serwera HTTP (Hypertext Transfer Protocol), który jest zbiorem reguł opisujących przekazywanie stron WWW, obowiązujących komputery. Same zaś dokumenty w WWW zapisane są w języku HTML (Hypertext Markup Language). Dziś oprócz tekstu ze stronami WWW łączone są rysunki, zdjęcia, dźwięki, zapisy video. Można je „odbierać” za pomocą odpowiednio rozbudowanych przeglądarek WWW. Stąd też coraz częściej słychać głosy, w dużej mierze uzasadnione, mówiące, że WWW nie są już tylko systemami hipertekstowymi, ale są one systemami hipermedialnymi.

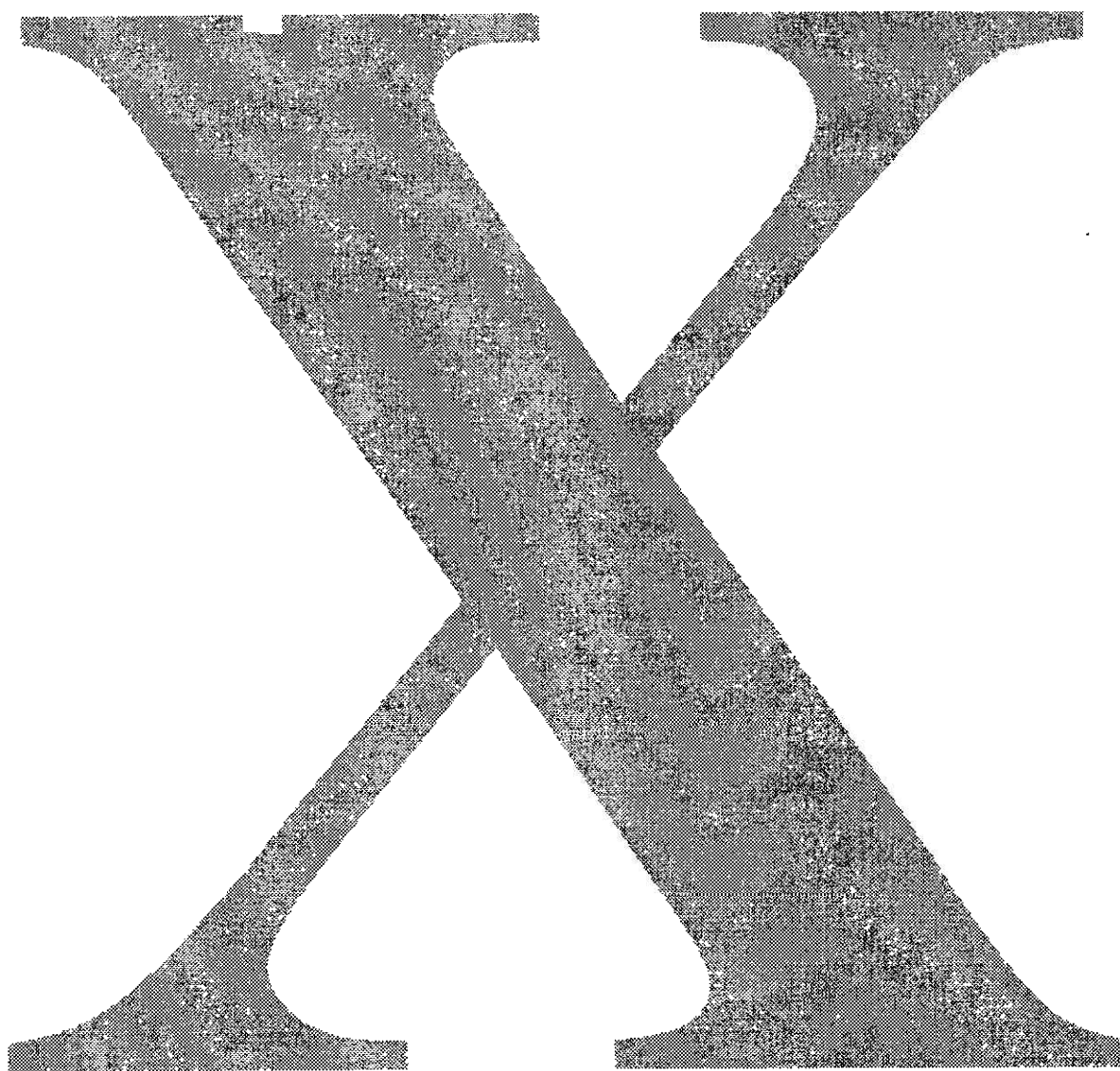
Powiedziano, że *Ogólnoświatowa Pajęczyna* rozślawiła Internet. Jest to prawdą. Ale prawdą jest też to, że WWW stała się przyczyną zmartwień wielu użytkowników Internetu. Albowiem Internet, który powstał po to, aby usprawnić wymianę danych pomiędzy badaczami z ośrodków akademickich i wojskowych, ulega błyskawicznej ko-

mercjalizacji. W momencie, w którym Sieć odkryły firmy komercyjne, idea wolnej od pieniądza, demokratycznej cyberprzestrzeni runęła w gruzy w zderzeniu z rzeczywistością. Serwisy WWW utrzymują się z banerów reklamowych, które spowalniają ruch w sieci. Większość internautów poszukuje też raczej stron rozrywkowych niż informacji. A tworzone przez nich strony cechuje zupełny brak znajomości „netykiety”. Stąd też nierzadko wypełnione są one zdjęciami pornograficznymi i nielegalnie rozpowszechnianą muzyką swoich ulubionych zespołów i wykonawców. Skrzynki pocztowe i grupy dyskusyjne zapychane są „spamem”, a hackerzy czują się coraz bardziej bezkarni.

Amerykańscy naukowcy zdając sobie sprawę, że nierealne są jakiekolwiek próby odgórnego sterowania siecią, i że istniejące łącza stają się zbyt ograniczone dla tak wielkiej liczby użytkowników (obecnie ok. 200 mln ludzi korzysta z sieci), postanowili... zbudować Internet 2. Ale jest to już inna historia.

**„Scriptores Scholarum” możesz kupić w całej Polsce w księgarniach
Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki (EMPiK):**

1. Białystok;
 - *ul. Sienkiewicza 3*
2. Bytom;
 - *ul. Dworcowa 32*
3. Czeladź;
 - *ul. Będzińska 61*
4. Chełm;
 - *ul. Lubelska 61*
5. Częstochowa;
 - *ul. Najświętszej Marii Panny 63/65*
6. Elbląg;
 - *ul. 1 Maja 37*
7. Chorzów;
 - *ul. Wolności 26*
8. Gdańsk;
 - *ul. Długi Targ 26-29*
9. Gdynia;
 - *ul. Świętojańska 68*
10. Gliwice;
 - *ul. Rynek 4/5*
11. Gniezno;
 - *ul. B. Chrobrego 11*
12. Gorzów Wielkopolski;
 - *ul. Sikorskiego 126/128*
13. Kalisz;
 - *Rynek Główny 18*
14. Katowice;
 - *ul. P. Skargi 6*
15. Kielce;
 - *ul. Warszawska 5*
16. Koszalin
 - *ul. Zwycięstwa 106/108*
17. Kraków;
 - *ul. Bora Komorowskiego 37*
18. Legnica;
 - *ul. Rynek 33*
19. Lublin;
 - *ul. Krakowskie Przedmieście 59;*
 - *ul. Armii Krajowej 25*
20. Łódź;
 - *ul. Narutowicza 8/10;*
 - *ul. Piotrkowska 51*
21. Nowy Sącz;
 - *ul. Rynek 17*
22. Olsztyn;
 - *ul. 1 Maja 17*
23. Opole;
 - *ul. Czimaska2*
24. Ostrów Wielkopolski;
 - *ul. Kolejowa 24b*
25. Płock;
 - *Pl. Narutowicza 5*
26. Poznań;
 - *ul. Ratajczaka 44*
27. Racibórz;
 - *ul. Rynek 5*
28. Rybnik;
 - *ul. Sobieskiego 18*
29. Słupsk;
 - *ul. Stary Rynek 6*
30. Sopot;
 - *ul. Boh. Monte Cassino 57/59*
31. Sosnowiec;
 - *ul. Małachowskiego 2*
32. Szczecin;
 - *Al. Wojska Polskiego 2*
33. Świnoujście;
 - *ul. Armii Krajowej 8*
34. Toruń;
 - *ul. Wąlskie Garbary 15*
35. Wałbrzych;
 - *Al. Wyzwolenia 2*
36. Warszawa;
 - *Al. Zjednoczenia 25;*
 - *ul. Jagiellońska 15;*
 - *ul. Marszałkowska 116/122;*
 - *ul. Mickiewicza 27;*
 - *ul. Nowy Świat 15/17*
37. Włocławek;
 - *ul. Warszawska 11/13*
38. Wrocław;
 - *Pl. Kościuszki 21/23*
39. Zielona Góra;
 - *ul. Bohaterów Westerplatte 19*



Dekada w społeczeństwie

Maciej Serweta

O Unii Europejskiej pozytywnie i negatywnie

Unia w historii

Zjednoczona Europa – wielkie wyzwanie dla mieszkańców tego kontynentu. Pierwsze głosy (świadomie pomijam tutaj Zjazd Gnieźnieński i powstałą przy tej okazji koncepcję wspólnej Europy – dogłębna analiza korzeni idei zjednoczonej Europy to temat na oddzielne opracowanie) dotyczące budowy nowego porządku pokojowego na bazie zjednoczonej Europy pojawiły się jeszcze w czasie trwania drugiej wojny światowej w środowisku francuskiego ruchu oporu, jak i w ośrodkach emigracyjnych rządów państw wschodnioeuropejskich. Być może mało znanym faktem jest, że z inicjatywy Władysława Sikorskiego w 1942 roku, w Londynie, odbyło się spotkanie, którego głównym tematem była idea powstania „Wspólnoty Europejskiej”. Zakładała ona powstanie federacji z demokratyczną konstytucją skupiającą wszystkie państwa Europy. Szybko jednak zaniechano realizacji owej idei. Powodem był Stalin, który jednoznacznie sprzeciwiał się federacyjnej formie ustroju Europy. Zwłaszcza jeżeli chodzi o kraje środkowo i wschodnioeuropejskie. Powód jest nazbyt oczywisty. Godziłoby to w interesy Moskwy na tych terenach.

Federacyjna koncepcja Europy na nowo podjęta została przez Winstona Churchilla w 1949, kiedy 19 września w Zurichu miał postulować utworzenie Rady Europy i „*Stanów Zjednoczonych Europy*”. Niestety owa deklaracja napotkała na wiele przeszkód, z których najważniejsze to te, że Wlk. Brytania nie miała brać czynnego udziału we wcielaniu w czyn idei „Stanów Zjednoczonych Europy”, niejako zadowolona z polityki Commonwealth, oraz *special relationship* z USA. Belgia i Holandia – w obawie przed francuską dominacją, nie chciały zgodzić się na członkostwo w takowej federacji. Taki był koniec drugiej próby zjednoczenia organizmów państwowych Europy.

O ile wyżej przytoczone przeze mnie próby integracyjne bazowały raczej na jednym z ideologicznych zrębów, jakim była walka z faszyzmem, o tyle następne inicjatywy miały skromniejszy charakter i miały raczej wydźwięk międzypaństwowy. Tym nie mniej stały się ważnym przyczynkiem do powstania w 1992 roku Traktatu o Unii Europejskiej. Mam tutaj na myśli takie inicjatywy jak propozycja ministra spraw zagranicznych Francji Roberta Schumana o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, z dn. 9. 05. 1950, powołanie w 1957 roku Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, jak i Europejskiej Wspólnoty Energii Atomowej EUROATOM, czy unii celnej z 1968 roku.

8 kwietnia 1994 Polska oficjalnie składa w Atenach wniosek o przyjęcie w poczet członków Unii. Sam fakt przystąpienia do struktur UE budzi tyle samo kontrowersji, co

nadziei. Co jakiś czas w mediach pojawiają się głosy entuzjastyczne, wskazujące na szanse jakie niesie za sobą członkostwo. Pojawiają się również głosy mniej optymistyczne, które to stanowią świadectwo niepokoju pewnej części społeczeństwa.

Moim celem nie jest tu opowiadanie się za żadną stron w sporze, a jedynie próba chłodnej i merytorycznej analizy zarówno szans, jak i zagrożeń płynących z członkostwa w strukturach UE.

Unia w pozytywach

W dziedzinie gospodarki UE stawia sobie trzy zasadnicze cele. Są nimi: trwały i stabilny wzrost gospodarczy, podniesienie standardu życia obywateli, zapewnienie spójności ekonomicznej i społecznej. Inne zadania polityki gospodarczej UE to wolna konkurencja, stabilne ceny, równowaga bilansu płatniczego, jak i solidarność gospodarcza między państwami członkowskimi. Do realizacji tych celów służyło i służy zniesienie ceł i innych ograniczeń przywozowych i wywozowych, eliminacja utrudnień w przepływie towarów, osób, usług i kapitału, ujednolicanie przepisów prawnych. Istotnym elementem jest również Unia Walutowa, która znacznie ułatwi handel w obrębie Unii. Tę politykę handlową uzupełniają zasady wspólnej ochrony konkurencji. Chodzi tu o zakaz działań ograniczających konkurencję w obrębie Unii, zakaz nadużywania dominującej pozycji danej firmy na terenie rynku UE.

Pojęcie rynku wewnętrznego Unii Europejskiej cechują cztery zasady wolności:

1. *Wolność przepływu towarów* – opiera się na dostosowaniu, albo wzajemnej akceptacji norm i przepisów, zniesieniu kontroli granicznych i ujednoliceniu podatków.

2. *Wolność przepływu usług* – sprowadza się do liberalizacji i standaryzacji usług finansowych, otwarcia rynku usług transportowych i telekomunikacyjnych. Istotnym elementem tej zasady jest unifikacja metod kontroli banków i ubezpieczeń.

3. *Wolność przepływu kapitału* – opiera się na dążeniu do wspólnego rynku usług finansowych i liberalizacji obrotów papierami wartościowymi. Wymierne efekty tej wolności dla zwykłego obywatela Unii to fakt, że można swobodnie wykonywać operacje bankowe we wszystkich krajach członkowskich.

4. *Wolność ruchu osobowego* – to nie tylko turystyka, ale także prawo do pracy, życia, osiedlania się i korzystania ze wszystkich dóbr socjalnych w miejscach pobytu na terytorium całej Unii Europejskiej, bez względu na przynależność państwową.

Wszystkie te wolności mają swoje uzasadnienie w porównaniu Unii Europejskiej z innymi potęgami gospodarczymi świata, takimi jak Stany Zjednoczone Ameryki i Japonia. Dotyczy to przede wszystkim wskaźnika PKB. I tak PKB w Stanach Zjednoczonych wynosi 5992 mld. USD, w Japonii 3125 mld. USD, zaś w Unii Europejskiej 7007 mld. USD.

Ponieważ ludność Unii Europejskiej stanowi 7% ogółu mieszkańców Ziemi, a jej udział w światowej produkcji wynosi 23%, nie sposób nie wspomnieć o rolnictwie, bez którego żadne państwo na świecie nie może mówić o prawidłowym funkcjonowaniu.

Zadaniem UE jest realizacja tzw. wspólnej polityki rolnej, obejmującej zarówno rolnictwo, jak i handel produktami rolnymi, która opiera się na trzech zasadach:

1) jednoci rynkowej; ustanowienie jednolitych cen i wspólnej regulacji rynku dla wszystkich produktów rolnych;

- 2) preferencji dla unijnych produktów rolnych;
- 3) solidarności finansowej, czyli wspólnej odpowiedzialności wszystkich państw członkowskich za ponoszenie kosztów regulacji rynku rolnego i dostosowań strukturalnych.

Drugi filar to wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa.

Trzeci filar obejmuje działania z zakresu spraw wewnętrznych i wymiaru sprawiedliwości.

Wynika stąd, że – obok zadań ekonomicznych, głównymi celami są takie sprawy jak: zapewnienie bezpieczeństwa, postępu gospodarczego, postępu społecznego, oraz ochrona wolności praw i interesów obywateli. Wymienić tutaj należy instytucje, które odpowiedzialne są za realizację powyższych zadań:

1. Rada Europejska, która wytycza strategiczne cele rozwoju Unii. RE została powołana w 1974 r., jej formuła – to systematyczne spotkania szefów rządów państw zrzeszonych w Unii Europejskiej.

2. Rada Unii Europejskiej ma za zadanie stanowić prawo w Unii. Może występować w kilku postaciach, jako Rada do Spraw Ogólnych, albo Rada Specjalna. Oprócz tego Rada Unii ustala i nadzoruje politykę wewnętrzną i zewnętrzną UE.

3. Komisja Europejska znana także pod nazwą „strażnik traktatów”. Jej kompetencje to prawo inicjatywy ustawodawczej, reprezentowanie interesów oraz działań Unii Europejskiej, kontrola stosowania prawa wspólnotowego, realizacja postanowień zawartych w aktach prawnych i traktatach. Obecnie liczy 20 komisarzy.

4. Parlament Europejski – uczestniczy w procesie decyzyjnym, oraz ma uprawnienia dotyczące uchwalania budżetu, przyjmowania nowych członków, jak i zatwierdzania układów. Jest organem kontrolnym Komisji Europejskiej. Ustanawia tymczasowe Komitety Dochodzeniowe. Za jego pośrednictwem wybiera się rzecznika praw obywatelskich. Obecnie liczy 626 deputowanych.

Oprócz celów i zadań gospodarczych, jakie stawia sobie Unia Europejska, istnieje jeszcze szereg propozycji skierowanych do młodego pokolenia zamieszkującego obszar Europy. Najważniejsze z nich dotyczą propozycji kształcenia młodych ludzi, obejmujące szkolnictwo wyższe (ERASMUS), szkoły ponadpodstawowe, podstawowe, a nawet przedszkola (COMENIUS).

ERASMUS – obejmuje szkolnictwo wyższe, koordynuje współpracę między uczelniami UE. Polega on na promowaniu europejskiego wymiaru szkolnictwa poprzez wymianę studentów i nauczycieli akademickich, stypendia dla studentów, system zaliczania okresu studiów odbytego w innym kraju, wspólne opracowywanie programów nauczania, zawiązanie europejskiej sieci współpracy pomiędzy uczelniami, w ramach których uczelnie będą mogły prowadzić działalność informacyjną.

COMENIUS – realizowany na poziomie przedszkoli, szkół podstawowych, oraz szkół średnich wszystkich typów. Program ten promuje hasło „Europy w szkole”. Program ten nastawiony jest na zawieranie partnerskich porozumień przez szkoły i przedszkola w celu realizacji różnych przedsięwzięć edukacyjnych.

LINGUA – jego zadaniem jest promowanie nauczania języków obcych. Zadaniem programu jest podnoszenie poziomu znajomości języków UE, jak również innych języków o mniejszym zasięgu.

ODL (Open and Distance Learning) – poświęcony zastosowaniu nowych środków w dziedzinie nauczania. Daje on możliwość kształcenia na odległość. Szczególnie polecany jest osobom, które z powodu sytuacji społeczno-zawodowej nie miały dostępu do systemu edukacji, lub miały go w dość ograniczonym stopniu.

ADULT EDUCATION – promuje kształcenie dorosłych w ramach tzw. „kształcenia ustawicznego”.

ARION – obejmuje wizyty studyjne przeznaczone dla osób odpowiedzialnych za kierowanie, ocenę oraz organizację edukacji – przedstawiciele ministerstwa, kuratoriów oraz organów niższych szczebli. Wyjazdy takie trwają przeważnie jeden dzień i mają za zadanie umożliwić ich uczestnikom wymianę informacji oraz doświadczeń.

Oprócz tych programów głównym hasłem mającym na celu pozyskanie młodzieży dla idei UE jest „Europa bez granic”. Chodzi tu o możliwość swobodnego przemieszczania się młodych ludzi po całej Europie, bez niepotrzebnego stania na granicach i problemów natury biurokratycznej.

Tak przedstawiają się perspektywy dla potencjalnych członków struktur UE. Ale istnieją także negatywy, których nie sposób jest nie zauważyć.

Unia w negatywach

Wraz z przybliżającą się perspektywą wstąpienia naszego kraju do Unii Europejskiej rosną obawy Polaków przed wchłonięciem naszego kraju w „tryby” Unii. Wątpliwości budzi także przerażająca biurokracja, która cechuje struktury Unii Europejskiej. Głośno było swego czasu o tak zwanych standardowych rozmiarach muszli klozetowych mających obowiązywać w krajach UE, czemu mocno sprzeciwiała się Wielka Brytania. Absurdem jest też sztuczne wyznaczanie wymiarów pietruszki, która może być dopuszczona do handlu w krajach Unii. Należy także zastanowić się, czy cztery zasady wolności gospodarczej są faktycznie zasadami wolności, czy też zasadami zniewolenia, pod dyktando biurokratów z Brukseli.

Niepokojąca jest dla nas wspólna polityka rolna. Założenie jej jest następujące: jeżeli jakieś państwo staje się nadproduktywne, natychmiast wchodzi w życie zarządzenie o 15-20 procentowym odłogu ziemi. Oznacza to, że olbrzymia część gospodarstw rolnych nie będzie produkować nic. Polska już dzisiaj produkuje olbrzymie ilości żywności...

Środkiem kontroli odłogów są ponoć dwa satelity o nazwie Spot i Lansat. Z nich Bruksela czerpie informacje o faktycznym stanie respektowania przez sygnatariuszy Traktatu z Maastricht w dziedzinie rolnictwa.

Skutki dla Polski mogą być następujące: zwiększone bezrobocie, migracja ludzi ze wsi do miast, wzrost bezrobocia, frustracji, a co za tym idzie przestępczości i narkomanii itd.

A jeżeli jesteśmy już przy narkomanii, to „dzięki” realizacji hasła „Europa bez granic”, w 1993 roku przepływ narkotyków przez granicę Francji wzrósł o następujące liczby:

heroína – 49%

ecstasy – 1000%

W lutym 1995 wartości wzrosły w stosunku do roku 1993 o:

heroína –40%

ecstasy –72%
kokaina –140%
crack –173%
haszysz – 125%

Przyczyna? Otwarcie wewnętrznych granic.

Kwestią zastanawiającą jest też fakt, iż mimo deklaracyjnych wypowiedzi ze strony Brukseli na temat naszego rychłego wejścia w struktury UE, przeznaczają się ogromne dotacje na uszczelnienie naszej zachodniej granicy. To w końcu chcą nas w tej Unii, czy nie?

Wszystkie te pytania odnoszą się do sfery ekonomicznej. Jednakże rzadko kiedy padają pytania o naturę etyczną Unii Europejskiej. Kraje, będące bezpośrednimi spadkobiercami Św. Tomasza i Św. Augustyna legalizują homoseksualne związki i inne zbrocenia. Żywo mamy w pamięci antypapieską demonstrację homoseksualistów podczas jego wizyty w Niemczech. Czy ten ideał moralności nam odpowiada? W dyskusji nad tym problemem zadano mi pytanie, dlaczego uważam ów „ideał moralności” za reprezentatywny w UE. Wszak istnieje we Francji wspólnota z Taize. Poza tym to nie jest kwestia moralności Unii, a krajów które ją tworzą. Odpowiadając na te zarzuty pragnę podkreślić, że właśnie kraje tworzące Unię budują jej wizerunek, który skrótowo można scharakteryzować jako niezgodny z zasadami chrześcijaństwa. Bo jak inaczej nazwać przyzwolenie na aborcję, czy eutanazję (Holandia)?

Co w takim razie możemy wnieść do Unii Europejskiej? Na pewno będą to wartości moralne i etyczne, które przez ostatnie dziesięciolecia straciły na Zachodzie na znaczeniu, a w naszym kraju – dzięki Bogu nie zostały wykorzenione. Dodatkowo umacnia mnie w tym stanowisku fakt, że Ojciec Święty jest gorącym zwolennikiem Unii. Ponadto mam nadzieję, że zostanie na nowo przypomniana chrześcijańska Tradycja. Tradycja – we właściwym tego słowa znaczeniu.

A tak w ogóle, to czy Polska nie leży w Europie, i czy w ramach struktur Unii na pewno musimy udowadniać naszą wartość?

Literatura:

1. *Materiały informacyjne Komitetu Integracji Europejskiej*, oprac. Z. Czachor, Warszawa 1997.
2. F. Emmert, M. Morawiecki *Prawo europejskie*, Warszawa 1999.
3. *Narodowe Forum Integracji Europejskiej*, red. J. Borkowski, A. Budzyński, Warszawa 1998.
4. Tietmeyer *Europäische Union und Politische Union das Modell mehrerer Geschwindigkeiten*, EA 1995.

Kto się boi konkordatu ?

8 stycznia 1998 r. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił ustawę upoważniającą Prezydenta RP do ratyfikacji konkordatu – międzynarodowej umowy zawartej pomiędzy Polską a Stolicą Apostolską. Dokument reguluje m. in. kwestię autonomii Kościoła Rzymskokatolickiego i państwa, zasady tolerancji. Zgodnie z umową – na przykład – rzymskokatolicki ślub kościelny będzie miał takie same skutki prawne co ślub cywilny. Konkordat nie reguluje stosunków finansowych między Kościołem Rzymskokatolickim a państwem.

Umowa między Stolicą Apostolską a Rzeczpospolitą Polską została wynegocjowana i podpisana 28 lipca 1993 r. przez rząd Hanny Suchockiej. Od tego dnia trwały parlamentarne (i nie tylko) spory wokół jej ratyfikacji. Posłowie opowiadający się za ratyfikacją konkordatu twierdzili m. in., że:

Wymaga tego polska racja stanu. Podpisanie konkordatu podniesie rangę naszego kraju na arenie międzynarodowej, gdyż pontyfikat Jana Pawła II stanowi najlepsze zabezpieczenie dla polskich interesów w świecie.

Umowa ze Stolicą Apostolską będzie wyrazem wdzięczności wobec papieża-Polaka, który swą postawą przyczynił się do odzyskania przez Polskę suwerenności.

Konkordat będzie wyrazem docenienia roli Kościoła Rzymskokatolickiego w oporze przeciw nieludzkemu systemowi i w przełamaniu tego systemu w Polsce. Będzie zadostuczynieniem za krzywdy i prześladowania, których Kościół Rzymskokatolicki doznawał w czasach PRL-u ze strony ówczesnych władz politycznych.

Konkordat stanowi podstawę do stabilnego uregulowania stosunków między państwem a Kościołem Rzymskokatolickim w Polsce. Podpisanie umowy ze Stolicą Apostolską da gwarancję Kościołowi Rzymskokatolickiemu w Polsce, że nie nastąpi ze strony władzy powrót do niegodziwych praktyk stosowanych w okresie PRL-u.

Kościół Rzymskokatolicki jest najbardziej wrośniętą w życie narodu polskiego instytucją i stan ten należy usankcjonować ustawą konkordatową. Polska tradycja jest nierozwalnie związana z katolicyzmem. Jest on nieodłącznym elementem naszej rzeczywistości.

Przeciwnicy ratyfikacji odpowiadali:

Konkordat to przestarzała forma regulacji stosunków z Watykanem. Pełne konkordaty mają podpisane tylko Austria, Hiszpania, Portugalia i Włochy.

Konkordat jest niekorzystną dla naszego państwa umową międzynarodową. Sankcjonując uprzywilejowaną pozycję Kościoła Rzymskokatolickiego, umowa określa wyłącz-

nie jego prawa i rolę w Polsce, Rzeczypospolitej pozostawiając jedynie obowiązki wobec Kościoła Rzymskokatolickiego.

Ratyfikacja konkordatu pociągnie za sobą powszechne wprowadzenie nauki religii katolickiej do przedszkoli, co dodatkowo obciąży skarb państwa. Konsekwencją wprowadzenia nauczania religii w przedszkolach będzie fakt indoktrynacji katolickiej wśród najmłodszych.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej w sposób dostateczny gwarantuje wszystkim obywatelom wolność słowa, sumienia i wyznania. Nie ma dziś w Polsce znaczących sił politycznych, które uznawałyby za swój cel zamach na te niepodważalne wartości.

Konkordat stwarza różnice w uprawnieniach Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce względem pozostałych Kościołów i związków wyznaniowych. Podnosi religię katolicką do rangi religii państwowej.

Tak o konkordacie wypowiadali się politycy. Czy jednak ratyfikacja umowy między Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską będzie rzeczywiście miała wpływ na stopień tolerancji religijnej w Polsce? Odpowiedź na to pytanie jest złożona. Chociaż konkordat dotyczy wyłącznie statusu Kościoła Rzymskokatolickiego, wywoływać prawdopodobnie będzie konsekwencje w stosunku do innych wspólnot wyznaniowych w naszym kraju oraz może powodować różnicowanie położenia Kościołów i związków wyznaniowych w Polsce. Pomimo iż Art. 25. ust. 1. Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej stwierdza, że „Kościoły i inne związki wyznaniowe są równouprawnione”, to nie ma pewności w jaki sposób powyższy zapis ustawy zasadniczej realizowany będzie w praktyce. Już dzisiaj zauważyć można zarysowujący się podział Kościołów i związków wyznaniowych na cztery kategorie:

I kategoria – Kościół Rzymskokatolicki, jako Kościół większościowy, którego stosunek z państwem reguluje konkordat;

II kategoria – mniejszościowe Kościoły i związki wyznaniowe o ustawowo uregulowanej sytuacji prawnej. Należą do nich: Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny, Kościół Ewangelicko-Augsburski, Kościół Ewangelicko-Reformowany, Kościół Ewangelicko-Methodystyczny, Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, Kościół Chrześcijan Baptystów, Starokatolicki Kościół Mariawitów, Kościół Katolicki Mariawitów, Kościół Polskokatolicki, Kościół Zielonoświątkowy i Związek Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP;

III kategoria – mniejszościowe Kościoły i związki wyznaniowe uznawane w drodze administracyjnej (wpisane do rejestru Kościołów i związków wyznaniowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji). Są to m. in.: Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Kościół Wolnych Chrześcijan, Kościół Zborów Chrystusowych, Chrześcijańska Wspólnota Zielonoświątkowa, Kościół Boży w Chrystusie, Ewangeliczna Wspólnota Zielonoświątkowa;

IV kategoria – wpisane do rejestru Kościołów i związków wyznaniowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji parafie, zbory i wspólnoty niezależne, autonomiczne itp. (np. Wspólnota Chrześcijańska „Pojednanie”).

Czy różnice w położeniu prawnym między Kościołami i związkami wyznaniowymi będą się niwelować czy też pogłębiać, w dużej mierze zależy od dobrej woli wszystkich zainteresowanych stron. Jak będzie, pokaże przyszłość.

Regina Grzeszkiewicz

Antysemityzm i asymilacja

Przyczynek do najnowszej historii Żydów w Polsce

1-go marca 1998 roku w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie rozpoczęto obchody 30-tej rocznicy wydarzeń marcowych 1968 roku. Organizatorami byli Gmina Żydowska oraz Fundacja Forum Żydowskie w Polsce¹, główne uroczystości przebiegały pod hasłem „Żydowski marzec”.

Można by przejść nad tym wydarzeniem do porządku dziennego, gdyby nie fakt, że tego typu uroczystość miała miejsce po raz pierwszy w naszym kraju, po raz pierwszy też mówiono o bolesnych wydarzeniach, otwarcie potępiając tych, którzy byli bezpośrednimi sprawcami *exodusu* (powojennego) Żydów z Polski. Wydarzenia marcowe przyczyniły się do zalegalizowania antysemityzmu w Polsce powojennej².

Okres minionych 30-tu lat był dla żydowskiej społeczności w Polsce czasem wielkich przemian, czasem umacniania swojej pozycji na płaszczyźnie kultury i nauki. Ci, którzy nie wyjechali po sławetnym Marcu, potrafili zachować swoją tożsamość, wytrwać i odnaleźć swoje miejsce w naszym kraju, który uważają za ojczyznę, czują się Polakami lub polskimi Żydami, jak to określił obecny na obchodach rocznicy Marca Przewodniczący Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych Czesław Bielecki. Podkreślił, że czuje się i jest polskim Żydem, i że obydwa człony tego określenia są dla niego jednakowo ważne, ponadto dodał: „To Polacy zrobili mnie Żydem”.³

To, że antysemityzm w Polsce występuje jest rzeczą na ogół znaną, wiadomą (szereżej o tym w dalszej części tego artykułu), tylko nikt w tym momencie, a może większość z nas nie zastanawia się, jaką krzywdę moralną wyrządzają taką postawą Polacy – Żydom. Nie na miejscu byłoby pisanie o przeszłości, o wpływie kultury polskiej na żydowską, o wzajemnym współżyciu tych dwojga narodów, codzienności, która niosła ze sobą troski i kłopoty, ale cementowała wzajemną przyjaźń, pomagała przetrwać ...

Jest w tym wszystkim, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich 10-ciu lat, pewien fenomen. Społeczność żydowska tak nieliczna w ponad trzydziestomilionowym państwie polskim (ostatnie badania COBS-u wykazały, że w Polsce żyje ok. 7000 Żydów)⁴ żyje swoim życiem, prowadzi działalność kulturalną, oświatową, ratuje zabytki kultury materialnej swo-

¹ W. Susid, *30 lat po marcowym szoku*, „Dos Jidisze Wort”, 20.03.1998, s. 6.

² F. Tych, *Kilka uwag historyka o marcu 1968*, Ibidem, s. 5.

³ Ibidem.

⁴ Kronika, „Dos Jidisze Wort”, 22.10.1999, s. 2.

ich przodków, prowadzi ożywioną współpracę z polskimi środowiskami artystycznymi, kulturalnymi, propaguje własne tradycje, swój wieloletni duchowy i artystyczny dorobek. Ten wzrost i rozwój nie jest bezbolesny. Ludzie ci mają świadomość, że są inni, wyobcowani i chyba to cementuje ich żydowskość, ich poczucie godności osobistej, narodowej.

Wspomniałam wcześniej o zmianach, jakie ostatnia dekada wniosła w życie tej społeczności. Do najbardziej istotnych, należy niewątpliwie reaktywowanie Żydowskiej Gminy w Warszawie (październik 1997 rok). Środowisko warszawskich Żydów jest dość liczne, jego działalność w pewien sposób emanuje na inne miasta polskie, gdzie znajdują się skupiska ludności żydowskiej.

Gmina warszawska jest gminą liberalną, otwartą na współpracę z chrześcijanami, natomiast synagoga jest ortodoksyjna. Dotychczas nierozwiązanym problemem (stan na grudzień 1999 rok) jest znalezienie rabina, który potrafiłby pogodzić obowiązki duchowego przywódcy w gminie liberalnej i funkcje religijne w synagodze ortodoksyjnej. Dotychczasowy rabin Baruch Rabinowicz z powodów osobistych zrezygnował ze stanowiska rabina Warszawy z dniem 15 listopada 1999 roku⁵.

W obrębie Gminy funkcjonuje szkoła fundacji Ronalda S. Laudera – Lauder Morasha School. Kierownikiem tej liczącej się w Warszawie placówki oświatowej jest Helise Lieberman. Rzeczą godną uwagi jest fakt, że uczą się w niej nie tylko dzieci żydowskie, lecz w przeważającej większości polskie.

Dyrekcja szkoły, chcąc wyrównać poziom wiedzy reprezentowany przez poszczególnych uczniów, przygotowuje się do wprowadzenia w nowym roku szkolnym zajęć wyrównawczych. Wysokie wymagania stawiane są także kadrze nauczycielskiej. Jeden z rodziców powiedział wprost: „chciałbym wyrazić swoją radość z tego, że w Polsce powstała szkoła o takim przesłaniu, a mój syn ma szczęście być uczniem tej szkoły. Po raz pierwszy bowiem poznałem szkołę, za którą uczniowie tęsknią i przychodzą do niej z prawdziwą radością”⁶.

Fundacja Laudera poza działalnością oświatową zajmuje się także finansowaniem i organizacją imprez kulturalnych czy uroczystości związanych z obchodami świąt (Rosh ha Szana, Chanuka).

We wrześniu 1999 roku była współorganizatorem (razem z Gminą Warszawską) spotkania noworocznego w Klubie Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce (TSKŻ). Wśród uczestników tak ważnego w żydowskiej tradycji święta, jakim jest Nowy Rok, znaleźli się także członkowie Łódzkiego Oddziału TSKŻ.

Łódź jest kolejnym (po Warszawie) prężnie działającym ośrodkiem kultury żydowskiej. Istnieje tutaj Gmina Wyznaniowa, sekretarzem której jest Simcha Keller. W Łodzi znajduje się jeden z lepiej zachowanych w Europie cmentarzy żydowskich – patronat nad jego renowacją objęła Fundacja Monumentum Iudaicum Lodzense, której przewodniczy były mieszkaniec łódzkiego getta – znany pisarz Arnold Mostowicz.

Ze społecznością Żydów łódzkich współpracuje wybitny polski tenisista – Wojciech Fibak. To z jego inicjatywy (bo jak twierdzi czuje szczególny sentyment do Łodzi – „tutaj przed laty zdobyłem mistrzostwo Polski na kortach tenisowych ...), jestem związany uczu-

⁵ „Midrasz” 1999, nr 12, s. 31.

⁶ A. Wertyński, *List do Redakcji*, „Midrasz” 1999, nr 1, s. 4.

ciowo z Łodzią przez znajomość z wybitnymi artystami, którzy wywodzili się z tego miasta ...”⁷) 23 października 1998 roku otwarto w Muzeum Miasta Łodzi wystawę „Ecole de Paris. Artyści żydowscy z Polski w kolekcji Wojciecha Fibaka”.

Patronat nad wystawą objął prezydent Łodzi – Marek Czekalski. Sam kolekcjoner powiedział – „Łódź jest drugim miastem po Krakowie, gdzie pokazuję swoją kolekcję malarzy żydowskich z Polski. Do tego, ze względu na swoje wielowiekowe tradycje żydowskie jest wyjątkowo predestynowana”⁸.

Wspominając o Łodzi nie można pominąć Łódzkiej Oficyny Bibliofilów (w roku 1999 obchodziła 10-lecie swego istnienia). Kierowana przez Marka Szukalaka jest jedyną w swoim rodzaju oficyną, znaną nie tylko w Polsce, ale „w Izraelu i na wszystkich kontynentach, gdzie zamieszkuje diaspora żydowska”⁹.

Już ten pobieżny przegląd wydarzeń obejmujących ostatnią dekadą wskazuje na wiele istotnych zmian, jakie miały miejsce w życiu społeczno-kulturalnym Żydów zamieszkujących w naszym kraju.

Nasuwa się w tym momencie spostrzeżenie, iż Żydzi czują się dobrze w przybranej ojczyźnie, odnaleźli w niej swoje miejsce. Z pewnością społeczeństwo polskie (zwłaszcza młodzież i ludzie w średnim wieku) dojrzało emocjonalnie i duchowo do zgodnego z Żydami współżycia. Wyrazem takiej wzajemnej akceptacji i wzajemnego uczenia się o sobie są różnego rodzaju spotkania, imprezy kulturalne, spotkania ekumeniczne zarówno o zasięgu lokalnym (Warszawa, Łódź, Lublin), jak i o zasięgu ogólnokrajowym. Tutaj należy wymienić organizowane od 1990 roku Festiwale Kultury Żydowskiej w Krakowie (na Kazimierzu), gdzie ściągają tłumy nie tylko Żydów z Polski, Izraela czy diaspory w ogóle, ale w dużej mierze i Polacy, a przede wszystkim młodzież. Wspólna zabawa, śpiew cementują, rodzą przyjaźń, budzą zainteresowanie specyficzną i fascynującą kulturą żydowską i jej podłożem religijnym jakim jest judaizm.

Nie sposób pominąć w tym miejscu osoby Jana Pawła II, który robi wszystko co w jego mocy, by zbliżyć oba narody: polski i żydowski, przybliżyć wartości judaistyczne w Kościele Katolickim, odkryć ich znaczenie w rozwoju chrześcijaństwa. Przykładem tego są obchody Dni Judaizmu w Kościele rzymskokatolickim. Po raz pierwszy celebrowano je w roku 1998 – główne obchody miały miejsce w Warszawie.

Utrwalanie się tej nowej tradycji w Polsce jest świadectwem zmian, jakie zachodzą w ostatnich latach w naszym kraju, a tradycja ta „zakłada przypomnienie żydowskich korzeni chrześcijaństwa i umacnia linię dialogu chrześcijańsko-żydowskiego”¹⁰.

Wymowne znaczenie ma także wizyta Jana Pawła II na Umszlagplatzu (11 czerwca 1999 roku), gdzie modlił się w intencji narodu żydowskiego:

*Boże Abrahama,
Boże Jezusa Chrystusa,
w Tobie zawarte jest wszystko,*

⁷ J. Kozłowski, *Artyści żydowscy na wystawie w Pałacu Poznańskim*, „Dos Jidisze Wort”, 11 –25.12.1998, s. 22-23.

⁸ Ibidem.

⁹ „Dos Jidisze Wort”, 3.12.1999, s. 22.

¹⁰ A. Rok, (od redaktora), „Dos Jidisze Wort”, 22.01.1999, s. 3.

*Do Ciebie zmierza wszystko,
Ty jesteś kresem wszystkiego.*

Cień na tak mile i dobre wydarzenia w życiu polskich Żydów kładą, mocno zakorzenione w Polsce, tendencje antyjudajstyczne czy wręcz antysemityzm.

Zjawisko to zwłaszcza w ostatnich latach jest coraz bardziej niepokojące. Do roli zagorzałych antysemitów pretendują członkowie Narodowego Odrodzenia Polski, ich propagandowe publikacje potępiające wszystko co żydowskie, drukowane są w miesięczniku „Szczerebiec”.

Jeden z autorów próbuje przekonać Czytelników o tym, że wszelkiemu złu, jakie miało miejsce na przestrzeni dziejów, winni są Żydzi, i to oni, jako niewidzialna, rozprzestrzeniona nie tylko w Polsce, lecz na całym świecie siła, dążą do rządzenia światem: „... kiedy w 70 roku po narodzeniu Chrystusa Tytus obrócił w perzynę Jerozolimę, tłumiąc wybuchłe tam powstanie, Rzym zlikwidował państwo żydowskie, a samych Żydów, tych ocalałych z pogromu, rozwieszono – w ramach represji – po całym Imperium. Przy tym Rzymianie nie wiedzieli, że tak czyniąc wypełnili sekretne życzenie wodzów Izraela, którym chodziło właśnie o to, by «lud wybrany» zmusić do masowego wejścia w inne ludy. W ten sposób – będąc wszędzie – mogli Żydzi prowadzić najskuteczniej wojnę o materialne oraz duchowe panowanie nad ludzkością ...”¹¹.

Można by po przeczytaniu tego stwierdzenia zastanowić się, czy warto z autorem polemizować. Dyskusja ta z pewnością nie przekonałaby go do zmiany poglądów. Jednak inny fakt przemawia właśnie na korzyść Żydów. Nasze polsko-żydowskie współżycie od czasów głęboko historycznych (XIII w) aż do dziś wykazało niezłomność, iż te dwa narody potrafią w pokoju, zgodzie kulturalnie budować podstawy swej egzystencji, współpracować, żyć obok siebie, nie wadząc sobie zupełnie.

Na zakończenie chciałabym wspomnieć o wyrastającej pod boki „Szczerebca” konkurencji. Jest nią Wydawnictwo Narodowe specjalizujące się w „pisaniu o sprawach, o których inni boją się pomyśleć.” Staraniem tego Wydawnictwa ukazały się ostatnio na polskim rynku: „Mity holokaustu”, gdzie mówi się wprost, że Holocaust to ... brednie, a w „Protokołach mędrców Syjonu” – rzekomo wtajemniczony mędrzec żydowski, próbuje na kilkudziesięciu stronach wprowadzić Czytelnika w tajne zamiary podboju świata przez Żydów!

Ostatnio jest w sprzedaży „Masoneria, czyli żydowskie zagrożenie dla świata”. Leszek Bubel, autor tego opracowania, posunął się tak daleko w swojej gorliwości, że prześledził losy wolnomularstwa (masonerii) i doszukał się w jego historii i w przesłaniu elementów na wskroś żydowskich. „Masoneria jest jedną z najpotężniejszych na świecie organizacji, która służy Żydom w ich zbrodniczym dążeniu do zniszczenia narodów chrześcijańskich, Kościoła Chrystusowego i oddania władzy nad światem w ręce Izraela”.

Oto przyczynek do najnowszej historii Żydów w Polsce (1989-1999) – antysemityzm i asymilacja.

¹¹ T. Zieliński, *Niewidzialne Imperium*, „Szczerebiec” 1999, nr 8-10.

10-lecie

Dekada w kulturze

Dekada odchodzących

Twórcy kultury zmarli w latach 1989-1999

Poniżej prezentujemy listę twórców kultury zmarłych w dekadzie 1989-1999.

Intencją autorów jest pobudzenie do refleksji nad udziałem tych postaci w kulturze i historii mijającego wieku.

Lista nie zawiera wszystkich zmarłych twórców i naukowców, lecz jedynie tych, którzy z różnych względów wyróżniali się. Krótkie biogramy pozwalają dostrzec wagę ich dorobku i powód prezentacji.

1989:

- 25 IX – o. Bernard Turowicz (Andrzej Turowicz), benedyktyn, matematyk. Absolwent UJ. Wykładał na Uniwersytetach Lwowa i Krakowa. Profesor w Instytucie Matematyki PAN. Członek Polskiego Towarzystwa Naukowego.
- 11 XI – Konrad Górski, uczony i pedagog. Wieloletni prezes Klubu Inteligencji Katolickiej w Toruniu. Autor książki o historii duchowości w Polsce.
- 23 XII – Aniela Steinbergowa, znany obrońca więźniów politycznych z czasów PRL-u. Członek KOR-u.
- 24 XII – Jan Białostocki, wybitny historyk sztuki.

1990:

- 12 I – Zygmunt Hübner, reżyser i aktor.
- 25 I – Ava Gardner, wybitna aktorka.
- 7 II – Adam Stanisławski, senator ziemi lubelskiej, socjolog, wykładowca KUL i Towarzystwa Kursów Naukowych. Wybitny pedagog. Uczestnik powstania warszawskiego (żołnierz AK, pułk „Basztą”). Więziony po wojnie.
- luty – Jean-Michel Basquiat i Keith Haring, najgłośniejsi malarze lat 80.
- 20 II – Gottold Rhode, historyk. Autor „Dziejów Polski”, „Dziejów Pomorza”.
- 27 II – Henryk Wereszecki, historyk, żołnierz legionów. Autor „Pod berłem Habsburgów”.
- 5 III – Klemens Szaniawski, logik, filozof, pedagog. Długoletni prezes Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.
- 8 IV – Konrad Górski, historyk literatury, mickiewiczolog.
- 15 IV – Greta Garbo, wybitna aktorka.

- maj – Wiedokt Jerofiejewicz, autor „Moskwa-Pietuszki”.
- 15 VI – Ryszard Cieślak, aktor, współtwórca „Teatru Laboratorium”.
- 18 VII – Andre Chastel, historyk sztuki.
- 25 VII – płk. inż. Antoni Sawojca, ostatni członek Komendy Głównej AK.
- 3 VIII – Norbert Elias, socjolog. Autor „Über den Prezes der Zivilisation” (1937).
- 10 VIII – Władysław Orlicz, matematyk. Profesor uniwersytetów: lwowskiego i poznańskiego.
- wrzesień – Mieczysław Fogg, piosenkarz. Wykonawca słynnych utworów: „To ostatnia niedziela”, „Jeszcze nie”, „Piosenka o mojej Warszawie”.
- 9 IX – w ZSRR zamordowano o. Aleksandra Mienia, duchownego prawosławnego pochodzenia żydowskiego. Duszpasterz dysydenckiej inteligencji. Charyzmatyczny kapłan Cerkwii rosyjskiej.
- 12 IX – Irena Eichlerówna, wybitna aktorka dramatyczna. Sławę przyniosły jej role w „Marii Stuart”, „Balladynie”.
- 19 IX – Wacław Solski (Wacław Jan Pański), prozaik. Autor opowiadań i wspomnień będących świadectwem rewolucji październikowej, okresu dwudziestolecia międzywojennego, czasu emigracji.
- 26 IX – Alberto Moravia, pisarz. Autor m.in. „Rzymianki”, „Pogardy”, „Nieposłuszeństwa”.
- 30 IX – Sydney Patrick White, pisarz. Laureat Nagrody Nobla (1973).
- 14 X – Leonard Bernstein, dyrygent, kompozytor. Dyrygował największymi symfonicznymi orkiestrami świata. Twórca „West Side Story”.
- 30 X – gen. Adam Uziembło, logik. Prezes Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej w latach 70.
- 28 XI – kard. Władysław Rubin, współpracownik papieża. Duszpasterz emigracji polskiej. Żołnierz II Korpusu gen. Andersa.
- 8 XII – Tadeusz Kantor, jeden z najwybitniejszych polskich artystów XX wieku. Twórca teatru Cricot 2, gdzie wystawił m.in. „Umarłą klasę”, „Wielopole, Wielopole”, „Niech szczegną artyści”, „Dziś są moje urodziny” (spektakl nieukończony).

1991:

- 4 I – Stefan Żółkiewski, polonista. Pracownik Uniwersytetu Warszawskiego (usunięty w 1968 r.). Założyciel Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk.
- styczeń – Karol Sterling, historyk sztuki. Konserwator malarstwa w Luwrze (1929-1939, 1945-1961). Pracownik Metropolitan Museum of Art (1939-1945). Wykładowca New York University.
- 3 II – Zdzisław Bau, pierwszy redaktor „Orla Białego” (organu prasowego armii gen. W. Andersa). Współpracownik radia Wolna Europa i BBC.
- 15 III – Stanisław Lorentz, muzeolog, konserwator zabytków. Wykładowca uniwersytetów: wileńskiego i warszawskiego. Dyrektor Muzeum Narodowego w latach 1925-1982. Przyczynił się do odbudowy Zamku Królewskiego (jako jej inicjator i później koordynator).
- 25 III – abp Marcel Lefébvre, założyciel schizmatycznego Bractwa św. Piusa X.

- 3 IV – Graham Green, pisarz. Autor takich powieści, jak: „Nasz człowiek w Hawanie”, „Podróże z moją ciotką”.
- 4 IV – Max Frisch, dramaturg i prozaik. Autor m.in. „Homo faber”.
- 3 V – Jerzy Kosiński, pisarz. Autor m.in. „Malowanego ptaka”.
- 9 V – Rudolf Serkin, jeden z najwybitniejszych pianistów XX wieku.
- 18 V – Janusz Eysmont, malarz.
- 8 VII – Stefan Treugutt, literaturoznawca, teatrolog. Autor monografii o twórczości Słowackiego i Krasińskiego.
- 7 VIII – Kalina Jędrusik, aktorka dramatyczna.
- 10 VIII – Tadeusz Nowak, powieściopisarz i poeta. Autor m.in. „A jak królem, a jak katem będziesz”.
- 31 VIII – w Miednoje pod Twerem odbył się symboliczny pogrzeb 6295 polskich jeńców Ostaszkowa, zamordowanych w kwietniu 1940 r. przez NKWD.
- sierpień – Jerzy Kumaniecki, historyk. Autor pracy „Stosunki Rzeczypospolitej z Państwem Radzieckim 1918-1943”.
- 10 IX – Jan Józef Lipski, historyk literatury. Żołnierz AK (uczestnik powstania warszawskiego). Członek Klubu Krzywego Koła. Współautor „Listu 34”. Współtwórca KOR i KSS-KOR. Działacz „Solidarności”. Prześladowany z powodów politycznych w PRL-u (wielokrotnie więziony). Przewodniczący Rady Naczelnej PPS. Senator III RP.
- 12 IX – Feliks Konarski, autor „Czerwonych maków”.
- 27 IX – Stefan Kisielewski, pisarz, kompozytor, publicysta, polityk. Twórca czterech symfonii i pieśni do poezji Gałczyńskiego. Autor felietonów zamieszczanych w „Tygodniku Powszechnym” i książek (część z nich opublikowana pod pseudonimami: Teodor Klon lub Tomasz Staliński).
- 27 IX – Eryk Lipiński, grafik, karykaturzysta.
- 9 X – Andrzej Gorczyński, architekt. Współtwórca piramidy w Luwrze.
- 19 X – ks. Jan Zieja, przed wojną działacz „Wici”. Uczestnik wojny polsko-sowieckiej 1920 r. i II wojny światowej (jako kapelan Batalionów Chłopskich, Komendy Głównej AK, Szarych Szeregów). Po wojnie duszpasterz na tzw. Ziemiach Zachodnich (m.in. założyciel Domu Samotnej Matki w Słupsku). Członek-założyciel KOR-u.
- 27 X – Andrzej Panufnik, kompozytor i dyrygent. Twórca 10 symfonii, 3 kantat, 3 koncertów. Od 1954 r. na emigracji. W 1991 r. królowa Elżbieta II nadała mu tytuł szlachecki.
- 3 XI – Roman Wilhelmi, aktor teatralny i filmowy.
- 9 XI – Yves Montand, aktor i piosenkarz francuski.
- 14 XII – Friedrich Dürrenmatt, dramaturg i powieściopisarz szwajcarski. Autor m.in. „Wizyty starszej pani” i „Fizyków”.

1992:

- 22 .II – Tadeusz Łomnicki, wybitny aktor sceny polskiej.
- 27 II – Algirdas Julien Greimas, lingwista, semiotyk.
- 23 III – Friedrich August von Hayek, ekonomista.

- 27 IV – Olivier Messiaen, jeden z najwybitniejszych kompozytorów XX wieku. Twórca własnego języka muzycznego. Autor „Kantaty na koniec wieku”.
- 28 IV – Francis Bacon, wybitny malarz. Twórca cyklu „Van Gogh”.
- 2 V – Stefan Kieniewicz, wybitny historyk. Profesor UW, członek rzeczywisty PAN. Autor opracowań dotyczących XIX wiecznej historii Polski. Przewodniczący Komitetu Nauk Historycznych. Redaktor naczelny „Przeglądu Historycznego” (przez blisko 40 lat).
- 6 V – Marlena Dietrich, legendarna piosenkarka i aktorka.
- 4 VIII – kard. František Tomašek, do 1991 r. prymas Czech.
- 12 VIII – John Cage, kompozytor i pianista. Innowator muzyki, twórca m.in. utworu pt. „4 min. 30 sek.” – skandalu muzycznego lat 50.
- 7 X – prof. Allan Bloom, filozof. Autor m.in. „The Closing of the American Mind”.
- 9 XI – Hanna Skarżanka, aktorka teatralna i filmowa.
- 11 XI – Stanisław Hartman, matematyk. Współpracownik KOR, współzałożyciel Towarzystwa Kursów Naukowych.
- 28 XI – Karol Teutsch, twórca i dyrygent Orkiestry Kameralnej Filharmonii Narodowej w Warszawie.
- 3 XII – Mikołaj Szumski, wieloletni redaktor „Dziennika Polskiego” i „Tygodnia”.
- 15 XII – Andrzej Zahorski, historyk. Dyrektor Wojskowego Instytutu Historycznego. Autor ponad 300 prac z historii Polski.
- 24 XII – Peyo, belgijski rysownik, twórca Smurfów.
- 27 XII – Lila Hanna Krasicka, aktorka Kantora w okupacyjnym przedstawieniu „Balladyny” i spektaklach teatru Cricot 2.

1993:

- 12 I – Józef Czapski, malarz, pisarz, publicysta. Oryginalny myśliciel związany z paryską „Kulturą” (od początku jej powstania).
- 21 I – Daniel Mróz, artysta grafik. Członek Grupy Krakowskiej.
- 9 II – Maria Rzepińska, historyk sztuki.
- 2 III – Wanda Ducka z Karpińskich, długoletni kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie.
- 3 III – Krystyna Marek, wybitny znawca prawa międzynarodowego. Pracownik Uniwersytetu w Genewie. Doktor honoris causa uniwersytetu w Lozannie. Po wojnie działaczka polskiej emigracji niepodległościowej (głównie w służbie dyplomatycznej rządu RP w Londynie).
- 16 III – Giovani Testori, pisarz, dramaturg, krytyk literacki.
- 23 III – Adam Bramberg, wydawca. Twórca Państwowego Wydawnictwa Naukowego.
- 4 IV – Maria Winowska, filozof, teolog. Pisarka i publicystka katolicka. Autorka książek publikowanych we Francji pod pseudonimem Andre Martin.
- 10 IV – Tadeusz Jędruszczak, historyk. Wieloletni dyrektor Wojskowego Instytutu Historycznego PAN.
- 20 IV – Jan Ekiert, malarz.

- 4 V – Felicja Krance, publicystka prasy emigracyjnej. Przez ponad 50 lat zaangażowana w dzieło pomocy dla Zakładu Niewidomych w Laskach.
- 7 V – w wypadku samochodowym ginie Andrzej Jarecki, satyryk i dramaturg. Dyrektor Teatru Rozmaitości (1970-1982). Od 1990 r. doradca kulturalny Ambasady RP w Waszyngtonie.
- 14 V – Andrzej Kuśniewicz, pisarz. Autor m.in. „Eroica”, „Król Obojga Sycylii”, „Na wrócenie”. W okresie międzywojennym dyplomata. Laureat nagrody im. A. Jurzykowskiego.
- 23 V – Mieczysław Horszowski, pianista. Koncertował m.in. z Ravelem, Toscaninim.
- 26 V – Jacek Gierezin (ginie w wypadku samochodowym), założyciel i redaktor niezależnego pisma literackiego „Puls” (1977-1983).
- 18 VI – Jean Cau, pisarz, publicysta. Sekretarz Sartre’a (1947-1956). Współpracownik „Temps Modernes”.
- 19 VI – Sir William Golding, pisarz, laureat Nagrody Nobla (1983) za powieść „Władca Much”. W 1988 r. królowa Elżbieta II przyznała mu tytuł szlachecki.
- 30 VII – Edward Raczyński, dyplomata, mąż stanu. Delegat Polski przy Lidze Narodów w Genewie (1932-1934). Ambasador II RP w Londynie (1934-1945). Minister Spraw Zagranicznych II RP (1941-1943). Prezydent RP na uchodźstwie (1976-1986).
- 18 X – Krzysztof Górski, historyk. Przewodniczący komitetu redakcyjnego „Materiałów do biografii, genealogii i heraldyki polskiej”, prezes Fundacji Literackiej im. Kościelskich.
- 29 X – Stanisław Marusarz, legendarny narciarz. Wielokrotny olimpijski reprezentant Polski. W czasie wojny zasłużony kurier.
- 31 X – Federico Fellini, jeden z najwybitniejszych reżyserów w historii kina. Laureat pięciu Oskarów. Twórca takich filmów, jak „La Strada” (1954), „Osiem i pół” (1963), „Amarcord” (1974).
- 30 XI – Wacław Jędrzejewicz, przedwojenny minister. Znany przede wszystkim z reformy oświaty. Założyciel i dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Yorku. Autor „Kroniki życia Józefa Piłsudskiego”.
- 12 XII – Józef Antall, uczestnik powstania węgierskiego w 1956 r. Wieloletni więzień polityczny. Założyciel Węgierskiego Forum Demokratycznego (1988). Premier Węgier od 1990 r.
- 15 XII – ks. Janusz Pasierb, teolog, poeta, eseista. Profesor ATK w Warszawie.
- 28 XII – Ludwig Perski, reżyser, dokumentalista, twórca ponad 200 filmów dokumentalnych, m.in. „Grażyna Bacewicz”, „Witold Małcużyński we wspomnieniach bliskich”, „Karol Szymanowski – impresje, wspomnienia”. Współtwórca Polskiej Kroniki Filmowej.

1994:

- 1 I – Igor Bełza, muzykolog. Popularyzator muzyki polskiej w Rosji, autor publikacji m.in. o Chopinie, Moniuszce, Szymanowskim, Karłowiczu, Ogińskim. Odnalazł i opublikował ponad 60 nieznanych utworów kompozytorów polskich z przełomu XIX i XX wieku.

- 7 II – Witold Lutosławski, kompozytor. Autor czterech symfonii, wielu utworów kameralnych, koncertów, pieśni. Członek Królewskiej Szwedzkiej Akademii Muzycznej, Deutsche Akademie Der Kunste, Royal Academy of Music w Londynie. Laureat najważniejszych nagród muzycznych: Polar Proze, Kioto Prize (odpowiednik w muzyce Nagrody Nobla). Kawaler Orderu Orła Białego.
- 20 II – Józef M. Chomiński, muzykolog, autor m.in. „Historii harmonii i kontrapunktu” oraz biografii Chopina.
- 25 II – Władysław Siła-Nowicki, adwokat. Uczestnik Kampanii Wrześniowej, żołnierz ZWZ, AK, WiN. W PRL-u więziony (czterokrotnie skazywany na karę śmierci). obrońca więźniów politycznych w PRL. Ekspert NSZZ „Solidarność” i współautor jego statutu. Doradca Lecha Wałęsy. Uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Sędzia Trybunału Stanu. Pierwszy prezes reaktywowanego Stronnictwa Pracy.
- 5 III – Jan Dobraczyński, pisarz. Autor „Najeźdźców”, „Listów do Nikodema” i in. Uczestnik kampanii wrześniowej i powstania warszawskiego. Przed wojną działacz Stronnictwa Narodowego. Po wojnie związany z PAX. Po ingerencji komunistów, w latach 1953-1956 redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”. Od 1982 przewodniczący Rady Krajowej PRON. Odznaczony medalem „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.
- 28 III – Eugene Ionesco, dramaturg. Twórca „Łysej śpiewaczki”, „Lekcji”, „Nosorożca”. Członek Akademii Francuskiej.
- 3 V – Richard Nixon, w latach 1969-1974 prezydent USA.
- 28 V – Wilhelm Hollender, współorganizator polskiego kina powojennego. Długoletni kierownik produkcji Zespołów Filmowych i Studia Filmowego „Zodiak”.
- 2 VI – Walenty Szwajcer, odkrywca prehistorycznej osady na półwyspie Jeziora Biskupińskiego.
- 19 VI – Tadeusz Konrad, aktor Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie (przed wojną) i Warszawskiego Teatru Polskiego (po wojnie), a także aktor filmowy (grał m.in. Papkina w „Zemście”, Szlangbauma w „Lalce”).
- 21 VII – Paul Delvaux, malarz surrealista.
- 14 VIII – Elias Canetti, pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1981). Autor „Ocalałego języka”, „Masy i władzy”.
- 31 VIII – Lindsay Anderson, reżyser filmowy. Autor m.in. filmów „Sportowe życie” (1963), „Jeżeli...” (1968).
- 31 X – Sir John Pope Hannessy, historyk sztuki. Autor licznych opracowań dotyczących malarstwa Sieny, Fra Angelico, Ucello. Autor „Introduction to Italian Sculpture”, „Learning to Look”. Dyrektor British Museum (1974-1977), dyrektor działu malarstwa europejskiego Metropolitan Museum of Art w Nowym Yorku (od 1977). Wykładowca historii sztuki w New York University.
- 10 XI – Iza Lazari Pawłowska, etyk. Wieloletni kierownik Katedry Etyki Uniwersytetu Łódzkiego.
- 11 XII – gen. Stanisław Maczek, absolwent polonistyki i filozofii Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Od 1942 r. dowódca I Dywizji Pancерnej, która m.in. brała udział w wyzwolaniu Francji, Belgii i Holandii. Kawaler Orderu Orła Białego.

- 26 XII – John James Osborne, dramaturg. Autor m.in. „Miłości i gniewu”. Zapoczątkował w latach 50. i 60. ruch „Młodych-gniewnych”.

1995:

- 2 II – Andre Frossard, pisarz, publicysta. Autor m.in. wywiadu z Janem Pawłem II pt.: „Nie lękajcie się”. Tłumacz Biblii. Członek Akademii Francuskiej.
- 8 II – o. Józef Maria Bocheński, filozof, logik. Żołnierz w kampaniach 1920 r., 1939 r., pod Monte Cassino. Po wojnie profesor w Katedrze Filozofii Współczesnej we Fryburgu Szwajcarskim. Dziekan Wydziału Humanistycznego i rektor tej uczelni (1964-1966). Autor ponad 25 książek. Doktor honoris causa pięciu uczelni.
- 9 II – Massimo Pallotino, archeolog. Badacz kultury Etrusków.
- 13 II – Alberto Burri, protoplasta wielu kierunków sztuki współczesnej, od *arte povera* do *pop-art*.
- 12 VI – Lugano Arturo Benedetti-Michelangeli, jeden z najwybitniejszych wirtuozów fortepianu XX wieku.
- 20 VI – Emil M. Cioran, filozof i pisarz.
- 24 VII – Jerzy Toeplitz, historyk kina. Autor „Historii sztuki filmowej”. Współzałożyciel i rektor Łódzkiej Szkoły Filmowej.
- 31 VIII – Aleksander Bardini, aktor, reżyser, nauczyciel. Twórca pierwszej powojennej inscenizacji „Dziadów” Mickiewicza (1955).
- 5 X – Mieczysław Pszon, publicysta. Zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”. Zasłużony dla dzieła porozumienia polsko-niemieckiego.
- 4 XI – Icchak Rabin (zginął w zamachu), premier Izraela, zasłużony dla pokoju z Palestyńczykami.
- 5 XII – Gilles Deleuze, filozof. Autor m.in. „Anty-Edypa” (1972).
- 23.XII – Louis Malle, reżyser. Twórca m.in. „Winda na szafot”, „Skazy”.
- 24 XII – Stefan Wiesiatłowski, tancerz, choreograf, pedagog. Solista Baletu XX wieku Maurice’a Béjarta.
- 25 XII – Emmanuel Levinas, filozof. Uczeń Husserla i Heideggera. Autor m.in. dzieła „Totalite et infini”.

1996:

- 21 I – Roman Cieślewicz, artysta grafik. Profesor Academie Julian Ecole Superieur D'art Graphique w Paryżu.
- 28 I – Josif Brodski, poeta. Laureat Literackiej Nagrody Nobla (1987).
- 2 III – Dariusz Fikus, w latach 70. sekretarz redakcji „Polityki”. W 1981 sekretarz generalny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Od 1989 r. redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”. Pośmiertnie mianowany przez prezydenta Francji Kawalerem Orderu Literatury i Sztuki.
- 13 III – Krzysztof Kieślowski, reżyser filmowy. Twórca m.in. „Dekalogu”, „Podwójnego życia Weroniki”, „Trzech kolorów”.
- 21 III – Tadeusz Maklakiewicz, kompozytor, prezes zarządu ZAIKS.

- 24 V – Marek Rostworowski, historyk sztuki, muzeolog. Minister kultury (1991-1992). Autor głośnych wystaw: „Romantyzm i romantyczność”, „Polaków portret własny”, „Żydzi polscy”.
- 30 V – ks. Zenon Modzelewski, superior paryskiego Ośrodka Księży Pallotynów. Absolwent filozofii i polonistyki KUL. Szef wydawnictwa „Éditions du Dialogue”. Kontynuator dzieła o. Sadzika – Centrum Dialogu oo. Pallotynów w Paryżu, gdzie spotykają się artyści i intelektualiści różnych światopoglądów i religii. Przyjaciel wielu pisarzy i artystów.
- 17 VI – Thomas S. Kuhn, historyk i filozof nauki. Autor „Struktury rewolucji naukowych”.
- 8 VIII – Julian Strykowski, pisarz. Autor m.in. „Głosów z ciemności”, „Austerii”, „Snu Azrila”.
- 26 VIII – Czesław Zgorzelski, badacz twórczości i wydawca dzieł A. Mickiewicza. Absolwent Uniwersytetu im. St. Batorego w Wilnie. Wykładowca KUL. Współpracownik Wydawnictwa Ossolineum.
- 13 IX – Wiktor Woroszyński, poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Założyciel i redaktor naczelný pierwszego niezależnego pisma literackiego w bloku państw socjalistycznych „Zapis” (1977).
- 19 IX – Czesław Petelski, reżyser filmowy.
- 29 X – Marcel Carne, reżyser filmowy. Autor m.in. „Ludzi za mgłą”, „Komediantów”, uznanych w 1990 r. we Francji za najlepsze filmy stulecia.
- 2 XI – Artur Międzyrzecki, poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Od 1991 r. prezes polskiego Pen Clubu, wiceprezes Światowej Federacji Pen Clubu.
- 3 XI – Marian Plezia, filolog klasyczny, badacz literatury klasycznej i łaciny średniowiecznej. Wykładowca UJ, KUL. Pracownik naukowy w Pracowni Słownika Łaciny Średniowiecznej w Instytucie Języka PAN w Krakowie.
- 7 XII – Georges Duby, historyk mediewista. Autor m.in. „Czasu katedr”, współautor „Cywilizacji francuskiej”.
- 9 XII – Marcello Mastroianni, aktor. Wystąpił w ok. 120 filmach.

1997:

- styczeń – ks. Marian Kurdziałek, historyk filozofii, mediewista. Wykładowca KUL. Odkrył i opracował zaginione pisma Dawida z Dinant.
- 3 II – Bogumił Hrabal, pisarz. Autor „Pociągów pod specjalnym nadzorem”, „Zbyt głośnej samotności”.
- 4 II – Piotr Krakowski, architekt, historyk sztuki. Członek PAU. Współtwórca „Grupy Krakowskiej”.
- 7 III – Agnieszka Osiecka, poetka.
- 10 III – Władysław Kunaszkiewicz, sławista, badacz staropolszczyzny. Pracownik KUL i Uniwersytetu Wrocławskiego.
- 16 III – Victor Vasarely, malarz i przedstawiciel „Sztuki optycznej” lat 60-tych.
- 30 III – Tadeusz Żewczykowski, historyk, publicysta, żołnierz AK. Szef Wydziału Propagandy w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK w powstaniu warszawskim. Wicedyrektor Radia Wolna Europa. Kawaler Orderu Orła Białego.

- 5 IV – Allen Ginsberg, autor poematów „Skowyt”, i „Kadisz”.
- 16 IV – Roland Topor, rysownik, pisarz.
- 27 IV – Piotr Skrzynecki, założyciel i szef Piwnicy pod Baranami.
- 16 V – Giuseppe de Santis, reżyser filmowy.
- 25 VI – Jacques-Yves Cousteau, ekolog, eksplorator oceanów.
- 13 VII – Francois Furet, historyk, autor fundamentalnych prac o rewolucji francuskiej. Członek Akademii Francuskiej, Kawaler Legii Honorowej. Profesor Uniwersytetu w Chicago. Przewodniczący Francuskiego Narodowego Komitetu Obchodów 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza.
- lipiec – Jean-Marie Domenach, uczeń i następca Mouniera. Wydawca katolickiego, paryskiego miesięcznika „Esprit”.
- 1 VIII – Światosław Richter, wirtuoz fortepianu XX wieku.
- 5 IX – Matka Teresa, założycielka Zgromadzenia Sióstr Misjonarek Miłości. Laureatka Pokojowej Nagrody Nobla (1979).
- 5 X – Józef Smosarski, absolwent KUL. Współtwórca miesięcznika „Więź”. Autor książek o obyczajowości religijnej.
- 8 X – Henryk Bista, aktor teatralny i filmowy.
- 1 XI – o. Józef Warszawski, jezuita, kapelan powstania warszawskiego. Kierownik sekcji polskiej Radia Watykańskiego.
- 6 XI – Sir Isaiah Berlin, filozof i eseista.
- 1 XII – Stephane Grapelli, muzyk, wirtuoz skrzypek, kompozytor jazzowy.
- 13 XII – David Rousset, oskarżony przez komunistyczne „Les Lettres Francaises” o kłamstwo, jakoby w ZSRR istniały obozy koncentracyjne. Rousset proces wygrał. Jednym ze świadków w procesie był J. Czapski.
- 24 XII – Giorgio Strehler, aktor, reżyser. Uczeń Brechta i Jouveta. Założyciel Teatru Europy w Paryżu. Autor inscenizacji oper Verdiego i Mozarta. Jego wystawienia Szekspira i Czechowa uznano za najwybitniejsze w teatrze XX-wiecznym.
- 25 XII – abp Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu Polski (1969-1993). Uczestnik powstania warszawskiego. Prowadził negocjacje między rządem PRL a „Solidarnością”. Doktor honoris causa KUL. Odznaczony przez Lecha Wałęsę Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą.

1998:

- 9 I – Sir Michael Tippett, kompozytor, dyrygent, pedagog. Autor m.in. oratorium „A Child of Our Time”.
- 10 II – Bazyli, Metropolita Warszawski Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego od 1964 r.
- 4 III – Antoni Bień, żołnierz w 1920 r., minister ds. Kraju (1944-1945). Aresztowany przez NKWD i skazany w procesie 16 przywódców Polski Podziemnej. Kawaler Orderu Orła Białego.
- 17 III – Zdzisław Pręgowski, kustosz Muzeum Polskiego w Rapperswilu.
- 21 III – Galina Ułanowa, legendarna Primabalerina Teatru im. Kirowa w Leningradzie (1930-1943) i Moskiewskiego Teatru Bolszoi (1944-1961).
- 19 IV – Octavio Paz, pisarz, laureat Literackiej Nagrody Nobla (1990).

- 26 IV – Alfred Madewski, konserwator zabytków. Pracował nad restauracją zamków na Wawelu, w Wiśniczu, Baranowie, Krasiczynie, Sucheju, Pieskowej Skale i Nidzicy.
- 31 IV – Jan Janowski, wiceprezes Rady Ministrów (1989-1991). Twórca Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej.
- 15 V – Frank Sinatra, piosenkarz i aktor.
- 9 VI – kard. Agostino Casaroli, sekretarz stanu Watykanu (1979-1990). Sygnatariusz porozumień: z Węgrami w 1964 r. i z PRL w 1974 r.
- 16 VII – Zbigniew Karol Porczyński, chemik wynalazca. Przekazał Muzeum Archidiecezji Warszawskiej ponad 400 obrazów malarstwa europejskiego, w ten sposób powstała kolekcja im. Jana Pawła II.
- 27 VII – Kazimierz Mikulski, malarz, scenograf. Współtwórca i aktor teatru Cricot 2 (1955) i Grupy Krakowskiej (1957).
- 28 VII – Zbigniew Herbert, poeta.
- 4 VIII – Maria Ludwika Bernhard, archeolog, historyk sztuki. Autorka m.in. monumentalnych prac: „Historia sztuki Starożytnej Grecji” i „Greckiego malarstwa wazowego”.
- 13 VIII – Julien Green, pisarz. Członek Akademii Francuskiej. Autor prowadzonych przez ponad 80 lat „Dzienników” i ponad 30 powieści.
- 6 IX – Akira Kurosawa, reżyser filmowy, jeden z najwybitniejszych twórców kina. Aktor m.in. „Siedmiu samurajów”, „Ran”.
- 2 X – Jerzy Bińczycki, aktor filmowy i teatralny. Reżyser. Dyrektor Teatru Starego w Krakowie.
- 20 XI – Marian Brandys, publicysta, reporter.
- 7 XII – Cesar Baldaccini, rzeźbiarz, twórca „Nowego realizmu”.
- 21 XII – Jerzy Topolski, historyk. Dyrektor Instytutu Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Członek rzeczywisty PAN. Autor m.in. „Metodologii historii”.

1999:

- 14 I – Jerzy Grotowski, reżyser teatralny, wielki eksperymentator teatru. Profesor College de France. Kierownik artystyczny Teatru 13 Rzędów w Opolu (1959-1962), przekształconego w Teatr Laboratorium. Twórca legendarnych spektakli „Akropolis”, „Księżę Niezłomny”, „Apocalypsis cum figuris”. Od 1985 r. prowadził założony przez siebie Workercenter w Pontaderze.
- 14 I – Jerzy Ciechanowicz, archeolog, filolog klasyczny. Autor m.in. „Rzym, ludzie, budowle”, „Cień Minotaura”, „Wędrowki Śródziemnomorskie”.
- 27 I – Jerzy Turowicz, myśliciel, publicysta katolicki. Współtwórca i redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”.
- 9 II – Aleksander Gieysztor, uczony, mediewista. Żołnierz kampanii wrześniowej 1939 r., oficer AK (odznaczony Krzyżem Virtuti Militarii). Wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Członek rzeczywisty i prezes PAN (1981-1983, 1990-1992). Przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych (1980-1985).
- 7 III – Stanley Kubrick, reżyser. Twórca takich filmów, jak: „Lolita”, „Mechaniczna pomarańcza”, „2001: Odyseja kosmiczna”.

- 12 III – Yehudi Menuhin, skrzypek, dyrygent. Przyjaciół Polaków.
- 3 IV – Jerzy Strojnowski, psycholog, psychiatra. Wykładowca KUL.
- 28 V – Jan Lebenstein, malarz. Odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.
- 21 VIII – Jerzy Harasymowicz, poeta.
- 27 VIII – abp Helder Pessoa Camara, obrońca uciśnionych.
- 4 X – Bernard Buffet, malarz.

Kalendarium zostało opracowane na podstawie: „Zeszytów Literackich”, „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”.

Opracowali:
Magdalena Pankiewicz i Piotr Szalek.

Mariusz Orłowski

Pedagogika kultury, czyli jak ratować zagrożone wartości humanistyczne

Kultura – to pojęcie wieloznaczne. Różnorodność jej określeń wynika zarówno z odmiennych punktów widzenia przyjmowanych przez różne szkoły i dyscypliny naukowe, jak i z rzeczywistych przemian, którym podlegała w ciągu wieków.

Janusz Gajda

Pedagogika kultury. Historyczne osiągnięcia. Współczesne kontrowersje wokół edukacji kulturalnej. Perspektywy rozwoju – to pełny tytuł książki, która wydana została pod redakcją Janusza Gajdy nakładem Wydawnictwa UMCS w 1998 roku. Jak pisze w słowie wstępnym redaktor publikacji, jest ona „plonem dwu konferencji naukowych zorganizowanych przez Zakład Teorii Upowszechniania Kultury Instytutu Pedagogiki UMCS w Lublinie we współdziałaniu z Lubelskim Oddziałem Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego i pod patronatem Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN. Pierwsza, zatytułowana „O powrót do pedagogiki kultury”, miała miejsce w grudniu 1995 r. w Dęblinie w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych, a Zakład Dydaktyki był jej współorganizatorem i wydawcą materiałów pokonferencyjnych – *Pedagogika kultury a edukacja kulturalna. Rozwój historyczny, aktualność, perspektywy* (Lublin-Dęblin 1996, s. 395). Druga, „Pedagogika kultury – aktualności i perspektywy”, odbyła się w Lublinie 26-27 czerwca 1997, przy współudziale Ośrodka Brama Grodzka – Teatr NN i w jego siedzibie¹. Te dwie konferencje, których owocem jest interesująca nas publikacja, to od kilkudziesięciu lat pierwsze na tak wielką skalę debaty naukowe w Polsce, których przedmiotem stał się dorobek historyczny, teraźniejszość i perspektywy rozwoju pedagogiki kultury². Animatorem i *spiritus movens* całego przedsięwzięcia był kierownik Zakładu Teorii Upowszechniania Kultury UMCS – prof. Janusz Gajda, który w całej swej twórczości naukowej wykazuje niezmienną wierność ideom pedagogiki kultury, sformułowanym na polskim gruncie przez takich autorów, jak Bogdan Nawroczyń-

¹ J. Gajda, *Wprowadzenie*, (w:) tenże (red.), *Pedagogika kultury. Historyczne osiągnięcia. Współczesne kontrowersje wokół edukacji kulturalnej. Perspektywy rozwoju*, Lublin 1998, s. 5.

² Por. J. Gajda, *Refleksje podsumowujące*, (w:) tenże (red.), *Pedagogika kultury*, op. cit., s. 391.

ski, Sergiusz Hessen czy Bogdan Suchodolski³. Janusz Gajda to wychowanek tzw. warszawskiej szkoły naukowej Bogdana Suchodolskiego i Ireny Wojnar, rozwijającej problematykę wychowania przez sztukę⁴. Należy podkreślić, że cechą charakterystyczną polskiej koncepcji wychowania przez sztukę jest jej ścisły związek z kulturą oraz ekspozowanie jej aspektu edukacyjnego⁵. Zainteresowania J. Gajdy zagadnieniami dotyczącymi wychowania literackiego za pośrednictwem telewizji zaowocowały rozprawą doktorską, która została wydana drukiem pt.: *Telewizja w kształceniu kultury literackiej uczniów* (Warszawa 1979). Kolejne publikacje określiły krąg zainteresowań badawczych autora i aktualnie twórczość naukowa Janusza Gajdy zaliczana jest do jednego z nurtów kontynuujących idee pedagogiki kultury, a koncentruje się wokół zagadnień związanych z upowszechnianiem kultury, uczestnictwem w kulturze oraz animacją kulturalną. W ostatnim czasie wiele uwagi poświęca J. Gajda również problematyce wartości w życiu człowieka, podkreślając, że pedagogika kultury z natury swojej jest pedagogiką wartości⁶. W pracach, takich jak: *Telewizja a upowszechnianie kultury* (Warszawa 1982), *Telewizja, młodzież, kultura* (Warszawa 1987), *Samotność i kultura* (Warszawa 1987) czy *Edukacja bez granic. O środkach masowego przekazu* (Lublin 1992) powyższe procesy ujmuje on w aspekcie szeroko pojmowanej kultury, wskazując na jej rolę osobowościowotwórczą.

We *Wprowadzeniu* do interesującej nas książki Janusz Gajda pisze, „że skomplikowana współczesność z jej nieprzejrzyistą rzeczywistością, pełną wieloznaczności i wielorakich zagrożeń spowodowanych głębokim kryzysem cywilizacji oraz próbami wyjścia z tej sytuacji, sprzyja powrotowi do idei pedagogiki kultury i domaga się jednocześnie krytycznej oceny jej historycznego dorobku i współczesnej wykładni założeń filozoficznych i metodologicznych”⁷.

Wśród autorów referatów, którzy podjęli się tego zadania, znalazło się wielu znanych polskich pedagogów, kulturoznawców i filozofów, a składające się na publikację artykuły zgrupowane zostały w czterech częściach.

W części pierwszej – „Historia, współczesność i perspektywy pedagogiki kultury. Próba oceny i kontrowersje” – zebranych zostało dziesięć wystąpień prezentujących historię i perspektywę rozwoju tego kierunku myśli pedagogicznej. Całość rozpoczyna wypowiedź prof. Stefana Wołoszyna (*Pedagogika kultury nie wymaga restytucji – jest żywa*), który przytacza argumenty na potwierdzenie żywotności pedagogiki kultury, a kończy kontrowersyjne wystąpienie prof. Józefa Kargula: *Czy złudne nadzieje renesansu pedagogiki kultury?*

Część druga – „Kultura i wartości podstawą pedagogiki. Spory wokół nich” – stanowi zestaw dwunastu referatów dotyczących m. in. zagrożeń związanych z kryzysem w kulturze i ambiwalencją w dziedzinie wartości oraz wskazuje na pedagogiczne implika-

³ Por. J. P. Hudzik, *Janusza Gajdy układanie życia według wartości*, „Wiadomości Uniwersyteckie” 1996, nr 3/4, s. 18-19.

⁴ Por. S. Wołoszyn, *Nauki o wychowaniu w Polsce w XX wieku*, Kielce 1998, s. 78-79.

⁵ Por. J. Gajda, *Pedagogika kultury – optymalną szansą ratowania zagrożonych wartości humanistycznych*, (w:) tenże (red.), *Pedagogika kultury*, op. cit., s. 46-47.

⁶ Por. J. Gajda, *Wartości w życiu człowieka: prawda, miłość, samotność*, Lublin 1997, s. 8.

⁷ J. Gajda, *Wprowadzenie...*, s. 5.

cje tego typu zjawisk. Do najciekawszych tekstów zaliczyć należy referat prof. Kazimierza Żygulskiego: *Globalne i regionalne perspektywy kultury współczesnej*, w którym autor poddaje wnikliwej analizie zachodzące w świecie przemiany i związane z nimi liczne niebezpieczeństwa o społeczno-kulturowym charakterze. Interesujące jest również zestawienie tekstów autorstwa profesorów Franciszka Adamskiego (*O integralną koncepcję kultury*) i Zdzisława Cackowskiego (*Podstawowe kategorie antropologii i teorii kultury*), które ujmują kulturę z dwóch odmiennych perspektyw światopoglądowych.

Część trzecia – „Metodologia pedagogiki kultury – jej trwałe podstawy i dalszy rozwój” – zawiera siedem tekstów poświęconych zagadnieniom związanym z metodologią pedagogiki kultury. Godny polecenia jest artykuł Jana Hudzika – *Hermeneutyczna pedagogika kultury*, którego autor postuluje uwrażliwienie, przez pedagogikę kultury, teorii edukacji na lokalne, wieloznaczne i ambiwalentne ze swej natury obszary rzeczywistości pozaszkolnej oraz oczyszczenie procesu wychowawczego z wszelkich elementów zniewolenia, poniżania i instrumentalnego traktowania innych. Na uwagę zasługuje również tekst ks. Mariana Nowaka – „*Dobra kultury*” *współczesnej pedagogiki kultury* utrzymany w duchu współczesnej chrześcijańskiej myśli filozoficznej.

W ostatniej części książki – „Człowiek w kulturze i edukacji. Omówienia, polemiki, relacje” – znaleźć można m. in. interesujący artykuł Tadeusza Szkołuta – *Tożsamość jednostki a kulturowy „horyzont znaczenia”*, w którym autor podejmuje polemikę z koncepcją autentyczności i samorealizacji człowieka – Charlesa Taylora czy omówienie przez Zygmunta Łomnego – w artykule *Kulturowe profile wybranych teorii edukacyjnych końca XX wieku* – charakterystycznych dla ostatnich dziesięcioleci naszego stulecia teorii edukacyjnych, na podstawie nie publikowanej w Polsce książki Yvesa Bertranda: *Theories contemporaines de l'education*, wydanej w 1993 r.

Publikację zamykają *Refleksje podsumowujące*, w których redaktor tomu formułuje cztery istotne wnioski.

Po pierwsze, podkreśla on, że pomimo niejednorodności kierunku, jakim jest pedagogika kultury, nikt z biorących udział w obydwu konferencjach nie kwestionował trwałego dorobku naukowego klasyków tego nurtu, którzy w obcowaniu z dobrami kultury upatrywali możliwości duchowego rozwoju człowieka.

Po drugie, stwierdza, że podobnie rzecz się ma z wypracowaną przez prekursorów pedagogiki kultury metodologią nauk humanistycznych, która przeciwstawiając się jednostronności psychologizmu i socjologizmu pedagogicznego oraz pozytywistycznemu modelowi poznania, wskazała na odrębność humanistyki. Podwaliny nowej metodologii w naukach humanistycznych stworzył Wilhelm Dilthey przez wprowadzenie kategorii „rozumienia”, która współcześnie niekwestionowana potwierdza swą obecność m. in. w hermeneutyce pedagogicznej i owocuje przewagą metod jakościowych.

Po trzecie, kontynuacji idei pedagogiki kultury dopatruje się J. Gajda w takich nurtach, jak pedagogika humanistyczna i pedagogika personalistyczna oraz rodzących się subdyscyplinach pedagogicznych, jak pedagogika twórczości, pedagogika wartości czy pedagogika zabawy.

Po czwarte, wskazuje J. Gajda na ogromne perspektywy rozwoju podstawowych kategorii pedagogiki kultury, z jednej strony ze względu na dokonujące się we współczesnym świecie pozytywne przemiany związane ze wzrostem rangi m. in. wartości ta-

kich, jak: wolność, solidarność, tolerancja czy ekumenizm, a z drugiej strony – poważne zagrożenia związane ze wzrostem fanatyzmów, agresji i przemocy, lokalnymi konfliktami zbrojnymi, eksplozją demograficzną itp. Gdy dodamy do tego wielką przepaść pomiędzy postępowaniem cywilizacji a rozwojem kultury duchowej, wszystko to stawia przed pedagogiką kultury wyzwania bardzo trudne, lecz jednocześnie konieczne do podjęcia. Nie rozstrzygnięty – zdaniem J. Gajdy – pozostaje jedynie problem, „czy wobec owych skomplikowań, sprzeczności, nadziei i zagrożeń oraz ewolucji kultury, zmuszających do stawiania nowych zadań edukacyjnych, nie jest bardziej wskazane używanie terminu neopedagogika kultury dla oddzielenia nurtu historycznego od jego współczesnego i przyszłościowego rozwoju, uwzględniającego realia rzeczywistości”⁸.

Chociaż największy rozkwit pedagogiki kultury przypada na cztery pierwsze dziesięciolecia XX wieku i po II wojnie światowej nurt ten stracił wiele ze swego blasku na rzecz innych koncepcji wychowania, a w krajach byłego bloku socjalistycznego był wręcz oficjalnie krytykowany, a nawet potępiany, to jednak stymulował teorię i praktykę edukacyjną, a także trwał w postaci pedagogiki humanistycznej i personalistycznej⁹. Stefan Wołoszyn pisze, „że wielki nurt pedagogiki kultury z pierwszych dziesięcioleci naszego wieku, nurt pedagogiki humanistycznej, znajduje swoją twórczą kontynuację w końcu naszego stulecia w narastającym ruchu – tak w skali świata, jak i u nas – edukacji kulturalnej w wymiarze nie tylko szkolnym, lecz i pozaszkolnym (w wymiarze całego życia człowieka)”¹⁰. Publikacja *Pedagogika kultury* pod redakcją Janusza Gajdy jest namacalnym dowodem na to, że w Polsce problematykę tę podejmują coraz liczniejsze – również uniwersyteckie – placówki teorii i metodyki upowszechniania kultury, w tym m. in. Zakład Teorii Upowszechniania Kultury UMCS.

Publikacje książkowe prof. Janusza Gajdy:

1. *Dziecko przed telewizorem*, Warszawa 1977 (wyd. II – 1983).
2. *Dziecko a konflikty małżeńskie*, Warszawa 1978 (wyd. II – 1986).
3. *Telewizja w kształceniu kultury literackiej uczniów*, Warszawa 1979.
4. *Telewizja a upowszechnianie kultury*, Warszawa 1982.
5. *Telewizja, młodzież, kultura*, Warszawa 1987.
6. *Samotność i kultura*, Warszawa 1987.
7. *Środki masowego przekazu w wychowaniu*, Lublin 1988.
8. *Wprowadzenie do wiedzy o kulturze*, Lublin 1989 (wyd. V – 1998).
9. *Edukacja bez granic. O środkach masowego przekazu*, Lublin 1992.
10. *Oblicza miłości*, Warszawa 1993.
11. *Wychowywać do prawdy?*, Lublin 1995.
12. *Wartości w życiu człowieka: prawda, miłość, samotność*, Lublin 1997.

⁸ J. Gajda, *Refleksje podsumowujące...*, s. 391.

⁹ Por. J. Gajda, *Pedagogika kultury...*, s. 37.

¹⁰ S. Wołoszyn, *Nauki o wychowaniu w Polsce w XX wieku*, op. cit., s. 79.

Ponadto pod redakcją prof. Janusza Gajdy ukazały się:

1. *Współczesne dylematy upowszechniania kultury*, Lublin 1991.
2. *Wybrane problemy animacji kulturalnej*, Lublin 1993.
3. *Animacja kulturalna jako problem pedagogiczny*, Lublin 1994.
4. *Pedagogika kultury a edukacja kulturalna. Rozwój historyczny, aktualność, perspektywy*, Lublin-Dęblin 1996.
5. *Pedagogika kultury. Historyczne osiągnięcia. Współczesne kontrowersje wokół edukacji kulturalnej. Perspektywy rozwoju*, Lublin 1998.

Sławomir Czarnecki

Alternatywne Zakupy Dekada sceny niezależnej

Punk's not dead

„Ruch punk wyrósł na bazie klimatu społecznego, w którym dominują sprzeczności i brak możliwości zaspokojenia wielu potrzeb młodzieży. Na tym tle powstało poczucie alienacji i chęć ucieczki od społeczeństwa, które doprowadzają do nasilenia nieprzystosowania społecznego. **Można jednak przewidywać, że poprawa sytuacji społeczno-ekonomicznej spowoduje, iż ruch ten będzie miał rację bytu jedynie przez okres kilku najbliższych lat**”¹. Taką prognozę wygłosił w roku 1989 autor książki zatytułowanej *Podkultury młodzieżowe*. Od tego roku zmieniło się w Polsce wiele, ale wiadać potrzeby młodzieży nadal są niezaspokojone, skoro w roku 2000 na ulicach polskich miast można spotkać punkowców. Napotkany dzisiaj punk niekoniecznie musi mieć na głowie irokeza i być odziany w skórę i glany. Równie dobrze może mieć na nogach „Vansy”, zwyczajną fryzurę i bluzę z polartecu. Ruch ten nie przestał istnieć, zmienił jednak swoje oblicze w ciągu minionej dekady.

Spółeczeństwo polskie, jak to się wzniośle mówi, wkroczyło na drogę przemian ku gospodarce wolnorynkowej i liberalnej demokracji. Mówiąc mniej wzniośle – drogę do McŚwiata. Do marszu przyłączyła się także zbuntowana młodzież. Chciałbym zastanowić się nad tym, jak w McŚwiecie wygląda bunt.

Użyte wyżej kilkakrotnie słowo punk budzić może różne skojarzenia. Dla jednych będzie to zjawisko z pogranicza patologii społecznej, przedmiot zainteresowań socjologów i policjantów. Dla innych to po prostu gatunek muzyczny. Sami punkowcy mają szersze, choć mgliste, rozumienie tego, czym jest punk. Pojawiają się takie określenia jak „styl życia”, „postawa”, „kultura alternatywna”, „kontrkultura”, „kultura punk”, „scena niezależna”. To ostatnie określenie bliskie jest sercu każdego punka i zasługuje na uwagę. „Scena to są przede wszystkim ludzie, to są fanziny, zespoły i jakieś tam działania”, zadaniem „sceny” jest „pokazywać inną drogę, inne wartości, nie tylko te oferowane przez kulturę oficjalną czy pop-kulturę z Zachodu” – jak można przeczytać w siódmym numerze „zina” „Pasażer”.² Punk to nie tylko muzyka, o czym każdy szanujący się punkowiec wiedzieć powinien. To także postawa kontestująca ogólnie przyjmowane wartości. Zjawisko określane mianem „sceny” zaczęło kształtować się w latach dziewięćdziesiątych i obejmuje oprócz punk rocka inne gatunki muzyczne (m.in.

¹ J. W. Wójcik, *Podkultury młodzieżowe lat osiemdziesiątych*, Warszawa 1989, s.32.

bliski mu hard core, reggae, ska i inne), a także idee niekoniecznie (choć zazwyczaj) z punkiem związane, takie jak anarchizm, wegetarianizm, ekologia, czy ostatnio feminizm. „Scena” jest czymś szerszym od ruchu punk, choć w ramach tego arcykułu często je utożsamiam. Zresztą nie jest moim zamiarem uściślanie pojęć, czy socjologiczna analiza zjawisk. Próby opisu, „jak wygląda typowy przedstawiciel subkultury punk”, lub „co to jest muzyka punk rockowa” niezmiennie budzą wesołość członków tej subkultury, zwłaszcza gdy opisu dokonuje ktoś „z zewnątrz”. Budzą one także moją wesołość, przestaną więc na tym, że istnieje różnie nazywane zjawisko, którego uczestnicy starają się żyć w odmienny sposób niż reszta ich rówieśników. Mówiąc obrazowo, zamiast na dyskotekę czy koncert dajmy na to zespołu *Myslovitz*, wybierają się oni na koncert zespołów takich jak *Alians* czy *Apatia*, gdzie, kto był ten wie, panuje całkiem inna atmosfera niż na wymienionych wcześniej imprezach. Teraz już można zacząć odpowiadać na pytanie o bunt w McŚwiecie.

(Nie)zależne działanie

Podstawowym pragnieniem „scenersów” (taki neologizm pojawia się w „zinach”) jest pragnienie niezależności: od oficjalnej kultury, mediów, wytwórni płytowych. Bardziej zasadniczo, od Systemu. Systemu pisanego przez duże „S”, bo oznacza on wszystko to, co budzi odrazę i opór punka. Będzie to i państwo, i nietolerancyjne społeczeństwo, Kościół, konwenanse – słowem Babilon, o którym zgodnie śpiewają rastamani i punkowcy. Pragnienie niezależności ożywia cała działalność „sceny”, czego świadectwem są nieustanne spory toczące się w tym środowisku dotyczące tzw. komercji i popierania systemu.

To, gdzie postawić granice niezależności, z czasem stawało się coraz większym problemem. W poprzednich latach miał miejsce proces przestawiania tych granic, na „scenę” poczęły wkraczać, nie bez oporu, rynkowe mechanizmy promocji i konkurencji. Reklamy niezależnych wydawnictw zamieszczane w „zinach” traktowane na początku z nieufnością i ironią, stały się czymś naturalnym. Teraz, gdy zamówimy katalog sprzedaży wysyłkowej firmy QQRYYQ, dostaniemy kilka kolorowych reklamówek kaset. Sieci dystrybucji niezależnej zaczęły sprzedawać rozprowadzane przez siebie kasety w „zależnych” sklepach. Podobnie niektóre „ziny” trafiły do sieci EMPIK, gdzie możemy kupić szczeciński „Garaż” i zawierające punkowy dodatek „Żółte papiery”, gazetę anarchistyczną „Mać Pariadka”. Nie obyło się bez sprzeciwów. Dla orędowników niezależności i niekomercyjności łączenie pieniędzy z ideami wydawało się czymś z gruntu złym. Podważali oni samą ideę czerpania nawet znikomych zysków z działalności „sceny”. Zespoły miałyby nie zarabiać na koncertach, a wytwórnie i dystrybucje niezależne na swojej działalności. Tymczasem – „Nie ma co owijać w bawełnę: scena funkcjonuje w kapitalizmie i, chcąc nie chcąc, staje się jego częścią” („Żółte Papiery”, nr 3-4/98, s. 69.) Niełatwo pogodzić to z ideą D.I.Y. (do it yourself) – ideą niezależności, wykony-

² „Ziny” to punkowe czasopisma, poświęcone głównie muzyce (recenzje płyt, wywiady z zespołami, itp.), podejmujące też tematy dotyczące życia tej subkultury i innych spraw (zgodnie z hasłem „Punk to nie tylko muzyka”). Forma „zinów” jest swobodna (spory dział listów), konwencją w pisaniu tekstów jest używanie wulgaryzmów, z przytaczania których rezygnuję (choć mnie ta konwencja nie razi). „Pasażer” jest najpopularniejszym punkowym „zinem”. Za wypożyczenie „Pasażera” i „Mać Pariadki” dziękuję Włodkowi Gogłozie.

wania jak największej liczby działań samemu – zespół powinien zatem sam wydać swoją kasety, zrobić okładki, sam ją rozprowadzać. Idea D.I.Y. zaczęła być osłabiana przez idee profesjonalizmu.

Po szarych i byle jakich czasach komunistycznych Polska stawała się kolorowa. Ładne opakowania, zwracanie uwagi na jakość – tendencje te pojawiły się także na „scenie”. Zaczęto wymagać od zespołów by miały dobre brzmienie, czyli nagrywały w lepszych studiach, na lepszym sprzęcie. Niewielu zadowoli się byle jak zrobioną okładką, liczy się papier, staranność wykonania. Wystarczy porównać okładki kaset wydawanych przez wspomniane QQRYQ z początku i z końca lat dziewięćdziesiątych lub szatę graficzną, często przeze mnie przywoływanego „Pasażera”. Orędownicy niezależności nie byli zadowoleni. Pojawiały się oskarżenia o zdradę. W połowie lat dziewięćdziesiątych dyskutowano wiele między innymi na temat wydania przez zespół *Włochaty* kasety w firmie komercyjnej. „Zdradzili czy nie?” pytano. Podobne kontrowersje wzbudziło przejście do wielkiego koncernu płytowego zespołu *Dezserter*, działającego od lat osiemdziesiątych jednego z najważniejszych zespołów polskiego punk rocka. Część punkowców odwróciła się od *Dezserter*a, nazywając ich nową twórczość „anarchią na sprzedaż”. Inne zespoły niestrudzenie dążyły do niezależności. Gdy w telewizyjnym programie *Clipol* obok teledysków z muzyką pop pojawił się teledysk zespołu *Alians*, nagrany wyłącznie dla emitowanego wówczas niezależnego programu *Alternativi*, wokalista i gitarzysta zespołu tłumaczył się na łamach prasy niezależnej: „Otóż oświadczam wszystkim, że teledysk ten jest tam prezentowany absolutnie bez zgody zespołu(...) Zespół nie zmieniał swoich poglądów w kwestii komercja, niezależność, scena i dalej chcemy działać sami na zasadzie, którą w świecie określa się jako magiczne D.I.Y” („Żółte papiery”, nr 6-8/95, s. 45.). Oznaką niezależności miała być nieobecność w mediach. Jednak kilka lat później ten sam *Alians* udziela wywiadu jak najbardziej komercyjnej gazecie „Brum”. Granice przesuwają się, trudno być niekomercyjnym w McŚwiecie.

Trudno jest też nie popierać systemu. Jedną z dosyć popularnych form tegoż niepopierania jest w środowisku punków bojkot. Ulubionym przedmiotem bojkotu jest nieprzerwanie sieć restauracji McDonalds. Zarzuty dotyczą tak różnorodnych problemów, jak niszczenie środowiska naturalnego, propagowanie niezdrowego stylu żywienia, amerykańskiej kultury, czy wreszcie złe traktowanie pracowników. Bojkot może dotyczyć najróżniejszych firm, jak na przykład Schell (rabunkowa polityka w krajach trzeciego świata), Siemens (przemysł zbrojeniowy). Oskarżenia nie muszą być ściśle udokumentowane, ważne jest, czy dana firma poprzez niszczenie środowiska naturalnego czy wspieranie wojen, staje się częścią Systemu, z którym punk nic wspólnego mieć nie chce.

W dziesiątym numerze „Pasażera” jeden z „kolumnistów” (neologizm oznaczający odpowiednik felietonisty z prasy oficjalnej) zwraca uwagę, że „95% kawy pochodzi z krajów III świata, często z krajów rządzonych przez dyktatorów, których głównym środkiem utrzymania jest kawa właśnie zbierana przez ludzi nie opłacanych w ogóle lub bardzo słabo opłacanych, traktowanych jak niewolnicy tubylców... Pijąc kawę przykładasz do tego swe ręce, wspierasz te reżimy”. Na scenie obecni są przedstawiciele ruchu Straight-Edge, którzy powstrzymują się od picia alkoholu, palenia papierosów i zażywania

narkotyków. „To jest dla mnie prawdziwy bunt wobec społeczeństwa, systemu, całej tej maszyny”, „To dlaczego nie pijemy to fakt, że aby walczyć ze społeczeństwem, z całą tą maszyną, która otacza świat, potrzebny jest trzeźwy, a nie zatruty umysł” („Pasażer”, nr 12, s.100.) – mówi członek zespołu *Counterweight* (dodam tylko, że nie jest to ruch zbyt popularny). Lista produktów, których należałoby się wyrzec, by nie popierać Systemu, zaczyna się wydłużać. Zachowanie „czystości” staje się o wiele trudniejsze niż by się na pierwszy rzut oka wydawało. Zrezygnować z hamburgerów jest dosyć łatwo, gorzej gdy trzeba by wyrzec się papierosów i alkoholu – zatem nadal trwa „walka z systemem przy pomocy tanich win” (*Dezerter*). Podobnie jak w przypadku komercji pojawia się problem granic: jakie działania są popieraniem owego wszechogarniającego systemu, a jakie nie? Można nie jeść u McDonalda, można nie kupować papierosów, alkoholu, kawy..., tylko w którym miejscu zamknąć tę listę?

Tak „scena niezależna” natrafia na ramy, z których nie sposób się wyłamać – legalizację działalności i płacenie podatków. Bezkoc – człowiek dzięki któremu ukazuje się „Pasażer”, nie bez goryczy stwierdza „Niestety inaczej nie można, jeśli nie chce się któregoś dnia wylądować w więzieniu” („Pasażer”, nr 13, s. 18.). Podobnie tłumaczą się wydawcy „Mać Pariadki”: „Uprzedzam pytanie – jak to anarchiści, a płacą podatki? Wszyscy je płacimy, jeśli kupujesz piwo to jest w nim również podatek” („Pasażer”, nr 7, s. 9.).

(Nie)zależne myślenie

Niezależność na poziomie funkcjonowania „sceny” nie jest tak duża jak chcieliby jej uczestnicy. Cała nadzieja na alternatywność tkwi w postawie i poglądach „scenarzystów”. Aby odróżnić się od reszty społeczeństwa winna to być postawa antykonsumpcyjna. Społeczeństwo bowiem szybko nauczyło się wydawać pieniądze na artykuły luksusowe, na to co modne i co firmowe. Po epoce pustych półek nastąpiła epoka półek uginających się od towaru. Nieunikniony, mimo niskich zarobków, stał się pęd do zakupów. Nie ominął on młodzieży alternatywnej. Oto na początku lat dziewięćdziesiątych niektórzy punkowcy zaczęli nosić firmowe buty Martensy. Nie było by w tym nic dziwnego, odpowiadają wszak one subkulturowemu *image*. Zauważono jednak, że są to buty zbyt drogie dla punków z Europy Zachodniej, a jednocześnie nie za drogie dla Polaków. I tak berliński punk chodzi w wielokrotnie reperowanych, rozpadających się glanach, a warszawski w świeżo wypastowanych glanach markowych. Punk chce wyglądać ładnie. Dawniej (przed 1989) wzory na koszulkach, naszywki i inne elementy punkowego stroju były własnoręcznie wykonywane, dziś są zazwyczaj kupowane. „Na każdej giełdzie czy koncercie tony koszulek z kapelami, dziesiątki naszywek i tony innego staffu. Wybór jak w supermarkecie! Nic tylko kupować i konsumować!” („Pasażer”, nr 12, s. 9.).

Konsumpcja owa dotyczy także używek (wspomniane alkohol i papierosy, które tak trudno bojkotować) oraz przeróżne narkotyki, z najpopularniejszym, czyli marihuaną, na czele. Ktoś mógłby powiedzieć, że zażywanie narkotyków to patologia, nie konsumpcja. Dla części młodych ludzi z pewnością tak, lecz dla sporej zażywanie narkotyków nie jest ucieczką od problemów, zabijaniem siebie, a jedynie zabawą i to rozsądną (?!). Są oni ostrożni, nie chcą, by narkotyk silnie ich uzależnił czy nadmiernie

zaszkodził. Przeminał czas wachania worków z klejem, obrazek znany z festiwali w Jarocinie. Nowocześni punkowcy poszukują towaru dobrej jakości – jak na wymagającego konsumenta przystało.

Ponownie zasada odróżnienia od reszty społeczeństwa staje się cokolwiek niejasna. Do rozważenia pozostaje sfera ideałów, poglądów. Słuchając tekstów piosenek zespołów punkowych dość szybko można ustalić kanon spraw, które zajmują zbuntowaną młodzież. Są to antyfaszyzm, antyklerykalizm, prawa zwierząt, wegetarianizm, tradycyjnie niechęć do władzy i ostatnio walka z seksizmem i homofobią. Idee te pojawiały się w naszym kraju stopniowo, co dało się zaobserwować w zmianach wzorów sprzedawanych koszulek: od antyfaszystowskich i antyklerykalnych, poprzez proekologiczne aż do antyseksitowskich i propagujących tolerancję dla mniejszości seksualnych (szczerze mówiąc, nie mam pojęcia co będzie dalej). Wszystkie te idee, łącznie z niewymienionym wcześniej antykapitalizmem, przyjmowane były z Zachodu. Nacisk kładziony na ekologię stał się wyróżnikiem ruchu punk lat dziewięćdziesiątych, w początkach punk rocka mało kto zaprzętał sobie głowę prawami zwierząt czy dbaniem o środowisko naturalne.

Nieprzypadkowo przy wymienianiu tych spraw pada słowo „walka”, to w takim tonie o nich się mówi. Częste jest odwoływanie się do retoryki nienawiści. „Dzisiaj robimy ulotki, jutro będziemy strzelać” – głosi hasło na jednym z wzorów naszywek i koszulek. „Mamy dla was bomby domowej roboty” – śpiewa wokalista zespołu *Alians*. By nie być jednostronnym dodam, że ta retoryka przemocy przeplata się z retoryką miłości. Ten sam *Alians* wykonuje na koncertach utwór legendarnego *Izraela*, gdzie padają słowa „Muzyka to nasza jedyna broń”, a całość kończy się wyznaniem: „Ja Kocham Cię”.

Być może wreszcie, w sferze idei, udało się znaleźć istotę alternatywności. Jest tylko jeden problem. Tematy poruszane na „scenie” niepokojąco pokrywają się z obecnymi w kulturze oficjalnej. Przed niebezpieczeństwem nacjonalizmu przestrzega co pewien czas „Gazeta Wyborcza”, nikt nie walczy z religią i Kościołem bardziej zaciekle niż „Nie” (przepraszam punków za to niesmaczne porównanie). Program o prawach zwierząt obejrzymy w telewizji, a o feminizmie i wegetarianizmie przeczytamy w prasie kobiecej. Także prawa gejów i lesbijek stały się przedmiotem publicznej debaty, dyskutuje się też o legalizacji miękkich narkotyków. Naturalnie forma i stopień radykalizmu jest całkowicie inny. Gdy z prasy kobiecej dowiemy się o nowej modzie na sztuczne futra, a przy okazji o cierpieniach zwierząt futerkowych, to z naszywki dowiemy się wprost, że „tylko bestie noszą futra” (oczywiście te naturalne). Przykładów z każdej dziedziny można podać więcej, nie będę jednak raził czytelnika mocnymi sformułowaniami. Po tych uwagach nie bardzo wiadomo, jakie społeczne tabu narusza punk, jakie zakazane tematy porusza.

Naturalnie nie można zaprzeczyć, że poglądy punkowca są prowokacją dla tradycji narodowo-katolickich. Dla religijnej rodziny, sympatyzującej z prawicą i spożywającej dużo dań mięsnych, punk to wyraz autentycznego buntu. Bunt traci swoją autentyczność, gdy przyrównać go do kultury nowoczesnej, postmodernistycznej, liberalnej czy jak ją jeszcze określić. Tej, którą propaguje znaczna część mediów, włącznie z wyśmiewanymi przez zbuntowanych pismami dla młodzieży. Tymczasem niezależność myśle-

nia miała być naczelną cnotą młodego „alternatywisty” (kolejny neologizm zaczerpnięty z „zinów”), o czym śpiewał, jeszcze w latach osiemdziesiątych, *Dezserter*: „Anarchia w samym środku mojej głowy, mój mózg pracuje niezależnie, i nikt mi nie może zakazać myślenia, anarchia w tobie to początek wyzwolenia”. Wyzwolenie jest jednak wypierane przez schematyzm, pisze się nawet o politycznej poprawności punka, z którą nie wiadomo co począć, gdyż jej terror już się zaczął. Recenzent hardcorowego koncertu piętnuje „homofobów”, których dziwiło okazywanie sobie uczuć w czasie koncertu przez gejowską parę. Feministki, mające w „zinie” „Pasażer” swój dodatek „Emancypunx”, nieustrudzenie tropią przejawy seksizmu wśród punków.

Za komuny było łatwiej, bo było trudniej

Wyłaniający się obraz „sceny” jest niewesoły. Pragnienie niezależności kontrastuje z funkcjonowaniem mechanizmów rynkowych, postawami konsumpcyjnymi i specyficzną polityczną poprawnością. Nad wszystkim unosi się duch kompromisu. Czy jest jeszcze sens mówić o buncie, alternatywnej kulturze? Z pewnością można powiedzieć, że bunt stał się trudniejszy, jeśli przyrównać go do czasów panowania schyłkowego, chciałoby się powiedzieć gnijącego, ale jednak totalitaryzmu komunistycznego. Wtedy nie istniała trudność w identyfikacji Systemu: urzędowa cenzura, ZOMO³ itd., „były dokładne przeciwności, dokładnie przebiegała linia bieli i czerni” („Pasażer”, nr 10, s. 62.). „Gdy dziś myślę o tym, to widzę w jak znacznym stopniu punk był ukierunkowany za komuny konkretnie przeciwko tamtemu systemowi” („Pasażer”, nr 7, s. 15.) – wspomina pamiętający tamte czasy uczestnik „sceny”. W miejsce komunizmu pojawiła się demokracja liberalna i kapitalizm, a zdeorientowani punkowcy postanowili starego wroga po prostu zastąpić nowym.

„Jakież było moje rozczarowanie, gdy pojąłem, że za granicą punki utożsamiają się z doktryną lewicową(...) Rychło okazało się, że kapitalizm, o którym sądziłem, że umożliwia tym z Zachodu swobodne wydawanie płyt i „zinów” i nieskrępowaną niczym wolność słowa, jest postrzegany jako największe zagrożenie dla jednostki. Spodziewałem się, że przynajmniej w Polsce zahartowani przez PRLowski reżim punkowcy będą mieli właściwe spojrzenie na te sprawy. Niestety, rodzime kapele punkowe i „ziny” szybko zaczęły nas ostrzegać przed niebezpieczeństwem, jakie niesie kapitalizm” („Pasażer”, nr 13, s. 6.). Taka krytyczna ocena tego zjawiska pojawia się w numerze „Pasażera” z przełomu lat 1999/2000. Potępienie nowego porządku nie było tak oczywiste – przecież dzięki swobodom obywatelskim „scena” mogła powstać i się rozwijać. Paradoksalnie, właśnie korzystanie z owych swobód uczyniło bunt trudniejszym.

Otóż można śpiewać „nienawidzę każdej władzy” (*Alians*) lub porównywać Kościół Katolicki do organizacji mafijnej (jak w utworze *Memento mori* czyni to *Schizma*) i nie idzie się za to do więzienia. Gorzej, że mało kogo to bulwersuje. Odmowa uczestnictwa w rytuałach starego systemu, na przykład niepojawienie się na pochodzie pierwszomajowym, było zauważane i czasem represjonowane. Nieuczestniczenie w dobrowolnych rytuałach kultury konsumpcyjnej, czyli, dajmy na to, niechodzenie do

³ ZOMO – Zmilitaryzowane Oddziały Milicji Obywatelskiej, szczególnie aktywne w okresie stanu wojennego.

McDonalda pozostaje niezauważone. Nawet pikiety przed tą restauracją czy demonstracje antyfaszystowskie, które na początku lat dziewięćdziesiątych mogły kogoś poruszyć, dziś stają się częścią miejskiego kolorytu. „Chcę głośno krzyczeć, że może być inaczej, lecz słowa tracą siłę jakby były gestem, i wśród tysięcy głosów mój krzyk jest tylko szeptem” (*Dezserter*). Taki los spotyka bunt w McŚwiecie – ginie w ogólnej wrzawie.

Możesz żyć inaczej, ale...

Przedstawiciel owego świata, którego możemy wyobrazić sobie jako Ronalda, maskotkę McDonalda lub, zgodnie z antykapitalistyczną poetyką, jako tłustego burżuja w cylindrze i cygarem w ustach, zdaje się mówić: „Jeśli płacicie podatki i przestrzegacie prawa, możecie robić co wam się podoba. Nam to nie przeszkadza, przecież różnorodność jest pożądana” (Tropicielom spisków donoszę, że nie upatruję tutaj działania żadnych tajemnych sił, ani celowej manipulacji młodzieżą.)

Tylko, że nie tego pragną punkowcy. Oni chcieliby stworzyć kulturę całkowicie odmienną, zanegować całość systemu. Słowem, stanowić alternatywę we właściwym tego słowa znaczeniu. Punkowcy pragną przełamać strukturę, ale „ta struktura się ugina, lecz nigdy nie łamie” (*Dezserter*). Alternatywny sposób życia oznacza jeden z wielu możliwych sposobów, spośród których wybiera mieszkaniec McŚwiata. Lata dziewięćdziesiąte były czasem bolesnego uświadamiania sobie tej prawdy o „scenie” niezależnej. Ową przemianę dobrze obrazuje wypowiedź członka zespołu *Post Regiment*: „(...) teraz zrobiło się za bardzo kolorowo i można poczuć się jak w cyrku. Tylko, że z cyrku można wyjść jak ci się nie podoba, a stąd nie da rady” („Pasażer”, nr 12, s. 58.).

Czy, mimo wszystko, można próbować wyjść z cyrku? „Wysadzić cyrk w powietrze!” to jedna z narzucających się dróg – droga przemocy. Pokusa nadania, dotąd używanemu jako przenośnia i wyraz emocji, słowu „walka” realnego kształtu. Takie wyładowanie agresji mogłoby znaleźć wyraz nawet w terroryzmie. To prawda, że punkowcy angażują się w nielegalne działania (część demonstracji, narkotyki, squatting – czyli zajmowanie opuszczonych budynków i mieszkań), lecz nienawiść pozostaje nadal kwestią retoryki. Powstania polskiej RAF nie należy się obawiać.

Jest jeszcze inna droga. Nie przeznaczona dla ruchu punk jako całości, ale dla tworzących ten ruch jednostek. Droga przeznaczona dla tych, którzy poważnie potraktowali pojawiające się na „scenie” w różnych sformułowaniach wezwanie „jeśli chcesz zmieniać świat, zacznij od siebie” (*Dezserter*). Punk przechodzi ze sfery ubioru i muzyki w obszar dorosłego życia i związanych z nim wyborów. „Punkowcy jako nauczyciele? (...) Punkowcy pracujący na odpowiedzialnych stanowiskach? Nie widzę sprzeczności! Punkowcy w krawatach? Czemu nie!” („Pasażer”, nr 12, s. 38.). „Punk to sposób myślenia, działania, życia.” Zaś punkowcem jest ten „kto stara się wychować swoje dzieci ucząc je tolerancji, partnerstwa i dobroci. (...) kto stara się w sposób naturalny i uczciwy propagować alternatywny sposób życia (np. wegetarianizm)” („Pasażer”, nr 7, s. 67.). Nie opuszczając cyrku, odmawia się oglądania widowiska i zajmuje własnymi sprawami.

Bywają jednostki, zdaje się że nieliczne, które poważne potraktowanie wezwania do wewnętrznej przemiany prowadzi do konwersji religijnej. Religia, w jej ortodoksyj-

nych i nieortodoksyjnych formach, pozwala na rzeczywiste zakwestionowanie wartości dominujących w kulturze masowej i zaproponowanie innych. W tym sensie nawrócenie jest konsekwencją poszukiwania alternatywności. Tacy ludzie jednak, w mniejszym lub większym stopniu, odcinają się od ruchu punk. Nic w tym dziwnego, chyba że ktoś potrafi wyobrazić sobie punkowego ascetę i mistyka.

Mimo to postawa polegająca na byciu w McŚwiecie, ale nie z tego McŚwiata, jest możliwa i bez religijnego nawrócenia. Od strony wewnętrznej daje się określić jako „duchowa emigracja”, od zewnątrz zaś jako postawa „świadomego konsumenta”. Prawem konsumenta jest prawo wyboru i „alternatywista” korzysta z niego. Zamiast dyskoteki wybiera się na *sound system*, zabawę taneczną przy muzyce ska, reggae, dub. Kupuje płyty zespołów nieznanych. Marzenia o sukcesie zawodowym zastępuje marzeniami o wegetariańskim świecie. Korzysta ze swojego prawa także wtedy, gdy przy wyborze jakiegoś produktu kieruje się nie tylko wpływem obejrzanej w telewizji reklamy, lecz na przykład tym, czy wyprodukowała ten produkt firma przyczyniająca się do wycinania lasów amazońskich.

Ów punkowy konsument jest świadomy w jeszcze jednym sensie. Niepokoi go, że jest konsumentem, o czym świadczy poruszający „scenę” spór o niezależność. To, że dla kogoś komercja czy uleganie schematom stanowi problem, który znajduje wyraz w tekstach piosenek i wypowiedziach zamieszczanych w „zinach”, jest już dużym osiągnięciem w stosunku do bardziej bezmyślnych wariantów konsumpcji. Być może cnota niezależnego myślenia nie została całkiem zapomniana. Ponadto samo pragnienie niezależności, autentyczności, idealizm „sceny” odróżnia ją od pragmatycznej kultury oficjalnej, masowej.

Nie zmienia to faktu, że bunt, alternatywny styl życia jest czymś, co można wybrać, a możliwość wyboru gwarantuje McŚwiat. Pod jednym warunkiem: „Możesz się nie zgodzić, możesz się buntować, ale jeden jest warunek, musisz ciągle kupować” (*Dezert*). Siostry zakonne, policjanci i punkowcy – wszyscy robimy zakupy w tym samym Supermarkecie.

Powrót do „normalności”?

Filmy mieszkającego we Francji wybitnego polskiego reżysera filmowego – Andrzeja Żuławskiego bywają z reguły niedoceniane lub źle oceniane, ze względu na rodzaj „nieortodoksyjności” ich twórcy i epatowanie szaleństwem rozumianym w kategoriach choroby cywilizacyjnej. Jednych drażnią, innych wprawiają w zachwyt, bez wątpienia jednak ich ładunek emocjonalno-intelektualny przekracza możliwości percepcyjne przeciętnego widza. Żuławski jest zdania, że funkcja filmu jako zjawiska artystycznego polega na zmianie wrażliwości odbiorcy, bowiem po projekcji powinien on stać się innym człowiekiem. To czego doświadczył musi nim wstrząsnąć, nie może pozostawić go emocjonalnie obojętnym. I rzeczywiście – filmy Żuławskiego nigdy nie są „letnie”. Ich przesłanie, oprawa muzyczno-plastyczna, problematyka, a na płaszczyźnie bardziej szczegółowej – fabuła, gra aktorska, sceny, sekwencje czy nawet fragmenty dialogów powinny odmienić stan duchowo emocjonalny widza, to znaczy uczynić go bardziej wrażliwym, gotowym do przewartościowania powszechnie akceptowanych norm społeczno-obyczajowych i własnych wyobrażeń dotyczących sposobu istnienia pewnych zjawisk czy stopnia skomplikowania relacji międzyludzkich. Przynajmniej jeden z wyżej wymienionych elementów składowych dzieła filmowego, jeśli nie równoległe ich współbrzmienie, powinien zmuszać odbiorcę do emocjonalnego „otwarcia się” na przekazywane treści. „Czucie” i uczucie powinno mieć w filmie znaczenie pierwszorzędne. Ten postulat reżysera jest tak naturalny i oczywisty, że niemal nie podlega dyskusji. I nikt nie zarzuci autorowi *Diabła*, że twierdzenie to jest nazbyt szokujące czy „przeintelektualizowane”¹.

W swoich poglądach Andrzej Żuławski nie jest odosobniony. Pedro Almodóvar, wielki „czarodziej ekranu” z Hiszpanii, wydaje się być przekonany, że uczucie stanowi integralną część europejskiej tradycji kulturowej, którą Europejczycy winni podtrzymywać, bowiem, parafrazując jego wypowiedź na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes w 1999 roku – uczuć nie można na dłuższą metę ani ignorować, ani unikać, ani tym bardziej się ich wyrzec.

Współczesne kino po raz kolejny doświadcza zwrotu ku realizmowi, prostocie i refleksjom inspirowanym losami zwykłych bohaterów, historiami wziętymi „z życia”. Jednocześnie w nurcie realistycznym ważna jest forma, w którą owa prostota i refleksyjność zostaje wpisana dzięki jednowątkowej, linearnie prowadzonej opowieści²; forma

¹ Por. J. Grant, *Wywiad z Andrzejem Żuławskim*, „Film na Świecie” 1991, nr 383, s. 17.

będąca nośnikiem pewnych uniwersalnych prawd na temat natury świata, kondycji człowieka, jego losów, problemów, dylematów i targających nim namiętności. Jednocześnie na elementarnym poziomie fabuły filmy te mogą wydawać się mało atrakcyjne, pozbawione owego ładunku emocjonalnego i nowatorstwa, w jakie obfitowało tak zwane „kino ambitne”, czy sensacyjności wpisanej w kino akcji. Dlatego też pokonanie poziomu fabuły i wyzwolenie w sobie uczuć, by doznać pełnego emocjonalnego zespolenia z dziełem, jest w czasie jego percepcji nieodzowne.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat można zauważyć postępujący przesyt tzw. „kinem ambitnym”, które obecnie należy do nurtu peryferyjnego, oraz filmami o skomplikowanej narracji, i wyraźny zwrot ku prostym, realistycznym opowieściom. O tendencji tego rodzaju świadczą same tytuły niektórych uznanych już obrazów, na przykład *Opowieści weekendowe* Krzysztofa Zanussiego, *Historie miłosne* Jerzego Stuhra. Ku prostym historiom zwracają się również wielcy mistrzowie, jak Michelangelo Antonioni w *Po tamtej stronie chmur* (film wyreżyserowany wspólnie z Wimem Wendersem).

Prosta historia Davida Lyncha, wybitnego reżysera amerykańskiego, odrzucającego kanony hollywoodzkie, przynależy do dominującego obecnie w artystycznym kinie światowym nurtu realistycznego. Jest to film wyjątkowy w twórczości autora *Miasteczka Twin Peaks*. Odbiega on klimatem i przesłaniem od wcześniejszych dzieł reżysera; jest to obraz dojrzały, świadczący o skryształowaniu się artystycznej wizji świata. Zrealizowany w konwencji filmu drogi, stojący w opozycji do *Dzikości serca* i *Zagubionej autostrady*, daleki jest od ironicznego potraktowania powyższej formuły. Prowadzona w sposób zaskakująco linearny narracja kreuje historię, stanowiącą metaforę ludzkiego losu, będącego podróżą nie tylko w czasie i przestrzeni, ale również w głąb samego siebie.

Oryginalny tytuł filmu Lyncha jest dwuznaczny, czego nie można oddać w języku polskim – brzmi on *The Straight Story*³. Ów angielski epitet oznacza tyle co „prosty”, jednak co nie jest bez znaczenia, Straight to również nazwisko głównego bohatera, będącego jednocześnie uosobieniem prostoty i prostolinijności. Temu staremu i zniechęconemu człowiekowi pozostało jedyne zadanie – pogodzić się z życiem. Za wszelką cenę pragnie on odzyskać wewnętrzną równowagę i harmonię z samym sobą. Świadomość zbliżającego się coraz szybciej kresu życia wywołuje w nim pragnienie pojednania się z bratem, mieszkającym w miejscu odległym o kilkaset mil, z którym poróżnił się dziesięć lat wcześniej. Ma słaby wzrok i nie może prowadzić samochodu, dlatego wyrusza w drogę... kosiarką do trawników, pokonując tę olbrzymią dla niego odległość z prędkością 5 mil na godzinę. Nie rezygnuje po pierwszej nieudanej próbie. Wyrusza po raz drugi, by tym razem dotrzeć do celu swej podróży. U jej kresu siada obok swojego równie schorowanego brata, by wraz z nim odzyskać wewnętrzny spokój. Obraz rozgwieżdżonego nieba jest swoistą klamrą narracyjną, bowiem powtarza pierwszy kadr filmu, ujmując całą historię w metafizyczne ramy.

Po drodze Alvin Straight spotyka różnych ludzi. Niektórych tylko na kilka chwil. Trafia na mądrych życiowo, twardych mieszkańców prowincjonalnych miasteczek, którzy nie traktują go protekcjonalnie, jak nieszkodliwego dziwaka. Szanują jego doświad-

² Zwiastunem tego nurtu jest, jak się wydaje, *Dym Wayne’a* Wanga.

³ Film oparto na autentycznych wydarzeniach.

czenie i starają się zrozumieć motywację podjęcia tak wyczerpującej, ponad pięćdziesięcioletniej eskapady. Lynch wprowadza również elementy autoironii wobec swoich poprzednich filmów, pełnych dziwacznych postaci i surrealistycznych sytuacji. W *Prostej historii* przykładem są bliźniacy: Thorvald i Harald, naprawiający zepsuty pojazd Alvina. Podobne skojarzenia budzi groteskowa scena, w której pojawia się kobieta zrozpaczona faktem ustawicznego zabijania przez nią ukochanych jeleni, wpadających wyłącznie pod koła jej samochodu. Pomimo swej groteskowości, scena ta jest bardzo prawdopodobna.

Straight jest świadom tego, że pozostała mu do wypełnienia być może ostatnia w jego życiu misja, której musi podołać sam. Odrzuca propozycje pomocy, choć skróciłoby to jego wyprawę o kilka tygodni. W miarę upływu czasu widz poznaje życie Alvina, jego problemy z alkoholem, tragedię niezrównoważonej córki i jej dzieci, dręczące go wyrzuty sumienia z powodu przypadkowo zastrzelonego w czasie wojny kolegi. Okruchy jego życia pojawiają się w snutych przez bohatera opowieściach, adresowanych do przypadkowych słuchaczy, którzy chętnie siadają przy nim, by czerpać z prostych historii starego farmera jakąś niespotykaną siłę, a zarazem metafizyczną prawdę o istocie życia. Alvin ceni każde słowo, które zdaje się być przepełnione największą mądrością, robi długie pauzy, pozostawiające słuchaczom czas na przemyślenia. Opowiada, lecz potrafi także słuchać wynurzeń innych, oczekujących od niego wskazówek na dalsze życie, a Straight niby starożytny mędrzec, udziela im trafnych rad. Najnowszy film Lyncha, podobnie jak *Dym Wanga*, jest hołdem składanym opowiadaniu historii, w których zawiera się niezwykła oczyszczająca moc, źródło *katharsis*. Bowiem po obejrzeniu tego obrazu potencjalny odbiorca powinien stać się wewnętrznym innym człowiekiem, mądrzejszym, szczęśliwszym, wrażliwszym, *bardziej skłonnym do rozumienia i czucia*⁴.

W analogiczny sposób wrażliwość widza zostaje wyostrzona dzięki filmowi (nota bene francuskiej produkcji) rumuńskiego reżysera Rade Michaileanu – *Pociąg życia*. Podobnie jak *Prosta historia*, jest to opowieść jednowątkowa, o prostej narracji, zrealizowana w konwencji filmu drogi, tyle że jej kierunek wyznaczają tory kolejowe. Tę tragicomiczną i zarazem hiperboliczną historię z czasów wojny można interpretować na wiele sposobów, między innymi jako kolejną komediową wersję przypowieści o Arce Noego i poszukiwaniu Ziemi Obiecanej przez naród wybrany, czy duchową wędrówkę Każdego (Everymana) w celu osiągnięcia szczęścia. Jest to jednocześnie ciepła i nie pozbawiona specyficznego humoru opowieść o społeczności żydowskiej z małego miasteczka w Rumunii w czasie ostatniej wojny światowej. Na wieść o odbywających się w okolicy masowych wywózkach Żydów, całe *sztetl*, samo organizuje wielką ucieczkę pociągiem do Jerozolimy przez Rosję, pod pozorem akcji deportacyjnej. W tej misternej mistyfikacji biorą udział wszyscy mieszkańcy: niektórzy wcielają się w rolę „Niemców”, szlifują właściwy akcent, podróżują w salonkach, pozostali grają rolę deportowanych. Mordechaj, wcielający się w rolę dowódcy składu deportacyjnego, ponosi pełną odpowiedzialność za wszystkich, prowadząc negocjacje z napotkanymi hitlerowcami i ratując swoich pobratymców przed zdemaskowaniem. W pociągu dochodzi do buntu

⁴ *Op. cit.*, s. 17.

„komunizującej” części społeczności, domagającej się równych praw i lepszego traktowania ze strony „Niemców” zbyt dobrze wczuwających się w swoje role. Próbują nawet ucieczki z transportu. W czasie podróży *sztetl na kółkach* żyje normalnym życiem: zazdrości, kocha, nienawidzi, wszczyna kłótnie. W filmie granica między prawdą a udawaniem niemal całkowicie ulega zatarciu.

Pociąg życia należy do kategorii popularnych ostatnio obrazów, przedstawiających czas wojny i Holokaustu w ujęciu komediowym⁵. Musiało upłynąć pół wieku, by nowe pokolenie reżyserów nabrało na tyle dystansu wobec barbarzyńskiej eksterminacji Żydów i innych narodów w czasie II wojny światowej, aby móc u progu XXI wieku stworzyć mądre i pełne wewnętrznej siły i współczucia filmy na temat Holokaustu, pozbawione jednak piętna martyrologii i beznadziejnej rozpacz. Obraz Michaileanu skłania widza do głębszej refleksji, potęgowanej zakończeniem filmu, w którym temperatura emocjonalna osiąga swój najwyższy pułap.

Natomiast w najnowszym filmie Pedro Almodóvara *Wszystko o mojej matce*, uczucia widza są przez cały czas utrzymywane na jednakowym, wysokim poziomie emocjonalnym. Podobnie jak we wcześniejszych obrazach twórcy *Kwiatu mego sekretu* stanowią one główny przedmiot zainteresowania. Bohaterowie jego filmów bezustannie (i z różnym skutkiem) toczą boje ze światem. W tym, jak to sam reżyser określił *zbzikowaną dramacie*, główną bohaterką jest pielęgniarzka Manuela, samotnie wychowująca dorastającego syna, który niespodziewanie ginie w wypadku. Wyjeżdża do Barcelony, by powiadomić jego ojca – transseksualistę Lole, o tym, że miał syna. Rozpacz po stracie dziecka i niezaspokojony instynkt opiekuńczy sprawiają, że Manuela przyciąga do siebie ludzi spragnionych jak ona sama ciepła i miłości. Są nimi zarażona AIDS niedoszła zakonnica – Rosa, oczekująca dziecka Loli (chorej/chorego na AIDS), transseksualista Agrado, i Huma – aktorka pozostająca w trudnym związku z inną kobietą, pracującą w tym samym teatrze.

Fabula filmu jest niezwykle prosta, niemal przywołująca chwyt z taniego romansu. Almodóvar, postmodernista, skandalizujący mistrz syntezy, melodramatu, groteski, kiczu; odwołujący się do strategii ironicznego dystansu, jak zwykle kreuje swój własny świat zwany *almodramą*. Zaludnia go kobietami, które z różnych przyczyn znalazły się na marginesie życia. Choć odstają od norm obyczajowych, w sferze uczuć nie różnią się od tak zwanych „zwykłych” kobiet. W odróżnieniu od wcześniejszych jego filmów, Almodóvarowska ironia i groteska staje się wyłącznie punktem wyjścia dla realistycznie traktowanych scen i sekwencji. To połączenie realizmu, groteski, ironii i kiczu sprawia, że ta prosta historia, opisująca powikłane relacje między ludźmi, staje się wzruszająca. Dzieje się tak za sprawą autentycznych emocji bohaterów, z których emanuje prawda i naturalność.

Obsesja na punkcie istoty kobiecości ujawnia się również w poprzednich obrazach reżysera. Kobiecość u Almodóvara, nie kryjącego zresztą swoich homoseksualnych skłonności, definiowana jest jako umiejętność emocjonalnego odczuwania świata, w którym mężczyźni kreowani są karykaturalnie. Są nieczuli, śmieszni, niekiedy żalosni,

⁵ Przykładami filmów tego rodzaju są *Życie jest piękne* Roberto Beniniego czy *Jakub kłamca* Petera Kasovitza.

nie mają szans na stanie się równorzędnymi partnerami, w przeciwieństwie do ostro naskicowanych portretów psychologicznych kobiet, pełnych dramatyzmu i autentyczności. Almodóvar sugeruje, że prócz kobiet tylko homoseksualiści potrafią definiować świat za pomocą uczuć. Na dowód tego przywołuje fragmenty dzieł pisarzy-homoseksualistów tej miary, co Tennessee Williams, Truman Capote i Federico Garcia Lorca (Huma, Manuela i Agrado grają w sztuce *Tramwaj zwany pożądaniem* Williamsa). Filmy Almodóvara składają rodzaj hołdu kobiecości, rozumianej jako poświęcenie w służbie uczucia, dojrzałość emocjonalna, naturalna skłonność do wyrażania najprostszych i jednocześnie najbardziej niezbędnych do życia emocji: miłości, zrozumienia, życzliwości, współczucia. W tym świetle dedykacja zamieszczona na końcu filmu jest czytelnym przesłaniem: *Wielkim aktorkom ekranu, które grały aktorki, mężczyznom, którzy grali aktorki i wszystkim, którzy chcieli być matkami*.

Reżyserski debiut Marka Kondrata *Prawo ojca* również opowiada pewną historię o prostej narracji. Jego treść można ująć w lapidarną formę notatki prasowej z rubryki kryminalnej: „Michał K. zastrzelił sprawców gwałtu na swojej nieletniej córce. Zatrzymany uzasadniał swój czyn bezradnością organów ścigania i aparatu sprawiedliwości wobec narastającej fali korupcji i przestępczości”. *Prawo ojca* można zaliczyć do kina tak zwanego „moralnego sprzeciwu” (nie „moralnego niepokoju”), popularnego, o sensacyjnej fabule, choć nie odwołującego się do klasycznego kina akcji. Nurt ten w najnowszym kinie polskim zapoczątkował *Dług* Krzysztofa Krauze. Jednak w przeciwieństwie do niejednoznacznego moralnie *Długu*, *Prawo ojca* dokładnie trafia w społeczne oczekiwania: przyzwolenie na wymierzanie sprawiedliwości poza prawem w sytuacji, gdy staje ono się bezsilne.

Ów nurt „moralnego sprzeciwu” z pewnością doczeka się kontynuacji, a być może zyska główną rangę w polskim kinie pierwszej dekady nowego stulecia, wykształci swoją indywidualną poetykę, konwencje formalno-stylistyczne oraz ustali zasięg poruszanej problematyki. Powyższe stwierdzenia należy jednak traktować z pewną ostrożnością, choć można mówić o coraz wyraźniejszej tendencji tego rodzaju. Należy tylko ubolewać, że film Kondrata nie został jej sztandarowym, czy nawet kultowym reprezentantem, jakim były na początku lat dziewięćdziesiątych *Psy* Pasikowskiego. Jako film popularny *Prawo ojca* adresowane jest do szerokiej widowni. Jego społeczno-obyczajowy wydźwięk miał w zamierzeniu twórców odnieść sukces. Tak się jednak nie stało, nawet pomimo największego atutu filmu – aktorstwa Marka Kondrata, grającego tytułową rolę. Gromkie brawa, które film otrzymał na premierowym pokazie podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (w styczniu tego roku), ani przyznana mu nagroda publiczności, nie zmieniły ogólnej oceny. Festiwalom zawsze towarzyszy atmosfera nerwowego podniecenia, którego podczas zwykłych projekcji w salach kinowych po prostu brak. Stało się to również udziałem tego filmu.

Pytania typu: „Kiedy wreszcie zrozumiecie, że prawo jest dla ludzi, a nie dla bandytów?”, czy „Gdzie wy jesteście, kiedy zabijają ludzi?”, które zadaje główny bohater – wyraziciel powszechnej opinii, pozostają ze swej natury retoryczne. Można jedynie udowadniać swoje racje i to było, jak się wydaje, celem postawionym przed filmem przez jego autorów, więc i fabuła została podporządkowana owym (wyrażanym w formie pytań) tezom. Może tylko nie za cenę powielania przez głównego bohatera sztampowych

wzorów hollywoodzkich. Michał Kord jest bowiem zwykłym szarym człowiekiem, kierowcą TIR-a. Nie ma cech supermana, siejącego spustoszenie wśród swoich wrogów, wydaje się nawet czasem słaby, popełnia błędy, odczuwa strach. Nie interesują go nawet romanse, choć scenariusz stwarza mu ku temu okazję w postaci atrakcyjnej pani prokurator. Heroiczna pozostaje tylko jego determinacja w działaniu. Pomimo poruszającego tematu, bohaterowie pozostają papierowi, pozbawieni rysu psychologicznego, nawet potencjalnie wyraziste postacie negatywne wydają się być kalką z filmów sensacyjnych klasy B, na czele z serią *Życzenie śmierci* z Charlesem Bronsonem w roli bezlitosnego mściciela. Również na poziomie fabuły, opartej na przeciętnej jakości scenariuszu, wiele scen i dialogów powieli rozwiązania filmów tego rodzaju, co mocno trąci banałem. W rezultacie pomimo zapewne szczerych wysiłków współtwórców filmu rezultaty są dość skromne. Realizatorzy nie ustrzegli się również przed dość wyrazistym błędem operatorskim: główny bohater, ogłuszony pada na ziemię i powoli odzyskuje przytomność. Kamera w tym momencie przyjmuje jego punkt widzenia, co uzasadnia niewyraźne kontury przedmiotów i poruszające się w zwolnionym tempie postaci. I nagle w ten zamglony kadr wkracza sam bohater. Kto wobec powyższego jest punktem odniesienia dla kamery? Czyżby złoczyńcy „dopadli” również operatora? Irytuje też końcowa, i co tu dużo mówić, przydługa sekwencja, w której bohater z córką idą plażą spacerowym krokiem. Trzeba cierpliwości, by doczekać się jakoby symbolicznego gestu bohatera, wrzucającego z zamachem do morza kij, zaśmiecający plażę (czyżby miało to wyrażać „czyszczenie” kraju z przestępców, niesprawiedliwości, korupcji i tego typu zjawisk?). *Prawa ojca* z pewnością nie da się zaliczyć w poczet arcydzieł, lecz przyjmując nieco inną waloryzację debiutów, nie jest to film najgorszy. Treść historii, opowiadanej w zwyczajny i zrozumiały sposób, wysuwa się na plan pierwszy, zaś niewidoczna (przezroczysta) forma narracji przypisuje obraz Marka Kondrata do kategorii filmów *kina stylu zerowego*⁶.

Kino współczesne ponownie zaczęło doceniać narracyjną warstwę dzieła filmowego i wysunęło ją na plan pierwszy spośród innych elementów, współtworzących jego strukturę. Opowiadanie historii z życia przeciętnych ludzi wydaje się przedstawiać niekwestionowaną wartość, szczególnie w kontekście współczesności, odbieranej jako okres upadku wartości, norm i zasad. Te „proste historie” nie tylko pomagają zrozumieć rzeczywistość; pełnią ważniejszą funkcję, bowiem próbują porządkować świat, przywracać poczucie pewnego moralnego ładu, dawać namiastkę bezpieczeństwa i ofiarowywać *katharsis*. Oby ta tendencja nie okazała się tylko przelotną fascynacją.

⁶ Terminu tego używam za Mirosławem Przyłipiakiem – por. Tegoż, *Kino stylu zerowego*, Gdańsk 1994, s. 58.

Etapy Jana Lebensteina (Czy wystawa 10-lecia?)

Tytuł wystawy – *Etapy* – sugeruje przejście od jednej rzeczy do kolejnej. W założeniu miały być to etapy twórczości malarza; od *Figur kreślonych* i *Figur osiowych*, poprzez *Bestiarium*, do łączących się ludzko-zwierzęcych elementów w rozlicznych postaciach Minotaura. Wystawę tę można jednak odczytać zupełnie inaczej. Kreuje ona wiele płaszczyzn odbioru, oscyluje wokół wszechświata. Możemy odwiedzić świat totemów, mitycznych stworów, prehistorycznych zwierząt, zagubionych dusz, ludzkich pragnień i cierpień, umartwionych ciał, wnętrz grobowców i duszy człowieka. To podróż w czasie i przestrzeni, bycie i niebycie. Pełna strachów i nadziei, złowieszczej wizji i erotycznego nasycenia, piękna i brzydoty, panowania i upadku, życia i śmierci. W tym świetle każdy może odnaleźć część siebie, część swej duszy, fragment swoich pragnień i odrobinę swych lęków. To wyprawa po najciemniejszych zakątkach ludzkiego umysłu, który czasami rozbłyśkuje jaskrawym światłem, by ponownie zapaść się w jeszcze czarniejszą ciemność. Mityczny świat przeplata się z wizją naszej przyszłości. Martwa już prehistoria wydaje się być bliższą niż kiedykolwiek. Lęk przestaje być już tak ogromny, przychodzi refleksja i nadzieja.

Figury osiowe są czymś bliskim, choć tak nierzeczywistym. Być może są tylko totemem, pomnikiem. Dla mnie są jednak symbolem człowieka, grobowcem jego duszy, skorupą, która kryje tajemnicze, nieznane i, jak się na początku wydaje, nieodkrywalne wnętrze. Myślę, że dzięki swojej symetryczności uosabiają pewną istotę: to bestia. Ciemniejsza, zwierzęca strona ludzkiej duszy. Ona wydaje się także pozostawać jedynie pustą skorupą lub węgielnym odciskiem, który osierociła dusza, a może na wieczność zastygła w wulkanicznej lawie postacią.

Lebensteinowskie *Bestiarium* może być lekcją dla paleontologów, bo jest swoistym przedstawieniem historii naturalnej. Przed naszymi oczyma rodzą się i w tym samym momencie umierają gady, ssaki, diabły. Biologiczność *Bestiarium* uświadamia nam naszą własną kruchość i krótkotrwałość. Wypada się nad tym zastanowić. Jaka skorupa pozostanie po nas, a właściwie jakie znaki na niej zapiszemy w ciągu całego życia? *Bestiarium*, pomimo tego, że budzi strach, a momentami przeraża, to jednak z równie wielką siłą fascynuje i przyciąga. Sprawia, że chcemy badać, poznawać i usłyszeć odpowiedź na pytania o te wyimaginowane zwierzęta z przedpotopowymi cechami, które są najprawdopodobniej naszą historią.

Podążając dalej, w głąb, możemy stwierdzić, że bestia ma kres swego istnienia, że dojrzeła i zmienia swoją postać. Elementy zwierzęce łączą się z ludzkimi, tworząc kolejne istnienie, coraz bliższe naszemu, a właściwie ukazujące nas, lecz bez maski, pokazujące naszą „drugą stronę medalu”. Obok Minotaurów pojawiają się kobiety. Nie zawsze łączą one w sobie element zwierzęcości, więc być może przeszły już w kolejne stadium – człowieka. Ale czy napewno jest to człowiek, o którym zawsze można powiedzieć: „Człowiek – to brzmi dumnie”? *Ciało własne* – na przykład – pokazuje kobietę o bujnych kształtach, przesadnie rosnących biodrach, które mogą określać ją jako tę, która daje życie. Wspinając się po schodach wchodzi wyżej, więc może także osiąga więcej? Natomiast *Scena domowa* wskazuje na to, że „pół-ludzie” są niejako podwładnymi, nieśmiałymi obserwatorami wobec prowokującej kobiety, która wydaje się być synonimem zła. Pomimo swej ludzkiej powierzchowności jest bardzo demoniczna. W *Bottom I* to ona wydaje się spychać i zasłaniać potwora. Jest tak wulgarna, że nawet on kuli się w sobie, chcąc zniknąć. Kobieta przez swą nieprzyzwoitą pozycję zdaje się być wręcz niekobieca, diaboliczna, zdolna do wszystkiego. Natomiast „pół-człowiek” wstydi się. Czyżby kobieta posiadała siłę, z pomocą której może zniszczyć, zdeprawować mężczyznę? Lebenstein zmusza nas do poszukiwania odpowiedzi na to pytanie poprzez mocne i wyraźne bodźce.

Oto znów przyszedł czas na przypomnienie. *Lekcja zoologii* po raz kolejny ma nam uświadomić nasze pochodzenie, nasze korzenie i to, że mamy jakąś przeszłość. Przeglądamy się temu, ale czy rozumiemy? Czy chcemy zrozumieć? Czy też chcemy wszystko zapomnieć? Czy przypadkiem nie chcemy wszystkiego zniszczyć, aby tworzyć od nowa? Dlaczego potrzebne jest nam takie przypominanie? Zapewne łatwiej jest żyć bez bagażu doświadczeń i grzechów, ale czy będzie to właściwsza droga? Nie sądzę.

Dominującą postacią kolejnych obrazów jest kobieta, lecz coraz częściej pozbawiona swojego towarzysza. Umiejscowiona jest teraz pomiędzy „przyjaciółkami”. Dla Lebensteina kobieta jest nadal symbolem płodności, adorowaną przez siedzące wszędzie zwierzęta boginią, lecz zamkniętą we wnętrzu grobowca. Lebenstein przedstawia kobietę młodą, dumną, piękną i jakby „nienaruszoną”, ani przez cywilizację, ani przez ludzi (*Odosobnienie*). Obok niej umiejscawia jednak „doświadczenie” pod postacią ciała kobiecego w stanie rozkładu, z pustymi oczodołami: nie widzącą, ale wciąż dumną. Oprócz matki i kochanki kobieta przybiera wcielenie władcy. Nie włada jedynie mężczyznami, posłusznie towarzyszy jej kot, czy – tak jak w *Pensjonariuszkach Madame* – stworzenia przypominające zwierzęta. Każda z Lebensteinowskich kobiet jest surowa, bezwzględna, zdolna do wszystkiego, by utrzymać swoją władzę. Niestety, przy tym wszystkim, wydaje się być niewolnicą grobowego wnętrza, który symbolizuje naszą rzeczywistość, obecną cywilizację. Nasz świat to Lebensteinowskie *Codzienne życie grobowca*, gdzie wygląd rzeczy nie ulega zmianie. Zmieniają się jedynie ludzie, coraz bardziej zbliżając się do śmierci, która nie jest już tylko umieraniem ciała, ale i ostatecznym końcem istnienia duszy. Patrząc na obrazy Jana Lebensteina pozornie widzimy tylko fantastyczne sceny, nierzeczywisty świat, mityczne postacie i makabryczny byt. W rzeczywistości jest to nasza teraźniejsza cywilizacja i my sami. Lebenstein nie upiększa świata, lecz zrywa z niego maskę kłamstwa, pod którą kryje się naga prawda. Pozostaje

nam jedynie mieć nadzieję, że świat, w którym żyjemy, zmieni jednak swe oblicze. Prawda nie będzie potrzebowała ozdób po to, by stać się bardziej prawdziwą. Człowiek doceni smak swojego istnienia. Kobiety przeklną dusze demonów i ubiorą się w pokorę. I chociaż nadal będą nam potrzebni ci, którzy więcej czują i więcej widzą, to już nie po to, by odkrywać prawdę, ale o niej po prostu mówić.

Twórczość Lebensteina jednych szokuje, a innych zachwyca. Ja zaliczam się do tych drugich.

Jan Lebenstein, *Etapy. Wybrane obrazy na płótnie i na papierze z lat 1956-1993*,
Sale wystawowe Zamku Lubelskiego, luty – marzec 1999.

Kamila Matla

Okiełznać poezję, czyli *chirurgiczna precyzja* Stanisława Barańczaka

Im bardziej uznany poeta, tym trudniej mu czytelnika zaskoczyć. Udowodnić, że stale się rozwija. Wydając kolejny tomik poezji, Barańczak nie miał łatwego zadania – lecz wywiązał się z niego doskonale. Dowód – nagroda „Nike ’99”.

Słowa, słowa, słowa

Trudno o artystę, który by lepiej poznał swoje tworzywo. Barańczak jest przecież i krytykiem, i teoretykiem literatury, i wziętym tłumaczem. Mało tego, wyklada literaturę polską w prestiżowym Harvard University. Przez lata eksperymentował ze słowem, wiele z jego utworów można śmiało zaliczyć do poezji lingwistycznej. Chętnie bawi się odcieniami znaczeniowymi, aktywizuje czytelnika. I choć jest już poetą dojrzałym, staje się coraz bardziej innowacyjny. O ile utwory z wydanej w roku 1968 „Korekty twarzy” czy późniejszego (1970) „Jednym tchem” z reguły nie zaskakują formą – o tyle „Chirurgiczna precyzja” częstokroć wprawia czytelnika w osłupienie. Bywa, że Barańczak ułoży dialog lub nowatorsko zmodyfikuje utwór stroficzny. A bywa, że skomponuje wiersz z namagnesowanych wyrazów na drzwiach lodówki!

Prawda w ciasnym pudełku

5.06.1995 r. na wykładzie w Katowicach powiedział: „(...) poezję od innych wypowiedzi językowych różni takie użycie języka, przy którym zwięzłość wyzwala wieloznaczność – przy którym, paradoksalnie, i m mniej słów, tym więcej sensu”. Co wcale nie znaczy, iż wiersze Barańczaka zamykają się w długości *haiku*. Zwięzłość ich polega bowiem – na maksymalnym wykorzystaniu możliwości użytych słów. Tu nic nie jest zbędne, nie ma miejsca na barokowe ozdobniki czy pustą emfazę. Skondensowana treść i rzeczowość – oto wyznaczniki poezji Barańczaka. Jako zdeklarowany rzecznik prawdy, wielokrotnie rozwija jej motyw. Pełną formę nadał mu w znanym wierszu „Spójrzmy prawdzie w oczy”:

*Spójrzmy prawdzie w oczy: w nieobecne
oczy potrąconego przypadkowo
przechodnia z podniesionym kołnierzem; w stężałe*

*oczy wzniesione ku tablicy z odjazdami
dalekobieżnych pociągów (...)*

*odważmy się spojrzeć
prawdzie w te szare oczy, których z nas nie spuszcza,
które są wszędzie, wbite w chodnik pod stopami,
wlepione w afisz i utkwione w chmurach;
a choćby się pod nami nigdy nie ugięły
nogi, to jedno będzie nas umiało rzucić
na kolana.*

Poeta jest daleki od eskapizmu. Z uwagą śledzi otaczający go świat, wychwytyjąc wszelki fałsz, kamuflaż – i obnażając je bez litości. Stąd wyczulenie na obłudę mass mediów, na polityczne gry, w których chcąc nie chcąc musimy uczestniczyć. We wspomnianym odczycie z 5.06.1995r. Barańczak zauważa: „Budujący całą swoją karierę na demagogicznych ogólnikach i chwytliwych hasłach bez pokrycia współczesny polityk krzywi się, kiedy poeta zadaje mu pytanie: *Pięknie, ale jak mam to sobie konkretnie wyobrazić? Jakie namacalne skutki będzie to miało w rzeczywistości?* Żonglujący sprytnie sensami słów (...) propagandzista czułby się nieco pewniej, gdyby poezja nie przypominała publiczności (...), że język nigdy nie jest neutralnym przekaznikiem treści, że może stać się narzędziem manipulacji”. Dlatego też Barańczak nie bawi się słowem dla samej zabawy. On chce po prostu otworzyć nam oczy, uświadomić, jak łatwo nam stać się narzędziem manipulacji. Nierzadko w prześmiewczy sposób piętnuje przewrotność używania słów, przy której tracą one dla publiki sens. Oto fragment jednego z wcześniejszych utworów pt. „Protokół”:

*Zdając sobie sprawę
z własnej winy, ponad wszelką wątpliwość (oklaski)
udowodnionej przez przedmówców, chciałbym
oświadczyć na usprawiedliwienie, mimo (okrzyk: brawo!)
iż takie wykroczenie (...)
nie może być (oklaski) usprawiedliwione,
że urodziłem się istotnie,
ale nie z własnej woli i bez złych zamiarów;
(...)
po (ironiczne sykanie) gruntownym
i szczerym przemyśleniu swej dotychczasowej
postawy, pragnę stanowczo
odciąć się od niej i poprosić o
(śmiech) danie mi jeszcze
jednej szansy (oklaski
przechodzące w owację).*

I znów – niesprawiedliwość, hipokryzja, nadużycia, będące domeną współczesności – ukazane w ostrym świetle absurdu. Tak, „Protokół” może wywoływać uśmiech niedo-

wierzenia. Lecz temu niedowierzaniu towarzyszy zadziwienie – bo tak wygląda rzeczywistość. A raczej jej ciemna strona, której zdajemy się nie dostrzegać. Do której już się chyba przyzwyczailiśmy.

„Chociaż cię ranimy ale cię chronimy”

W każdym człowieku mieszka bestia. Barańczak tropi ją niczym wytrawny myśliwy. Cierpliwie, spokojnie. Przechwytywa w najmniej oczekiwanym momencie, wystawioną na strzał. Po czym oddaje czytelnikowi strzelbę.

Przeglądając wydany w 1977r. tomik „Ja wiem, że to niesłuszne”, wielokrotnie spotykamy głos przeciw obojętności na zło (choć, oczywiście, głos ten odzywa się w całej twórczości poety). Czytamy: „To mnie nie dotyczy, ten dotkliwy / chłód lufy przytkniętej do czyjejs potylicy”, i wzdragamy się. Przecież patrzymy beznamiętnie na okrucieństwo, dopuszczamy się zła, jakby nie miało ono znaczenia wobec zbrodni innych ludzi. Barańczak nie jest pobłażliwy wobec czytelnika. Nie próbuje łagodzić wstrząsów. Co nie znaczy bynajmniej, iż uważa on istotę ludzką za złą na wskroś. W „Chirurgicznej precyzji” niecierpliwi się: „Prosty człowiek mógłby, do licha, / zdecydować się wreszcie, kim jest”. Wybór istnieje – i poeta jasno przedstawia alternatywne drogi. Fakt, że „żadnych gwarancji (...) nam nie dodawali / do aktu urodzenia skrzydlaci ajenci”, nie zwalnia od obowiązku poszukiwań, samodoskonalenia.

Zauważmy, że po wielu latach buntowniczej niezgody na ułomny świat – Barańczak nabiera coraz więcej ironicznego dystansu. W ostatnim tomiku charakterystyczne dla niego dygresje poetyckie stają się często żartobliwymi wtrąceniami.

Chirurgiczny uśmiech

Tak, gdyż równie dużo jest w tych wierszach dowcipu, co precyzji. Kiedyś Szekspir złamał utartą regułę niemieszania kategorii estetycznych. Teraz to samo czyni Barańczak. Wcześniejsze jego utwory, choć ironiczne, były zazwyczaj pełne powagi (nie licząc osobnej kategorii „Wierszy niepoważnych”, czyli sześciu drobnych tomików: „Zwierzęca zjadłość”, „Zupełne zezwierzęcenie”, „Żegnam cię, nosorożcze”, „Biografioły”, „Geografioły” i „Pegaz zdębiał”). Teraz tymczasem poeta pozwala sobie na wygładzanie ostrych konturów, jeszcze chętniej niż w dawnych utworach przekomarza się z czytelnikiem. „Dialog Duszy i Ciała” na przykład, może dziwić cokolwiek frywolnym potraktowaniem tematu śmierci. Jak się okazuje, Dusza bywa beczelna. „Ciao, spływam / leż beze mnie”, oto jak wygląda jej pożegnanie z Ciałem.

Szczypta liryzmu

wyduje się być niespodziewanym dodatkiem. Poezja Barańczaka jest przecież nader konkretna, trzymająca się realiów, często wręcz bezemocyjna. Tymczasem – jak to poeta – Barańczak jest ogromnie wrażliwy. Jedyne w całej „Chirurgicznej precyzji” wiersz dedykowany kobiecie („Płakała w nocy, ale nie jej płacz go zbudził”) emanuje ciepłem. Pełen melancholijnej zadumy jest także wiersz wprowadzający do tomiku „Z okna na którymś piętrze ta aria Mozarta”. Daleko jednak tym utworom do sentymentalnej pustki – każdy z nich niesie z sobą niecodzienną refleksję, każdy wart jest głębszej analizy.

Rzeźbiarz treści

Lata praktyki uczyniły z Barańczaka również mistrza formy. Od klasycznych układów, jakie spotykamy w „Korekcie twarzy” czy w „Jednym tchem”, przeszedł do piosenek i przeróżnych hybryd własnego pomysłu. Sam zresztą stwierdza 5.06.1995r. w Katowicach, iż „cechami (...) wpisanymi (...) w sam gatunek poezji lirycznej są: (...) przywiązanie do konkretności i „zauważalność” języka (który w poezji jest zawsze czymś więcej niż tylko przejrzystym celofanowym opakowaniem tego, co chcemy przekazać)”. Słowa te potwierdza „Alba lodówkowa”, „Madrygał probabilistyczny”, „Dialog Duszy i Ciała” czy „Tekst do wygrawerowania na nierdzewnej bransoletce noszonej stale na przegubie na wypadek nagłego zaniku pamięci”. Oto fragment tego ostatniego:

1. JEŻELI COŚ CIĘ BOLI:
– DOBRA WIADOMOŚĆ: ŻYJESZ.
– ZŁA WIADOMOŚĆ: TEN BÓL
CZUJESZ WYŁĄCZNIE TY.

2. TO WSZYSTKO DOOKOŁA,
CO CIĘ OTACZA
NIE CZUJĄC TWEGO BÓLU,
JEST TO TAK ZWANY ŚWIAT.

3. UBAWI CIĘ, ŻE JEST ON
REALNY I JEDYNY (...)

Powyższy wiersz wyróżnia się wielką prostotą sformułowania myśli. Właściwie przestaje on już być wierszem – utworem skierowanym do określonego grona słuchaczy. Ma być zrozumiały dla każdego ewentualnego odbiorcy. Co nie zmienia faktu, że z perspektywy nastawionego na interpretację czytelnika nabiera on nowego sensu – i taki był zapewne zamiar poety.

Lecz doskonały rzeźbiarz, czuwając nad ogólnym kształtem dzieła, nie zaniedbuje szczegółu. Barańczak rozwinął nie tylko formę swych wierszy – także poszczególne słowa dobiera z wielkim pietyzmem. Przy czym coraz częściej natrafiamy na słowa-pułapki lub słowa-wytrychy. Dla niewprawnego odbiorcy niejeden wiersz może stać się labiryntem – gdzie trzeba chwilę poszukać wyjścia.

Podsumowanie z banderolką „Nike”

Pisząc, obserwując, tłumacząc dzieła mistrzów i komentując aktualne wydarzenia literackie, zebrał Barańczak doświadczenia, których odzwierciedleniem jest właśnie „Chirurgiczna precyzja”. Tomik ów – to dowód wielkiej wszechstronności poety. Obok rozważań moralno-filozoficznych znajdziemy tu utwory pełne ciepła i delikatności, obok wierszy trudnych – żartobliwe piosenki. Nie wspominając już bogactwa ich form.

Choć poeta porusza sprawy nam bliskie, nie ma tu miejsca na banał. A pisze: o panoszącej się w dzisiejszym świecie obłudzie, o walce prawdy i fałszu, o tym, jak postęp naukowy wpływa na mentalność człowieka. Barańczak to bacznym obserwatorem, uka-

zujący problemy z rozmaitych perspektyw. Nie daje gotowych recept – może za to wskazać drogę, prowadzącą do odpowiedzi na nurtujące nas pytania.

Dotychczas wykorzystywane przez poetę motywy uległy teraz rozwinięciu i pewnym przekształceniom. Bo przecież i realia są dziś zupełnie inne niż wówczas, gdy wydawano takie tomiki jak: „Sztuczne oddychanie” (1974), „Ja wiem, że to niesłuszne” (Paryż, 1977) czy „Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu” (Paryż, 1980). Poezja Barańczaka niesie uniwersalne przesłania. To nie komentarz, krytyka, która traci znaczenie z chwilą zniknięcia problemu. To poezja, która porusza bez względu na upływ lat.

Najnowszy tomik Barańczaka niewątpliwie zasługuje na wysoką ocenę, choć jest na tyle innowacyjny, iż może wzbudzać kontrowersje. Jest to jednak poezja, którą trzeba poznać i warto przemyśleć. Nawet, jeżeli nie jest się koneserem.

Paweł Jurewicz

Dlaczego poloniści nie lubią Lema czyli „polski Goethe” i filozofia umysłu

Wstęp

W roku 1995 i 1999 wyszły, po 30 latach przerwy, kolejne części (aneksy?) do wydanej w 1964 roku *Summa Technologiae – Tajemnica chińskiego pokoju* (1995) i *Bomba megabitowa* (1999). Są to zbiory esejów publikowanych w *PC Magazine po polsku*. Patrząc na nie przez pryzmat *Sumy*, można im wróżyć dużą poczytność¹ (także za granicą), i niestety² wiarygodność. Jak przypuszczam, i one staną się dla naukowców taką inspiracją, jaką była *Suma*. Nie jest jednak moim zamiarem wędrówka po XXI wieku, takim, jakim widzi go Lem. Nie będę się też zajmował istniejącymi już teraz zagrożeniami, na które zwraca on naszą uwagę. *Tajemnica* i *Bomba* są dla mnie ciekawe z innej przyczyny. Inaczej niż w *Sumie*, pisarz wielokrotnie przywołuje w nich bowiem swoje utwory, komentuje je i pokazuje ich urzeczywistnienie. Umieszcza je też tym samym w bardzo ciekawym kontekście problematyki filozoficzno-inżynierskiej i nowych problemów etycznych, które rodzi nasza cywilizacja. Wspomniane eseje będą stanowiły punkt wyjścia dla poruszonego w tytule problemu.

Pytanie: dlaczego poloniści nie lubią Lema? powstało pod wpływem prywatnych rozmów z moimi koleżankami i kolegami z filologii polskiej. Wielokrotnie spotykałem się z obiegową, niepocholebną opinią o autorze *Edenu*. A szkoda, nieprzypadkowo nazwałem go w tytule „polskim Goethem”. Pod względem erudycji, horyzontów myślowych (i inteligencji?) bije on na głowę wszystkich polskich pisarzy. W połączeniu ze świetnym piórem daje to nam literaturę najwyższej próby. Jak brzmi natomiast opinia statystycznego studenta polonistyki na ten temat? „Takie sobie bajeczki” (Kipling się pewnie przewraca w grobie). Zastanówmy się przez chwilę z czego to może wynikać. Przyczyn, jak przypuszczam, jest kilka. Pierwszą jest wąski zakres kursu filozofii, którego efektem jest pobieżna albo nawet zerowa znajomość filozofii, zwłaszcza tej współczesnej. A w XX wieku powrócono do tradycyjnych metafizycznych problemów, tyle, że na innej płaszczyźnie – ludzkiego umysłu. Efektem tych dyskusji są m.in. „mind-body problem” oraz spory wokół sztucznej inteligencji czy „reanimowanego” solipsyzmu. Brak wiedzy na ten temat, ale i świadomości tego, że możliwe jest przeniesienie poglądów Platona i Arystotelesa do współczesności, uniemożliwia zobaczenie wie-

¹ *Bomba megabitowa* przez kilka miesięcy była na liście bestsellerów.

² „Niestety”, gdyż większość „prorocstw” nie jest zbyt optymistycznych. Nowa skala i nowe rodzaje terroryzmu i przestępczości, to tylko niektóre z oczekujących na nas – zdaniem Lema – w XXI wieku „innowacji”.

lu utworów Lema z bogatej interpretacyjnie perspektywy. Wiele bowiem, jak najbardziej aktualnych dyskusji filozoficznych, ma swoje odbicie w twórczości pisarza. Z tego wynika nieuniknione poprzestanie na banalnym wielokroć wątku fabularnym, co nie wróży czytelnikowi satysfakcji poznawczej. Drugim problemem na jaki napotyka rozkochany w Słowackim student, jest specjalistyczne, naukowo-techniczne słownictwo, z różnych dziedzin wiedzy, wymagające niemałej elokwencji i erudycji od czytelnika. To także niewątpliwie może odstraszyć. Po trzecie wreszcie, utwory Lema są rodzajem współczesnych przypowieści. Nie ma tutaj „głębi psychologicznej postaci”. Są za to aluzje do wynalazków technicznych, abstrakcyjne koncepcje filozoficzne, ogólne refleksje nad „naturą człowieka”. W tym krótkim tekście, poruszę pierwszy – z tej hipotezycznej „etiologii” – problem.

Będę to realizował w dwojaki sposób. Po pierwsze, „od drugiej strony”, poprzez wspomniane na wstępie zbiory esejów, przyjrę się twórczości Stanisława Lema (głównie literackiej). Bowiem zawarte w nich komentarze odautorskie otwierają niedostrzeganą w dotychczasowych opracowaniach perspektywę jego twórczości. Po drugie, postaram się przybliżyć czytelnikom „polskiego Goethego” podstawowe problemy filozofii umysłu. Ich poznanie może uczynić lekturę jego książek wspaniałą, intelektualną przygodą.

Lem w przebraniu

W eseju *Kod życia*³, padają następujące słowa: „Czego nie śmiałem prognozować w *Summie*, to sprezentowałem pod ochronną barwą literacką w 21 podróży Ijona Tichego w *Dziennikach gwiazdowych*”. Podobnie pisze w innym miejscu „(...) jeśli zaś w ogóle tykałem takiej problematyki, to z rozmysłu w uniewinniających przebraniach (jak, dajmy na to, w *Bajce o trzech maszynach króla Genialona* w tomie *Cyberiada*)” (*Gry w Internecie*)⁴. Innymi słowy, Lem utwory *stricte* literackie (jak widać, pisarz nie zalicza do nich *Sumy technologicznej*), traktuje jako dobre zamaskowanie dla co bardziej śmiałych pomysłów. Podobnej treści zdanie wypowiada jeden z bohaterów *Cyberiady*: „Bądź mi tedy zdrów, przyjacielu, i nadal ukrywaj przed światem prawdy zbyt dlań okrutne, dla niepoznaki między bajki je wkładając”. Są to istotne przesłanki ku temu, żeby potraktować powieści i opowiadania, na równi z *Sumą*, pod względem powagi ukrywających się tam „przepowiedni”. Będę próbował odsłonić „ukryte” w nich tezy filozoficzne, bo nie ma wątpliwości, że Lem jest jak najbardziej świadom filozoficznych korzeni swoich „futurystycznych” pomysłów:

„(...) mamy do czynienia – obecnie – z pewną techniką w stanie embrionalnym, (...) ja natomiast (...) starałem się sobie wyobrazić [w *Sumie technologicznej* – uwaga moja – PJ] sytuację technologicznie osiągniętej PERFEEKCJI (...), że prawie już żadną miarą niepodobna, by odróżnić „rzeczywistości realnej” od „fikcyjnej”, powstałej dzięki dwu nie nazbyt odległych od siebie filozoficznych tez, mianowicie berkleyowskiego ESSE EST PERCIPI (być, to być postrzeganym), oraz (angielskiego również i filozozo-

³ S. Lem, *Bomba megabitowa*, Kraków 1999, s. 101.

⁴ *Ibidem*, s. 43.

ficznego) *nihili est in intellectu quod non prius fuerit in sensu* (nic nie ma takiego w umyśle, czego uprzednio w zmysłach nie było)”⁵.

Lem uwięziony

W eseju *Rozmyślania nad siecią*⁶, autor *Solaris* porusza wspomniany już problem „wirtualnej rzeczywistości”. W ostatnich latach upowszechniają się hełmy i rękawice, pozwalające nam poruszać się po wirtualnym świecie, generowanym przez komputer. Mówi się już nawet o całych kombinezonach, umożliwiających nawet stosunek seksualny przez Internet. Można również ten proces – jak go nazywa pisarz – fantomatyzacji, wyobrazić sobie jako tak udoskonalony, że nie można odróżnić generowanego przez maszynę fikcyjnego świata od tego realnego. Lem idzie w tych przepowiedniach krok dalej i pisze:

„Mówiąc jak najzwyczajniej bowiem, także akt zdejmowania z głowy „okularów”⁷, przez które do oczu wpływa strumień informacji fikcyjnie wizualnych (że, powiedzmy, znajdujemy się wewnątrz piramidy Cheopsa albo we własnym mieszkaniu), **także ten akt, powtarzam, który jakoby ma nas przywrócić bytowi na normalnej i zwyczajnej jawie, może być w zaawansowanym stadium techniki fantomatyzacyjnej również fikcją.** (Coś w tym guście, chociaż żartobliwego, można znaleźć w mojej *Cyberiady*, tam np. gdzie król Rozporyk zostaje „podłączony” do „śniacej szafy”, aby poznać rozkoszną „Monę Lizę”, a okazuje się, że (...) król „rozpuszcza się” w iluzjach, których od jawy nie sposób odróżnić)”.

Jest to nic innego jak solipsyzm wcielo(a)ny w życie. Dla czytelników stroniących od filozofii, już spieszę z wyjaśnieniem⁸. Proszę sobie wyobrazić, że wszystko co znajduje się wokół Ciebie, jest wytworem twojego mózgu. Wszystkie zmysły dostarczają Ci informacji, że się poruszasz, jaka jest temperatura, jak wygląda otoczenie itd., tyle że wszystkie te obrazy i wrażenia nie płyną ze świata, ale twój mózg sam to wszystko „produkuje”. Także tekst, który teraz czytasz, jest wymyślany w trakcie czytania przez Ciebie. Istnieje także „odmiana solipsyzmu”, zgodnie z którą Ty (a konkretnie Twój mózg) znajdujesz się w laboratorium, podłączony (przypominam, że chodzi o mózg) do urządzenia, które „wytworza” w Tobie wrażenie istnienia w realnym świecie.

Dla większości czytelników może to się wydać co najwyżej zabawną fantazją. Jednak pomysł Lema jest o tyle ciekawy, że choć żyjemy w realnym świecie, dotykamy realnych przedmiotów, całujemy się z realną dziewczyną (chłopakiem), to wydaje się całkiem możliwe, że nasze wnuki przeniosą się (może nawet wbrew ich woli) w świat wirtualny. Może się to stać zgodnie ze scenariuszem zawartym we wspomnianym przez Lema opowiadaniu⁹. Nic prostszego jak „uwięzić” człowieka w świecie iluzji, dostar-

⁵ S. Lem, *Tajemnica chińskiego pokoju*, Kraków 1996, s. 34.

⁶ S. Lem, *Bomba megabitowa*, s. 47-54.

⁷ Chodzi o urządzenie „wprowadzające” nas w świat wirtualny.

⁸ Jeśli oglądałeś film *Matrix*, to z pewnością łatwiej będzie Ci to sobie wyobrazić. Istnieje tylko jedna różnica. We – nazwijmy to – wzorcowym solipsyzmie istniejesz tylko Ty.

⁹ Bajka o trzech maszynach opowiadających króla Genialona, (w:) Stanisław Lem, *Cyberiada*, Kraków 1972.

czając mu wirtualnej informacji, że odłącza się od maszyny i wraca do normalnego życia. Teraz rozszerzmy tę wizję na cały świat i przed oczami naszej wyobraźni powstaje obraz mieszkańców Ziemi (a może nawet samych mózgów) zamkniętych w maszynach.

Pisarz na tym nie poprzestaje. W eseju *Fantomatyka (II)*¹⁰, rozważa możliwość istnienia dwu odmian fantomatyki – obwodowej (opisanej powyżej) i centralnej. Ta druga różni się tym, że bodźce sensoryczne „podawane” są wprost do mózgu, bez pośrednictwa zmysłów. Ten rodzaj fikcyjnego świata byłby już nie do odróżnienia. Nie byłoby z niego ucieczki. To co brzmiało dla nas jak dziwaczny, filozoficzny pomysł, jeśli odpowiednio Lema się spełnia, może się kiedyś urzeczywistnić.

Lem alias Witkacy

Nie wiem, czy to wspomniane przez Lema doświadczenie z psylocybiną (rodzaj narkotyku)¹¹ naprowadziło go na ten pomysł, w każdym razie niezwykle intrygującą wizję świata otrzymujemy w *Kongresie futurologicznym*. (Uwaga! Zdradzam zakończenie!) Tutaj z kolei rolę maszyn fantomatycznych pełnią środki psychotropowe. Choć ludzie poruszają się na własnych nogach, to jednak rozpylane w powietrzu narkotyki n-tej generacji, tuszują szarą i brzydką rzeczywistość. Narkotyki są tak „wyspecjalizowane”, że potrafią zmienić wygląd tylko np. paznokci (innych ludzi i własnych).

„Ale prawdziwy przewrót nastąpił dopiero dwadzieścia pięć lat temu, gdy syntetyzowano maskony, to jest hapunktory – halucynogeny punktowe. Narkotyki nie odcinają człowieka od świata, zmieniają tylko stosunek do niego. Halucynogeny zamacają i przesłaniają cały świat. (...) Natomiast maskony świat fałszują!

(...)

Wprowadzając odpowiednio syntetyzowane maskony do mózgu, można zasłonić dowolny obiekt świata zewnętrznego obrazami fikcyjnymi tak sprawnie, że osobnik zachemaskowany [„zamaskowany” chemicznie -uwaga moja – PJ] nie wie, co jest w postrzeganym realne – a co ułudne”¹².

W takim świecie pojawia się (podobnie jak w świecie sfantomatyzowanym) wielowarstwowa fikcja. Wszyscy ludzie „po równo” wdychający środki psychotropowe uważają postrzegany pod ich wpływem świat za normalny. Narkotyki w tej „psywilizacji” (psychika+cywilizacja) są powszechnie używane do np. osiągania stanów mistycznych, erotycznych i innych. Także tutaj istnieją narkomani, którzy uciekają w jeszcze inne światy, co jest przez innych postrzegane jako ucieczka od rzeczywistości, choć my wiemy, że jest to tylko wejście na wyższy poziom iluzji. Są też w tym świecie „rzeczowidze” (wtajemniczeni, którzy mają dostęp do środków, anulujących działanie narkotyków maskujących rzeczywistość), którym się wydaje, że mogą widzieć świat takim, jakim jest. Okazuje się niestety, że także oni są oszukiwani i prawdziwa rzeczywistość jest jeszcze

¹⁰ S. Lem, *Tajemnica chińskiego pokoju*, s. 51-59.

¹¹ S. Lem, *Bomba megabitowa*, s. 47.

¹² S. Lem, *Kongres futurologiczny*, Kraków 1983, s. 100.

„niżej” – trzeba zażyć jeszcze mocniejsze środki psychotropowe, żeby anulować działanie wszystkich narkotyków fałszujących rzeczywistość.

Oto przykład z powieści. Pierwsze wrażenie bohatera to piękny, czysty i bogaty świat przyszłości, nieograniczony dostęp do wszelkich dóbr. Jednak po anulowaniu działania „maskonów”, okazuje się, że „naćpani” nimi ludzie biegną po ulicy, mają wrażenie, że jadą samochodem. Mają ogony, zrogowaciałe uszy, są łysi i z popsutymi zębami, a wszystko to na skutek działań ubocznych narkotyków. Co gorsza, ta sytuacja się potęguje, gdyż aplikuje się im dodatkowe „maskony”, tuszujące efekty uboczne innych „maskonów”.

U podstaw wizji świata, w którym istnieją „maskony”, leży określona wizja umysłu. Tym samym przechodzimy do problemu mind-body (umysł-ciało). Tradycyjne problemy ontologiczne (jaki jest świat) przeniosły się na grunt filozofii umysłu. Pytanie, które sobie stawiają filozofowie brzmi następująco: „Jak istnieje umysł i czym jest?”. Upraszczając cały problem można zapytać, czy istniejące w nas „wrażenia” (np. „zieloność” – wrażenie koloru zielonego) i emocje¹³ są tym samym co nasz mózg, czy też istnieją niezależnie od niego (jak idee u Platona lub dusza w chrześcijaństwie). Możliwych jest oczywiście wiele różnych odpowiedzi.

Lem w tej dyskusji plasuje się silnie na prawo, w szerokim gronie fizykalistów. Można by bez wahania włożyć w jego usta słowa Quine’a, reprezentatywne dla tego nurtu: „No difference, without phisical difference” (nie ma żadnej zmiany, bez zmiany w stanach fizycznych). Żeby wymyślić „maskony”, trzeba postrzegać stany umysłu jako coś, co pod każdym względem i w najdrobniejszych szczegółach podlega stanom mózgu. Żeby jakaś substancja chemiczna mogła oddziaływać na mózg, precyzyjnie modyfikując pojedyncze elementy postrzegania, musi istnieć ścisła relacja między umysłem a mózgiem, tak że najdrobniejsza modyfikacja pracy mózgu modyfikuje nasze postrzeżenia mentalne.

Dusza Stanisława Lema

Nie należy jednak posądzać Lema o stronniczość. Choć najczęściej jest wierny fizykalistycznej wizji świata, to jednak jest jedno opowiadanie, w którym wyraźnie ulega skrajnie dualistycznej koncepcji.

Problem umysłu próbuje się także rozwiązać w duchu Platońskim, twierdząc, że umysł istnieje zupełnie niezależnie od mózgu. Można się oczywiście spierać, czy wyłącznie część niematerialna oddziałuje na materię naszych ciał, czy też możliwe jest również działanie odwrotne (jakieś oddziaływanie mózgu na umysł) – najważniejsze jest, że Lem rozważa teoretyczne konsekwencje takiego założenia. W wyprawie piątej z cyklu *Siedem wypraw Trurla i Klapaucjusza*¹⁴, tytułowi wynalazcy obdarowują króla Baleryona najlepszym schowkiem na świecie. Dają mu urządzenie przypominające rogi, dzięki którym, kogokolwiek bodnie, od razu zamienia się z nim ciałem. Innymi

¹³ Oczywiście filozofowie używają tu wielu precyzyjnych określeń, np. fenomeny psychiczne i mentalne, stany mentalne, qualia.

¹⁴ S. Lem, *Cyberiada*, s. 187.

słowy, osobowość (umysł) króla „wskakuje” w ciało tego kogo ubódł, a osobowość (umysł) bodniętego „wchodzi” w ciało króla. Władca w bajce „przeskakuje” tak z jednego poddanego na innego i w efekcie kilka osób znajduje się niespodziewanie w obcych dla siebie ciałach. Pozornie wątek ten przypomina popularny dla bajek motyw przybrania innej postaci (np. czarownica, po wypiciu eliksiru, przemienia się w księżniczkę). Jest to jednak tylko lepszy sposób zamaskowania się, zmiany wyglądu. Taki krem przeciwmarszczkowy nowej generacji. W bajce Lema natomiast, choć utrzymany jest motyw przebrania, to realizuje się on w niespotykany wcześniej sposób – to nie umysł przemienia swoje ciało, ale dwa ciała zamieniają się umysłami.

Rodzi to nieuchronnie następujące pytania. Czy od tego, jakie mam ciało, zależy jaki mam umysł – jak postrzegam, przeżywam świat? Co przeżywa umysł w oderwaniu od ciała? Czy mój umysł, jeśli jest niezależny od ciała, może żyć po śmierci „fizycznej”?

Lem ad infinitum

Przywołałem już wcześniej motyw wielopoziomowej halucynacji. Tę zabawę (wyrażającą, jak pokazałem, z solipsyzmu) Lem przeprowadza na kilka sposobów. Po pierwsze, podłączając się do maszyny fantomatycznej, możemy ulegać iluzji jakiegoś świata, w którym podłączamy się do kolejnej maszyny, która wprowadza nas w kolejny świat, w którym z kolei zasypiamy, dzięki czemu śni nam się inny świat w którym znów podłączamy się do tego typu maszyny itd¹⁵. Można to ciągnąć w nieskończoność. Analogicznie może dziać się z narkotycznymi halucynacjami. Mogą mieć wiele poziomów. (Halucynuję, że biorę LSD i mam następującą halucynację: palę trawkę itd.). Na tym oparta jest cała konstrukcja książki *Kongres futurologiczny*. Ten niekończący się układ „pudełek w pudełkach w kolejnych pudełkach” można także rozwijać w drugą stronę. Nic prostszego wyobrazić sobie, że „poziom” wreszcie ustalony przez bohatera *Kongresu*, jako rzeczywisty (bez zafałszowań), jest także halucynacją, która rozgrywa się wewnątrz jeszcze innej halucynacji, która jest także częścią jeszcze kolejnej etc.

Lem idzie jeszcze krok dalej. Wspomniana już *Bajka o trzech maszynach opowiadających* jest opowiadaniem zawierającym w sobie (na tej samej zasadzie co wielopoziomowe halucynacje) „(pod)opowiadania”, których bohaterowie opowiadają kolejne opowiadania, w których opowiadane są kolejne historie itd. Zatrzymajmy na chwilę tę myśl. Istnieje pewien nurt filozoficzny (hermeneutyka), który traktuje świat jako tekst („wszystko jest tekstem”). Nic prostszego, jak wyobrazić sobie nas samych, czytających *Cyberiadę*, jako bohaterów opowiadanej (czytanej) przez kogoś innego historii, kto z kolei sam także jest przez kogoś innego czytany, i tak dalej, w nieskończoność.

Żeby coś takiego mogło się zrodzić w głowie Lema, wspomniany już Berkley, musiał wcześniej powiedzieć *esse est percipi*.

¹⁵ Taki motyw rozgrywa się w *Bajce o trzech maszynach opowiadających króla Genialona*, w tomie *Cyberiada*.

(Sztuczna) inteligencja Lema

Jedną z najbardziej znanych powieści „polskiego Goethego” jest *Solaris*. Historia odkrycia, eksploracji i badań przeprowadzanych na tajemniczym oceanie opływającym tytułową planetę. Niezwykłe właściwości oceanu (zmiana orbity Solarisu) zainteresowały naukowców tak bardzo, że powstała nawet cała oddzielna dyscyplina wiedzy – solarystyka. Zastanawiano się m.in. czym jest ten ocean. Czy prebiologicznym organizmem, czy może ogromnym mózgiem. Żeby nie zepsuć przyjemności lektury, nie będę zdradzał wszystkich hipotez na temat Solarisu. Co dla nas najistotniejsze, wprost podniesiony tam został problem umysłu-ciała:

„Hipotezy te [dotyczące tego, czym jest Solaris – uwaga moja – PJ] wydobyły z grobu i ożywiły jeden z najstarszych problemów filozoficznych -stosunku materii i ducha, świadomości. Trzeba było nie małej odwagi, aby (...) przypisać oceanowi świadomość.”¹⁶

Czy myśleć i być świadomym może tylko ludzki mózg?

Wśród fizykalistów wyróżnia się „pododmianę” filozofów, tzw. funkcjonalistów. Uważają oni, że umysł jest funkcją mózgu. I podobnie jak funkcja latania jest realizowana przez samoloty i ptaki, podobnie umysł – zdaniem funkcjonalistów – a zatem również świadomość, może być realizowana przez inne odpowiednie „podłoża” (np. komputer, ufoludka, ośmiornicę). Jeśli tak, to nic nie stoi na przeszkodzie, by galaretowaty ocean stanowił odpowiednik ludzkiego mózgu. Ci, którzy czytali *Solaris* wiedzą jednak, że rodzi to różne problemy. Jeśli nawet nieznana nam substancja może mieć świadomość, to jak my – ludzie, możemy się o tym można przekonać? Czy możliwa jest z nią komunikacja? Czy jej świadomość i myślenie jest różne od naszego, czy też takie same?

Lem pokazuje język

Na sam koniec zostawiłem sobie „najsmaczniejszy kąsek”. W przywoływanym już wielokrotnie przeze mnie *Kongresie futurologicznym*, Lem rozwija bardzo ciekawą wizję futurologii przyszłości. Jeden z bohaterów powieści – profesor Trotteireiner – „będzieista” z zawodu (odpowiednik futurologa), opisuje swoją pracę:

„(...) ja zajmuję się teorią. (...) Można by ją nazwać przewidywaniem przyszłości od językowym. Prognozyka ligwistyczna! (...) Futurologia odlingwistyczna bada przyszłość podług transformacyjnych możliwości języka (...) **Człowiek potrafi ovladnąć tym tylko, co może pojąć, a pojąć z kolei może jedynie to, co się da wysłować.** Niewysłowione jest niepojęte. Badając dalsze etapy ewolucji języka, dochodzimy do tego, jakie odkrycia, przemiany, rewolucje obyczaju język ten będzie mógł kiedykolwiek odzwierciedlić”¹⁷.

Przywoływałem już wiele różnych koncepcji filozoficznych. Tym razem widać wyraźnie inspirację wczesnym Wittgensteinem. Jego słynna teza: „Granice mojego języka oznaczają granice mego świata”, znajduje odbicie w „prognoście lingwistycznej”. W

¹⁶ S. Lem, *Solaris*, Warszawa 1982, s. 32.

¹⁷ S. Lem, *Kongres futurologiczny*, s. 96

tym zdaniu Wittgensteina ukryta jest m.in. myśl, że język, którym się posługujemy, ogarnia wszystko. Nie jesteśmy w stanie się uwolnić spod jego wpływu. Przez jego pryzmat postrzegamy świat, on nam narzuca schematy (stereotypy, *frames*), bez których nic nie jesteśmy w stanie zrozumieć ani nawet zobaczyć. Może i istnieje coś poza tym, co potrafimy nazwać. Jednak nie mamy do tego dostępu i pozostaje nam tylko milczenie.

Lem znów nas prowokuje do postawienia serii pytań. Czy potrafimy myśleć bez udziału języka? Jak byśmy postrzegali świat bez niego? Czy do „pojęciowania” rzeczywistości niezbędny jest język?

Boję się oderwać palce od klawiatury. Boję się, gdyż może okazać się (przypadkiem?), że ostatnie słowa tego tekstu, będą ostatnimi słowami mojej wirtualnej egzystencji – egzystencji wewnątrz Twojego umysłu.

Regina Grzeszkiewicz

Żydowski Sen (Halom Ihudi) rozrachunki Igała Ben-Arie z Polską

Tomik wierszy Igal Ben-Arie – „Żydowski Sen” ukazał się nakładem Oficyny Graficznej Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie w 1994 roku. Wydrukowano 150 egzemplarzy.

Autor, urodzony 7 kwietnia 1946 roku w żydowskiej rodzinie, czuje się polskim Żydem – jego rodzice urodzili się w Polsce. Ojciec w miasteczku Jedwabne, matka w Bielsku Podlaskim. Obydwoje przed wojną wyemigrowali do Izraela. Dzieciństwo i młodość spędził Igal w Tel-Awii. Po odbyciu służby wojskowej (1965) zamieszkał w kibucu. W roku 1968 wraz z rodziną przeniósł się do Jerozolimy, gdzie na Uniwersytecie Hebrajskim studiował socjologię.

Jego dorobek artystyczny jest znaczny, wydał (nie licząc „Żydowskiego Snu”) cztery tomy poezji: „Chłód wiatru” (1982), „Jak w poezji” (1986), „Krople czasu” (1988), „Inne możliwości” (1993).

Wiersze zawarte w omawianym zbiorze ukazały się przed przyjazdem Igała do Polski (1989). Jest ich zaledwie pięć, zapisane są w wersji hebrajsko-polskiej (przekładu z hebrajskiego dokonała Viola Wein).

Treść utworów poeta spiał jakby klamrą – od „Żydowskiego Snu”, wiersza, w którym jego bohater prosi narratorkę (matkę) o dokładną relację z tego, jak było przedtem w kraju bliskim jej sercu, w kraju gdzie dni i lata biegły spokojnie, gdzie troska codziennego bytowania przeplatała się z radością, gdzie obok żyli bliscy (było miasteczko, las, synagoga...), kraju, do którego wjechał nagle „pociąg posuwający się wolno i ociężale ku zgubie ... – aż po „Przygotowania do podróży”, po której sobie wiele obiecuje: „przyjadę do Polski / zakończyć dawne porachunki ...”, przypomnieć tym, którzy przeżyli Zagładę, że kiedyś tu był, istniał, i jako niedoszła ofiara zjawiał się znowu.

*pokwaśniej im miny, spojrzą wrogo
przeżyję drżenie niedoszłej ofiary
skazanej żyć jak kaleka ...*

Jest w tym lęku przed konfrontacją z obecną polską rzeczywistością, charakterystyczne dla współczesnej poezji izraelskiej utożsamianie się z ofiarami wojny. Podobny wydźwięk znajdujemy w twórczości Henryka Grynberga:

*[...] że te wody znad których ktoś odszedł
i te gwiazdy spod których ktoś zniknął
i ta ziemia
której kogoś brak
liczą na mnie
i że im dam zadość ...**

W podobny sposób pisze o tym Irit Amiel: „[...] I tylko trzeba być bardzo ostrożnym, skromnym i cichym, i nie zapominać, że jest się człowiekiem ocalonym zupełnie przypadkowo z milionowej masy ...”^{**}. Brzmi gdzieś głęboko ukryte w sercu pytanie – dlaczego nie ja byłem ofiarą, dlaczego nie dotknęło to mnie. W tym momencie rodzi się pragnienie, by swoją obecnością przypominać o tych, co odeszli. Zachować ich obraz w pamięci współczesnych.

Pomiędzy „Żydowskim Snem” – żydowską egzystencją w kraju przodków, która uległa zniszczeniu, ale powraca z ogromem cierpień w snach (dobrze, że tylko w snach), a „Przygotowaniami do podróży” zawarty jest cały niepokój wolności – przyjazd do Erec Israel (rodzice poety), obawa przed nieznanym, przed nowymi doświadczeniami – „patrzyliśmy gorejącym wzrokiem ... ukrywając obawę pożerającą nas od tak dawna” („Przegnać diabły”). Powrót do przeszłości bolesnej – „Małgosia i Pani Szydłowska siedziały w Gospodzie Ludowej popijając wódkę dla stłumienia bólu ...” („Fantazja o Zamenhoffie”), którą można, a może trzeba zapić wódką, wyrzucić, wymazać z pamięci, może oddać się odrobinie rozkoszy zwyczajnej, która między kobietą a mężczyzną ..., by jutrzejszy dzień nowe nadzieje obudził, stał się prosty, klarowny jako dzieciństwo beztroskie – „przeciwieństwem śmierci, powiedziała Małgosia, jest dzieciństwo” („Fantazja o Zamenhoffie”).

Przeszłości, która spędza sen z powiek i pomimo, że bohater wierszy (on sam?) Igał Ben-Arie urodził się już po wojnie w kraju wolnym, czuje całą swoją istotą, każdym drgnieniem serca to, co przeżyli inni, których los nie ocalił – „nie władam polskim, ale nogi moje spoczywają między Białymstokiem a Łomżą / rok przed moim urodzeniem uczestniczyłem w Drodze Śmierci” („Przerażająca pochyłość”). I chciałby przez to utożsamienie się zachować ich w pamięci, w krajobrazie tamtych lat ...

* H. Grynberg, *List gończy* (w:) *Wróciłem*, Warszawa 1991.

** Wypowiedź poetki i pisarki na wieczorze autorskim w dniu 8 listopada 1999 roku w sali konferencyjnej Zamku Ujazdowskiego w Warszawie (W. Susid, *Wieczór autorski Irit Amiel*, „Dos Jidisze Wort”, 3.12.1999).

Igal Ben-Arie

ŻYDOWSKI SEN

*I co było wtedy, zapytałem, opowiedz mi jeszcze
jak wyglądało miasteczko i podwórze
zamarznięte jezioro, synagoga, lasy.*

*„DZIAŁ POSZUKIWANIA KREWNYCH ZAWIADAMIA
I PRZEKAZUJE”*

*kotlety przypiekające się w kuchni zmoczonymi rękami
matka skłaniająca ucho, aby usłyszeć głos życia
w tej monotonii masa ludzka
współziomków słyszy w płaczu wieści
wszystkich, do jednego przywieziono do Wielkiego Jeszybotu
chłopak z mojego miasta, załkała, przykucnięty na pośliskim zdjęciu
jedno wspomnienie pociągu o zaciśniętych ustach
strzegącego tajemnicy bezprizornych porzuconych na dobro i zło
schodzących na dworcu w beznadziejnym poszukiwaniu obierzyn
pociąg posuwający się wolno i ociężale ku zgubie
dzieci ograbiające, żeby przeżyć, mordujące dla przyjemności
bezprizorni bez skrupułów, bez sumienia
na zatlumionym peronie zapomnianej stacji porzucone niemowlę
wklęśnięta pierś, napuchnięty brzuch, tęsknoty nie zazna
i co było wtedy, nalegałem, opowiedz mi od początku
statek zakotwiczył w porcie Jaffo i przywiózł obierzyny
kartofli pierwszego gatunku dla czystości rasy
dla poparcia narodu, udoskonalenia krwi, świętości ziemi.
Nie wydaje mi się, że wycieczka do Polski została zakończona
mieszkam w dwupiętrowym domu
drewniane prycze, skromne umeblowanie, rybny basen
dla dekoracji na wyschniętym podwórku dzikie zarośla
śniada panna z gwiazdą Dawida na szyi
inna gwiazda mniejsza od tej na szyi, wyryta na udzie w imię
skromności*

*w imię czystości, szaleństwa, zamieszania, paranoi,
jeden sprząta podwórko, inny smaży indyczą wątróbkę
przynieśli mi czapkę z napisem polskim
wokół znaku brakuje słowa, inna litera.
Twoje wyjście z udręki, radosny powrót
budzą we mnie głęboką obawę, przezwyciężenie i wyzdrowienie
dają ujście zmianom, które budzą przerażenie
teraz już wszystko może się zdarzyć.
z łatwością, unosząc się jak żydowski sen o Ziemi Niepewnej*

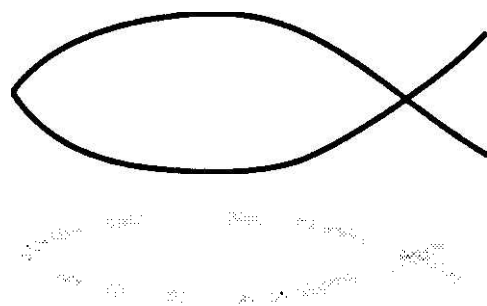
PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY

Pojadę do Polski
zakończyć dawne porachunki
znaleźć dom, który był widziany ostatnio
w żydowskim śnie, jak gdyby sterta
starych naczyń na poddaszu
w pożółkłych zdjęciach znalazłem
stary polski paszport
wezmę go do kieszeni
i kiedy wejdę do miasteczka
kierując się w stronę magistratu
poproszę o adres, ten co na dokumencie
pokwaśniejają im miny, spojrzą wrogo
przeżyję drzenie niedoszłej ofiary
skazanej żyć jako kaleka
jeszcze jedna możliwość, bliska, intymna
ze wszystkich innych możliwości które się
nie urzeczywistniły

tłum. Viola Wein

„Kalendarz Ekumeniczny 2001”

Z radością pragniemy poinformować, iż wychodzący z ciele blizj... T eciemu Tysiącleciu, jako chrześcijanie różnych Kościołów i tradycji, planujemy wydanie jeszcze w bieżącym roku „KALENDARZA EKUMENICZNEGO 2001”.



Komisje honorową przygotowującego Wydawnictwa tworzą: ks. abp **Józef Życiński** (Kościół Rzymskokatolicki), ks. bp **Abel** (Kościół Prawosławny) oraz ks. bp **Jan Szarek** (Kościół Ewangelicko-Augsburski). Członkami radę naukową są: ks. bp **Zdzisław Tranda**, ks. bp **Wiktor Wysoczański**, ks. prof. **Wacław Hryniewicz**, dr **Stanisław Krajewski**, ks. dr hab. **Bogusław Miler-ski**, ks. dr **Jerzy Tofiluk** oraz o. prof. **Stanisław C. Napiórkowski**. Redakcję kalendarza stanowią: **Sławomir J. Żurek** – redaktor naczelny (KUL), **Joanna Koleff-Pracka** (ChAT), ks. **Roman Pracki** (Kościół Ewangelicko-Augsburski), ks. **Jerzy Dmitruk** (Kościół Prawosławny), **Jacek Wojtysiak** (KUL), **Piotr Sanetra** (KUL), **Adam Dobrzyński** (KUL) i **Adam Jarzabek** (KUL).

Kalendarz będzie almanachem zawierającym teksty dotyczące szeroko pojętej problematyki ekumenicznej pióra najlepszych polskich znawców tematyki dialogu międzywyznaniowego. Uwzględnimy święta trzech tradycji chrześcijańskich (katolicyzm, prawosławie i protestantyzm) oraz wykaz czytań z Biblii na każdy dzień, a także informacje o głównych świętach żydowskich i muzułmańskich. Wydawnictwo nasze nie będzie skierowane wyłącznie do ludzi identyfikujących się z konkretną religią, lecz chcielibyśmy, aby trafiło także do rąk osób poszukujących i uznających humanistyczne wartości kultury śródziemnomorskiej. Mamy nadzieję, że wydanie kalendarza ekumenicznego służyć będzie lepszemu poznaniu różnorodnych tradycji religijnych istniejących w Polsce oraz idei dialogu i tolerancji.

„Kalendarz Ekumeniczny 2001” będzie miał format A-5, jego objętość nie powinna przekroczyć 350 stron, przewidziany minimalny nakład to 2000 egzemplarzy. Wydawcą Kalendarza będzie Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, który jest instytucją świecką i pozarządową.

Wydawca i Redakcja

„Kalendarz Ekumeniczny 2001”

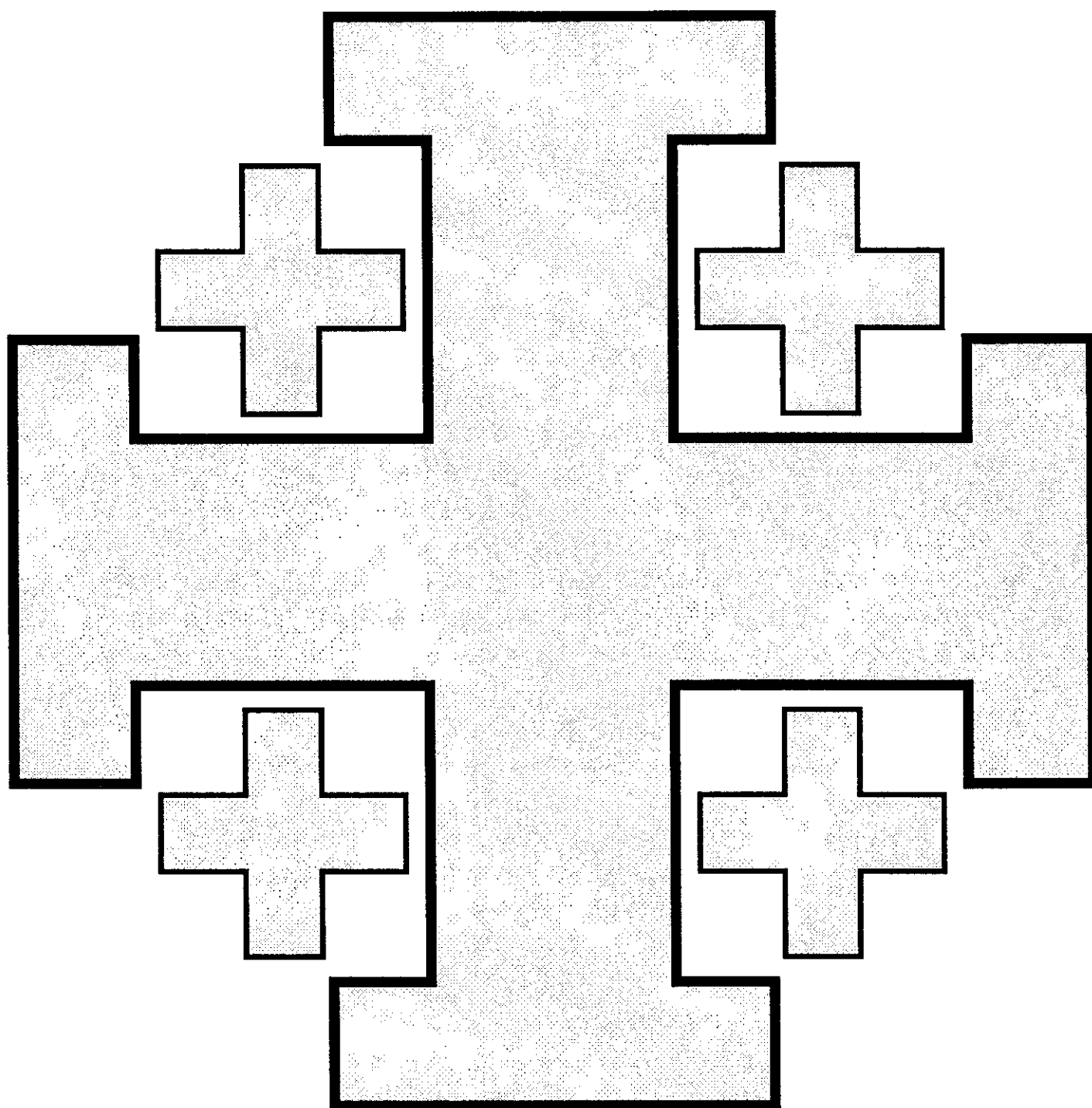
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin

tel. (081) 532 58 67; fax. (081) 534 61 10

e-mail: scriptor@tnn.lublin.pl

Bank PEKAO S.A. Grupa PEKAO S.A. III oddział Lublin 10701281-426930-221-0100



Dekada w Kościołach

Maciej Kowalczyk

O czasie

Biblia a postmodernizm

Słynne już zamyślenie świętego Augustyna nad istotą czasu należy niewątpliwie do klasycznych rozważań wszystkich tych ludzi, którzy cokolwiek i kiedykolwiek próbowali na ten temat powiedzieć. Jak sam zwykł mówić, trudno go pojąć, jeszcze trudniej jest go w słowach wyrazić. Złożoność oraz wielorakość rozważań o naturze czasu zależy często od punktu odniesienia, czyli od tego w jakim kontekście będziemy starali się go wyrazić. Inaczej jawi się on w fizyce, chemii, inaczej w rozważaniach egzystencjalnych, jeszcze inaczej, gdy spojrzymy na niego oczami wiary. Tutaj syntetycznie zostanie ukazana refleksja o czasie biblijnym Starego i Nowego Testamentu, a także współczesny kontekst przeżywania go. Kontekst ten kłóci się mocno z zasadniczym celem przeżywania go przez chrześcijan. Tych kilka uwag o dzisiejszym świecie pomóc ma w zrozumieniu, jak daleko odchodzi się od propozycji biblijnych w jego doświadczeniu. Ścieranie się poglądów, tak oczywiste dzisiaj, o jasną i precyzyjną koncepcję przeszłości, teraźniejszości i przyszłości znajduje swój wyraz w już Piśmie świętym.

Koncepcja czasu w Starym Testamencie.

Początkowo Hebrajczycy żyjący w sąsiedztwie różnych cywilizacji mieli kłopot z precyzyjnym odczytaniem czasu. Ich sąsiedzi pojmowali go bowiem jako wielkie koło powtarzających się cykli przyrody, walki bóstw dobra i zła, stworzenia i zniszczenia. Mit wiecznego powrotu, jak mawia Eliade, był nieustannym odniesieniem do zmieniającej się, a zarazem powtarzającej się historii. Niemożliwość wyzwolenia się z zakłętego kręgu odwiecznych cykli niosła pewien pesymizm życia w takim świecie. Jednakże usensownienie ich, można tak rzec, było pewnym wyzwaniem dla mono-teistycznego narodu. Poprzez odczytanie zbawczego działania Boga starali się wypełnić treścią swoje przeżywanie czasu, który został mu dany i przyobiecany. Stąd potrafili odnaleźć się w owej cykliczności i odczytywali, że jest czas: rodzenia (Mi 5, 2), wojny (2 Sm 11, 1), budowy świątyni (Ag 1, 4). Syntezę opisu czasu w świecie daje Kohelet. Czas urzeczywistnia się w postaci przyjścia i zejścia z tego świata, sadzenia, siania, zbierania, płaczu, śmiechu, zawodzenia, płasów, uśmiechu, milczenia, mówienia, nienawiści i miłości (Koh 3, 1nn). Nie jest to jednak całościowe odczytanie czasu. Próby wykraczania poza cykliczność były umotywowane przede wszystkim obietnicami JHWH wobec Izraela. Kolejno obietnica potomstwa, liczne narodu, własnej zie-

mi kazała Izraelitom patrzeć bardziej optymistycznie w przyszłość. Poszczególne doświadczenia relacji z Bogiem kierowały nadzieję ku przyszłości. Konkretnie wydarzenia były podstawą i punktem odniesienia w przeżywaniu czasu. Ciąg wydarzeń historycznych z epoki patriarchów, wyprowadzenie z niewoli i wejście do Ziemi Obiecanej, czasy królów były okazją do sprawowania kultów w sanktuariach w Betel, Sychem i Gilgal. Początkowo obchodzone były oddzielnie i niezależnie od siebie, na pamiątkę ingerencji Boga w historię.

Linia ta kojarząca czas i historię rysowała się powoli i w trudach. Ogromnie pomocną była pamięć o przeszłych pokoleniach i świadomość, że dzięki wierze Ojców dokonał się Exodus, wybór władców Izraela, namaszczenia królów. Summaria historyczne są najlepszym przykładem pamięci narodu o swojej przeszłości, która nie była historią dla samej siebie. Z doświadczeń przeszłych pokoleń wynikały napomnienia moralne, które były wychowawcami dla następnych, każde już kolejne pokolenie stało na wyższym poziomie dojrzałości etycznej. Wszystko zostało podporządkowane właściwemu odniesieniu do Boga, a ostatecznie również zbawieniu. Izraelici czekali na ostateczny koniec czasów. Psalmista wyraźnie wypowiada się, wsłuchany w głos Boga: „gdy Ja naznaczę porę – odbędę sąd sprawiedliwy” (Ps 75, 3).

Czas objawiania się Boga w ciągu dziejów jest dynamiczny i prowadzi ostatecznie do Jego pełnego ukazania się w Jezusie. Daje się On poznać najpierw jako Bóg Abrahama, następnie Bóg Izaaka i Jakuba, Mojżeszowi tłumaczy swoje imię, a przez proroków przemawia do narodu. Ostatecznie cała przeszłość odczytana zostaje w świetle jedyne w swoim rodzaju wydarzenia – przyjścia Chrystusa.

Czas w Nowym Testamencie

Nowy Testament przynosi pewną rewolucję w pojmowaniu czasu. Wraz z wejściem Chrystusa w przestrzeń i czas mamy do czynienia z nową rzeczywistością temporalną. Według koncepcji Conzella oraz Cullmana zbawcze dzieło Jezusa stało się środkiem czasu. Odtąd jest bardzo jasne rozróżnienie tego, co się odnosi do przeszłości (wszystko to, co było, było po to, by mogło dokonać się dzieło Chrystusa), jak i do przyszłości (czyli cele i zadania na przyszłość). Owa przyszłość kształtuje się w ciągłym „teraz”, w nieustannym napięciu pomiędzy wypełnionym w czasie zbawczym wydarzeniem Chrystusa (Mk 1, 14), a jeszcze nie zrealizowanym naszym osobistym zbawieniem. Stąd czas, który został spełniony przez Jezusa, jest okresem przeznaczonym dla człowieka, dla jego indywidualnego odniesienia w relacji niepowtarzalnego wydarzenia zbawczego do własnego życia. I tak, z jednej strony, spełnienie się czasu powoduje pewne zachwianie się struktury chronosu, czyli czasu absolutnego odliczającego każdą sekundę, minutę, dzień. Czasu mknącego z niesamowitą prędkością ku nieznanemu bliżej wypełnieniu. Z drugiej strony nowotestamentalna formuła czasu przyjmuje często kategorię *kairosu* na oznaczenie konkretnych postaw ludzi wobec bieżących wydarzeń. W szeroko pojętej filozofii greckiej *kairos* łączy się z aktywnością człowieka, najczęściej z jego etyczno-estetycznymi implikacjami. Herakles z Aleksandrii widzi go w zbieżności z czynnościami dokonywanymi przez ludzi. Epiktet twierdzi, że człowiek winien się jemu wewnętrznym podporządkować i czuć się wezwanym do jego wypełnienia.

Również księgi Nowego Testamentu podkreślają znaczenie *kairosu* i zwracają uwagę, by go nie zmarnować. Jest to czas przeznaczony do powołania i pójścia za nim. Ukazuje pozytywne skutki jego odczytania. Autor *Dziejów Apostolskich* w mowie Piotra (13, 20nn) dokonuje swoistego podsumowania, a nawet zdefiniowania czasu chrześcijanina: przeszłość oznacza grzech przewyższony przez Zmartwychwstanie Jezusa; teraźniejszość – to wezwanie do nawrócenia i skierowania się ku Bogu; przyszłość – jest oczekiwaniem na czasy ostateczne. Obrazu przyszłości dopełnia Apokalipsa, gdzie *kairos* łączy się z eschatologicznym sądem, aktywnością Szatana oraz czasem próby dla Kościoła.

Przy okazji należy zauważyć, że autorom Nowego Testamentu nie chodzi o wypracowanie ścisłej koncepcji temporalnej, wszystko podporządkowane jest Chrystusowi, który tylko swoją osobą może wypełnić treść owego czasu. Tylko w Nim bezwzględnie płynący *chronos* wypełnił się (Ga 4, 4). Ostateczne spełnienie się czasu w Chrystusie powoduje, że w Nim trwa teraźniejszość, która zawiera w sobie wypełnienie starotestamentalnych obietnic i wychylenie ku przyszłości, w nadziei zrealizowania się powtórnego przyjścia Chrystusa. Poza tym osoba Jezusa jest odniesieniem dla chrześcijanina. Żyje on bowiem w jedności z Tym, „Który jest, Który był i Który przychodzi” (Ap 1, 4), a także, który jest zawsze ten sam: wczoraj, dziś i na wieki (por. Hbr 13, 8).

Personalne odniesienie jest jednocześnie personalną strukturą czasu. Splot wiary człowieka i biegnącego czasu nie ułatwia obiektywnego odczytania go. Wzajemnie przenikające się i uzupełniające wymiary tworzą jedyną i niepowtarzalną wersję jego przeżycia. Nie jest to postawa ucieczki ani obawy przed konsekwencjami jego upływu, ale postawa polegająca na właściwym przeżyciu go. Wystarczy jeden moment, aby nawiązać głęboką relację z Chrystusem, by mogło to zaowocować trwałym i wiecznym szczęściem. Umiejętne przechodzenie pomiędzy czasem starym (*chronosem*) a nowym (*kairosem*) to właściwa postawa chrześcijanina. Zmierza on do ostatecznej pełni, do wyjątkowego zespolenia się czasu z wiecznością. Jest to rzeczywistość innego rodzaju, gdzie przekroczona zostanie granica, do której się człowiek nie może się zbliżyć w czasie obecnym. Warto dodać, że istnienie człowieka po śmierci nie jest zwykłym przedłużeniem doczesności, wejściem na prostą czasu wiecznego, lecz jest totalną przemianą personalną. Czas traktowany przez współczesną fizykę nie jawi się jako linia prosta, ale jest tylko elementem wielowymiarowej struktury. Tak też nowy czas będzie powstałym z kosmosu, całej ludzkości, a także otrzyma nowy wymiar dzięki Misterium Zmartwychwstania.

Czas dzisiaj

Ostatnie wydarzenia kilkunastu lat każą nam spojrzeć na czas pod trochę innym kątem. Coraz mniej ludzi odnajduje sens w całościowym obrazie czasu. Czas staje się okazją do przeżycia go bez powiązania z przeszłością ani tym bardziej z przyszłością. Wiele się dokłada starań, by w każdej przeżytej chwili jak najwięcej zyskać. Staramy się przypisać zbawcze i szczęściorodne znaczenie bieżącej chwili. Niesamowitej wagi uzyskuje znaczenie „teraz”, które jest miejscem realizacji szczęścia, jest jego jedynym miejscem¹. Czas życia został sfragmentaryzowany, a każda jego część zasługuje na to,

¹ Z. Bauman, *Śmierć i nieśmiertelność. O wielości strategii życia*, tłum. N. Leśniewski, Warszawa 1998.

by w pełni wykorzystać z niej dla siebie życiodajne soki. W poprzednim okresie pewna linia czasu wypełniona treścią była sensem życia człowieka. Wiedział on, że cokolwiek mogło stać się w przyszłości, było wynikiem przeżycia teraźniejszości. Nie było gwałtownych przeskoków z jednego okresu do następnego. Historia i życie indywidualne człowieka wspinały się po drabinie czasu, licząc wykonane i postawione kroki zawsze w konkretnym celu, w nadziei zrealizowania się ukrytych marzeń, planów czy spotkań. Obserwowana dziś pewna niemoc pokazuje, że nie może być zrobione cokolwiek raz na zawsze. To, czego nauczyłem się dziś, może okazać się całkowicie nieprzydatne jutro, stopniowe budowanie kariery zawodowej może zostać zachwiane pod wpływem niezależnych ode mnie zdarzeń. Przeżyte wydarzenia stają się nic nie znaczącą chwilą, są tylko ulotnym wspomnieniem przeszłości.

Przewodnikiem po świecie chwil stała się reklama. To ona wyznacza nasze potrzeby, określa i pobudza nasz popyt. Przy okazji Buaman dostrzega paradoks dzisiejszej wolności polegającej przede wszystkim na możliwości dokonywania wyboru produktu, który wypełni czas i zapewni szczęście. Wybór ów nie jest zupełnie wolny, choć takim z pozoru mógłby się wydawać. Jest on zależnością od heteronomicznego autorytetu twórców reklam, którzy potrafią stworzyć *optimum* szczęścia dla każdego. Pustka czasu – to dlatego tak łatwo jest ją zagospodarować byle reklamą, by człowiek nie czuł skrepowania odpowiedzialnością za dokonany wybór. Odebrano wartość kategorii czasu, co prowadzi do uwikłania się w niejasnościach. Brak rozróżnienia pomiędzy przeszłością i przyszłością odbiera sens idei czasu. Pozostaje nam jedynie łatwo dostrzegalna teraźniejszość, która najlepiej robi, gdy zajmie się sobą samą.

Czy wobec tego jest sens mówić o nadziei, o przyszłości? W życiu skomponowanym z chwil próbujemy doszukać się formy wieczności. Jeśli istnieje „teraz”, to cóż jest to warte dla „później”? Wzajemne odniesienie przestało być adekwatne, „teraz” zawłaszczyło sobie każdą kategorię czasu, stało się przepustką do wieczności. Zatarło różnicę pomiędzy doczesnością, przemijalnym i trwałym, śmiertelnym a nieśmiertelnym. Nie należy ich przeciwstawiać sobie².

Współcześnie linearność czasu została poddana druzgocącej krytyce. Została pozbawiona swojego całościowego charakteru. Maksymalne skorzystanie z nadarzających się okazji jest ceną zaburzenia doczesnej struktury czasu. Zwykła uczciwość każe docenić dokonania minionych pokoleń, które są wezwaniem do umiarkowanego przeżycia teraźniejszości, tak by z powodzeniem w przyszłości móc zrealizować projekty dla potomnych. Wydaje się, że nie może być tak, jak pisze Bauman, iż historia i życie, cel i wysiłki ludzi należą do nieistotnej dla „dziś” przeszłości. Ponowoczesne społeczeństwo, podobnie jak nomadzi, wędrują pomiędzy miejscami niepowiązanymi, bez dbałości o ustanowienie i zachowanie swojej tożsamości. Nomadzi w swej wyobraźni nie są w stanie sięgnąć myślą dalej poza następny postój karawany. Ich tożsamość jest chwilowa, na dzisiaj, zachowują ją aż do odwołania. Nasze wypełnienie czasu zdaje się być podobne. Skłonni jesteśmy być tylko kimś do wykorzystania lub do wynajęcia, na chwilę, na moment, by potem, bez swojego *dossier*, przenieść się do kolejnej monady.

Trudno ocenić, jaka może być konsekwencja (o ile według współczesnych może być) życia w ciągłej teraźniejszości. Brak zawiasów dla niej w postaci przeszłości i

² *Ibidem*, s. 202.

przyszłości może się okazać na dłuższą metę zgubny. Człowiek stara się czynić projekty, ale widzi, że one nie realizują się. Dlatego propozycja odczytania czasu biblijnego jako *kairosu* pozostaje wciąż aktualna w perspektywie zarówno egzystencjalnej, jak i zbawczej.

Bibliografia:

- 1 Z. Bauman, *Śmierć i nieśmiertelność. O wielości strategii życia*, tłum. N. Leśniewski, Warszawa 1998.
- 2 S. Bielecki, *Kairos chrześcijanina w ujęciu listów świętego Pawła*, Lublin 1996.
- 3 K. Gózdź, *Teologia historii zbawienia według Oscara Cullmana*, Lublin 1996.
- 4 P. Liszka, *Wpływ nauki o czasie na refleksję teologiczną*, Warszawa 1992.
- 5 W. Stinissen, *Wieczność pośrodku czasu*, tłum. J. Iwaszkiewicz, Poznań 1997.
- 6 G. Von Rad, *Teologia Starego Testamentu*, tłum. B. Widła, Warszawa 1986.

Mariusz Orłowski

Kalendarz, jakiego nie było

Przedsięwzięciem niewątpliwie prekursorskim w skali kraju (a może nie tylko) było wydanie przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie *Kalendarza Ekumenicznego 2000*, który ukazał się na półkach księgarskich pod koniec 1999 roku. Oprócz wszystkich wiadomości typowych dla zwykłych kalendarzy, jak np. imieniny, *Kalendarz Ekumeniczny 2000* zawiera dodatkowo informacje o najważniejszych świętach żydowskich, chrześcijańskich (różnych wyznań) i muzułmańskich oraz napisane w przystępnej formie artykuły zebrane w trzech działach: *O religiach, wyznaniach i ekumenizmie, O świętach i okresach liturgicznych, Religia na progu nowego tysiąclecia*.

Doceniając inicjatywę i ogrom pracy włożony przez Zespół Redakcyjny w powstanie tak oryginalnego dzieła, jakim niewątpliwie jest *Kalendarz Ekumeniczny 2000*, pragnę podzielić się trzema uwagami krytycznymi, które nasunęły mi się po jego lekturze.

Po pierwsze, prawdą jest – jak podają Redaktorzy *Kalendarza*, że został on opracowany przez przedstawicieli tradycji rzymskokatolickiej, prawosławnej, ewangelickiej, starokatolickiej oraz pentakostalnej przy współpracy z wyznawcami judaizmu i islamu. Mimo to, jeżeli chodzi o chrześcijaństwo, wyraźnie odczuwa się, że w *Kalendarzu* dominują trzy wyznania: Kościół Rzymskokatolicki, Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny i Kościół Ewangelicko-Augsburski. Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że są to trzy największe wyznania chrześcijańskie w Polsce, ale ponieważ *Kalendarz* powstał w środowisku lubelskim, myślę że warto byłoby poświęcić trochę więcej uwagi chociaż tym Kościołom mniejszościowym, które działają na Lubelszczyźnie. Mam na myśli:

1. **Kościół Greckokatolicki** (Kościół, których liturgia wywodzi się z rodziny bizantyjskiej reprezentuje w *Kalendarzu* tylko Kościół Prawosławny. O istnieniu Kościoła Greckokatolickiego wspomina jedynie ks. Tadeusz Dola w artykule *Katolicyzm*);

2. **Starokatolicki Kościół Mariawitów** (tylko krótka wzmianka w artykule *Starokatolicyzm* autorstwa ks. Jerzego Bajorka, który w zasadzie poświęcony jest w całości wyłącznie jednemu z kościołów starokatolickich, a mianowicie Kościołowi Polskokatolickiemu);

3. Potraktowane marginalnie tzw. wolne Kościoły typu ewangeliczno-baptystycznego: **Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Kościół Wolnych Chrześcijan, Kościół Zborów Chrystusowych** (ciekawostka – jedyny zbor na Lubelszczyźnie działa w Białej Podlaskiej). Wszystkie cztery zostały tylko wymienione z nazwy w artykule Michała Kopaczewskiego *Protestanckie Wspólnoty*

poreformacyjne. Chociaż są to Kościoły, które zajmują ostrożną postawę w stosunku do ruchu ekumenicznego, to myślę, że warto byłoby przynajmniej zapytać ich przedstawicieli, dlaczego tak właśnie jest. Przecież z drugiej strony dwa pierwsze z nich, a więc Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej i Kościół Ewangelicznych Chrześcijan wspólnie z Kościołem Chrześcijan Baptystów, Kościołem Zielonoświątkowym oraz Wspólnotą Chrześcijańską „Pojednanie” realizują swój „mały” ekumenizm w ramach lokalnego Aliansu Lubelskich Kościołów Ewangelicznych.

Po drugie, myślę, że choć w kilku słowach należałoby przedstawić – w tego typu kalendarzu – lokalne organizacje i instytucje zaangażowane w działalność o charakterze ekumenicznym, takie jak: Instytut Ekumeniczny KUL, Oddział Lubelski Polskiej Rady Ekumenicznej, Archidiecezjalna Rada Ekumeniczna przy Metropolii Lubelskiej, Alians Lubelskich Kościołów Ewangelicznych czy Ekumeniczne Stowarzyszenie Charytatywne „UNITAS”.

I wreszcie – po trzecie – o błędach merytorycznych. Za dużą wpadkę uważam osobiście zaliczenie Kościoła Wolnych Chrześcijan, Kościoła Chrystusowego (aktualna nazwa Kościół Zborów Chrystusowych) oraz Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan do nurtu zielonoświątkowego (zob. artykuł *Protestanckie Wspólnoty poreformacyjne* autorstwa Michała Kopaczewskiego, s. 18.). Owszem, są to wspólnoty kościelne o charakterze ewangeliczno-baptystycznym, ale nie zielonoświątkowym!

Pomimo powyższych zastrzeżeń, z całą stanowczością pragnę podkreślić, że uważam *Kalendarz Ekumeniczny 2000* za wydawnictwo wielce oryginalne i godne polecenia wszystkim zainteresowanym zagadnieniami ekumenizmu. Osobiście z wielką niecierpliwością będę więc oczekiwał na edycję *Kalendarza Ekumenicznego 2001*.

Kalendarz Ekumeniczny 2000, Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Lublin 2000.

Ks. Krzysztof Kaucha

Kościół Rzymskokatolicki w minionej dekadzie Od iluzji do normalności

Na wstępie stawiam tezę, iż w ostatnim dziesięcioleciu (1989-1999) w Polsce miały miejsce bardzo ważne wydarzenia, które pozwoliły i pozwalają głębiej zrozumieć tożsamość Kościoła i jego miejsce w świecie. Na ostateczne podsumowania minionego okresu jest z pewnością jeszcze za wcześnie, ale nie można uchylić się od wysiłku sformułowania choćby wstępnych wniosków. W niniejszej wypowiedzi będą one zawężone podwójnie. Po pierwsze będą dotyczyły Kościoła katolickiego w Polsce, a po drugie – będą prezentowały punkt widzenia stosunkowo młodego duchownego katolickiego, którego posługa kapłańska rozpoczęła się wtedy, gdy polska transformacja ustrojowa zaczęła nabierać rumieńców. Przyjmuję założenie, że sposób postrzegania polskiej rzeczywistości przez młodych duchownych katolickich jest dość jednolity oraz w niewielkim stopniu różni się on od obserwacji starszych księży. Zgodnie z propozycjami coraz modniejszej teologii narracyjnej, gdy przyjdzie na to właściwy czas opowiem pewną historię.

Prawie wszyscy moi koledzy-kapłani („koledzy kursowi”) to ludzie urodzeni w 1967 lub 1968 roku. Do seminarium duchownego wstąpiliśmy w 1987 roku, aby po sześciu latach, czyli w 1993 roku otrzymać święcenia kapłańskie. Rok 1989 „zastał” nas u samych początków studiów seminaryjnych, gdy u wielu decyzja kontynuowania formacji intelektualno-duchowej nadal się kształtowała. Siłą rzeczy nie tkwiliśmy „całym sobą” w centrum wydarzeń „wyzwalania (się)” Ojczyzny, jak inni studenci. Niemniej doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z doniosłości chwili i przeżywaliśmy euforię zwycięstwa Niepodległej. Było ukryte w głębi nas przeświadczenie, że odzyskana wolność jest „nagrodą” od Boga za wierność Polaków wobec Chrystusa i Kościoła, jest w dużej mierze owocem postawy samego Kościoła, który obecnie zasłużenie „triumfuje”.

W 1993 roku otrzymaliśmy święcenia kapłańskie, to bodaj najważniejsza cezura w życiu każdego księdza. Zapoczątkowany został zwyczaj corocznych spotkań wszystkich „kolegów kursowych” na wspólnych rekolekcjach. Chodziło o dwie rzeczy „w jednym”, żeby odbyć nakazane kapłańską formacją coroczne rekolekcje oraz żeby spotkać się ze wszystkimi kolegami. Pierwsze takie spotkanie (w 1994) było pełne neofickiego zapału. Każdy miał mnóstwo do opowiadania o pierwszych doświadczeniach w nowej życiowej roli. Nie było mowy o żadnych problemach czy trudnościach. Tematów „szerszych”, czyli społecznych nikt nie dotykał.

Inny charakter miały kolejne spotkania. Jeśli dobrze pamiętam, to w 1995 lub 1996 miało miejsce następujące wydarzenie (i ono stanowi zapowiadaną wcześniej narrację). W czasie jednego z rekolekcyjnych wieczorów nieduża grupa kolegów dyskutowała „na luzie” z prowadzącym rekolekcje starszym od nas księdzem. Początkowo rozmowa była „nijaka”, ale wraz z upływem czasu zaczął przebijać się wyraźny temat – ludzie mówili w tonacji żalu o tym, jak dzisiaj polskie społeczeństwo postrzega Kościół, a przede wszystkim – księży. Jeden z kolegów miał dłuższą wypowiedź, z której przebijał zwykły ludzki zawód i rozgoryczenie tym, co w Polsce stało się w ostatnich kilku latach. Mówił o niezwykle przychylniej atmosferze społecznej wokół osób duchownych w pierwszych latach niepodległości, a która w oka mgnienia przekształciła się w rzecz odwrotną – chorobliwy (momentami obsesyjny) antyklerykalizm. Dobrze wiedziałem, o czym kolega mówił. Miał na myśli dość klarowną tendencję liberalnych mediów do dyskredytowania autorytetu Kościoła i księży. Zdaniem mojego kolegi załamał się świat, jakbyś z jednego snu przeszedł niepostrzeżenie do innego i już nie wiesz, który jest prawdziwy. Miał trochę żalu do seminaryjnych wychowawców, że nie ostrzegli przed takim scenariuszem i nie przygotowali „młodych i zielonych” do twardej rzeczywistości postkomunistycznej.

Rekolekcjonista odpowiadał (także w imieniu zaatakowanych wychowawców), że na początku okresu transformacji nie można było wszystkiego przewidzieć. Trudno było oczekiwać od kogokolwiek przewidzenia prawdziwego scenariusza przyszłych wydarzeń. On sam parę razy słyszał (we wczesnych latach 80-tych) prorocze wizje laicyzacji, sekularyzacji, powszechnych ataków na Kościół w imię wolności i demokracji. „Prorocтва” były wypowiadane przez kapłanów, którzy dobrze znali sytuację Kościoła w Europie Zachodniej. Nikt jednak nie brał u nas tego poważnie, więcej nawet – nikt nie zdawał sobie sprawy o czym mowa. Rekolekcjonista wyraził zatem pogląd, iż nawet gdyby ktoś parę lat temu przedstawił nam prawdziwy scenariusz, to nikt by go nie usłuchał i nie zrozumiał. Na nową liberalno-demokratyczną rzeczywistość w Polsce nikt nie był przygotowany. Wprawdzie rozumie on, jak duży szok przeżywają zwłaszcza młodzi księża (gwałtownie „zbudzeni z kolorowego snu”), ale trzeba jak najszybciej pozbierać się i wyciągnąć wnioski. Rekolekcjonista był zdania, że trzeba po męsku uczyć się żyć w nowej sytuacji, w której za przynależność do Kościoła płaci się cenę osobistego cierpienia. Tego wieczora słowa rekolekcjonisty podbudowały młodzież duchowną, ale po zakończeniu rekolekcji, wraz z lekturą jakiegokolwiek dziennika, każdy na własną rękę musiał „po męsku uczyć się żyć w nowej sytuacji”.

Dobrze rozumiałem i jednego i drugiego uczestnika pamiętnej rozmowy. Rozumiałem powagę i gorycz sytuacji, sam przeżywając dokładnie to samo, co mój kolega-rówieśnik. Odczuwałem również niezwykle autentyczność tamtej rozmowy. Odnosiłem wrażenie, że wreszcie, po sytuacji nieco „bajkowej”, ludzie zaczynają mówić o niezwykle poważnych rzeczach. Dzisiaj patrzę na przeszłość z dystansem i staram się wyciągnąć z niej wnioski. Zdaję sobie sprawę z faktu, iż formułowanie wniosków z przeszłości jest niezwykle ważne dla teraźniejszości, innymi słowy – jakoś teraźniejszość „definiuje”, odpowiada na pytania kim i gdzie jestem(-śmy).

W owym czasie (połowa lat 90-tych) ataki na Kościół były różnorodne. Intensyfikowały się wprost proporcjonalnie do intensywności życia politycznego, które było od-

mierzane kolejnymi wyborami. Niejednokrotnie ataki te bywały słuszne, ale nawet one bolały duchownych, gdy były skierowane pod adresem pewnej rzeczywistości, którą ty nie tylko reprezentujesz, ale której zdecydowałeś oddać samego siebie do końca. W dodatku wiesz, że twój wybór jest od samego początku „czysty”, gdyż nie „stoi” za tobą ani korzyść materialna, ani ideologia, ani żaden aparat przymusu, ale świat religii opierający się na pełnej wolności człowieka. Nieprzychylnie Kościołowi wystąpienia w mediach przynosiły w konsekwencji chaotyczne reakcje ze strony Kościoła i duchownych. Dość łatwo księża zaakceptowali pozycję, w której zostali przez media „ustawieni”. Jeśli na przykład z dużą agresją posądzano duchownych o chęć grania roli antydemokratycznych polityków (niemalże na miarę „fundamentalistów islamskich”), rządów dusz, ostatecznej instancji rozsądzającej we wszystkich sprawach, to niektórzy z nich – w geście samoobrony i bardzo nieświadomie – wchodzili w te role. Nie było możliwości publicznego odparcia niesłusznych zarzutów, ponieważ media nie prezentowały racji drugiej strony. To był monolog środków masowego przekazu służący – tak mi się wydaje – wyraźnemu celowi: odebraniu Kościołowi ludzi, na których sposób myślenia wywierał on decydujący wpływ. W efekcie wielu ludzi Kościoła „obrazilo się” na media i kto wie, ilu do dziś pozostało w takim stanie.

Co by nie powiedzieć o błędach i o emocjach po obu stronach, to z perspektywy teraźniejszości ostatnią dekadę historii Kościoła katolickiego w Polsce można opisać tak: po okresie roztoczenia „płaszcz ochronny” nad Kościołem w pierwszych latach owej dekady oraz po zepchnięciu Kościoła na drugi plan polskiej sceny, dzisiaj rzeczy wróciły do normalności. Polskie wahadło po skrajnych odchyleniach w prawo i w lewo (odpowiednio: raz w stronę „zagłaskiwania” Kościoła, drugim razem w stronę jego totalnej krytyki) uspokaja się, stabilizuje. Nie chodzi o emocje społeczne, które raczej narastają w kierunku niezadowolenia i frustracji, ale chodzi o zajęcie przez głównych aktorów polskiej sceny właściwych im ról. Mam na myśli to, że dzięki minionej dekadzie Kościół katolicki znalazł swoje trwałe miejsce w życiu społecznym, dystansując się wobec polityków i partii politycznych, jednym słowem – wobec polityki w jej wąskim rozumieniu (jako sztuki zdobycia i utrzymania władzy politycznej). Kościół rozumie dziś dobrze, że jego misją (i siłą) jest budzenie i ożywianie życia religijnego według Ewangelii Jezusa Chrystusa. Polski katolicyzm przeżył trudne chwile wskutek „zachłyśnięcia się” Polaków wolnością bez granic, stąd wielu ludzi potrzebuje dziś chrześcijańskiej Dobrej Nowiny, aby ponownie „wyzwolić się do wolności (odpowiedzialnej)” i nie zmarnować życia. Nieco paradoksalnie można powiedzieć, że droga polskiego Kościoła w minionej dekadzie była najlepszą lekcją własnej tożsamości Kościoła, lekcją „poprowadzoną” przez Pana Boga w mistrzowski sposób. Dzięki tej lekcji – doskonale poprowadzonej – „Nauczyciel” osiągnął cel teoretyczny i pedagogiczny, a także „dostosował poziom” do możliwości uczniów i warunków szkolnych.

Polskie wahadło przemian zatrzymuje się. Zadaję otwarte pytanie do przemyślenia i do dyskusji: czy to dobrze, czy źle? Wydawać by się mogło, że odpowiedź może być tylko pozytywna. Od dawna oczekiwana była w Polsce sytuacja trwałej stabilizacji. Chodziło o to, aby w życiu społecznym wykryształizowały się solidne wartości i postawy, których nie skruszy relatywizm moralny. Doświadczenie dziejowe uczy jednak, że wszelka stabilizacja i względna „normalność” łatwo usypiają, a Kościół bywa – nieste-

ty – dość szybko zasypiającym misiem. Należy zatem mieć nadzieję, że Kościół nie da się ułożyć do snu, a sformułowane wyżej wnioski, podsumowujące minioną dekadę, nie będą ostatnim słowem Kościoła w XXI wieku.

Pastor Jacek Duda

Sytuacja Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Polsce przed i po 1989 roku

Rok 1989 stanowił cezurę nie tylko w stosunkach polityczno-ekonomicznych w Polsce, ale także w sprawach społecznych i religijnych. Kościół Ewangelicznych Chrześcijan jest jednym z Kościołów mniejszościowych, istniejących w Polsce przynajmniej kilkadziesiąt lat, Kościołów które przeszły różne okresy w historii naszego kraju (I i II wojna światowa, pierwsze lata powojenne, stalinizm, PRL, stan wojenny, lata 80., III RP), doświadczając tego, co wszyscy obywatele, a nawet więcej – ze względu na swoją „mniejszość” właśnie.

Kościół Ewangelicznych Chrześcijan wywodzi się z duchowego przebudzenia mającego miejsce na terenach rosyjskich w XIX wieku. W latach 1822-23, za aprobatą skłaniającego się do pietyzmu cara Aleksandra I, przetłumaczono i wydano po raz pierwszy Pismo Święte w języku rosyjskim. Przebudzenie powstało prawie równocześnie w trzech różnych częściach Rosji: wśród arystokracji i inteligencji Petersburga, na Kaukazie oraz wśród wieśniaków na południu Rosji i Ukrainy.

Ruch ewangeliczny na ziemiach polskich rozpoczął się w roku 1908. W roku 1909 w Kowlu powstał pierwszy Zbór Ewangelicznych Chrześcijan. Nauczanie o żywym Chrystusie, który ma moc odpuścić grzechy i zmienić życie człowieka natrafiło na podatny grunt. Wielu ludzi powierzyło swoje życie Bogu, doświadczając duchowego odrodzenia. Serca wierzących wypełnione zostały miłością do ludzi, którą musieli uzewnętrznić. Wieść o zmianie życia wielu ludzi szybko się rozeszła. Z Wołynia i Chełmszczyzny przybywali zainteresowani, aby poznać wierzących i posłuchać przemówień. Do nowego ruchu przyłączali się pracownicy kolejowi i wojskowi, którzy następnie rozjeżdżając się po kraju, stanowili zaczątek kolejnych Zborów. Przebudzenie było tak intensywne, iż jeden z przywódców ewangelicznych chrześcijan, Ludwik Szenderowski, w swoim referacie stwierdził: „Przy naszej rozumnej służbie dla społeczeństwa i państwa, w narodzie nie będzie biednych i potrzebujących, wydajność wszystkich gałęzi pracy dojdzie do nadzwyczajnych rozmiarów, przestępstwa znikną, wszystkie miasta i wsie będą tonęły w roślinności drzew owocowych”. Dzisiaj te słowa jawią się jako niewiarygodne, prawie śmieszne, ale wówczas, na fali przebudzenia ewangelicznego, istniał wielki entuzjazm i wola do zmiany swego otoczenia. Ewangeliczni chrześcijanie prowadzili ożywioną działalność ewangelizacyjną, muzyczną, wydawniczą i charytatywną. Do dnia wybuchu II wojny światowej odbyło się XII zjazdów ewangelicznych chrześcijan.

Gościem II zjazdu był sam generał Władysław Sikorski. Uczestnicy zjazdu wzniesli gorącą modlitwę za Ojczyznę i władze. Szczególną uwagę zwracano na pracę z młodzieżą, dla której organizowano ogólnopolskie zloty. W 1935 r. do Łucka zjechało się ok. tysiąca młodych osób. Ożywioną działalność prowadziły koła kobiet, koncentrując się na odwiedzaniu chorych i ubogich oraz na działalności charytatywnej w oparciu o sprzedaż wykonywanych osobiście wyrobów rękodzielniczych.

Druga wojna światowa zahamowała, a nawet uniemożliwiła działalność ruchu przebudzeniowego ewangelicznych chrześcijan. Wraz z zakończeniem wojny i przesunięciem granic, olbrzymia większość zborów znalazła się po stronie radzieckiej, gdzie weszły one w skład Związku Ewangelicznych Chrześcijan Baptystów.

W roku 1950 miały miejsce poważne doświadczenia dla ewangelicznych chrześcijan. Na podstawie fałszywych oskarżeń władze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego zatrzymały wielu przywódców Kościoła. Po długich badaniach i śledztwie, zatrzymanych zwolniono z pełną rehabilitacją. Jednak rozwój Kościoła uległ spowolnieniu; niektóre obiekty sakralne zostały bezpowrotnie stracone (np. kaplica przy ul. Targowej w Warszawie).

Patrząc na skomplikowane losy naszej polskiej rzeczywistości, nasuwa się wniosek, iż bardzo potrzeba nam umiaru i rozsądku w postępowaniu. Dla dobra kraju i jego rozwoju potrzebna jest równowaga. Taka względna równowaga w układzie głównych sił istniała w Polsce przez kilka lat przed przełomem 1989 roku. Z jednej strony władze komunistyczne, a raczej socjalistyczne (epoka komunizmu skończyła się wraz z odsunięciem od władzy ekipy Władysława Gomułki w 1970 roku); z drugiej – silny Kościół Rzymskokatolicki. To wszystko sprawiało, że Kościoły mniejszościowe, a wśród nich Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, mogły działać i rozwijać się nie tylko bez prześladowań na tle religijnym, ale też i bez robienia im trudności w działalności duszpastersko-ewangelizacyjnej czy organizacyjno-inwestycyjnej. Polityka wyznaniowa ekipy premiera Wojciecha Jaruzelskiego (i następców), choć tkwiła swymi korzeniami w poprzednim okresie, zmierzała ku liberalizmowi w sprawach wyznaniowych. Już w połowie lat 80. wolność wyznaniowa w Polsce była większa niż w niektórych krajach Zachodniej Europy (np. Wielkiej Brytanii), a Kościoły, w tym o charakterze protestanckim, były traktowane z dużą tolerancją, by nie rzec przychylnością, jako istotna część polskiego społeczeństwa. Czy to z przekonania o ich wartości w walce z rosnącymi w siłę patologiami społecznymi (alkoholizm, narkomania, przestępczość), czy też z przy czyn mniej szlachetnych, Kościoły mniejszościowe cieszyły się wolnością, jakiej od dawna nie doświadczyły.

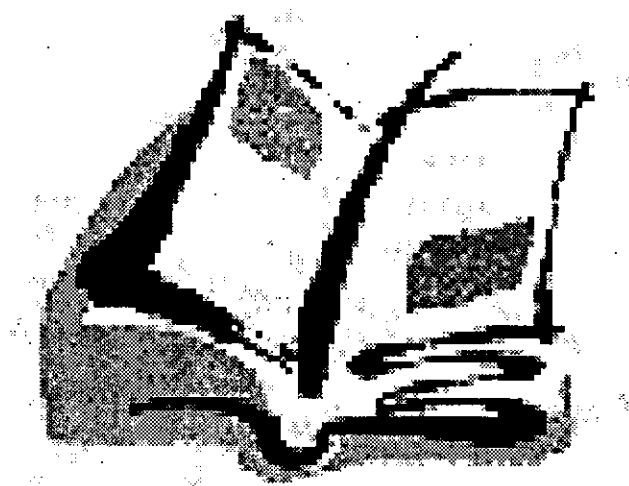
Jednak od początku lat 90. ma miejsce stopniowe odchodzenie od tego stanu. Coraz wyraźniej widzialna jest dominacja jednej siły: Kościoła Rzymskokatolickiego. Wpływ Kościoła Rzymskokatolickiego w sferach politycznych, centralnych i samorządowych jest bardzo duży. Dochodzi do sytuacji, że organizowane są msze katolickie przy okazji wydarzeń i spotkań nie mających z religią nic wspólnego. Nie oznacza to, oczywiście, że po 1989 roku wszystko w kraju zmienia się na gorsze; w wielu dziedzinach posunęliśmy się do przodu. Jednak w omawianej kwestii nastąpił, niestety, regres. Pojęcie „państwa neutralnego światopoglądowo”, chociaż ułomne, staje się fikcją. Biskupi i księża katoliccy wypowiadający się w mediach w sprawach nie związanych z religią, stają się

powszechnym obrazkiem. Sposób wprowadzenia religii do szkół, praktyki nietolerancji wobec dzieci, które nie uczestniczą w tych zajęciach i „wykreskowanie” dzieci innowierców (także członków Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan) – to zjawiska niepokojące.

Problem sekt wydaje się często (choć nie zawsze) przesadnie nagłaśniany, bez zachowania właściwych proporcji. Tzw. sekta „Niebo”, spod Lubartowa, którą środki masowego przekazu tak bardzo interesowały się przez kilka lat, okazała się grupą... kilkunastu czynnych osób. Większość sekt i grup pseudochrześcijańskich (działalność których również Kościół Ewangelicznych Chrześcijan ocenia krytycznie) posiada członków liczonych w dziesiątkach lub, co najwyżej, setkach. Patrząc w kontekście ogółu obywateli Polski, to nie są nawet promile... A może to temat zastępczy? Tymczasem wokół nas nabrzmiewają problemy, które dotyczą dziesiątek tysięcy, setek tysięcy, milionów. Problem alkoholizmu dotyka ok. czterech milionów Polaków (pijący, ich współmałżonkowie i dzieci). Nikotyna jest przyczyną groźnych chorób, a nawet śmierci. Coraz poważniejszym problemem młodego pokolenia stają się narkotyki, które niszczą zdrowie fizyczne i psychiczne. Szacuje się, iż aborcja w Polsce od II wojny światowej pochłonęła więcej ofiar niż... wspomniana wojna. Wzrasta przestępczość, szczególnie ta brutalna. Zamachy bombowe czy strzelaniny w sądach do niedawna widzieliśmy jedynie na filmach. Nie należy więc wylewać dziecka z kąpielą, nie dostrzegając istnienia Kościołów mających do zaoferowania społeczeństwu wiele w sferze etycznej i w walce z patologiami społecznymi. Kościół Ewangelicznych Chrześcijan organizuje od 1998 r. coroczne szkolenia na temat: „Rola Kościoła wobec patologii społecznych” i zaprasza na nie przedstawicieli bratniego Kościoła Wolnych Chrześcijan. Kościół Zielonoświątkowy posiada Misję „Nowa Nadzieja” w Janowicach Wielkich (woj. dolnośląskie), która skutecznie pracuje wśród ludzi uzależnionych od alkoholu (branie pod uwagę czynnika duchowego, oprócz psychicznego i fizycznego, daje rezultaty lepsze od tych, które osiągane są w „zwykłych” zakładach odwykowych). Misja „Teen Challenge” prowadzi w Broczynie (woj. pomorskie) ośrodek dla osób uzależnionych od narkotyków. Przy Kościele Zielonoświątkowym działa również „Misja Więzienna”. Z patologiami społecznymi walczy także Misja Więzienna „Fylake” funkcjonująca w ramach struktur Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej.

Moralność panująca wśród członków Kościołów mniejszościowych z reguły przewyższa tę powszechną. Ich doświadczenia w kwestiach duszpasterskich i „nawracania upadłych na właściwą drogę” są niebagatelne. Niejeden obywatel naszego kraju poznał Boga, zmienił swoje życie, stał się przykładnym ojcem, mężem, pracownikiem, właśnie w jednym z małych, ewangelicznych Kościołów. A tymczasem Kościół Ewangelicznych Chrześcijan oraz Kościoły pokrewne: Kościół Wolnych Chrześcijan, Kościół Zborów Chrystusowych i Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, bezskutecznie od lat starają się o otrzymanie ustawy o stosunku Państwa do tych Kościołów, nawet gdy występują ze wspólnym projektem. Początkowo każdy z tych Kościołów wystąpił z własnym projektem ustawy, składając go w Sejmie. Bez rezultatu. Po kilku latach weszła w życie obecna Konstytucja, której Art. 25. ust. 5 stanowi: „Stosunki między Rzeczpospolitą Polską, a innymi kościołami oraz związkami wyznaniowymi określają ustawy uchwalone na podstawie umów zawartych przez Radę Ministrów z ich

właściwymi przedstawicielami”. Aby ułatwić opracowanie takiej umowy cztery w/w Kościoły opracowały wspólny projekt umowy przedkładając go Radzie Ministrów. Pomimo próśb o zajęcie się sprawą i gotowością przedstawicieli Kościołów do spotkań celem przedyskutowania projektu umowy, sprawa umowy pomiędzy rządem a wymienionymi Kościołami stoi w miejscu. A bez umowy nie może być ustawy. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Związek Słowiańskich Zborów Ewangelicznych Chrześcijan w Polsce już w okresie międzywojennym (1927 r.), trudnym dla Kościołów mniejszościowych, otrzymał prawną legalizację wydaną przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, która po wojnie została uznana przez Ministerstwo Administracji Publicznej (1946 r.). Okazuje się, że przychylniejsze dla ewangelicznych chrześcijan były władze okresu międzywojennego, a nawet te z roku 1946, niż obecne. Cytowany już Art. 25. ust. 5 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej pozostaje dla Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan pustym zapisem ustawy zasadniczej, w odróżnieniu od ust. 4 tego samego Artykułu: „Stosunki pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Kościołem katolickim określają umowa międzynarodowa zawarta ze Stolicą Apostolską i ustawy”, który skwapliwie został wprowadzony w życie. Konkordat usankcjonował uprzywilejowaną w państwie pozycję jednego Kościoła. Jeśli myśleć w kategoriach: „największy jest najlepszy i powinien być uprzywilejowany”, to w Rosji największym jest – Kościół Prawosławny, w Niemczech – Kościół Ewangelicko-Augsburski, w Szwajcarii – Kościół Ewangelicko-Reformowany, a w Iranie – ...islam. W demokracjach zachodnich takie stanowisko jest nie do przyjęcia. Chyba, że wzorujemy się na pierwszym i ostatnim z podanych przykładów...



Reforma edukacji

**Strony przyjazne
reformie oświaty**

Maria Makarska

Regionalizm w nauczaniu międzyprzedmiotowym

Rodowodu terminu „region” szukać należy w języku łacińskim, gdzie *regio* znaczy: okolica, kraina, dzielnica. Treść znaczeniowa wyrazu uległa znacznemu rozszerzeniu, a różne dyscypliny naukowe podkładają pod termin „region” własny zakres znaczeniowy, zależny od konkretnych celów badawczych bądź praktycznych.

Regionalizm nie jest nowym zjawiskiem. Zainteresowanie tą sferą kultury istniało w Polsce od dawna.

We współczesnej Europie każdy z nas musi mieć swoje identyfikujące go miejsce. Każdy ma swoją „małą ojczyznę”, ale nie każdy potrafi ją dostrzec wokół siebie i docenić jej wartość. Aby to zrozumieć, trzeba poznać własny region, pokochać i „nauczyć się” go.

Wprowadzona do szkół reforma oświaty kładzie nacisk na znaczenie regionalizmu, dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego w kształtowaniu własnej tożsamości, a także zainteresowania się problemami własnego środowiska.

Podstawa programowa języka polskiego, zawarta w Dzienniku Ustaw nr 14 z 19 lutego 1999 roku, uwzględnia edukację regionalną we wszystkich typach szkół, formułując jej cele, zadania, treści i osiągnięcia.

Edukacja winna rozpocząć się jak najwcześniej, uwagę dziecka należy koncentrować wokół tematyki związanej z domem rodzinnym, szkołą, osiedlem, miastem lub wsią, krajobrazem, zajęciami ludzi, a także podaniami i obyczajami ludowymi regionu. Jest to odwołanie się do wiadomości czerpanych z autopsji. Tę tematykę należy poszerzać i wzbogacać w klasach starszych. W gimnazjum i liceum będzie to już właściwe rozumienie historii, gospodarki, kultury regionu, aby w końcu odpowiedzieć na pytania: „Kim jestem?” oraz „Jak powinienem żyć?”

Potężnym sprzymierzeńcem w nauczaniu regionalizmu będzie przeszłość – historia. Refleksja historiozoficzna ma dać podstawy do zbudowania światopoglądu, a także uczyć tolerancji wobec innych.

Młody człowiek pod wpływem różnych wzorców płynących z mass mediów (niekoniecznie dobrych) często gubi się duchowo. W tym przedsięwzięciu ważną rolę mógłby odegrać Kościół. Nauczyciele religii mogą kształtować postawy, uczyć młodych ludzi, że wartości duchowe nie zawsze muszą być sprzeczne z tym, co chcemy posiadać w sferze materialnej, jeśli zdobywamy to rzetelną, uczciwą pracą.

„Konteksty, kontynuacje, nawiązania” wyodrębnione w programach języka polskiego pozwolą poloniście zwiększyć wiedzę ucznia o literaturę regionalną. Hermeneutyczne interpretowanie tekstów kultury poszerzy wiedzę licealisty o wiele aspektów. Język, wierzenia, tradycja, sztuka, religia, krajobraz, roślinność – to wyznaczniki nie tylko ludowości, ale regionalizmu głęboko pojętego, a w tej różnorodności odnajdujemy siebie.

Ucząc regionalizmu nie możemy zapomnieć o ludyczności. Śpiew, zabawa, ruch – to formy aktywności przynależne człowiekowi młodemu. Kreowanie i kształcenie tych umiejętności to pole do popisu dla nauczycieli muzyki oraz plastyki. Dopiero taka korelacja różnych przedmiotów szkolnych da wymierne efekty w edukacji regionalnej w reformowanej szkole.

Na lekcje o tematyce regionalnej można mieć wiele ciekawych pomysłów, można je przeprowadzać różnymi metodami, w szkole, w skansenie, w muzeum, w plenerze. Udział uczniów w tej pracy da im satysfakcję i rozbudzi zainteresowania regionalne, może nawet – naukowe.

Zdaje się, że największą poczytnością wśród młodzieży cieszą się utwory tych pisarzy, którzy potrafili umiejętnie transponować kulturę regionu, jego tradycje, mity. Pisarza określają jego czytelnicy.

W propozycjach literackich, które warto wykorzystać na lekcjach o regionie lubelskim, powtarzają się nazwiska: Józef Czechowicz, Józef Łobodowski, Jan Pocek. Władysław Kuchta i Bronisław Pietrak. Miejsce urodzenia, w którym wzrastali ci twórcy, ich prywatna przestrzeń, to piętno odcisnięte na ich artystycznym widzeniu i wartościowaniu świata. Taka świadomość regionalnych korzeni uchroni nas od kosmopolitycznych zapatrywań i ogólnikowych ocen.

Zanim wstąpimy do Unii Europejskiej, naprzód wiemy, że jesteśmy „swojakami”, potem Polakami, a wtedy możemy się „pięknie różnić” między Europejczykami.

Śladami Józefa Czechowicza – wycieczka poetycka po Lublinie i okolicach

*Lublin nad łąką przysiadł.
Sam był
i cisza*

J. Czechowicz, *Lublin z dala*

Odszedł tragicznie człowiek i wielce utalentowany poeta, ale odszedł również świat, w który ten wielki artysta żył. Jak odnaleźć piękno, nastrój, niepowtarzalny urok starych uliczek, kamienic, kościołów, gdzie dzisiaj wszystko jest inne? Gdzie stare kamieniczki są jeszcze starsze, obdrapane, zrujnowane i brudne? Jak pokochać i zachwycić się tym, co zachwycało J. Czechowicza?

Zorganizujmy wycieczkę poetycką i przejdźmy uliczkami Starego Miasta w Lublinie z tomikami wierszy Czechowicza jak z przewodnikiem i na nowo przeżyjmy piękno poezji z cyklu „prowincja noc” czy „Stare kamienie”. Może wtedy oładnie nami uczucie patriotyzmu.

Wycieczka poetycka może być jednym z elementów szerszego bloku tematycznego poświęconego związkom J. Czechowicza z Lublinem i regionem. Metodą projektu

możemy zaplanować wiele działań, które połączą wiedzę merytoryczną i umiejętności uczniów, uwzględniając biografię i poezję Józefa Czechowicza.

Podstawowym celem edukacyjnym tego typu lekcji będzie kontakt uczniów z najbliższym środowiskiem, jego ludźmi i kulturą. W pierwszym rzędzie młodzież winna poznać najważniejsze dane z biografii Czechowicza, narysować mapę Lublina i regionu, wyznaczając miejsca, gdzie poeta zamieszkiwał.

Można zaproponować uczniom konkurs na najciekawszą pracę dotyczącą tej tematyki. Wyznaczona grupa uczniów winna zgromadzić materiał zdjęciowy i faktograficzny dotyczący Czechowicza, uwzględniając: dokumenty muzealne, rękopisy, fotografie pomnika poety w centrum Lublina, grobu na cmentarzu przy ul. Lipowej czy muzeum Jego imienia. Tak przygotowaną faktografię możemy wyeksponować w klasie na literackiej wystawce.

Celem nauczyciela winno być zainteresowanie młodzieży twórczością, która przyczyniła się do poetyckiej nobilitacji Ziemi Lubelskiej i wzrostu roli samego Lublina na literackiej mapie Polski.

Kwestie te Czechowicz wyeksponował – wspólnie z Franciszką Arnsztajnową – w tomiku „Stare kamienie” (1934). W roku 1939 ukazała się „Antologia współczesnych poetów lubelskich”. Czechowicz oprócz wierszy zamieścił w niej swoją przedmowę, w której pisał: „Miasto rodzinne, ilekroć mi ciężko lub najciężej, do ciebie zwracam się pamięcią, a gdy pamięć twarde przeżycia przypomina – to sercem, to wyobraźnią. Miasto na skłonie pagórka rozłożone, dzwoniące kościołami dzieciństwa, podające mury odwiecznych budowli słońcu, które tam tyle razy wschodziło to samo, co i gdzie indziej, lecz inne...”

*lublin nad łąką przysiadł
sam był
i cisza
dokoła
pagórków koła
dymiąca czarnoziemiu połać
mgły nad sadami czarnemi
znad łąki szły
zamknęły się oczy ziemi
powiekami z mgły*

(prowincja noc)

Głównym celem zaprojektowanych lekcji winna być wycieczka po starym Lublinie. Uczyć regionalizmu to znaczy wyjść w plener, pokazać uczniom te miejsca, które Czechowicz szczególnie ukochał, których piękno przeżył i przetworzył w poezji:

*Noc letnia czeka cierpliwie,
czy księżyc spłynie, zabrzęknie,
czy zejdzie ulicą Grodzką w dół.
On się srebrliwie rozptywa*

w rosie porannej, w zapachu ziół.

Jak pięknie!

(Księżyc w rynku)

*Z ulicy Dominikańskiej śpiew chóru;
dziewczęta chwalą Marię.
Z Archidiakońskiej do wtóru
samotnych skrzypiec arie.*

*Domów muzyczne milczenie,
złączone z tęczy łukiem,
na czoło kościoła promieniem
opada, jak pukiel.*

*A teraz ktoś ciszę napiął,
bije w nią pięścią ze spiżu.
Dzwon wieczorny,
mocą metalu kapiąc,
zaczyna grać pod kościelnym krzyżem:*

raz – i dwa – i trzy —

(Muzyka ulicy Złotej)

*Gną się, kucają domki, zajazdy, bóżnice
pod mroku cichego łapą.
Ach. trzasnęłyby niskie pułapy –
ale już zajaśniało.*

Pejzaż: Wieniawa z księżycem.

(Wieniawa)

Może to od artystów trzeba się uczyć tego, co jest najbardziej cenne i co trzeba uratować od powszechnej unifikacji, może to poprzez poezję odnajdujemy swoje miejsca topograficzne.

Magia tych miejsc, jak zdaje się mówić Czechowicz, jest tym, co warto w nas uratować. Miejsca swoich narodzin, specyficznego klimatu domu i osób najbliższych strzec trzeba w nas i pielęgnować, a arkadyjskość „ziemi rodzinnej” stanie się źródłem naszego odrodzenia.

Czechowicz ukochał nie tylko Lublin, ale żywił się lubelskim pejzażem, atmosferą prowincji, liryczną scenerią, gwarą spod lubelskich wiosek. Warto przejść szlakiem tych miasteczek i wiosek Lubelszczyzny, które poetę zachwyciły (Puławy, Młynki, Krasnystaw). To kolejna lekcja zintegrowana z elementami geografii, historii, językoznawstwa, tak bardzo potrzebna w poszerzeniu wiedzy regionalnej:

*drzewa wielkie wy umiecie mlodo
oddychać
szumiąc nad trawą
dalom
wzgórzom falom
puławom*

(prowincja noc)

Nie mogłoby zabraknąć w tym obszernym bloku tematycznym zajęć o charakterze analityczno-interpretacyjnym. To młodzież winna wybrać według własnych gustów te utwory, które szczególnie przypadły jej do serca, a które ukazują magię sztuki poetyckiej Czechowicza, łączącej w sobie liryzm i malarski obraz Lubelszczyzny.

Tak jak zachwycił się Czechowicz Lubelszczyzną, tak też umiłował język pieśni ludowej. Pobrzmiewa w jego utworach ta nuta często, nawet przechodząc w stylizację:

*oj skrzypki skrzypki z samorodnej lipki
zakwilą zakwilą
długo się będą osmucaty chmiele
tą chwilą*

(pieśń o niedobrej burzy)

Sympatie Czechowicza do wsi datują się od wczesnego dzieciństwa, kiedy to odwiedzał swoich dziadków po kądzieli we wsi Młynki niedaleko Końskowoli (pod Puławami), a i matka, chociaż zamieszkała w Lublinie, do końca swego życia była związana emocjonalnie ze swoją wsią.

Rodzinne tradycje matki znalazły przedłużenie w poezji syna. Czechowicz był miłośnikiem folkloru, a nie zawodowym jego badaczem. Folklor był dla niego inspiracją, impulsem do przetwarzania i stylizacji. Szczególnie jest to widoczne w takich zbiorach jak: *dzień jak co dzień* (1930) i *nuta człowiecza* (1939).

Lublin, w którym poeta w latach 1925-1933 stale przebywał, przechodził okres fascynacji ideami regionalizmu. Żyli na tym gruncie i działali dawniejsi współpracownicy Żeromskiego z Towarzystwa „Światło”, chociażby doktor Mieczysław Biernacki, z którym Czechowicz pozostawał w przyjaźni. W latach 1928-1929 staraniem lubelskiego nauczycielstwa pod kierunkiem dr. Feliksa Araszkiewicza ukazały się wydawnictwa „Regionalizm Lubelski” i „Region Lubelski”. Czechowicz z tym ruchem również był związany. Praca nauczycielska dostarczała poecie немало okazji do zetknięcia z różnymi zjawiskami folklorystycznymi regionu.

Podsumowaniem cyklu lekcji o życiu i twórczości J. Czechowicza, przeprowadzonych według tego projektu, może być montaż słowno-muzyczny, konkurs poezji. Trzeba nagrodzić autorów najtrafniejszych plansz topograficznych, zaproponować opracowanie strony internetowej.

O Lublinie z emigracji – Józef Łobodowski

Jedną z propozycji nauczania zintegrowanego w gimnazjum może być lekcja poświęcona życiu i twórczości Józefa Łobodowskiego (1909-1988), wybitnego poety międzywojennego Lublina, którego poplątane losy rzuciły na emigrację do Hiszpanii. Celem takiej lekcji, przeprowadzonej metodą biograficzną, byłoby pokazanie uczniom szerokiego kontekstu literatury emigracyjnej w zderzeniu z domową „ojcowizną”.

*Dzień nadejdzie – sny natrętne odrzucę,
na lubelski cmentarz powrócę...*
(Ballada lubelska)

To marzenie jak obsesja dręczyło go i doskwierało na obczyźnie: spocząć w grobie u boku matki, na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. Tam chciał znaleźć oazę spokoju i ukojenia, tam pozostać na zawsze. Wolę jego spełniono. Józef Łobodowski (1909-1988) urodzony w Purwiskach koło Suwałk, zmarł w Madrycie, prochy jego pochowano w Lublinie.

Był drugim, obok Józefa Czechowicza, wybitnym poetą Lublina. W maju 1932 roku jego nazwisko znalazło się na liście założycieli Lubelskiego Związku Literatów, obok Józefa Czechowicza, Franciszki Arnsztajnowej i Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Poplątane losy i koleje życia Łobodowskiego sprawiły, że Tymon Terlecki nazwał go „lubelskim Cezarym Baryką”. Jego życie dopisało dalszy ciąg peregrynacji i buntów bohatera „Przedwiośnia”.

Ojciec jego, Władysław, był oficerem armii carskiej. W roku 1914 ewakuowano Łobodowskich najpierw do Moskwy, gdzie kilkuletni Józef zobaczył i odczuł na własnej skórze wydarzenia rewolucji rosyjskiej, zwanej październikową, a następnie wywieziono ich na północny Kaukaz, do Jejska. Tam rozpoczął naukę w rosyjskim gimnazjum. Dobra znajomość języka rosyjskiego przydała mu się później przy tłumaczeniach poezji Jesienina, Błoka, Majakowskiego, Achmatowej i Pasternaka.

W Jejsku zmarł jego ojciec, a w transporcie jadącym do Polski zmarła także jego starsza siostra Janina. Do Lublina matka z Józefem i młodszą córką wróciła z dalekiej Rosji w 1922 roku.

Tak jak Cezary Baryka poznał Józef Łobodowski z autopsji, czym jest rewolucja. Nic więc dziwnego, że zakiełkował w nim bunt bez kierunku i określonego celu, wystający jednak ze sprzeciwu wobec istniejącego świata. Bunt Łobodowskiego miał charakter anarchistyczny i indywidualistyczny.

Debiutował jeszcze jako uczeń Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie tomikiem wierszy „Słońce przez szpary” (1929). W sumie wydał 19 tomów poezji, oraz opublikował wiele wierszy rozproszonych na łamach czasopism. Tworzył również prozę.

Jako student I roku prawa KUL wydał w roku 1931 tomiki poetyckie „O czerwonej krwi” i „Gwiezdny psalterz”. Książki te zapewne przeszłyby nie zauważone przez krytykę literacką, gdyż, jako echo lektur skamandrytów i poetów awangardowych, wносиły do poezji niewiele nowego. Autor tomu „O czerwonej krwi” zyskał jednak duży rozgłos, ponieważ książkę skonfiskowano jako obrazoburczą, a prokurator podjął postę-

powanie karne, oskarżając autora o obrazę religii i moralności. Relegowano go z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i nigdy już studiów nie ukończył.

Pisał Łobodowski z ironią o zakłamanym sybarytach:

*Wielbię was! – nawet i na to przystanę,
że wiersz ten pisał jakiś żyd lub mason,
o, uświęceni, szlachetni mieszczenie,
okrągłej ziemi brzuchata okraso! (Święte małżeństwa)*

Bohaterowie jego wierszy „żyją i tyją”, a przecież – woła poeta – „trzeba porwać się z miejsca, ogromny sztandar rozwinać, trzeba coś zrobić, gdzieś biec”.

Takie doświadczenia spowodowały, że Łobodowski zaczął budować własną, pesymistyczną wizję rebelianckiej i zarazem straceńczej biografii człowieka osaczonego przez nienawistny mu świat.

Co by nie powiedzieć o dalszej twórczości Łobodowskiego, te przeżycia naznaczyły go piętnem i spowodowały, że był wszędzie tam, gdzie można było wyrazić swój bunt anarchistyczny. Od sympatii komunistycznych począwszy, poprzez więzienia, walkę u boku kawalerzystów pułkownika Mączka, do klinicznej wręcz nienawiści skierowanej do nowej Polski po roku 1944, co zaprowadziło go na emigrację do Hiszpanii. Znalazł pracę w antykomunistycznej rozgłośni polskiej Radia Madryt – drugiej po Wolnej Europie.

Lubelski Cezary Baryka, „ataman Łoboda”, doświadczył losu polskiej diaspory;

*Błądzi cień po Europie – odwieczny emigrant –
rozgrzebuje popioły, w wątłe iskry dmucha.
Na minionych, słotnych zawieruchach
tren żałobny za życia wygrał;
gubi się w gwarzym tłoku – a jest mu bezludnie;
słysz: chmura za niebem dudni,
zapowiada się wśród gromów i błysków.
Oto los wyłączonego z dziejów,
opuszczonego na pobjowisku (Ballada lubelska)*

Jak wpisać Lublin i jego okolice w biografię i twórczość Józefa Łobodowskiego? Czy stał się dla niego „przeklętym miastem”, czy też miejscem zachłannej miłości, gdzie wszystko się zaczęło, ale i gdzie ówczesne władze nie pozwoliły mu odwiedzić ciężko chorej matki w jej ostatnich dniach życia?

*Ponad łakami zmierzchy zapadały sine
i woń rozkwitających lip (...)
I gwiazdy stały co noc nad Lublinem,
i Lublin w gwiazdach
brodził po kolana.*

*A my brodziliśmy we snach
i dudnił w słowach głuchy grzmot rebelii (...)*

(Ballada lubelska)

Lublin znajdował odniesienie nie tylko w przedwojennej biografii i poezji Łobodowskiego („Noce lubelskie”, 1936). Motywy lubelskie powracały wielokrotnie w jego snach na jawie i w emigracyjnej twórczości: „W połowie wędrówki”(1972), „Dwie książki” (1984), „Rachunek sumienia” (1987). Z ostatniego tomu, opublikowanego na rok przed śmiercią poety, pochodzi fragment wiersza „Lubelszczyzna”:

*Czy tęsknota daleka,
czy rozpacz i strach,
skurcz pod sercem, gdy słów już zabrakło do wyznań,
na pastwiskach, na rzekach,
po majdanach i wsiach
wciąż usypia moja Lubelszczyzna.*

To w tym mieście przeżył swój debiut pisarski, tu się ożenił, tu zmarła mu matka, tu tak naprawdę wszystko się zaczęło. Pomimo, że wchłonęła go później (1938) Warszawa, pomimo, że publikował w wielu warszawskich czasopismach – pozostał tak naprawdę do końca lubelski.

Łobodowskiego uważa się za współtwórcę awangardy lubelskiej, ale bunt wobec zastanego świata bardziej łączy go z żagarystami. Mieszkał wraz z Bronisławem Ludwikiem Michalskim, Henrykiem Domińskim, Wacławem Mrozowskim i Stanisławem Piętkiem na warszawskim Powiślu, w legendarnym już „wspólnym pokoju”. Patronował im Józef Czechowicz, odwiedzał Czesław Miłosz. Jednakże ten warszawski czas nie miał aż tak dużego wpływu na kliszę pamięci Łobodowskiego, jak Lublin.

Oprócz poezji uprawiał z powodzeniem prozę. Czterotomowy cykl pod ogólnym tytułem „Dzieje Józefa Zakrzewskiego” (1965 – 1970) wiąże się ze wspomnieniami poety z czasów jego burzliwej lubelskiej młodości. Obejmuje tomy: „Czerwona wiosna” (1965), „Terminatorzy rewolucji” (1966), „Nożyce Dalili” (1968) i „Rzeka graniczna” (1970) – wszystkie wydane w Londynie. Jest to opowieść kryptobiograficzna, w której autor rysuje obraz Lublina początku lat trzydziestych, wyrazisty realizmem opisów, imponujący szczegółami topograficznymi. W ten sposób Łobodowski chciał spłacić dług pamięci Lublinowi i ludziom Lubelszczyzny.

Po zakończeniu II wojny światowej, po wielu tragicznych przejściach osiadł w Madrycie, ale nigdy nie stworzył tam własnego emigracyjnego domu. Do końca życia wynajmował skromne pokoje w tanich hotelikach i pensjonatach. Całymi dniami przesiedywał i pisał w małych madryckich kafejkach i winiarniach. Nawiązał żywy kontakt z polską emigracją na Zachodzie. drukował w paryskiej „Kulturze”.

Tam go znali, tam cenili, a w Polsce? Kto odważył się dopisać dalsze dzieje lubelskiego Cezarego Baryki? Dopisało je tylko życie. Łobodowski zmarł w Madrycie po krótkiej chorobie 18 kwietnia 1988 roku. Zgodnie z jego wolą ciało zostało poddane

kremacji, a prochy przewiezione do Lublina i pochowane 22 października 1988 roku w grobie jego matki.

Poetyckim epitafium niech będzie fragment wiersza „Lubelszczyzna” z opublikowanego na rok przed śmiercią tomu „Rachunek sumienia”:

*...od dawna już
powracać mi potrzeba.
Niech tylko Tanwią spłynie pierwsza kra,
niech w zwierzyńskich lasach zakwitną*

*krzaki leszczyn,
usłyszę, jak o zmierzchu flet pastuszy gra,
jak mi pod stopą
sucha gałąź trzeszczy.*

*Lubelski cmentarz zarósł gęstwą drzew,
jak dobrze spocząć przy boku swego dziada! –
i niech mi tam jaśminu krzew
o moim kraju opowiada.*

Nauczycieli polonistów, którzy zdecydują się na przeprowadzenie zintegrowanej lekcji w oparciu o życiorys i twórczość autora „Rachunku sumienia”, zapewne pokrzepi wiadomość, że lubelski oddział Związku Literatów Polskich niebawem ogłosi ogólnopolski Konkurs Literacki Ziemi Lubelskiej im. Józefa Łobodowskiego. Będzie to konkurs na oryginalne utwory poetyckie, ze szczególnym uwzględnieniem akcentów lubelskich, co – miejmy nadzieję – wesprze wysiłki tych, którzy zrozumieli głęboki sens obecności regionalizmu w programach nauczania.

Folklor na ścieżce zintegrowanej

Ucząc w szkole regionalizmu, nie możemy pominąć poezji ludowej własnych okolic. Lekcje dotyczące tej tematyki funkcjonują na tzw. ścieżce zintegrowanej, obowiązującej w gimnazjum. Programy szkolne dotyczące regionalizmu w nauczaniu międzyprzedmiotowym winny uwzględniać wiedzę związaną z własną okolicą i ludźmi tam zamieszkującymi.

Takie lekcje najlepiej przeprowadzać w muzeach wsi, zwanych skansenami, w otoczeniu starych wiejskich chałup, w pomieszczeniach, które zachowały swój niepowtarzalny urok.

Szczególną uwagę trzeba zwrócić na to, że poezja ludowa, regionalna, chłopska nie jest poezją gorszą. Kieruje się ona własnymi wyznacznikami i wartościami.

Wybór metod lekcji jest duży. Może to być inscenizacja związana z montażem poetyckim, drama przedstawiająca fragment życia chłopskiego, uzupełniona odniesieniami znajdującymi się w poezji chłopskiej, a także wycieczka po skansenie ilustrowana utworami poetyckimi, zakończona próbą napisania przez uczniów wiersza stylizowanego.

go na gwarę ludową. Uczeń wtedy pojmie, że nie tematyka decyduje o przynależności utworu do literatury ludowej, ale jej swoistość, geneza, funkcje.

Ucząc regionalizmu nie możemy zamykać się w czterech ścianach klasy. To są lekcje przeprowadzane przede wszystkim w plenerze. Jakie miejsce na mapie współczesnej ludowej twórczości literackiej zajmuje region lubelski? Ma on wielu wybitnych twórców, wśród nich na szczególną uwagę zasługują: Jan Pocek (1917-1971), Władysław Kuchta (1911-1993) i Bronisław Pietrak (1914-1997).

Jan Pocek – poeta ludowy, „humanista z Kalenia koło Puław”, urodził się w wielodzietnej rodzinie chłopskiej we wsi Zabłocie, ukończył 7-klasową szkołę powszechną w Markuszowie. W czasie wojny współpracował z Batalionami Chłopskimi, działał w konspiracyjnym Związku Pisarzy Chłopskich. W roku 1949, korzystając z możliwości awansu społecznego, ukończył w Warszawie przyspieszony 8-miesięczny kurs dla dziennikarzy. Podjął pracę w redakcji „Gromady”, potem „Gromady – Rolnik Polski”. W tym czasie pisał również wiersze.

Na fali zawirowań politycznych w Polsce w 1957 roku Pocek został zwolniony w trybie natychmiastowym z pracy. Powrócił do Kalenia i nigdy już nie chciał mówić o pracy w mieście. W stolicy zapadł na gruźlicę, która stała się utrapieniem jego życia i przyczyną śmierci.

Pozostawił po sobie obszerną spuściznę poetycką. Jego wiersze nieczułe były na miejskie wpływy literackie, pozostał od początku do końca oryginalnym poetą chłopskim:

*by każdy mój wiersz
nawet najmniejszy
o wsi
pamiętał*

(Przybiłem)

Na ile poezja J. Pocka znajduje odniesienie do definicji poezji ludowej? Otóż znajdujemy w niej archetypy i motywy, do których ona zawsze sięgała. Ziemia, zwana „świętą matką”, przyroda, ojczyzna, matka, chłop-oracz, śmierć – to są wyznaczniki, które wartościują rzeczywistość.

Ludowość w jego poezji dostrzegamy poprzez próbę dotarcia do samej esencji światopoglądu chłopskiego. To kult ziemi, upersonifikowana przyroda. Z ziemi czerpie siły witalne chłop – „włodarz we własnym domu”:

*W ziemi jest wszystko
zorza i muzyka
dzwony i uśmiech matki
dlatego ludziom
którzy ziemię kochają
do szczęścia jest tak blisko*

(Szczęście)

Poczek gloryfikuje pracę i trud człowieka („bochenek chleba jest pachnący słońcem”). Poeta poświęca część swojej twórczości rodzinie. Szczególnie ważną rolę zajmuje postać matki. Jest to istota uboga, ale mądra i dobra.

*Na całym świecie tylko nasze matki
drogami pełnymi wyboi
chodzą się modlić boso – jak żebraczki –
do błyszczących od słońca kościołów*
(*Nasza swojskość*)

Poezja Pocka i innych poetów ludowych wiele ma wspólnego z zegarem biologicznym przyrody. To pory roku, miesiące, pory dnia dyktują rytm życia chłopca. Od wieków każą mu przestrzegać biologicznego rytuału.

Władysław Kuchta był rolnikiem i pszczelarzem z Mołodutyna. Wyszedł spod strzechy i swoimi wierszami pod strzechy trafił. Miał tylko podstawowe wykształcenie, ale był człowiekiem o dużej erudycji. Wielka literatura była mu potrzebna do lepszego poznania świata i ludzi, ale sposób widzenia tegoż świata i jego wartościowanie pozostało do końca chłopskie, ludowe.

Opublikował pięć zbiorów wierszy, z których wyróżnia się obszerny tom „Pachną chlebem pola” (1984).

*Swoich wierszy nie ubieram
w pawie pióra
ani w słowa błyszczące złotem
piszę je własnym sercem
i chłopskim potem*
(*Pachną chlebem pola*)

Lato, żniwa, wysiłek chłopca, troska o chleb, radość z zakończonej pracy – to najczęstsze motywy jego wierszy („polem przeszła śmierć, snop za snopem padł”). Kuchta pokazuje m.in. wieś wyidealizowaną, magiczną. Taką jaką chcemy zapamiętać – sielską i rustykalną. Poezja ludowa regionu wschodniego jest w znacznej mierze poezją, w której największą świętością jest ziemia:

*Co dzień rozmawiam z Ziemią-Matką
Oczyma wielbię piękno przyrody
I mimo trudu mozolnej walki
Idę naprzód w życia zawody.*
(*Pachną chlebem pola*)

Bronisław Pietrak, zwany „chłopskim Kochanowskim”, obok tradycyjnych wątków ludowych, stworzył niepowtarzalny cykl trenów. Jedność człowieka i przyrody należy do innego porządku świata, to Bóg jest siłą sprawczą, która człowiekowi daje i zabiera,

a człowiek musi się z tym pogodzić – mówi poprzez swoje gorzkie wiersze B. Pietrak. Na 144 stronach tomu „Chłopskie treny” oplakuje utratę żony i czworga dzieci.

*Moje serce ojcowskie
biedne serce tułacze
Chociaż usta się śmieją
Ale ono wciąż płacze (...)
Pan Bóg chciał mnie ukarać
Śmierć je wszystkie zabrała.
(Życie)*

Bronisław Pietrak, aby oddać ból ojca, sięgnął po gatunek nieznany wcześniej w literaturze ludowej – do epicediów, z których powstały później treny. Zacieranie się granic między tradycyjnymi gatunkami ludowymi a „literackimi” widoczne jest coraz częściej.

Jest rzeczą charakterystyczną, że współcześni twórcy ludowi rzadko sięgają po takie gatunki jak pieśń, ballada czy pastorałka. U wielu w poezji dominuje wiersz wolny, często bezrymowy, sonet, tren, erotyk, wiersz liryczny. Język jest najczęściej literacki, bo takim współcześni poeci chłopscy posługują się, inkrustując swoją wypowiedź liryczną regionalizmem lub wyrazem gwarowym.

Czym jest literatura ludowa?, gdzie się rozwija?, jakie zjawiska są jej bliskie? – to są pytania, na które tego typu lekcje winny dać odpowiedź, bo literaturę ludową należy rozumieć jako tę, która jest wytworem ludu wiejskiego, jego życia kulturalnego i jego specyficznie zorganizowanej zbiorowości.

Bibliografia:

1. K. Wyka, *Rzecz wyobraźni*, Warszawa 1959.
2. T. Kłak, *Józef Czechowicz a faktor*, (w:) *Z zagadnień twórczości ludowej*, Wrocław 1972.
3. A. Grychowski, *Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich. Od średniowiecza do roku 1968*, Lublin 1974.
4. J. Pocek, *Poezje*, Lublin 1980.
5. A. Aleksandrowicz, *Świat poetycki Jana Pocka*, „Biuletyn WDK w Lublinie”, 1981, nr 5-6.
6. B. Zadura, *Wstęp*, (w:) J. Czechowicz, *Poezje*, Lublin 1982.
7. *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. J. Zięba i W. Michalski, Lublin 1984.
8. W. Kuchta, *Pachną chlebem pola*, Lublin 1984.
9. A. Koziołkiewicz, *Ziemi w darze (o poezji Wł. Kuchty)*, „Kamena” 1985, nr 5.
10. A. Aleksandrowicz, *Współczesna poezja ludowa Lubelszczyzny*, „Region Lubelski” 1987, nr 2.
11. E. Kuźma, *Współczesny regionalizm jako rodzaj komunikacji literackiej*, „Region Lubelski” 1987, nr 2.
12. J. Zięba, *Wstęp*, (w:) J. Łobodowski, *Poezje*, Lublin 1990.
13. B. Pietrak, *Chłopskie treny*, Lublin 1993.
14. L. Bartelski, *Polscy pisarze współcześni 1939-1991. Leksykon*, Warszawa 1995.
15. P. Kuncewicz, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, Warszawa 1995.
16. *Z dziejów ruchu literackiego na Lubelszczyźnie. Szkice i wspomnienia*, red. St. A. Łukowski, Lublin 1998.

O metodzie projektu w warsztacie nauczycielskim

Głównym zadaniem współczesnej szkoły jest jak najlepsze przygotowanie uczniów do funkcjonowania w warunkach zmieniającej się rzeczywistości gospodarczej i społecznej. W tym zakresie szkoła powinna wyposażyć ucznia nie tylko w niezbędną wiedzę, ale przede wszystkim kształtować umiejętności pożądane w ich dorosłym życiu. Konieczne jest więc przeniesienie środka ciężkości kształcenia z wiedzy na umiejętności. Nie oznacza to przekreślenia tego pierwszego obszaru - wiedzy. Uczeń powinien „wiedzieć” aby potrafił „zrobić”. Wiedza w tym momencie przestaje być celem samym w sobie, a staje się środkiem pomocniczym w kształtowaniu umiejętności. Kształcenie zmienia swój charakter z odtwórczego na twórczy. Sytuacja taka pociąga za sobą konieczność zmiany stosowanych metod i wymusza dominację metod aktywizujących nad metodami podającymi.

Jedną z takich metod jest metoda projektów. Metoda ta jest coraz częściej stosowana we współczesnej szkole. Jej podstawową cechą jest samodzielność ucznia w dochodzeniu do wiedzy.

Wśród umiejętności, które rozwija metoda projektów, należy wyróżnić: planowanie własnych działań, korzystanie z różnorodnych źródeł informacji, zbieranie, porządkowanie, analizowanie oraz prezentowanie informacji. Jak żadna inna metoda uczy odpowiedzialności, pracy w grupie jako członek i jako lider, kształtuje umiejętności wypowiedzania się, słuchania innych i korzystania z ich pracy. Ponadto kształtuje umiejętności prowadzenia obserwacji, analizowania i wyciągania wniosków, podejmowania decyzji oraz prezentowania wykonanej pracy. Metoda ta ma jeszcze jedną zaletę: pozwala na łączenie treści kształcenia kilku przedmiotów.

W metodzie projektów w istotny sposób zmienia się rola nauczyciela, który jest przewodnikiem i doradcą, kieruje pracą, służy pomocą, ale nie podaje gotowych rozwiązań.

Metoda projektów może być realizowana pod postacią projektu badawczego lub projektu działania lokalnego. Projekt badawczy polega na zebraniu i uporządkowaniu informacji o wybranych zagadnieniach. W jego rezultacie powstają różnego rodzaju opracowania, które uczniowie prezentują przed klasą. Projekt działania lokalnego zakłada podjęcie jakiegoś działania w środowisku lokalnym np. szkolnym.

Metoda projektów może być realizowana w formie indywidualnej lub grupowej. Projekty indywidualne kształtują przede wszystkim umiejętności planowania własnej

pracy i samodyscypliny w realizacji postawionego zadania. Projekty grupowe wymagają zwłaszcza specyficznych umiejętności związanych z podziałem zadań i pracy w zespole, kształtują jednocześnie takie zachowania społeczne jak wzajemna pomoc, tolerancja, respektowanie praw innych. W metodzie tej można, na przykładzie projektu grupowego, wyróżnić kilka zasadniczych etapów:

I. Określenie tematu i celów projektu.

II. Sporządzenie konspektu (instrukcji) – na ogół robi to nauczyciel. Może robić to uczeń, lub nauczyciel i uczeń wspólnie. Konspekt ten po uzgodnieniu z uczniami staje się kontraktem, który obowiązuje przez cały czas trwania projektu. Konspekt powinien zawierać wszystkie informacje ważne dla treści i formy realizowanego projektu.

III. Podział na grupy i określenie zadań, przy czym należy pamiętać, że uczniowie lepiej i chętniej pracują, jeżeli pozostawi im się swobodę w doborze składu grup.

IV. Realizacja projektu. W trakcie realizacji konieczne jest organizowanie konsultacji z uczniami, są one okazją do dokonania oceny postępów pracy grupy oraz udzielenia pomocy w przezwyciężeniu pojawiających się trudności.

V. Prezentacja wykonanej pracy przez poszczególne zespoły oraz sprawozdanie i przedmiot materialny, jeżeli opis projektu zakłada jego wykonanie.

VI. Ocena projektu. Dokonuje jej nauczyciel, ale w proces oceniania włączeni mogą być uczniowie. Ważne jest, aby kryteria oceniania były znane uczniom.

Pomysł i temat przedstawionego poniżej projektu, zrodził się na lekcjach historii prowadzonych przeze mnie w ówczesnej klasie II-iej Technikum Hotelarskiego, funkcjonującego w Zespole Szkół Gastronomicznego w Lublinie. Celem podstawowym było połączenie historii Polski z dziejami regionu - miasta i okolicy, spojrzenie na historię ojczyzny przez pryzmat wydarzeń lokalnych upamiętnionych pomnikami. Taka była geneza pomysłu opracowania „Przewodnika po pomnikach historycznych Lublina i okolic”.

Metoda projektów doskonale nadawała się do realizacji tego pomysłu. Atutem był także jej interdyscyplinarny charakter - pozwalała na połączenie wiedzy i umiejętności kilku przedmiotów: historii, języka polskiego, przysposobienia czytelniczego, techniki pracy biurowej.

W określonym przeze mnie obszarze tematycznym wspólnie z uczniami określiliśmy temat i cele przewodnika, problemy do rozwiązania oraz sposób realizacji projektu. Ostateczny cel projektu realizowanego przez całą klasę było opracowanie przewodnika turystycznego po pomnikach historycznych Lublina i okolic z wyłączeniem, ze względu na obszerność zakresu tematycznego, pomników – miejsc pamięci narodowej upamiętniających ofiary masowych egzekucji w okresie II- ej wojny światowej. Po ustaleniu zakresu projektu i ustaleniu, które pomniki historyczne będą przedmiotem projektu, określone zostały problemy, które mieli rozwiązać uczniowie. Sformułowane zostały one w postaci następujących pytań :

1. Jakie wydarzenia historyczne upamiętniają wybrane pomniki?
2. Kto i w jakich okolicznościach ufundował je i postawił?
3. Jakie były losy pomników i jaki jest ich stan obecny?

Odpowiedzi na powyższe pytania należało udzielić w stosunku do dziewięciu pomników: Unii Lubelskiej, Konstytucji 3 Maja, Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, Obrońców Lublina z 1939 roku, pomnika upamiętniającego ofiary powstania styczniowego

1863 roku, Żołnierzy Polskich Poległych w Wojnie ze Szwedami w 1656 roku, pomnika upamiętniającego 500 rocznicę bitwy pod Grunwaldem oraz obelisku w Fajslawicach.

Projekt realizowany był w grupach. Dobór zespołów do realizacji zadań odbywał się na zasadach zupełnej dobrowolności, podobnie jak wybór liderów grup. Przy założeniu, że jeden rozdział obejmuje jeden pomnik, rozdzielone zostały zadania między grupy. Dwie grupy opracować miały po jednym, a pozostałe trzy po dwa rozdziały. Każdy rozdział musiał zawierać: tytuł, treść – minimum dwie strony formatu A4 napisane przy użyciu edytora tekstów. Przygotowując tekst rozdziału przewodnika należało wykorzystać minimum pięć spośród wymienionych rodzajów informacji: fotografie i rysunki, artykuły z prasy, mapy (plany), wywiady, przewodniki, opracowania historyczne, informacje urzędów i instytucji.

Niezależnie od udziału w pracach swoich grup, trzy dwuosobowe zespoły (wyłonione na zasadzie ochotników) wykonać miały następujące zadania: opracowanie okładki przewodnika, napisanie sprawozdania z realizacji projektu, przygotowanie filmu video będącego ilustracją przewodnika. Ustalony został także sposób prezentacji oraz jej termin, a także kryteria oceny pracy zespołów. Kryteria te obejmowały: spełnienie wszystkich wymagań określonych w założeniach, oryginalność (liczba własnych pomysłów), estetyka wykonania i sposób opracowania treści oraz systematyczność pracy grup obserwowana podczas konsultacji.

Wszystkie powyższe uzgodnienia zostały zawarte w konspekcie projektu, który stał się kontraktem. Realizacja projektu trwała od kwietnia do czerwca 1999 r. Prezentacja i ocena projektu miała miejsce 17.06.1999 r.

Podstawowym źródłem wiedzy i informacji uczniów, wykorzystanych w trakcie realizacji „Przewodnika”, były materiały uzyskane w urzędzie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, opracowania historii Lublina, przewodniki po Lublinie, gazety i czasopisma z lat 1910-1999. Mottem „Przewodnika” stał się wiersz napisany przez Katarzynę Wróbel, jedną z uczennic biorących udział w realizacji projektu.

Wybrana metoda pracy zyskała pełną akceptację uczniów, którzy sami dostrzegali korzyści z niej płynące. Świadczą o tym opinie, jakie formułowali po zakończeniu prac nad „Przewodnikiem”. Potwierdzają one także zawarte we wstępie zalety tej metody. Oto niektóre z nich:

- „Grupa była bardzo zgrana, wszyscy starali się, aby projekt wypadł jak najlepiej”.
- „Decyzje w grupie podejmowaliśmy wspólnie”.
- „W trakcie pracy lepiej poznałam swoje koleżanki”.
- „Nauka była ciekawa, ponieważ sami zdobywaliśmy wiedzę”.
- „Nauczyliśmy się korzystać ze zbiorów bibliotecznych”.
- „Lepiej zapamiętałam wiedzę, którą poznałam w trakcie pracy nad projektem”.

„Przewodnik po pomnikach historycznych Lublina i okolic” oraz powstały w trakcie projektu film znajdują się obecnie w szkolnej bibliotece i służą jako pomoce dydaktyczne w nauczaniu historii.

Bibliografia.

1. G. Uhman, „*TERM*” – *metoda projektów*, Instytut Badań Edukacyjnych.
2. A. Mikina, *Metoda projektów w kreowaniu postaw przedsiębiorczych uczniów*, Łódź 1999.

Przewodnik po pomnikach historycznych Lublina i okolic *fragmenty*

*Zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga
Jesteśmy rozumni, robimy co chcemy,
A pomimo tego wciąż wiemy tak mało
O własnym narodzie i o bliskiej ziemi.
Trudno nam określić: co?, kiedy? Było,
Kiedy się coś rozpadło, a kiedy stworzyło.
Wiemy tak niewiele, choć mieszkamy blisko.
To tak, jakby mrówka nie wiedziała gdzie mrowisko.
Jest tak nieprzyjemnie: ktoś pyta – ja nie wiem.
Rozejrzeć się trudno nam wokoło siebie.
Patrzymy gdy trzeba, gdy ktoś nam to zleci,
Bo wtedy ocena nam w górę „poleci”.
Lecz warto czasami zajrzeć do historii
Chociażby najbliższej, najdroższej nam strony.*

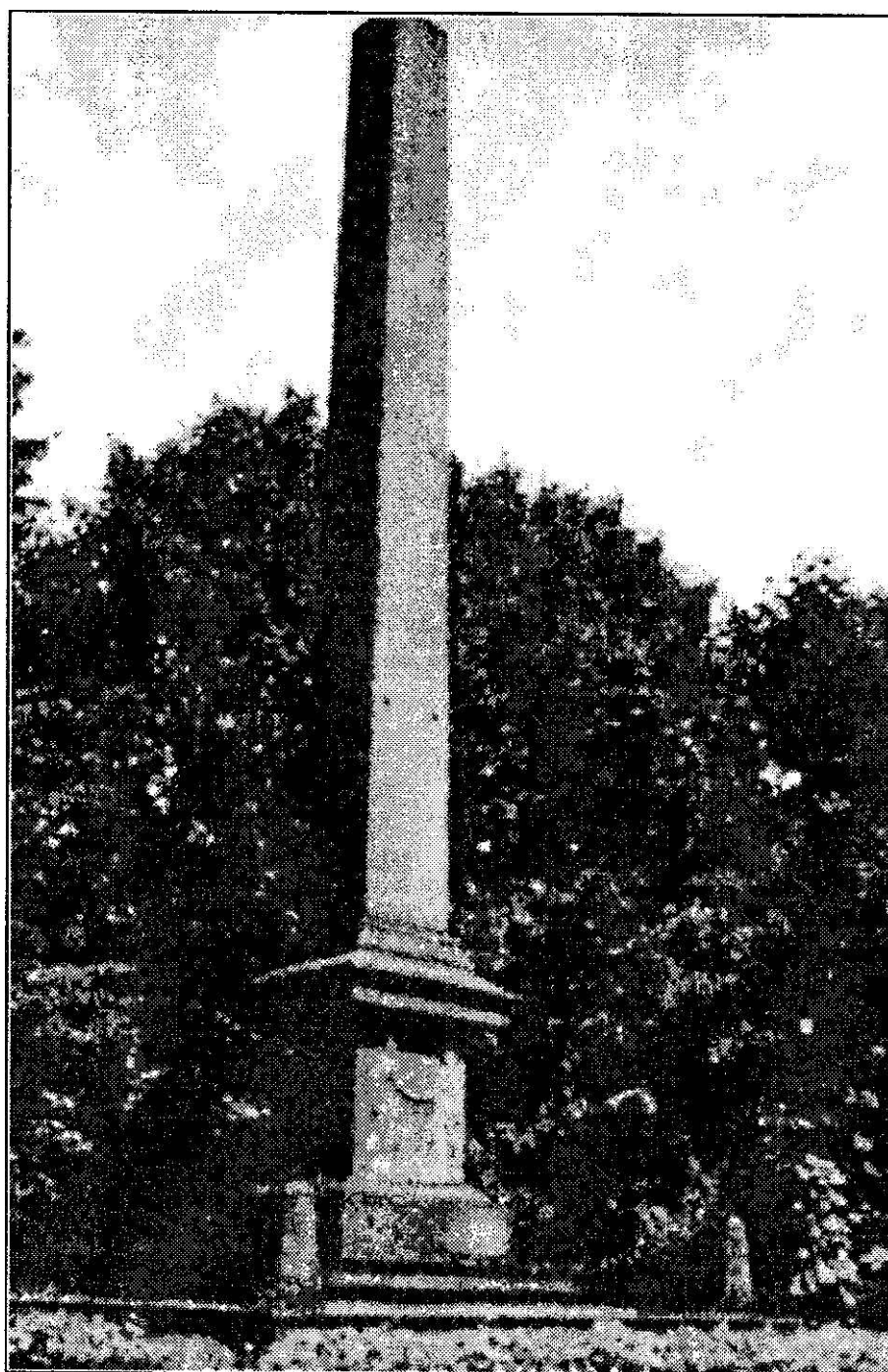
Katarzyna Wróbel

Pomnik Unii Lubelskiej

W epoce panowania Zygmunta Augusta, w Lublinie w r. 1569 doszedł do skutku akt ostatecznego połączenia Korony z Litwą. Akt ten znany w historii pod nazwą Unii Lubelskiej był ostatnią unią zawartą pomiędzy Litwą i Polską.

Unia pomiędzy Polską a Litwą funkcjonowała już blisko dwa stulecia – od 1385 r., formy nadane jej w Lublinie utrzymały się w mocy przez dalsze dwa wieki – do Konstytucji 3 Maja 1791 r., która zniosła dualizm polsko-litewski, tworząc jedno państwo. Unia lubelska – w przeciwieństwie do antykrzyżackiej unii 1385 r. – była antymoskiewska. Tak jak w 1385 r., tak i w 1569 r. Litwa, zawierając unię, spodziewała się umocnić swe państwo przy pomocy Polski. Przez unię lubelską i zgodę z marca i czerwca 1569 r. na oderwanie od wielkiego Księstwa Litewskiego i wcielenie do Korony Podlasia,

Wołynia i Ukrainy – Polska wciągnięta została do wojen przeciw Moskwie, mających na celu obronę ruskich nabytków Mendoga, Giedymina i Olgierda. Unia lubelska była wydarzeniem wielkim, określiła na parę wieków dalszy rozwój Europy środkowo-wschodniej.



Pomnik Unii Lubelskiej – widok obecny

Podania mówią, że w celu uwiecznienia tego znacznego wydarzenia, zbudowanie pomnika nastąpiło zaraz po zakończeniu uroczystości podpisania aktu Unii, w każdym razie nie później jak przed śmiercią króla. Za miejsce obrano dzisiejszy plac Litewski, gdyż według tradycji przekazanej nam przez dziewiętnastowiecznych pamiętnikarzy i monografistów Lublina był to teren, na którym obozowała przybyła na obrady Sejmu szlachta litewska.

O samym wyglądzie pomnika wspomina wielu autorów opisów Lublina, lecz są to wzmianki niezbyt dokładne, np. J. W. Krasieński podaje: „Tutaj naprzeciwko tego Pałacu,

stały dawniej dwa Posągi z podanymi sobie rękami, na pamiątkę połączenia Litwy z Koroną”. Spotykane są też tylko określenia „kolumny murowanej”. Najwięcej jednak szczegółów zachowało się w zaginionej dziś kronice ojców kapucynów, a Hieronim Łopaciński na jej podstawie podaje, iż „... była to kolumna czworoboczna mająca 12 łokci wys. Zbudowana z kamienia i cegły, nakryta dachówką. W kolumnie była nisza, w której stały dwa posągi kamienne, jedni twierdzą, że figury te przedstawiały Polaka i Litwina w uścisku przyjacielskim, inni, że był to Władysław Jagiełło i królowa Jadwiga...”

Przy samym pomniku w r. 1649 ks. Mikołaj Świrski, sufragan ówczesnej diecezji katedry chełmskiej, zakupując plac, ufundował tu kościół Bożego Ciała i klasztor ze szpitalem dla nagrodzenia Braci Miłosierdzia, czyli bonifratrów. Zabudowania zostały wzniesione w 1653 r., a w następnym roku osadzono w nich wspomniany zakon. Z tego też powodu, z czasem pomnik Unii zaczęto nazywać „Pomnikiem pod kościołem Bonifratrów” lub „pod Bonifratrami”.

Wojny XVII i XVIII w. prowadzone przez Rzeczpospolitą nie ominęły także terenów Lubelszczyzny. Działania wojenne oraz rabunki i pożary nie oszczędziły zabudowań bonifratrów. Zakonnicy opuścili walącą się siedzibę i zajęli inny klasztor., zaś ruina murów klasztornych pociągnęła także za sobą osłabienie się budowli pomnika.

Czasy Królestwa Polskiego 1815 – 1830 otworzyły nowe możliwości w rozwoju Lublina, a działalność powołanej w 1816 r. Komisji Województwa Lubelskiego przyczyniła się do powstania w Lublinie pierwszych na większą skalę zamierzonych założeń urbanistycznych. Dotyczyło to szczególnie dzisiejszego placu Litewskiego, gdyż tam właśnie upatrzone odpowiednie miejsce na plac dla musztry, przeglądów i parad wojskowych, którego domagały się władze wojskowe i znany ze swych zamiłowań do parad Wielki Książę Konstanty. Jednakże nie od razu doszło do zlokalizowania go na tym terenie. Po wielu próbach zdecydowano ostatecznie o urządzeniu placu Musztry w miejscu zabudowań bonifratrów przy Krakowskim Przedmieściu.

Decyzję tę wydał osobiście Namiestnik Królestwa Józef Zajączek „który naocznie wszystko zgłębiwszy rozkazał przenieść Bonifratrów na Miejsce Reformatów, bonifraterski zaś kościół i zabudowania mieszkalne tudzież dom kowala Lenkiewicza rozebrać kazał, zaplantować plac i tak go urządzić, aby był nie tylko odpowiadający potrzebie Wojska, ale zdobił zarazem tę część Przedmieścia”.

Rozbiórkę przeprowadzono w latach 1819 – 1820 pod nadzorem prezesa Komisji Województwa Lubelskiego, ówczesnego gubernatora Piotra Domańskiego. Właśnie w trakcie tych robót całkowicie zniszczono również stojący „pod Bonifratrami” stary pomnik Unii Lubelskiej z 1569.

Mimo to, w dość krótkim czasie pomyślano o wznowieniu tej pamiątki. Inicjatywę przypisuje się Staszicowi, który jako Minister Stanu miał powierzone m.in. zagadnienia administracji miast.

Dokonując w 1824 r. lustracji Lublina poczynił starania, by miasto to w najbliższym czasie zyskało na swym wyglądzie. W tym celu sporządził szczegółowe sprawozdanie w memoriale złożonym księciu. Ośmielony także wcześniej uzyskaną zgodą cara na wystawienie nowego pomnika (miało to nastąpić w czasie przejazdu Aleksandra I przez Lublin w 1823 r.) proponował m.in. „... miejsce oznaczyć jakim godnym pomnikiem, kolumną albo piramidą”.

O projekt pomnika zadbało Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie. Opracował go Feliks Bentkowski i zaprezentował na posiedzeniu towarzystwa w dniu 6 lutego 1825 r. Przyjmując ten projekt uchwalono, aby na pomniku były następujące godła:

1. Ślub Jagiełły z Jadwigą;
2. Silniejsze połączenie Litwinów z Polakami na sejmie w Horodle w 1413 r.;
3. Unia Litwy z Polską w Lublinie 1569 r.

Z kilku wariantów płaskorzeźb wybrano jeden. Przedstawiał on dwie alegoryczne postacie niewieście, Korony i Litwy, jedną w koronie królewskiej, drugą w mitrze książęcej, podające sobie ręce. U stóp tych postaci tarcze, z lewej strony z orłem polskim, z prawej z Pogonią litewską. Z trzech stron napisy: *Połączenie Litwy z Koroną; Epoka pomnika MDLXIX; Odnowiony w roku MDCCCXXV*. Wykonanie tej płaskorzeźby polecono profesorowi rzeźby z Uniwersytetu Warszawskiego, Pawłowi Malińskiemu, Czechowi z pochodzenia.

Po odsłonięciu pomnik był dość długi czas dostępny dla wszystkich, a obok wzgórza umieszczono ławeczki do odpoczynku. Pomnik uświetnił zarówno plac przed gmachem Komisji Województwa Lubelskiego, jak i główną ulicę Krakowskie Przedmieście, z której od strony Starego Miasta i od wjazdu warszawskiego dobrze został wyeksponowany.

Dawny plac Musztry pozostawał nie zabudowany i nie zadrzewiony do 1874 r. W latach 1874–1876 na środku placu został wzniesiony sobór prawosławny projektu gen. Chlebnikowa. Sobór naruszył dotychczasową równowagę otaczającej plac zabudowy. Pomnik obsadzono wtedy krzewami i drzewami. W ten sposób powstał ogródek, gdzie wkrótce ustawiono altankę dla gubernatora. Wtedy to ogród wraz z pomnikiem Unii otoczony został drewnianym parkanem, stając się niedostępnym dla ogółu i zarezerwowanym do wyłącznego użytku gubernatora lubelskiego.

Stan pomnika na pocz. XX w. był już bardzo zły. Żelazo pokryła rdza, postacie i herby na płaskorzeźbie oraz napisy poczerniały, stopnie u podstawy były powykrzywiane, mało też był widoczny z powodu otaczających go krzewów i zarośli. Dlatego też poczyniono starania o renowację pomnika.

Latem 1905 r. w ciągu kilku miesięcy wzmocniono fundamenty, u stóp obelisku dano płytę betonową, żelazo pomalowano trwałą farbą, odnowiono płaskorzeźbę na froncie pomnika oraz wycięto zasłaniające go drzewa i krzewy. Roboty te wykonane pod kierunkiem budowniczego miejskiego H. Paprockiego kosztowały 425 rubli. Suma ta w większości była zebrana ze składek społeczeństwa, mniejszą część wypłaciła kasa miejska. W 1912 r. rozebrano dotychczasowe ogrodzenie drewniane, wykonując na jego miejsce niskie ogrodzenie żelazne.

Powojenny remont pomnika, przeprowadzony w 1949 roku, objął szereg ważnych zabiegów wzmacniających konstrukcję oraz pomalowanie płaskorzeźby i napisów brązem w proszku, który w dość szybkim czasie szerniał.

W 1972 roku na zlecenie Komitetu Czynów Społecznych, w ramach prac nad porządkowaniem miasta, betonowe podmurowanie pomnika wyłożono marmurową płytą, zaprojektowaną przez inż. arch. J. Jamiołkowską z Pracowni Projektowej Lubelskich Pracowni Konserwacji Zabytków.

W 1999 roku z okazji 430 rocznicy podpisania unii lubelskiej pomnik został odnowiony i z inicjatywy Miejskiej Gazety Powszechnej efektownie oświetlony.

Pomnik Konstytucji 3 Maja



Pomnik Konstytucji 3 Maja

Pomnik Konstytucji 3 Maja znajduje się w południowo-zachodniej części Placu Litewskiego, przy skrzyżowaniu ulicy 3 Maja z Krakowskim Przedmieściem.

Pomnik otoczony jest trawnikiem i wysoką zielenią. Prowadzi do niego dojście od frontu i od wschodu, wyłożone płytkami z piaskowca. Stoi na niskim kwadratowym cokole z betonu o wymiarach 415/426/21 cm, obłożonym płytkami granitowymi. Wymiary samego pomnika wynoszą 110/100/380 cm. Figura w całości wykonana jest z piaskowca. Po obu stronach pomnika na cokole ustawione są dwa słupki na znicze.

Pomnik Konstytucji 3 Maja powstawał w dwóch etapach. Pierwotna figura w formie głazu z napisem: „Na pamiątkę obchodu 125-tej rocznicy 3 Maja” wzniesiona została 3 maja 1916 roku. Odsłonięcie pomnika nastąpiło w czasie obchodów rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, powiązanych z patriotyczną manifestacją mieszkańców Lublina. Wtedy również zmieniono nazwy dwóch ulic w Lublinie na 3 Maja i Hugo Kołłątaja.

W 1963 roku, w czasie przebudowy Placu Litewskiego i Krakowskiego Przedmieścia, pomnik ten zamierzano usunąć, ale przesunięto go jedynie na zachodni skraj placu.

Pierwotnie tworzył on kompozycyjną całość ze zniszczonym w 1944 roku Grobem Nieznanego Żołnierza. W 1981 roku z inicjatywy Stronnictwa Demokratycznego na XII Kongresie ogłoszono dzień 3 Maja świętem narodowym i nastąpiło ponowne odsłonięcie pomnika.

Z inicjatywy lubelskich członków Stronnictwa pomnik poddano renowacji połączonej z jego podwyższeniem o cokół, oraz odtworzeniem piaskowego orła w koronie i wykonaniem dojścia. Nowy orzeł w koronie został wykonany przez Witolda Marcewicza, a autorem całej przebudowy był Edward Kotyło.

Pomnik Konstytucji 3 Maja przypomina nam o historii.

Od połowy XVIII wieku pojawiły się oznaki odnowy gospodarki: czynszowanie chłopów, rozwój miast, powstawanie manufaktur, banków, rozwój oświaty. Reformy Czartoryskich doprowadziły do utworzenia Komisji Skarbowej i Wojskowej, powstała także Rada Nieustająca (1775). Po klęsce Konfederacji Barskiej (1768-1772) nastąpił pierwszy rozbiór ziem Rzeczypospolitej przez Rosję, Prusy i Austrię.

Sytuacja międzynarodowa zdawała się sprzyjać obozowi reform. Wybuchła wojna z Turcją, która zaangażowała militarnie Rosję. Dla Polaków był to dogodny moment do rozpoczęcia dzieła „naprawy Rzeczypospolitej”.

Sejm, który miał trwać 6 tygodni, a trwał 4 lata, przeszedł do historii jako Sejm Czteroletni. Pod węzłem konfederacji Sejm zebrał się w Warszawie 6 października 1788 roku. Stronnictwo Patriotyczne przeprowadziło szereg reform w czasie obrad Sejmu Czteroletniego, 3 maja 1791 roku uchwalono Konstytucję.

Uchwalenie Konstytucji 3 Maja było ważnym wydarzeniem dla ówczesnej Polski. Nasza ojczyzna znajdowała się wtedy w stanie walki o utrzymanie niepodległości w okresie stanisławowskim. Konstytucja ta była największym dziełem Sejmu Czteroletniego. Usuwał on tym samym przeszkody polityczne i prawne na drodze budowy nowego ustroju. Polska stała się monarchią konstytucyjną.

„Rzecz to od wieków zadana Sejm Teraźniejszy ojczyźnie swej przyniósł, a to w sam dzień znalezienia Świętego Krzyża. Tego to wiecznej pamięci godnego dnia, między stanami sejmującymi skojarzyła się rewolucja nie na wzór owych dzisiejszych zagranicznych buntowniczych i krwawych, ale miłością dobra pospolitego spokojnie zjednoczona, i przyjęta została nowa forma całego rządu”.

Tak pisała „Gazeta Warszawska” już kilka dni po uchwaleniu Konstytucji 3 Maja. Jej twórcy mieli świadomość wagi tego dokumentu. Nie przypadkiem na jej wszystkich kartach umieszczono też słowa: „Ten tylko, co jak my umiera, niechaj wierzy, że powstanie z grobu”.

Było to niejako posłanie do przyszłych pokoleń. Z tego bowiem aktu, z ducha Ustawy 3-majowej czerpał potem siły przez 125 lat niewoli naród polski.

Pomnik Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego

Pomnik został wystawiony na cześć ułanów ks. J. Poniatowskiego, którzy zginęli w czasie potyczki z wojskami austriackimi w 1809 r. Upamiętnia również okres cholery, która nawiedziła Lublin. Wydarzenia, które upamiętnia pomnik tak ralicjonowali kronikarze:

„...Był rok 1809, na tereny Księstwa Warszawskiego ciągnął 30-tysięczny korpus austriacki pod wodzą arcyksięcia Ferdynanda d'Este, który wydał odezwę do ludności Galicji. Na Lubelszczyźnie spotkała się ona z powszechnie niechętnym przyjęciem, nawet książę Czartoryski nie złożył pod nią swego podpisu.

Wkrótce nadeszły wieści o bitwie pod Raszynem i o kapitulacji Warszawy, a w kilka dni później wojsko polskie niespodziewanie znalazło się na Lubelszczyźnie. Książę Józef Poniatowski, po oddaniu stolicy, zdecydował się na początku maja na wykonanie przygotowywanego jeszcze przed wybuchem wojny manewru, rozpoczął ofensywę na prawym brzegu Wisły, zaskakując tym i dezorientując przeciwnika. Do pierwszej potyczki doszło 8 maja pod Kockiem. Zwycięstwo polskie zostało okupione bohaterską śmiercią płk Berka Jolsewicza. 9 maja 1809 roku ułani płk Dziewanowskiego wkroczyli do Lublina, rozpraszając w starciu przy rogatce lubartowskiej wycofujące się oddziały austriackie. Za przednią strażą ciągnęły głównie siły polskie z księciem Józefem Poniatowskim, który w dniach 11 – 13 maja zatrzymał się w Lubartowie, a 14 maja wszedł do Lublina. Mieszkańcy Lubelszczyzny powitali wojsko polskie z ogromnym entuzjazmem. Książę przyjmował liczne deputacje szlacheckie, zapewniające go o sympatii do Księstwa Warszawskiego i Napoleona oraz deklarujące udział w walce...”



Aktualny widok pomnika Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego



Pomnik Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego na widokówce z lat dziesiątych XX wieku.

Pomnik znajduje się w północnej części Lublina, przy obecnej roгатce Lubartowskiej, obok skrzyżowania czterech ulic (Lubartowskiej, Unickiej, Spółdzielczości Pracy i Obywatelskiej). Zbudowany jest z cegły i tynku pobielonego. W jego skład wchodzi także ogrodzenia, bramka, łańcuchy z żelaza.

Pomnik Ułanów ks. J. Poniatowskiego ma formę murowanej kolumny stojącej na wysokim ogzysmowanym cokole. Na nim od frontu umieszczona jest żelazna tablica z inskrypcją: „Tu spoczywają zwłoki ułanów polskich z korpusu ks. J. Poniatowskiego poległych w potyczce z Austriakami 14 maja 1809 r”.

Na ścianach bocznych znajdują się dwie plakietki z godłem Polski. Pod nimi znajdują się dwie skrzyżowane szable. Kolumnę wieńczy krucyfiks na kuli, w górnej części kolumny zawieszona jest płaskorzeźba w metalu, w przeszklonej okrągłej ramce. Przedstawia ona św. Rozalię, znajduje się na niej napis: „Św. Rozalio módl się za nami 1852” – jest to rok epidemii cholery w Lublinie, a św. Rozalia jest patronką chorych na choroby zakaźne.

Przed kolumną stoją dwa słupki z piaskowca z dekoracją w stylu empire. Kolumnę otacza podwójne ogrodzenie: wewnętrzne w postaci żelaznych dekoracyjnych krat za-

wieszonych na 4 słupkach – w kołach z wazonami. Ogrodzenie wewnętrzne tworzy niski murek z bramką, na której widnieje plakietka z napisem. Od frontu bramka jest zamknięta żelazną kratą. Na słupkach bramy znajdują się rzeźby klęczących aniołów. Na północnym słupku od frontu zamieszczona jest żeliwna plakietka z wizerunkiem twarzy Chrystusa. Na murku ogrodzenia stoją metalowe słupki, między nimi kute łańcuchy. Przestrzeń między ogrodzeniami wypełniają kwietne rabatki i krzewy.

Obecnie wygląd pomnika różni się nieco od pierwotnego, którego zdjęcie zamieściła w swoim przewodniku po Lublinie z 1901 r. Maria Ronkierowa. Jesienią 1905 r. pomnik był remontowany i wówczas został gruntownie przebudowany.

Rozbieżności w stosunku do fotografii z 1901 roku wykazują, że musiał ulec przekształceniu. Z tego czasu pochodzi zapewne również wewnętrzne ogrodzenie. Zewnętrzne swoją formą sugeruje wcześniejsze powstanie.

W 1988 r., w trakcie akcji „Ratujmy pomniki”, Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowlane i Lubelski Oddział Pracowni Konserwacji Zabytków przeprowadziły społecznie remont pomnika. Przemurowano uszkodzone słupki, odtworzono jeden wazon, pomnik oczyszczono i zakonserwowano.

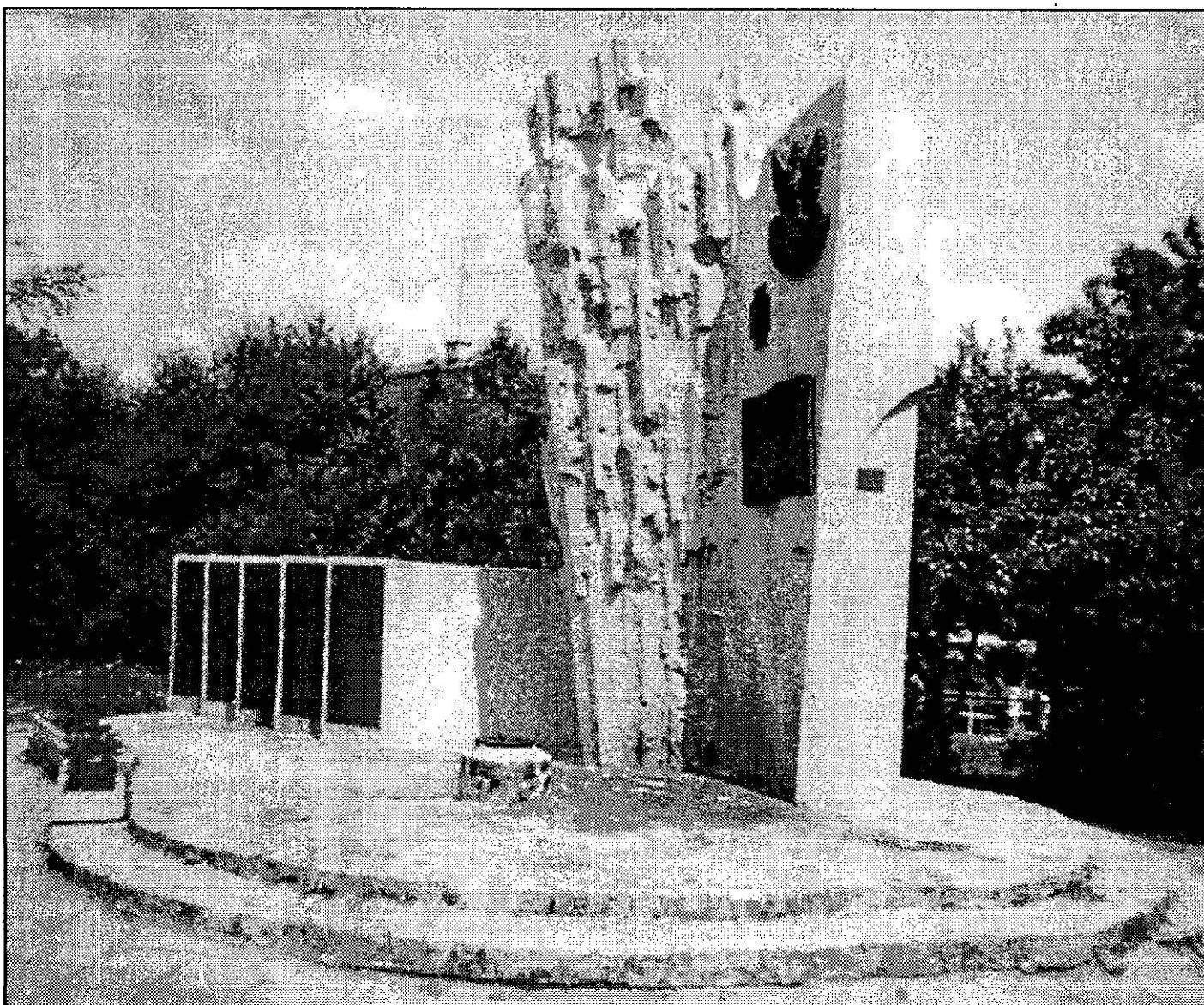
Pomnik Obrońców Lublina z 1939 r.

Pomnik znajduje się w zachodniej części Lublina, na terenie dzielnicy LSM. Usytuowany jest w pobliżu skrzyżowania Alei Kraśnickiej z ul. Zana, w miejscu dawnego cmentarza wojennego. Pomnik otoczony jest zielenią.

Pomnik powstał 21.09.1987 roku. Autorem pomnika jest artysta-plastyk Jerzy Kierski, natomiast jego fundatorami – władze miasta. Wykonany jest z betonu, pomalowany farbą olejną na szary kolor. Kostka znajdująca się przed pomnikiem wykonana jest z granitu. Tablice, na których widnieją nazwiska pomordowanych, wykonane są z mosiądzu.

Pomnik składa się z dwóch części. Pierwszym z nich jest betonowy odlew symbolizujący wybuchającą bombę. Drugi składa się z pięciu tablic, na których uwiecznione są nazwiska osób pomordowanych we wrześniu. Oba elementy połączone są nieregularną w rzucie podstawą, do której od strony tylnej prowadzą schody.

Przed pomnikiem znajduje się okrągły, murowany słupek na znicze. Jego część przednia, o nieregularnym kształcie i chropowatej powierzchni, przedstawia strumień ziemi rozpryskującej się po wybuchu. Z przodu, w lewym górnym rogu tej części pomnika znajduje się orzeł żołnierski, a poniżej krzyż harcerski. Na samym dole umieszczona jest tablica, na której widnieje następujący napis: „Obrońcom Lublina we wrześniu 1939 roku”. Na bocznej ścianie pomnika znajduje się mała, prostokątna tabliczka z napisem: „Z inicjatywy Władysława Rokickiego i pomocy Kombatantów Koła nr 19, wzniesiono ten pomnik w 1987 roku, proj. art. Jerzy Kierski”. Druga część pomnika składa się z pięciu tablic wmontowanych w murek o chropowatej powierzchni, pomalowanej na biało. Tablice mają formę dwóch płyt, z półokrągłymi ćwiekami. Na tablicy pierwszej wyryto napis: „Na miejscu gdzie był cmentarz wojenny wznieśliśmy pomnik w hołdzie tym, którzy zginęli na skutek niemieckich nalotów bombowych i walk obronnych we wrześniu 1939 roku. Śmierć poniosło wówczas ponad 600 osób – żołnierzy,



Pomnik Obrońców Lublina 1939 r. przy ul. Zana

oficerów, ochotników, młodzieży z Przysposobienia Wojskowego, harcerzy, ludności cywilnej, dzieci. W obronie miasta padali bezpośrednio dowódcy walczących oddziałów Armii Lublin i jednostek ochotniczych. Lublin wrzesień 1987 roku”. Następnie w dwóch rzędach wyrytych jest 40 nazwisk. Na pozostałych czterech tablicach znajdują się nazwiska 556 ofiar i liczba 76 żołnierzy NN.

Pomnik upamiętniający powstanie z 1863 r.

Pomnik znajduje się w zachodniej części Lublina, na terenie miasteczka uniwersyteckiego. Usytuowany jest przy ul. Langiewicza, przed Domem Asystenta. Pomnik składa się z trzech elementów: murku z kamienia wapiennego, w który wmontowana jest dwuczęściowa tablica z nazwiskami powstańców, cokołu, ustawionego przed nim na wybetonowanej prostokątnej płycie, na którym położony jest prostopadłościenny blok granitu z napisem, oraz drewnianego krzyża, stojącego po prawej stronie pomnika. Mur tworzący ścianę pomnika opada uskokowo, stanowiąc w dalszym odcinku część schodów wiodących z Domu Asystenta na ulicę.

Powstanie styczniowe rozpoczęte 22 stycznia 1863 r. proklamowaniem manifestu Rządu Narodowego trwało 14 miesięcy. Lublin był jednym z pierwszych, gdzie przepro-

wadzano egzekucje powstańców. Wykonywano je za koszarami świętokrzyskimi (obecnie KUL), na terenie przeznaczonym do ćwiczeń wojskowych. 3 lutego 1863 r. stracono uczestników bitwy w Lubartowie: J. Barszczewskiego, J. Meskułę, J. Kochańskiego, T. Błońskiego, 6 marca 1863 r. K. Bogdanowicza naczelnika pow. chełmskiego, 16 VI Leona Frankowskiego, komisarza na województwo lubelskie. Jak świadczą dokumenty rozstrzelani tu również zostali za udział w powstaniu żołnierze armii rosyjskiej. Przypadkowo odkryte w czasie I-ej wojny światowej szczątki powstańców wskazały na miejsce egzekucji. Większość straconych pozostała bezimienna. H. Wiercieński stwierdza przeniesienie na cmentarz na Lipową w 1916 r. kości 30 osób. Szczątki powstańców wydobywano jeszcze w czasie budowy pobliskiego Domu Asystenta w 1968 r. Przeniesiono wówczas na cmentarz przy ul. Unickiej dwie trumny kości. Obecny pomnik jest trzecią formą upamiętnienia miejsca straceń. Początkowo stał tu krzyż drewniany. W 1916 r. szczątki powstańców uroczyście przeniesiono do wspólnego grobowca na cmentarz rzymsko-katolicki przy ul. Lipowej. W miejscu straceń, obok krzyża, umieszczono tablicę z piaskowca z napisem: „Na tym miejscu w roku 1863 stracono powstańców” i otoczono mogiłę sztachetami. 23.10.1964 r., w 20. rocznicę utworzenia UMCS, staraniem i z funduszy społeczności akademickiej postawiono pomnik. Miał on formę murku kamiennego, przed którym znajdowała się płyta. Na murze umieszczono okolicznościową tablicę, na płycie zaś tablicę z nazwiskami pochowanych powstańców.

Obecny pomnik jest odsłonięty został w 130 rocznicę wybuchu powstania, którą uczczono sesją naukową. Na drewnianym krzyżu umieszczone są daty: 1863 – 1993.

Na płycie pomnika wyryty jest napis: „Miejsce straceń powstańców 1863”.



Fragment pomnika

Pomnik Żołnierzy Polskich Poległych w Wojnie ze Szwedami w 1656 r.

Pomnik usytuowany jest w północnej części Lublina, w dawnej dzielnicy Lemszczyzna, przy ulicy Jaczewskiego. Pomnik ma formę nietypową – trójbocznego ogzymsowanego cokołu, powyżej którego znajduje się trójścienna piramida zwieńczona krzyżem. Tworzy kompozycję złożoną z centralnie usytuowanego pomnika otoczonego murkiem otwartym i połączonym schodami z ulicą. Od frontu widnieje w cokole, w płytkiej wnęce, tablica z inskrypcją.

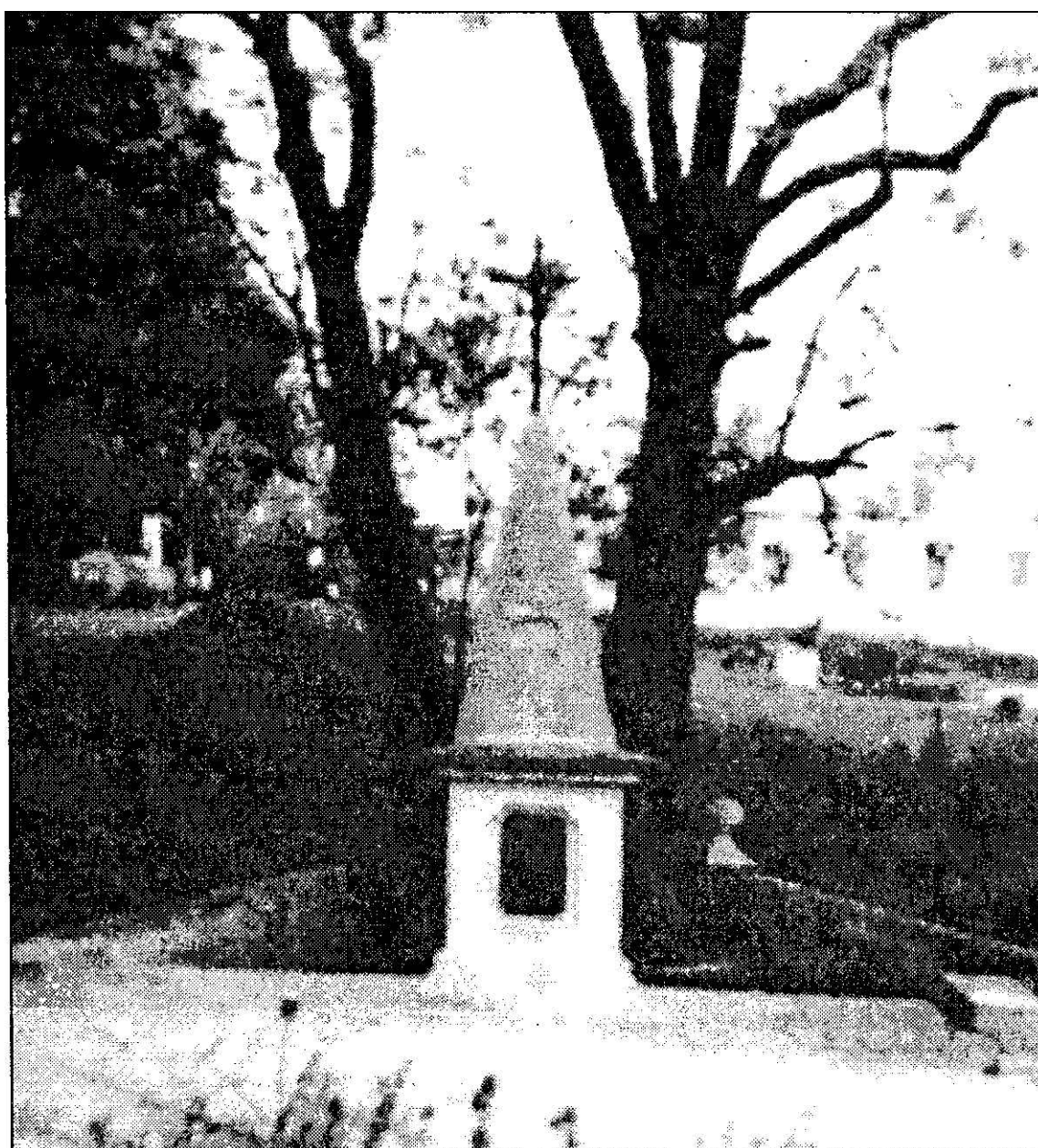
Poniżej napisu na tablicy umieszczona jest szabla i szpada, a w czterech rogach dekoracyjne ćwieki.

W roku 1988 wykonano schody, położono kostkę granitową, podwyższono murki, zakonserwowano elementy żeliwne i pomalowano pomnik na biało. Remont wykonało PP PKZ O/Lublin, według projektu Edwarda Kotyło.

Wśród historyków zajmujących się dawniej przeszłością naszego miasta istniały różnice zdań, co do okoliczności, w których pomnik ten został wystawiony. W dotychczasowej literaturze pomnik wiązano z pochówkiem z 1656 r. pułkownika dragonii szwedzkiej, który miał polec w walce z wojskami polskimi hetmana Pawła Sapiehy. Przeczyła temu treść napisu na tablicy pomnika, głosząca, że wystawiono go żołnierzom polskim poległym w walce ze Szwedami. Ze szczegółowych badań pomnika przeprowadzonych w 1974 r. wynika, że nie jest on ową oryginalną budowlą, a jedynie makietą pomnika, wystawioną na nowo, od fundamentów, około 1910 r. Lokalizacja pierwotnego pomnika nie została dokładnie określona, przypuszcza się jedynie, że znajdował się w sąsiedztwie istniejącego. By wyjaśnić wątpliwości dotyczące przeznaczenia pomnika, należało sięgnąć do historii działań polsko-szwedzkich w 1656 roku na terenie Lublina. Współczesny tym wydarzeniom Wawrzyniec Rudawski stwierdza, iż gdy wojska litewskie pod wodzą Pawła Sapiehy zbliżały się do Lublina, broniąca go załoga szwedzka składała się z 600 Lapończyków pod wodzą Polaka Suchodolskiego. Zastąpił on zmarłego w tym czasie z ran Szweda, hrabiego Wolmara. Suchodolski, widząc przewagę wojsk litewskich poddał się, załoga złożona z Lapończyków wycięta została w pień. Natomiast ciało zmarłego dowódcy wydano Szwedom za okupem.

Odpadałaby wersja, że pomnik wystawiono na grobie pułkownika szwedzkiego. Można by zatem przyjąć drugą wersję, iż pod pomnikiem pogrzebano poległych w walce ze Szwedami żołnierzy polskich. I tu jednak budzą się wątpliwości, gdyż ciała zmarłych zostałyby zapewne zabrane do miasta celem pochowania na jednym z przykościelnych cmentarzy. Brak również potwierdzenia tekstu zamieszczonego na tablicy, który brzmi: „Poległym żołnierzom polskim w bitwie ze Szwedami pod dowództwem P. Sapiehy wojewody wileńskiego w r. 1656. Odnowiony w r. 1910 r. 1988”.

Władysław Kornel Zieliński, autor „Monografii Lublina”, pisał: „...Pamiątkowy ten pomnik datujący się od 200 lat przeszło, dziś opuszczony, obdrapany i poczynający się rozsypywać, stanowi jedną z pamiątek Lublina, dlatego też należałoby uchronić go od zupełnej zagłady. Odnowienie pomnika tego i otoczenie go chociażby tylko barierką z żerdzi – wielkich kosztów za sobą pociągnąć nie może, a da świadectwo mieszkańcom grodu naszego, iż pamiątki szanować umieją”.



Pomnik Żołnierzy Polskich Poległych w Walce ze Szwedami – widok obecny

W *Encyklopedii Staropolskiej* Zygmunta Glogera, Hieronim Łopaciński był autorem hasła „*Pomniki polskie*”. Znalazł się w nim passus o pomniku na Lemszczyźnie: „Podobno pomnik ten wzniesiony został przez Szwedów na uczczenie pamięci ich pułkownika, który tu w 1656 r. zginął w bitwie z Pawłem Sapiehą. Czy raczej nie na pamiątkę klęski zadanej tu Szwedom pomnik ten wzniesiono?...”

Podane tu wiadomości historyczne o pomniku należałoby jeszcze uzupełnić stwierdzeniem, iż w *Przewodniku po Lublinie* M. A. Ronikierowej wydany w 1901 r., przy opisie pomnika umieszczona jest jego fotografia – widzimy na niej pomnik w nie najlepszym stanie: ze ścian odpadają tynki, cegły gzymsów są poszczerbione, na ścianie frontowej nie widać tablicy bądź napisu.

Pomnik upamiętniający 500. rocznicę bitwy pod Grunwaldem

U schyłku XIV wieku Polska i Litwa, zagrożone przez Zakon Krzyżacki, postanowiły zjednoczyć swe siły. W 1385 roku zawarto unię w Krewie. Na mocy tej umowy

książę litewski, Jagiełło, przyjął chrzest, pojął za żonę królową Jadwigę i został koronowany na króla polskiego. W ten sposób doszło do połączenia pod jego władzą obu państw. Odtąd miały one wspólnie bronić swych granic przed wrogami. Już w 1409 roku wybuchła wielka wojna z Zakonem Krzyżackim. W bitwie pod Grunwaldem armia polsko-litewska rozgromiła siły Zakonu. Po bitwie zwycięskie wojska pociągnęły pod Malbork – stolicę państwa krzyżackiego. Nie zdołały jednak zdobyć tej potężnie umocnionej twierdzy. Mimo to Krzyżacy nigdy już nie odzyskali swej dawnej potęgi, a ścisły związek między Polską i Litwą przetrwał przez wiele stuleci.

Pomnik usytuowany jest w centrum Lublina. Znajduje się przed dawnym klasztorem pobrygidowskim, przy południowej elewacji kościoła, w pobliżu jego bocznego wejścia. Pomnik wykonany z piaskowca, posiada formę niedużego posterunku-cokołu. Część dolna pomnika zawilgocona w podstawie, od strony kościoła ma niewielkie ubytki. Narożny słupek ogrodzenia grozi przewróceniem. Drzewa w miarę wzrostu mogą grozić pomnikowi.

Pomnik został postawiony w 1910 roku dla uczczenia 500. rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem. Inicjatorem jego wystawienia był ks. Jan Władziński, rektor kościoła pobrygidowskiego NMP Zwycięskiej. Wzniesiono go w latach 1412-1426 dla upamiętnienia zwycięstwa króla Władysława Jagiełły nad Krzyżakami.

Napis wyryty na frontowej ścianie pomnika brzmi: „500 lat istnienia kościoła Panny Marii w Lublinie 1410-1910”.

Obelisk w kształcie kolumny tokańskiej w Fajslawicach

Przy szosie Lublin – Zamość, około 300 metrów przed pierwszym mostem w Fajslawicach, stoi na polu przydrożna figura. Prawdopodobnie pochodzi ona z 1721 lub 1731 roku. Większość źródeł podaje, iż jest to obelisk dla upamiętnienia zwycięstwa Leszka Czarnego nad Jaćwingami w 1281 roku.

W 1731 roku przypada właśnie okrągła 550. rocznica bitwy Leszka Czarnego z Jaćwingami. Możliwa jest interpretacja, że 550 lat po bitwie mieszkańcy Fajslawic postawili na jej pamiątkę obelisk.

Jaćwingowie byli jednym z plemion bałtyjskich, wymarłym ludem prusko-litewskim. Zamieszkiwali tereny obecnego Pojezierza Suwalskiego. Granice osadnictwa jećwieńskiego sięgały Niemna na wschodzie, Łęgi na zachodzie, Szeszupy na północy i Biebrzy na południu. W latach 1278 – 1283 najazdy Krzyżaków, Polaków i Rusi doprowadziły do podboju i wyniszczenia Jaćwingów, których resztki schroniły się na Litwie, Rusi i Mazowszu.

Leszek Czarny był synem Kazimierza I Kujawskiego. Żył w latach 1240 (lub 1243) – 1288. W 1260 roku został księciem łeczyckim i sieradzkim, a w 1279 roku również krakowskim i sandomierskim. Popierany przez mieszczaństwo i drobne rycerstwo stłumił bunt możnowładców małopolskich. Dążył także do wzmocnienia władzy książęcej. Podczas najazdu w 1287 roku książę zadał Tatarom klęskę w Górach Świętokrzyskich.

Obelisk przetrwał dwie bitwy, jakie miały miejsce pod Fajslawicami w okresie powstania styczniowego. Pierwsza z nich stoczona została na przełomie czerwca i lipca

1864 roku. Dowodził w niej Niedźwiedzki, którego oddział liczył 44 powstańców. Druga z bitew rozegrała się w dniach 21-23 sierpnia 1864 r.

Obelisk jest figurą barokową, murowaną z cegły, ze śladami tynku. Postawiony jest na nasypie z ziemi. Figura ta ma kształt zwężającej się ku górze kolumny tokańskiej. Stoi na wysokim czworobocznym cokole, jest zwieńczona żelaznym krzyżem.



Obecny wygląd obelisku w Fajstławicach

Magdalena Pokrzycka-Walczak

Po łaski do Widzącego **(Wycieczka edukacyjna)**

Cz. II

Pod koniec marca, w rocznicę śmierci rabina Elimelecha z Leżajska, do Lublina przybyła grupa kilkuset Żydów. Tradycyjnie już, jak co roku, w drodze do Leżajska na uroczystości rocznicowe, goście odwiedzają miejsca dla nich święte. I tak wczesnym rankiem kilkanaście autokarów przyjechało pod stary cmentarz żydowski przy ul. Kalinowszczyzna. Ubrani w czarne stroje, w kapeluszach i z charakterystycznymi pejsami, z modlitewnikami w rękach przechodzili przez ulicę, by znaleźć się przed bramą cmentarną. Tu wodą z plastikowych butelek polewali dłonie, by dokonać symbolicznego oczyszczenia. Przed wejściem na cmentarz czekała na nich pani Bibiana Honig, żona opiekuna nekropolii, pana Józefa, który z powodu choroby nie mógł powitać przybyłych. Powoli wchodzili na cmentarne wzgórze, gdzie ich oczom ukazywały się kolejno macewy talmudysty Jakowa Kopelmana, kantora Abrahama ben Uszaja, wreszcie Jakowa Icchaka Hurwica zwanego Widzącym z Lublina. Niewielka część pielgrzymów zatrzymywała się przy pierwszych dwóch grobach, pozostali zaś otaczali zakratowaną macewę Widzącego z Lublina. W gronie odwiedzających cmentarz znalazło się kilka kobiet, które zbite w małą grupkę trzymały się z dala od modlących. – Nie może pani przebywać na cmentarzu bez nakrycia głowy – zwrócił mi uwagę jeden z przyjezdnych. Szczęście, że miałam kurtkę z kapturem, a w ręce klucz do bramy nekropolii. Pan Honig w razie kłopotów prosił, bym przedstawiała się jako jego wnuczka. Ale nie było to konieczne. Wystarczył kaptur...

Przy trzech macewach rozpoczęły się śpiewy. Modlący rytmicznie poruszali się, odcytując teksty ze swych świętych książeczek. Mali, kilkuletni chłopcy przyglądali się starszym i próbowali ich naśladować. Z kolei kilkunastoletni młodzieńcy wraz ze swymi ojcami zagłębieni w modlitwie zapominali o otaczającym ich świecie.

Przy macewach Kopelmana i ben Uszaja modlący się zapalili świece i zostawili karteczki z napisanymi prośbami. Chwilę później zgromadzili się przy kracie okalającej grób Widzącego. Śpiewy i modlitwy trwały długo. Niektórzy mężczyźni dotykali kraty, inni pochylali się prawie do ziemi, bijąc modlitewne pokłony. Nie udało się nikomu jednak poczuć pod palcami chłodu macewy Widzącego. Krata skutecznie broniła dostępu. Zapalone świece i setki zapisanych białych kartek powtykano między otworami kraty.

Od miejsca spoczynku Widzącego pielgrzymka udała się ku macewie Szaloma Szachny. Po zakończonej modlitwie, zapaleniu świec i położeniu karteczek wielu stało

przy grobowym kamieniu niemal wspierając się na nim i zastygało w bezruchu na kilkanaście sekund.

Zapewne ciekawość kazała przejść kilkudziesięciu osobom na kolejne, wyższe wzgórze. Po pokonaniu kilkudziesięciu metrów zobaczyć mogli tylko powywracane, częściowo zdewastowane macewy.

Próby odczytania napisów zdały się na nic. Grupa zawróciła więc i ponownie zatrzymała się przy grobie Widzącego. Jeszcze krótkie modlitwy i powoli kilkusetosobowa grupa pielgrzymów udała się do wyjścia.

Po opuszczeniu cmentarza Żydzi przeszli do pobliskiego domostwa, gdzie poprosili o wodę. Gospodarz posesji udostępnił gościom „wodnego węża”. Napełnianie butelek po wodzie mineralnej trwało wiele minut.

W czasie ponad godzinnego postoju autokary praktycznie zablokowały ulicę Kalinowszczyzna. Trawniki zapełniły się odpadkami – puszkami, plastikowymi kubkami i butelkami. Pani Bibianna Honig знаła ten widok, więc nie była tym zdziwiona. – To zupełnie normalne. Jak zwykle będziemy musieli wynająć człowieka do sprzątania.

Roman Doktor
Piotr Gutowski
Daniel Próchniak
Jan Skarbek
Sławomir Jacek Żurek

Ateny

Edukacja filozoficzna

Po co filozofia w gimnazjum?

Piotr Gutowski: Wielu ludzi gotowych byłoby powtórzyć za Mickiewiczem: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”. Inni uznaliby jednak, że rozum i poznanie naszych pięciu zmysłów, czyli owe szkiełko i oko, bardziej ich przekonują niż wiara i czucie. Ta opozycja nie jest rozłączna: można bowiem przyjmować pewne przekonania zarówno w oparciu o wiarę, jak i w oparciu o rozum, ale nam posłuży ona dzisiaj do wyeksponowania różnicy między dwiema wielkimi dziedzinami kultury: religią z jednej strony, a filozofią i nauką – z drugiej.

„Czucie i wiara” są źródłem ogromnego dynamizmu. Gdy w coś mocno wierzymy, czegoś mocno pragniemy, jesteśmy zdolni do wielkich wyrzeczeń. Możemy zbudować potężne katedry, zorganizować niezwykle przedsięwzięcia, możemy nawet złożyć ofiarę z własnego życia. Znamy ludzi, którzy kierują się wyłącznie czuciem i wiarą. Są energiczni, zdecydowani, nie mają wątpliwości, niekiedy bywają fanatyczni. Z drugiej strony mamy rozum, który jest źródłem jasności, porządku, ale też ostrożności i wątpliwości. Rozum stara się znaleźć uzasadnienia naturalne, nie odwołujące się do religii czy odczuć, nie daje się łatwo wyprowadzić w pole, nie podporządkowuje się biernie ideologowi, czy przywódcy religijnemu. Można powiedzieć, że sercem, tzn. wiarą i czuciem naszej cywilizacji jest religia, a symbolem tego serca uczyniliśmy Jerozolimę, o której mówiliśmy na poprzednich zajęciach. Rozumem naszej cywilizacji jest bez wątpienia filozofia i nauka, która wyłoniła się z filozofii. A jej geograficznym symbolem nie może być nic innego jak starożytna Grecja, a zwłaszcza Ateny.

Co to jest filozofia i gdzie są jej początki? Otóż narodziła się ona w starożytnej Grecji, w atmosferze poznawczego optymizmu, zgodnie z którym możemy naturalnymi władzami poznawczymi (rozumem i zmysłami) poznać rzeczywistość. Możemy więc odpowiedzieć na najważniejsze dla nas pytania, nie odwołując się do autorytetu religii, nie wyjaśniając zjawisk poprzez bóstwa i ich działania, lecz przez rozum i doświadcze-

nie. Filozofia wyemancypowała się więc z religii. A z filozofii powstały i do dziś powstają różne nauki. Jeszcze Isaac Newton swoją teorię, którą dzisiaj powszechnie uznajemy za fizykalną, uważał za część filozofii, a dokładniej filozofii przyrody. W XIX wieku z filozofii wyłoniła się socjologia i psychologia, a w wieku XX szereg nauk o języku. Nie oznacza to, że z biegiem czasu filozofia zostanie całkowicie rozparcelowana, a jedynie, że coraz wyraźniej ujawnia się jej natura w odróżnieniu od religii i od nauk szczegółowych.

Czym jest więc filozofia? Różnie na to pytanie się odpowiada, zależnie od tego na jakim aspekcie tej dyscypliny się skoncentrujemy. Mnie się wydaje, że najuczciwiej jest powiedzieć, że **filozofia jest w pierwszym rzędzie zbiorem szczególnego rodzaju pytań**. Nie wszelkich pytań, ale właśnie pytań szczególnego rodzaju, takich, których na co dzień nie zadajemy. Pytań o to, jaki jest cel życia ludzkiego. Czy w człowieku jest coś więcej niż ciało? Jak powinniśmy postępować? Kiedy dane przekonanie jest uzasadnione i prawdziwe? Co to jest prawda? Dlaczego istnieje raczej coś niż nic? Czy istnieje Bóg, a jeżeli tak, to jaką posiada naturę? Czy religia, w której zostaliśmy wychowani jest w jakimś sensie wyższa niż inne religie i ideologie? Czym jest państwo? Czy i jakie powinności mam wobec zwierząt? Czy można dokonać aborcji i eutanazji? Nie musimy zadawać tych pytań, żeby żyć. Nie zadając ich jesteśmy nawet, w pewnym sensie, szczęśliwsi, bo pytania te irytują nas, wytrącają z równowagi. Filozofia jest dyscypliną, która zadaje tego rodzaju pytania i nie zawsze udziela na nie jasnych, jednoznacznych odpowiedzi.

Ale filozofia to nie tylko zbiór pewnego rodzaju problemów. Filozofia dostarcza również narzędzi do roztrząsania nie tylko pytań, które przykładowo wymieniłem, lecz także wszelkich pytań. Częścią filozofii jest bowiem **logika, czyli nauka o poprawnych formach ludzkiego myślenia**. Obejmuje ona wiele ważnych działów, ale ja chciałbym dzisiaj zwrócić uwagę tylko na jeden wymóg poprawnego myślenia, na to mianowicie, aby używać słów w tym samym znaczeniu i to nie tylko we wszelkiego rodzaju dyskusjach, rozmowach, ale też wówczas, gdy sami rozmyślamy o różnych rzeczach. Mniej jest to ważne w poezji, gdzie niekiedy chodzi właśnie o podsuniecie odbiorcy zaskakujących, niecodziennych skojarzeń, lecz w wielu życiowych sytuacjach operowanie nieokreślonymi, niezdefiniowanymi, czy niepoprawnie zdefiniowanymi wyrażeniami prowadzi do nieporozumień. Aby nie być gołosłownym, posłużę się fragmentem dialogu między Królem i Gońcem z *Po drugiej stronie Lustra* Lewisa Carolla:

„Kogo minąłeś po drodze?” – zapytał Król, wyciągając do Gońca rękę po jeszcze trochę siana. „Nikogo”, odpowiedział Goniec.

„Bardzo słusznie – powiedział Król – ona też to widziała. Wobec tego Nikt cię nie przegonił”.

„Staram się jak mogę – odrzekł posepnie Goniec. – Na pewno nikt nie jest ode mnie szybszy”. „Oczywiście – powiedział król – w przeciwnym razie byłby tu przed tobą”¹.

Na czym polega nieporozumienie? Król i goniec używają pewnego terminu, kluczowego dla tego dialogu – NIKT – w zupełnie różnych znaczeniach. Nieporozumienie zniknęłoby, gdyby zgodzili się na jeden sens tego słowa. Co to znaczy ustalić sens pew-

¹ L. Carroll, *Alicja w Krainie Czarów i Po drugiej stronie Lustra*, przeł. R. Stiller, Warszawa 1986, s. 182.

nego terminu? To znaczy „usztynić” jego znaczenie, zdefiniować. **Słowa definiować i definicja pochodzą od łacińskiego *definio* oznaczającego określanie, oddzielanie, ustalanie granic, wyodrębnianie od innych pojęć.** Po tym, co powiedziałem, jasne staną się słowa Arystotelesa, jednego z najwybitniejszych filozofów starożytnych:

„Ci zatem, którzy chcą podjąć z kimś dyskusję, muszą się w pewnej mierze rozumieć. Bo jeżeli się nie uwzględni tego warunku, to jak można podjąć z kimś dyskusję? Dlatego też każde słowo musi być zrozumiałe i odnosić się do czegoś; nie do wielu rzeczy, lecz tylko do jednej; a jeżeli oznacza więcej niż jedną rzecz, należy wyjaśnić, do której z nich się odnosi”².

Czy istnieje jeden sposób poprawnego budowania definicji? Oczywiście – nie, bo słowa odnoszą się do rzeczy bardzo różnej natury. Inaczej trzeba będzie definiować pojęcie czerwieni niż pojęcie człowieka, inaczej pojęcie nieskończoności niż pojęcie szczęścia. Częścią szeroko pojętej logiki jest teoria definicji, która m.in. klasyfikuje różne sposoby definiowania pojęć i określa warunki ich poprawności. Wspomniany Arystoteles sformułował w starożytności koncepcję definiowania pojęć, którą nazywa się dzisiaj klasyczną. Zgodnie z tą koncepcją określić jakieś pojęcie, **zdefiniować je, to podać jego „rodzaj najbliższy i różnicę gatunkową”**. Arystoteles uważał, że świat w sposób naturalny dzieli się na rodzaje. A więc np. jednym rodzajem są rośliny, innym zwierzęta, jeszcze innym ludzie. Określając np. pojęcie człowieka musimy zacząć od podania rodzaju mu najbliższego. W tym wypadku jest to zwierzę. Rodzaj „zwierzęta” jest bowiem bliższy rodzajowi „człowiek” niż rodzaj „rośliny”. Następnie podajemy czym różni się rodzaj „człowiek” od rodzaju „zwierzę”. Arystoteles uznał, że jest to *rozumność*. Uzyskana według tego przepisu definicja brzmi: *człowiek jest zwierzęciem rozumnym*.

Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że definicje zamykają dyskusję i umożliwiają uzyskanie jednoznacznych odpowiedzi na wszystkie pytania. Jeśli zastanowimy się choćby nad definicją człowieka zaproponowaną przez Arystotelesa, to natychmiast budzą się wątpliwości. Czymże jest bowiem *rozumność*? Czy ludzie nie potrafiący myśleć, rozumować, np. wskutek uszkodzeń mózgu są ludźmi? Albo czy gdy śpimy i nie myślimy, nasze człowieczeństwo wyparowuje, by dołączyć się do naszego ciała zaraz po obudzeniu? Te pytania zmuszają do dookreślenia pojęcia rozumności. Arystoteles chciał zapewne powiedzieć, że rozumny jest nie ten kto aktualnie myśli, ale ten kto jest do tego zdolny. Ktoś śpiący pozostawałby więc ciągle rozumnym dlatego, że *potencjalnie* myśli, czyli, że jest zdolny do myślenia. Ale takie dookreślenie budzi następne problemy. Cóż bowiem oznacza potencjalność? Czy kogoś z dziurami mózgu określimy jako *potencjalnie* myślącego dlatego, że mógłby myśleć, gdyby nie miał uszkodzonego mózgu, czy też raczej cecha potencjalnego myślenia mu nie przysługuje, bo nie ma żadnych możliwości, aby w jego życiu została kiedykolwiek zaktualizowana. Odpowiedź na to pytanie będzie już brzemienią w konsekwencje praktyczne. Jeżeli bowiem uznamy, że cecha potencjalnego myślenia komuś takiemu nie przysługuje, to wyłączamy go z grona ludzi, bo być człowiekiem, to być przynajmniej *potencjalnie zwierzęciem rozumnym*. Jeżeli natomiast zbyt „rozciągniemy” pojęcie potencjalności, to nawet małpa spełnia defi-

² Arystoteles, *Metafizyka*, Księga XI 1062 a, przeł. K. Leśniak, Warszawa 1983, s. 277.

nicję człowieczeństwa, zwłaszcza w kontekście teorii, iż ewolucyjnie od niej się wywodzimy.

Im dłużej i rzetelniej zastanawiamy się nad sensem pewnych terminów, tym bardziej one nam się „rozpakowują”. Proces definiowania jest w pewnym sensie procesem „rozpakowywania” sensu tych terminów, które odbywa się także w pojęciach. Nie zawsze uzyskujemy tutaj idealny porządek, ale ważne abyśmy mieli świadomość natury całego tego procesu.

Powiedziałem, że filozofia jest w pierwszym rzędzie zbiorem szczególnego rodzaju pytań, pytań niecodziennych. I powiedziałem też, że filozofia dostarcza narzędzi służących do ich roztrząsania. Takim podstawowym narzędziem jest logika, z której wyeksponowałem, dla potrzeb dzisiejszych zajęć, zagadnienie definicji. Dla pełniejszego obrazu tej dyscypliny muszę dodać jeszcze trzeci element. Otóż **filozofia jest też zbiorem wielu odpowiedzi na te pytania**. Studiowanie filozofii rozpoczyna się zwykle od zaznajomienia się z dziejami filozofii, a zwłaszcza z myślą najwybitniejszych starożytnych myślicieli Greckich: Sokratesa, Platona i Arystotelesa. Wydaje mi się jednak, że z zwłaszcza z dydaktycznego punktu widzenia winniśmy akcentować problemowy charakter tej dyscypliny. Nikt nie zrozumie koncepcji wspomnianych filozofów, jeżeli nie uchwyci sensu pytań, na które one odpowiadały.

Na koniec powiem tak: jeśli uważacie, że jako ludzie bylibyście bardziej szczęśliwi nie pytając o to, jaki jest cel życia ludzkiego, jeśli uważacie, że jako obywatele bylibyście bardziej szczęśliwi, nie pytając, czym jest państwo i czym jest prawo oraz jaka jest podstawa jego obowiązywalności, jeżeli uważacie, że jako ludzie religijni bylibyście bardziej szczęśliwi nie pytając o to, czy istnieją jakieś racje rozumowe za istnieniem Boga, albo czy i w jakim sensie wasza religia jest wyższa niż inne religie, jeżeli uważacie, że nie zadając tych pytań bylibyście szczęśliwi – to zapomnijcie o filozofii. Zapomnijcie o filozofii i nie wspominajcie o niej swoim uczniom. Filozofia jest tylko dla tych, którzy mają odwagę myślenia. Nie ludźcie się: **filozofia budzi niepokój**. Filozofia nie jest zestawem gotowych i jednoznacznych odpowiedzi. Ona jest przede wszystkim zbiorem pytań. Jeżeli natomiast podzielacie zdanie tych, którzy uważali, że lepiej jest być nieszczęśliwym Sokratesem, nieszczęśliwym mędrcom, niż szczęśliwą świnia, to filozofia jest czymś dla was.

Dyskusja wielokrotna z elementami dramy (metoda)

Sławomir J. Żurek: Spośród wielu metod dramowych, wykorzystywanych w nowej szkole podczas zajęć zintegrowanych, godną dostrzeżenia jest scenka improwizowana. Budując prezentowane zajęcia również zastosujemy dramę. Będziemy tworzyć sytuację dramową (scenkę improwizowaną): oto agora (na środku sali stoi stolik, a dookoła niego krzesła), a oto czterej mężowie (ubrani w tuniki), reprezentujący cztery dyscypliny, które ukształtowały się już w okresie starożytnym: filozofię, poetykę, estetykę oraz historię. Mam nadzieję, że to, co będziemy tutaj robić zainteresuje i zaangażuje wszystkich. Drama bowiem ze swej natury przecież jest nastawiona na działanie – angażuje uczniów i nauczycieli bardziej niż inne metody. Poprzez „wchodzenie w rolę” dzieci włączają się w tok zajęć egzystencjalnie, a wiedzę zaczynają zdobywać „przy oka-

zji”, jednocześnie utożsamiając się ze zdobytymi w ten sposób informacjami. Akcent w tak realizowanym procesie położony jest na kształtowanie umiejętności. Dyskutować będziemy zarówno w pierwszej, jak i w drugiej części zajęć (warsztaty z nauczycielami) w małych grupach. Za każdym razem przedmiot dyskusji będzie się zmieniał. Łączyć nas będzie jednak wspólna przestrzeń agory oraz realizowana ścieżka filozoficzna. Nie istnieje tu żaden scenariusz, w dyskusji wielokrotnej nie zakładamy żadnej odpowiedzi ani ucznia, ani nauczyciela, nie zakładamy z góry żadnych reakcji.

W przygotowanych symulacjach zależy nam najbardziej na tym, by uruchomić mechanizm naturalnego zadawania pytań. To znaczy, by odwrócić sytuację i by to nas – nauczycieli, podczas naszych lekcji pytały dzieci, a nie odwrotnie.

Nasze zajęcia są konstruowane tak, by zaangażowani w nie byli nauczyciele różnych dyscyplin. Moduł międzyprzedmiotowy (ścieżka edukacyjna) niekoniecznie musi być realizowany tylko przez jednego pedagoga. Lekcja interdyscyplinarna może być budowana przez kilku nauczycieli: religii, języka polskiego, historii, sztuki, etc. Oczywiście powinna być ona wcześniej dobrze zaplanowana, tak by stała się efektem całego procesu dydaktycznego, realizowanego w ramach programu zajęć zintegrowanych. Moduły zintegrowane powinny być tak pomyślane, aby rozwijały u ucznia świadomość siebie samego oraz otaczającego go świata. W ten sposób kształtować możemy najskuteczniej umiejętność komunikowania się i różne kompetencje społeczne: kierowanie i aktywizowanie grupy etc.

W gimnazjum dziecko musi nauczyć się definiować, ponieważ w liceum, gdy uczeń przechodzi na czwarty etap edukacyjny, porusza się tylko w obszarze pojęć abstrakcyjnych, które domagają się definicji i uściśleń. Dlatego też edukacja filozoficzna staje się dziedziną niezwykle pomocną w przygotowaniu ucznia do pracy w liceum profilowanym.

Cztery dyskusje wielokrotne o państwie, życiu ludzkim, sztuce i literaturze

*Będziemy teraz wywoływać z mroku wieków pięciu mędrców, którzy za chwilą tu przybędą w oryginalnych strojach (tunikach), a imiona swe mają wypisane na piersiach: nauczyciel – **Paideion** (Sławomir J. Żurek), filozof – **Filonous** (Piotr Gutowski), znawca sztuki – **Harmonios** (Daniel Próchniak), historyk – **Politeion** (Jan Skarbek) i literat – **Poetikos** (Roman Doktor). Znajdujemy się na agorze, w miejscu wymiany nie tylko towarów, ale i myśli. Stawiamy pierwsze zagadnienie:*

Czemu służy państwo?

Politeion (J.S.): Państwo służy obywatelom. Można powiedzieć, że państwo jest wspólnotą obywateli. Mówiąc o państwie musimy mieć na uwadze fakt, że Grecy nie wytworzyli takiego państwa, z jakim mamy dziś do czynienia. W Grecji mamy miasta-państwa. Już samo to rzutowało na niewielkie rozmiary państw greckich i liczbę ludności, od kilku do kilkunastu tysięcy mieszkańców. Nielicznymi wyjątkami pod tym względem były duże miasta, jak na przykład Ateny. Każde miasto i najbliższa okolica

to były państwa zorganizowane, w których skupione były różne grupy ludności, z zapleczem rolniczym. Z czasem miasta te zaczęły odgrywać rolę polityczną.

Miasta te przez pewien okres nie wytworzyły tego, co nazwalismy dziś „strukturą urzędniczą”. Urzędy pojawiły się znacznie później. Dlatego, że państwo to wspólnota obywateli, która decyduje o swoich losach. Obywatele, ludzie wolni, brali udział w rządach bezpośrednio, a nie, podkreślmy to mocno, przez wybranych delegatów. Umożliwiały to warunki, o których była mowa wcześniej: niewielkie terytorium państwa i stosunkowo mała liczba mieszkańców.

Ludzie wolni, Grecy, nie znali też instytucji stałego wojska. Możemy mówić natomiast o wojsku obywatelskim. Gdy zaistniało zagrożenie z zewnątrz, bądź też konieczność prowadzenia wojny z innym miastem-państwem, wolni ludzie stawali pod broń. Służbę wojskową pełnili czasowo, oderwani wówczas od swoich codziennych zajęć i obowiązków. Musieli znosić uciążliwości i trudy kampanii wojennych, nie zawsze dobrze wyszkoleni pod względem wojskowym. Na skutek tego od IV w. p.n.e. zanika wojsko obywatelskie w Grecji na rzecz żołnierza najemnego, dobrze wyszkolonego i zaprawionego w walce, opłacanego przez miasta-państwa.

Filonous (P.G.): Drogi Politeionie, powiedziałeś, że państwo służy obywatelom. Ale co dla Greków znaczyło słowo „obywatel”?

Politeion (J.S.): Oczywiście, że nie wszyscy byli obywatelami miast-państw. Obywatelami byli Grecy – mieszkańcy Hellady. I tylko wolni mieszkańcy. Natomiast inni, spoza tego kręgu, barbarzyńcy, ludzie napływowi oraz niewolnicy – nie wchodzili w skład tej wspólnoty. Z drugiej strony trzeba uświadomić sobie też, że nie wszyscy, mimo że byli obywatelami, posiadali prawa polityczne i tym samym nie mieli udziału w zgromadzeniach. Dotyczyło to na przykład kobiet, które nie brały udziału w rządach.

Na zgromadzeniu ludzie wolni – Grecy – zbierali się i decydowali kogo wybiorą do władz. Dzięki temu w rządach mogła uczestniczyć duża ilość obywateli. Zazwyczaj wybierano do władz na określony okres czasu. Przeważnie na jeden rok. Po roku trzeba było opuścić stanowisko, żeby „nie przyłgnęło” ono do osoby. Przez długi czas funkcjonowała w miastach-państwach zasada bezpłatności sprawowania urzędu. Funkcje państwowe pełniło się honorowo (istnieje tu pewna analogia z okresem I Rzeczypospolitej). Dopiero z czasem wprowadzono wynagrodzenie za pełnienie funkcji państwowych, np. w Atenach w V w p.n.e. w okresie rządów Peryklesa. Stanowiło to stabilny fundament demokracji.

Filonous (P.G.): Czyli obywatele w tym sensie, to ludzie wolni, a nie niewolnicy, mężczyźni, a nie kobiety, i mieszkańcy Hellady, a nie barbarzyńcy. I oni jedynie mieli – mówiąc dzisiejszym językiem – prawa wyborcze. Powiedz nam, drogi Politeionie, w jaki sposób ci obywatele ustalali, kto jaką funkcję w państwie-mieście ma pełnić?

Politeion (J.S.): Funkcje były losowane na określony czas, po to, żeby nie można było zostać dłużej na stanowisku.

Poetikos (R.D.): Bardzo to idealistyczne. Przecież w człowieku może uruchomić się taki mechanizm – ponieważ mam jak w banku, że na stanowisku będę tylko rok, to muszę nakraść jak najwięcej. Jestem podatny na korupcję.

Politeion (J.S.): Zajmowane stanowiska, urząd, na którym się było, niewątpliwie rodził u wielu chęć przygarnięcia dla siebie czegoś, chęć szybkiego wzbogacenia się, ale

powodował też w takich wypadkach określone konsekwencje. W przyszłości wolni obywatele, mając w pamięci taką czy inną postawę urzędnika, mogli nie wybrać tej osoby, gdy ubiegała się o urząd.

Poetikos (R.D.): Ale można było na drugą kadencję jeszcze raz być wybranym?

Politeion (J.S.): W niektórych sytuacjach można było być wybranym. Oczywiście, gdy spełniło się określone warunki, jeśli np. było się znakomitym mówcą, porywającym za sobą ludzi, dobrze wywiązywało się z powierzonych funkcji, sprawując określony urząd. Generalnie trzeba się było zasłużyć, a nie wywoływać niesmaku u współziomków, którzy będą o tym pamiętali: „Wybraliśmy go w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, a on nas oszukał, zawiódł! Już go nie wybierzemy, bo może w przyszłości okazać się tyranem. Jeżeli tak, to możemy go pozbawić władzy, wyrzucić z kraju, możemy zastosować ostracyzm.

Poetikos (R.D.): Czym był ostracyzm?

Politeion (J.S.): Ostracyzm był rodzajem sądu. Odbывał się corocznie (w V wieku w Atenach). Przebiegał w ten sposób, że każdy z członków zgromadzenia wypisywał nazwisko obywatela, którego działalność uznał za groźną i niebezpieczną dla równości demokratycznej. Ktoś na kogo wskazało sześć tysięcy głosów musiał opuścić Ateny. Banicja trwała dziesięć lat. Ale, co niezwykle istotne – osoba taka nie tylko nie traciła swojego majątku, ale zachowywała też prawa polityczne.

Poetikos (R.D.): Dlaczego sąd nazywano skorupkowym?

Politeion (J.S.): Dlatego, że pisano na glinianych skorupkach, jak na karteczkach.

Filonous (P.G.): Ale, drogi Politeionie, mamy rozważyć, co jest celem państwa. A na razie mówimy jedynie o pewnej formie państwa, mianowicie o demokracji. Była to demokracja szczególnego rodzaju, bo obejmowała jedynie obywateli, a ci stanowili pewnie mniej niż połowę wszystkich mieszkańców greckiego państwa-miasta. Odejmując bowiem kobiety, które ściśle rzecz biorąc obywatelkami nie były, a stanowiły mniej więcej połowę mieszkańców, oraz niewolników, wychodzi na to, że obywatelami była stosunkowo niewielka grupa mieszkańców. Ale abstrahując od kwestii obywatelstwa, chciałem cię zapytać, czy były jakieś ujemne skutki rządów demokratycznych?

Politeion (J.S.): Były, chociażby takie, że pewna grupa obywateli, nieliczna i wpływowa (arystokracja) przejmowała rządy. Mówimy wówczas o rządach oligarchii, przy czym pochodzenie i przynależność do arystokracji nie zawsze odgrywała tam decydującą rolę.

Filonous (P.G.): Ale oligarchia to już nie jest demokracja.

Politeion (J.S.): Rządy oligarchii były przekreśleniem funkcjonowania demokracji, a to dlatego, że zgromadzenie ludności było zwoływane tylko w odniesieniu do niektórych spraw, a nie – jak uprzednio – wszystkich kwestii. Z drugiej jednak strony można powiedzieć, że czasem ta forma rządów była najczęściej spotykaną formą rządów w miastach-państwach greckich.

Filonous (P.G.): Wróćmy jednak, drogi Politeionie, do naszego podstawowego pytania o cel państwa. Rozumiem, że ciągle mówimy o państwie demokratycznym, które zdajesz się wyróżniać jako najlepszą formę państwa. Co jest więc celem państwa demokratycznego?

Politeion (J.S.): Zadaniem państwa demokratycznego jest dobro obywateli i sprawiedliwość.

Filonous (P.G.): Mówisz, Politeionie, dobro obywateli. Ale na takie ogólne sformułowanie, że celem państwa jest dobro obywateli, zgodzi się przecież każdy: i król, i tyran, i każdy rząd demokratyczny. Na czym więc dokładnie polega dobro obywateli?

Politeion (J.S.): Państwo potrafi zapewnić wszystkim godziwe warunki życia i wziąć pod opiekę słabszych. Państwo organizuje różne formy działalności, które mają ułatwić życie obywatelom.

Poetikos (R.D.): I na to tyran już się nie godzi.

Filonous (P.G.): Przejdźmy na chwilę do tyrana. Jak pojmowałby to dobro obywateli tyran?

Poetikos (R.D.): Tyran pewnie twierdziłby, że dobro obywateli tkwi w porządku, którego źródłem jest jego własna wola. Pewnie uważałby demokrację za zbyt anarchiczną, aby mogło się w niej zrodzić coś dobrego dla obywateli.

Filonous (P.G.): Czy zgodziłbyś się na taką myśl, i ty Politeionie, i ty Poetikosie, że celem państwa demokratycznego jest przede wszystkim to, żeby kwitła nasza indywidualna wolność? Ale kiedy indywidualna wolność jest zbyt wybujała, to powstaje w państwie dysharmonia. Uzasadnieniem dla innych, niedemokratycznych ustrojów państwa, w tym dla tyranii, może być potrzeba porządku i harmonii. Otóż jeden z najwybitniejszych filozofów wszechczasów, Platon, nie cierpiał demokracji. Uważał, że demokracja jest najgorszym z możliwych systemów między innymi dlatego, że w majestacie prawa, ale niesłusznie, niesprawiedliwie, skazała na śmierć jego mistrza Sokratesa. A było to możliwe dlatego, że w demokracji wszyscy obywatele, także głupcy, traktowani są równo. Ich głos liczy się tak samo jak głos mędrców. Dlatego łatwo jest nimi manipulować, aby zgodnie z zasadami demokracji zrealizować jakieś nieczne plany. Przecież i w XX wieku, wieku umiłowania wyrafinowanych form demokracji, także demokratycznie wybierać będą tyranów. Platon, widząc te wady demokracji mniej więcej tak wyobrażał sobie idealne państwo: rządzić powinni filozofowie, mędrcy, po odpowiednio długim przygotowaniu, w trakcie którego poznają m.in., co jest prawdziwym, a nie pozornym, dobrem człowieka. Oni realizują cnotę mądrości. Muszą też być w idealnym państwie żołnierze, którzy dbają o bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne. Ich naczelną cnotą jest męstwo. Muszą wreszcie być rzemieślnicy i rolnicy, którzy wytwarzają różnorakie dobra. Ich cnotą jest umiarkowanie. Gdy każdy stan robi swoje i nie wchodzi w kompetencje pozostałych stanów, to realizowana jest czwarta cnota – sprawiedliwość. Dochodzimy do następnego ważnego pojęcia, które z pewnością wchodzi w skład definicji dobra obywatelskiego – do pojęcia sprawiedliwości.

No cóż, zdaje się, że zgodziliśmy się wszyscy z twoim, Politeionie, określeniem, że celem państwa jest dobro obywateli. Ale uświadomiliśmy sobie w trakcie naszej dyskusji, że obydwie te teminy: „obywatel” i „dobro” mogą być różnie rozumiane, i że one domagają się dalszych dookreśleń. Bez nich zarówno tyran, król, jak i premier demokratycznego państwa podpiszą się pod deklaracją, że celem państwa jest dobro obywateli. Każdy jednak przez obywatela i dobro rozumiał będzie co innego. A jak powinno się pojąć te terminy – to już jest temat do znacznie dłuższej i trudniejszej dyskusji.

Paideion (S.J.Ż.): Dziękuję za pierwszą symulację. Chciałbym teraz postawić pytanie drogiemu Filonousowi:

Jaki jest cel życia ludzkiego?

Filonous (P.G.): Wydaje mi się, że wszyscy zgodzimy się z tym, że celem człowieka jest osiągnięcie szczęścia.

Poetikos (R.D.): Na to się pewnie każdy zgodzi, ale cóż to o jest szczęście, najsłabszy Filonousie.

Filonous (P.G.): Myślę, że i na to jest dobra odpowiedź, z którą się zgodzimy: żyć szczęśliwie to znaczy żyć zgodnie z naszą ludzką naturą.

Politeion (J.S.): Ale co to znaczy: „zgodnie z naturą”?

Filonous (P.G.): Zgodzisz się ze mną, drogi Politeionie, że orzeł ma jakąś swoją naturę, żółw ma swoją i koń ma swoją – i że te natury się różnią.

Politeion (J.S.): Jakżebym mógł się nie zgodzić z czymś tak oczywistym.

Filonous (P.G.): Zgodzisz się więc pewnie, że gdybyśmy z żółwia chcieli zrobić konia wyścigowego, to byśmy łamali jego naturę, i gdybyśmy orła chcieli nauczyć pływać, to też byśmy łamali jego naturę. Orzeł powinien żyć zgodnie ze swoją naturą, a żółw i koń zgodnie ze swoją.

Poetikos (R.D.): Ale to jest bardzo ogólne stwierdzenie, na które wszyscy się zgadzamy. Problematiczna jest dopiero natura tej naszej natury – jeżeli można tak powiedzieć. Na czym polega ta nasza, ludzka, natura?

Filonous (P.G.): To pytanie zamienne jest właściwie z innym pytaniem: kim jest człowiek, co decyduje o naszym człowieczeństwie. I trzeba uczciwie przyznać, że nie ma na to pytanie takiej odpowiedzi, na którą wszyscy by się zgodzili. Jedni uważają, że naturą człowieka jest rozumność, inni że wolność, jeszcze inni, że podobieństwo do bogów. Zbyt mało mamy czasu, żeby te możliwości rozważyć. Ale możemy wybrać spośród tych odpowiedzi dwie, skrajnie różniące się od siebie i możemy spróbować spojrzeć na zagadnienie celu ludzkiego życia z perspektywy każdej z nich. Przyjmijmy więc najpierw, że człowiek posiada wyłącznie cielesną naturę, że nie ma w nas nic duchowego, i że z pewnością wraz ze śmiercią ciała całkowicie ginimy. Co byłoby celem człowieka przy tak pojętej naturze człowieka? Poetikosie, jak byś żył?

Poetikos (R.D.): Dwa pierwsze prawa tak pojętej natury byłyby następujące: po pierwsze przeżyć, a po drugie dać życie drugiemu, aby coś po mnie zostało.

Filonous (P.G.): Ale gdybyś przeżycie miał jakoś zagwarantowane?

Poetikos (R.D.): Ale jak? Musiałbym przecież walczyć z wrogami, którzy chcieliby mnie zjeść.

Filonous (P.G.): Załóżmy jednak, że żyjesz w państwie na wyższym poziomie cywilizacji, które zaspokaja twoją potrzebę bezpieczeństwa.

Poetikos (R.D.): Tyle czasu by mi zajęło, żeby przedłużyć gatunek, że o czym innym bym nie myślał.

Filonous (P.G.): Politeionie, a co ty byś robił przy założeniu takiej natury człowieka?

Politeion (J.S.): Ja chciałbym żyć radośnie, używać życia, wypoczywać, podróżować, chodzić po ziemi, radując się z otoczenia, ciesząc się i używając wszystkiego, co nam zostało dane.

Poetikos (R.D.): Ale całe to założenie, że człowiek to wyłącznie ciało jest błędne. To jest chybiona definicja człowieka. Jak można być człowiekiem nie mając duszy?

Filonous (P.G.): Może i jest to chybione określenie ludzkiej natury, ale byli tacy, którzy go bronili. Wiesz pewnie, w czasach Sokratesa działali sofisci, a wśród nich byli tacy, którzy uważali, że jesteśmy cielesnymi bytami, takimi jak zwierzęta. A jak zorganizowany jest świat zwierząt? Zwierzę słabsze jest pożerane przez zwierzę silniejsze. Więc i naszym celem powinno być naśladowanie zwierząt. Słabszy musi się podporządkować silniejszemu. Byli też inni, jak słynny Demokryt, zwany od swego usposobienia śmiejącym się filozofem, którzy nawet jeśli nie zaprzeczali istnieniu duszy, to uważali, że jest ona natury cielesnej, że jest ciałem, tylko może trochę subtelniejszym niż to, z którego zbudowane są ręce, nogi i głowa. Jak myślicie, co mógł uznać Demokryt za cel życia ludzkiego?

Politeion (J.S.): Przyjemność!

Filonous (P.G.): Tak jest. A przez przyjemności rozumiał głównie przyjemności zmysłowe, takie jak np. picie i jedzenie.

Poetikos (R.D.): Wiesz, ja lubię tego Demokryta i tych sofistów.

Filonous (P.G.): Musisz jednak pamiętać, drogi Poetikosie, że przyjemność można pojąć mniej skrajnie. Przecież przyznasz, że nie tylko z cielesnych bodźców możemy czerpać przyjemność, ale na przykład z czegoś takiego jak przyjaźń. A przyjaźń to nie jest jedzenie i picie, i przedłużanie rodu czy gatunku. W taki, bardziej subtelny sposób, rozszerzał znaczenie słowa „przyjemność” Epikur i jego uczniowie. A można i tak przyjemność pojąć, że najbardziej przyjemne będzie obcowanie z bogami. Niemniej jednak ci, którzy w cielesności widzieli naturę ludzką, mieli skłonność do wyróżniania przyjemności cielesnych, zmysłowych jako najważniejszych i najbardziej godnych pożądania.

Poetikos (R.D.): Rzeczywiście, jest związek między taką koncepcją natury człowieka i odpowiedzią, jak należy żyć.

Filonous (P.G.): Załóżcie teraz, drodzy moi przyjaciele, coś zupełnie innego, że człowiek to jest przede wszystkim dusza. Dusza zupełnie różna od ciała, która nie ginie wraz z ciałem. Przyjmijmy, że została ona stracona tutaj, w świat cielesny, po to, żeby cierpieć za jakąś mroczną przewinę. Ciało jest dla niej jedynie więzieniem. Co wtedy będzie celem życia człowieka?

Politeion (J.S.): Dążenie do umartwiania się. Ja bym uprawiał ascezę.

Poetikos (R.D.): Ja bym miał pewne opory. Dusza została skazana, żeby żyć, więc niech żyje zgodnie z jej obecnym położeniem, jako powiązana z ciałem.

Filonous (P.G.): Widzę, że dla ciebie, Poetikosie, przyjemności cielesne są na pierwszym miejscu, niezależnie od tego, czy jesteśmy ciałem czy duszą.

Poetikos (R.D.): A ja, gdybym wierzył, że mam naturę duchową, niecielesną, to starałbym się żyć w harmonii z tą naturą.

Filonous (P.G.): Mnie się też tak wydaje, drogi Poetikosie, że w takiej sytuacji będziemy dążyć do uzyskania pierwotnej harmonii z naturą. A przecież nie jest czymś

naturalnym przedłużanie naszego związku z ciałem. Nasza natura jest duchowa, a dusza wyrwa się do tego prawdziwego świata, którego nie znamy. Co powinniśmy robić? Zapewne wszystko, aby się z tego ciała wyrwać i pójść do rzeczywistości prawdziwej. Jak to zrobić? Może przez umartwienie ciała, przez wyzbycie się wszelkiego pożądanego cielesnych przyjemności.

Politeion (J.S.): Może wystarczyłoby je ograniczać, ale niekoniecznie zaraz wyzbywać się ich zupełnie.

Filonous (P.G.): Mnie też najbardziej odpowiadałaby taka umiarkowana koncepcja. Najlepiej sformułował ją Arystoteles, który, jak już wiecie, uważał, że człowiek ma naturę rozumną. Rozum natomiast nie jest wprawdzie czymś cielesnym, ale z ciałem ściśle i nierozdzielnie połączonym. Człowiek żyjący zgodnie z naturą, to człowiek żyjący rozumnie.

Poetikos (R.D.): Ale znowu powstaje problem, co to znaczy żyć rozumnie?

Filonous (P.G.): Arystoteles pojmował to w ten sposób, że trzeba być umiarkowanym. Rozum doradza umiar we wszystkim.

Politeion (J.S.): Ale kiedy jestem umiarkowany, gdy wypiję jedno piwo czy trzy?

Poetikos (R.D.): Jedno, ale codziennie.

Harmonios (D.P.): Niektórym może wątrobą wysiąść po jakimś czasie.

Filonous (P.G.): Ale innym nie wysiadzie. Nie ma jednej miary dla wszystkich. Arystotelesowi chodziło o to, że nie musimy wcale rezygnować z tego, co oferuje nam życie, jak czynili to np. starożytni cynicy, choćby słynny Diogenes z Synopy, który mieszkał w beczce, aby pokazać, że dobra cielesne i sława nic a nic go nie obchodzą. Nie musimy postępować też tak jak Arystyp z Cyreny, który uważał, że jedyną wartością są przyjemności zmysłowe. Możemy żyć rozumnie, czyli według miary rozumu, rozwijając w sobie różne cnoty na przykład odwagę, hojność. Rozumny człowiek jest odważny, a czym jest odwaga? Jest złotym środkiem między zuchwałością a tchórzostwem. Rozumny człowiek jest hojny. A czym jest hojność? Jest złotym, rozumnym środkiem między rozrzutnością a skąpstwem. Ale ten złoty środek nie jest czymś bezwzględnym i dla wszystkich jednakowym. Dla kulturysty być odważnym w obliczu jakiegoś zagrożenia, to nie to samo, co być odważnym w tej samej sytuacji dla kogoś na wózku inwalidzkim. Być hojnym dla milionera nie jest tym samym, co dla bezrobotnego. W tym sensie złoty środek jest relatywny, względny.

Podsumowując naszą rozmowę trzeba chyba powiedzieć, że odpowiedź na pytanie o cel życia ludzkiego i o to, jak powinniśmy żyć, zależy od odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek. Chociaż rzecz nie jest prosta, bo jak widzimy na przykładzie naszego drogiego Poetikosa, można być hedonistą niezależnie od tego, czy wierzy się w istnienie duszy czy też nie. Pewnie można też być ascetą i materialistą zarazem. Ale rozważenie tych komplikacji zajęłoby nam pewnie jeszcze z godzinę. A Paideion już się niecierpliwi.

Paideion (S.J.Ż.): Szlachetny Harmoniosie, odpowiedz nam na pytanie:

Jaki jest cel sztuki?

Harmonios (D.P.): Drodzy przyjaciele, drodzy uczeni. Jeśli pytamy, jaki jest cel sztuki, to musimy zapytać oczywiście, co to jest sztuka? Co rozumiecie przez sztukę, podajcie jakieś przykłady.

Filonous (P.G.): Jednym ze sposobów definiowania jest po prostu wyliczenie. Mnie się zdaje, że ten sposób można zastosować w tym przypadku. Ja powiedziałbym tak: sztuka to malarstwo, architektura, rzeźba, muzyka, a w sensie szerszym – także literatura.

Harmonios (D.P.): Moglibyśmy tak wyliczać bez końca.

Filonous (P.G.): Niekoniecznie. Nawet, jeśli dzisiaj trzeba by dodać jeszcze fotografię, film i parę innych form sztuki, to ich liczba jest przecież skończona, choć może całkiem duża. Dałoby się to wyliczyć.

Harmonios (D.P.): Oczywiście, ale zauważcie, że wyliczyliście tutaj architekturę, rzeźbę, muzykę. Dodajmy jeszcze przykładowo poezję, taniec, malarstwo. Dla uporządkowania i sklasyfikowania tych pojęć możemy powiedzieć, że istnieją sztuki ekspresyjne, do których starożytni Grecy zaliczali poezję, taniec, muzykę, oraz sztuki konstrukcyjne, a więc architektura, malarstwo, rzeźba. Myślę, że oprócz tego podziału powinniśmy wprowadzić jeszcze dwa pojęcia, które – chociaż nie tylko one – towarzyszyły zawsze sztuce greckiej, a dla nas będą bardzo pomocne w dalszej dyskusji, pozwolą bowiem określić cele stawiane sztuce. Po pierwsze *katharsis*. Arystydes Kwintylianus, pisarz z przełomu II i III w.n.e. przekazał takie słowa:

„Już dawni wiedzieli, że śpiewy i muzyka są uprawiane przez jednych, gdy są dobrze usposobieni, gdy doznają przyjemności i radości, przez innych w melancholii i troskach, przez innych jeszcze – w boskim opętaniu i religijnym zachwyceniu” i dalej: „tańce i śpiewy przynosiły ukojenie”³.

Jeszcze trafniej i bardziej obrazowo ujął to Hezjod (ok. 700 p.n.e.), opisując działanie poezji:

„Szczęśliwy, kogo Muzy kochają. Słodki głos wypływa z jego ust. Choćby komu świeża troska zraniła duszę i serce miał w smutku, jeśli usłyszy, jak pieśniarz, sługa Muz, opiewa sławne czyny dawnych pokoleń i szczęśliwych bogów w niebie, to zapomni o cierpieniu i nie będzie zwracał uwagi na swe zmartwienia: szybko go dary bogiń usposobią inaczej” (*Theogonia* 96).

A więc sztuka służy uzewnętrznieniu uczuć i przeżyć. Słuchając muzyki, poezji, tańcząc, ale także oglądając przedstawienie teatralne doznajemy ulgi, ukojenia, oczyszczenia.

Drugim pojęciem jest *mimesis*, termin, którego znaczenie zmieniał się, ale ostatecznie rozumiany był jako naśladowanie, odtwarzanie rzeczywistości, co najlepiej czyniły teatr, malarstwo i rzeźba.

Do tych podziałów i terminów wrócimy jeszcze wielokrotnie, wcześniej jednak, drodzy uczeni, pozwólcie, że zadam wam kolejne pytanie, które pozwoli na zwrócenie uwagi na jeszcze jeden sposób rozumienia słowa „sztuka”. Zauważcie – jeśli mówimy

³ Wszystkie cytaty zmieszczone w tekście pochodzą z: Władysław Tatarkiewicz, *Historia estetyki*, T.I. *Estetyka starożytna*, Warszawa 1985.

„architektura”, „malarstwo”, nasuwa nam się na myśl przede wszystkim jakaś budowla, jakiś obraz czyli jakiś wytwór – nazwijmy go „dziełem”, w tym wypadku o charakterze materialnym. Ale jeśli powiemy „taniec”, „muzyka”, to sprawa wydaje się wyglądać nieco inaczej. Taniec to ustalony sposób poruszania się, muzyka to przecież określony zespół dźwięków. Dźwięki zaistnieją tylko wówczas, gdy wydobędziemy je z instrumentu. A to wymaga już odpowiedniego działania. A więc „sztuka” to także działanie. Zresztą takie spojrzenie na sztukę możemy odnieść również do architektury, rzeźby czy malarstwa. Czyż patrząc, podziwiając jakąś budowlę czy obraz nie mówimy jednocześnie: to wielka sztuka wybudować, namalować coś takiego! Mamy wówczas na myśli nie tylko sam efekt, dzieło, lecz także czynność, działanie prowadzące do powstania tego dzieła.

Filonous (P.G.): Ale przecież nie każde działanie jest sztuką. Gdyby poprzestać na takiej definicji, to oddychanie musiałbyś uznać za sztukę. Bo oddychając działasz, a sztuka to – jak mówisz – działanie.

Harmonios (D.P.): Naturalnie, nie każde działanie nazwiemy sztuką. Tak jak i nie każdy rezultat tego działania możemy określić tym terminem.

Filonous (P.G.): Pewnie chcesz powiedzieć, że sztuka nie jest każdym działaniem człowieka, a tylko działaniem świadomym i wolnym. A zwłaszcza wolnym.

Poetikos (R.D.): Sztuką jest to, czego nie musisz.

Harmonios (D.P.): Ale możesz.

Poetikos (R.D.): Oddychać musisz, więc to nie jest sztuką.

Filonous (P.G.): Ale to jest ciągle zbyt szerokie określenie. Przecież gdy biegam dla zdrowia, to działam świadomie i w sposób wolny, ale czyniąc to nie uprawiam przecież sztuki.

Poetikos (R.D.): Jak to?! To się nazywa kultura fizyczna. Sprinter biegnący na 100 m, pokazany w zbliżeniu, w zwolnieniu – to jest piękne.

Filonous (P.G.): Mam wrażenie, że używasz słowa sztuka, tak jak rzeźnik może go użyć, w znaczeniu: „ładna sztuka”.

Poetikos (R.D.): Dlaczego od razu rzeźnik?

Filonous (P.G.): Otóż chciałbym powiedzieć, że nie możemy naginać pojęć. Zwróćcie uwagę, moi przyjaciele, że jeżeli zbyt szeroko zdefiniujemy pewne pojęcie, to ono przestaje mieć jakikolwiek sens. Staje się niemal puste. Pojęcie musi być dobrze określone. Ono się musi wyodrębniać spośród pokrewnych mu pojęć.

Harmonios (D.P.): Zgódźmy się co do tego, że sztuka to działanie, albo wytwór, efekt tego działania. Przy tym możemy chyba powiedzieć, że zawsze będzie to działanie celowe. Celem architekta będzie wzniesienie budowli, celem malarza – obraz. Ale nie tylko, bo malarz może również dążyć do przekazania pewnych treści – na przykład widoku natury (*mimesis*), lub do wyrażenia własnych przeżyć (*katharsis*). Jego celem może być także wywołanie odpowiednich wrażeń u patrzącego na obraz. Świadomie kieruję waszą uwagę w tym kierunku. Chcę bowiem wskazać na pewien warunek konieczny do zaistnienia działania, a zatem do powstania wytworu, a więc sztuki. Otóż w każdym działaniu niezbędna jest odpowiednia umiejętność, odpowiednia sprawność, a to z kolei wymaga znajomości i stosowania określonych reguł i zasad. I tak dochodzimy do terminu *techné*, używanego przez starożytnych Greków na określenie sztuki.

ki, a znaczącego właśnie „sprawność”, „umiejętność”. Rzymianie natomiast stosowali termin *ars*, w tym samym znaczeniu co *techne*. Pamiętajmy jednak, że rezultatami owych *techne* i *ars* wcale nie były jedynie obiekty architektury, malarstwa, rzeźby. Chyba najlepiej będzie przywołać w tym miejscu naszego wielkiego mistrza, samego Platona (428-348). Podzielił on, a przynajmniej usiłował to uczynić, wszystkie celowe, kierujące się regułami działania, a więc wszelkie sztuki, na trzy podstawowe kategorie:

„W każdym zakresie są trzy sztuki: ta, która coś użytkuje, ta, która coś wytwarza, i ta, co naśladuje” (*Respublica* 601 D).

Chyba jednak wielki filozof miał jakieś zastrzeżenia co do słuszności tej klasyfikacji, skoro w innym jego dziele czytamy:

„Wszak wszystkie sztuki, ogólnikowo mówiąc, są dwu rodzajów... Z jednej strony, rolnictwo i pielęgnowanie wszelkich ciał śmiertelnych i produkcja ciał złożonych i ukształtowanych, które nazywamy narzędziami. Z drugiej zaś strony, naśladownictwo, które w całości powinno by najśluszniej nosić tę jedną nazwę” (*Sophista* 219 A).

Sztuki użytkujące, korzystające z natury, to *ktetyka*, na przykład rybołówstwo czy myślistwo. Pozostałe sztuki to *poetyka*, a więc wytwarzanie czegoś, czego natura nie stworzyła – np. rolnictwo, ale także wytwarzanie narzędzi czy wznoszenie budowli. Do *poetyki* należą sztuki naśladowujące naturę, mimetyczne, takie jak malarstwo, rzeźba, ale również poezja, przedstawienia teatralne, taniec czy muzyka. Platon tak pisze:

„Rytmy i cała muzyka są naśladowaniem ludzkich charakterów lepszych i gorszych” (*Leges* 798 D).

„Tańce są naśladowaniem ludzkich postaw, a obracają się w dziedzinie różnych czynności, losów i charakterów, które każdy wykonawca odtwarza, naśladowując” (*Leges* 655 D).

Filonous (P.G.): Ty proponujesz niezwykle szerokie określenie sztuki. Co byłoby w takim razie przeciwstawieniem słowa „sztuka”? Jeśli mamy trudności w zrozumieniu jakiegoś pojęcia, to warto sobie zadać pytanie, co się temu pojęciu przeciwstawia.

Poetikos (R.D.): Wszystko, co nie jest działaniem celowym i podlegającym jakimś normom.

Filonous (P.G.): Czy zgodziłbyś się, że takim pojęciem jest pojęcie natury, przyrody i wtedy wszystko, co jest świadomą, celową ingerencją człowieka w przyrodę byłoby sztuką. Np. las sztuką nie jest, ale ogród jest.

Poetikos (R.D.): Łąka nie jest, ale trawnik jest.

Filonous (P.G.): Czy takie pojęcie sztuki masz na myśli, gdy nam proponujesz tę ogólną definicję?

Harmonios (D.P.): Tak, naturalnie. W ten sposób można zdefiniować sztukę bardzo szeroko, jako umiejętność, sprawność, znacznie szerzej od późniejszego – zwłaszcza dzisiejszego – rozumienia tego pojęcia. Dla nas sztuka to przede wszystkim architektura, rzeźba, malarstwo, literatura, muzyka, film, teatr. Ale zwróćcie uwagę, że nawet dzisiaj używamy takich określeń, jak np. „sztuka wojenna”, „sztuka kulinarna”, nie mówiąc już o „sztuce kochania”. Czy nie są one echem greckiego rozumienia sztuki?

Poetikos (R.D.): Ale nie użyłeś ani razu słowa „piękno”.

Harmonios (D.P.): Tak, i zrobiłem to całkiem świadomie. Znow odwołajmy się do chwili obecnej. Powszechnie używamy dzisiaj określenia „sztuki piękne” i te dwa wyrazy wydają się nam nierozzerwalnie związane. Dla starożytnych Greków nie było to takie oczywiste. Grecy w zasadzie nie łączyli ze sobą „sztuki” i „piękna”, lub może – powiedzmy lepiej – łączyli w sposób znacznie luźniejszy, niż czynimy to obecnie.

Paideion (S.J.Ż.): Nie definiowali piękna?

Harmonios (D.P.): Oczywiście, że definiowali, i to na kilka różnych i bardzo ciekawych sposobów. Ale między „pięknem” i „sztuką” nie zawsze stawiali znak równości.

Poetikos (R.D.): Czyli, jak oglądasz piękny krajobraz i doznajesz wielkich wzruszeń estetycznych to ze sztuką nie ma to nic wspólnego, ale z pięknem tak.

Harmonios (D.P.): Oczywiście, jest to piękno natury. Ale widzę, że w ten sposób zbliżamy się do drugiego ważnego pojęcia i pytania zarazem. Zastanawialiśmy się nad tym, co dla Greków oznaczał termin „sztuka”. Teraz spróbujmy ustalić, co to jest „piękno” i jak pojęcie to było rozumiane przez Greków. Samo zdefiniowanie „piękna” jest zadaniem niezwykle trudnym, a jednoznaczna definicja – niemożliwa. Zwróć uwagę Poetikosie na własne słowa. Mówisz o pięknym krajobrazie, na widok którego doznajesz wzruszeń. Domyślam się, że krajobraz ten niewątpliwie ci się podoba. Pytam cię więc: czy krajobraz ten jest piękny dlatego, że ci się podoba? – czy może odwrotnie – dlatego ci się podoba, bo jest piękny? Gdy odpowiesz na te pytania, sam zauważysz, że można wskazać dwa źródła piękna. W pierwszym przypadku będzie ono tkwiło w tobie samym, ty określisz, że krajobraz jest piękny, ty będziesz kreatorem piękna, a ono okaże się wartością subiektywną. Natomiast w sytuacji przeciwnej źródłem piękna będzie krajobraz, czyli natura, a ty okażesz się jedynie jego odkrywcą, odbiorcą. Samo zaś piękno okaże się wartością obiektywną, wyrażającą istotę oglądanego przez ciebie krajobrazu. Widzisz więc, że możemy spojrzeć na piękno z dwóch perspektyw. Tak też, ale nie tylko tak, czynili Grecy.

Filonous (P.G.): No dobrze, wobec tego musimy chyba uściślić nasze rozumienie sztuki. Z jednej strony mamy przeciwstawienie sztuki naturze. Sztuka nie jest naturą. Ogród i trawnik należy do sztuki, las, przynajmniej ten nie posadzony przez człowieka, do sztuki nie należy. Ale w pojęcie sztuki musi być jakoś włączone pojęcie piękna, bo inaczej nauka, która jest również celowym działaniem człowieka, jest także sztuką. I filozofia jest sztuką.

Poetikos (R.D.): Jest sztuką w pojęciu greckim oczywiście.

Filonous (P.G.): Harmoniosie, ty używasz pojęcia „sztuka” w taki sposób, w jaki niektórzy używają słowa „kultura”. Bo co to jest kultura? Kultura jest właśnie przeciwstawiona naturze. Do kultury należy wszystko, co jest racjonalną działalnością człowieka. Kulturowym wytworem człowieka jest zarówno moralność, religia, jak i nauka. Do wytworów kultury należą zarówno wielkie katedry, jak i obozy koncentracyjne. Bo są wytworem rozumności człowieka. I podałeś Harmoniosie taką definicję sztuki, że ona właściwie utożsamia się z określeniem kultury.

Harmonios (D.P.): Ale tak to rozumieli Grecy.

Filonous (P.G.): No dobrze, tak rozumieli sztukę Grecy. Ale my dzisiaj rozumiemy ją zazwyczaj wężiej i w jakimś związku z pojęciem piękna. Ciekawi mnie, czy np. ma-

larstwo współczesne, różne napaćkane obrazy, mogłyby być przez starożytnego Greka uznane w tamtym czasie za piękne.

Harmonios (D.P.): Mogłyby być uznane, ale nie przez każdego Greka. Zanim ci to spróbuję wyjaśnić, Filonousie, pozwól, że wrócę do twojego wcześniejszego pytania – o związek między sztuką i pięknem. Wydaje mi się, że pojęcia te najbardziej bliskie sobie były w poglądach Sokratesa (469-399). Zauważ, doszliśmy do wniosku, że dla Greków sztuka to przede wszystkim *techne*. Podkreślaliśmy przy tym, że ma służyć jakiemuś celowi. Otóż na celowość właśnie, na zgodność z przeznaczeniem zwrócił uwagę Sokrates i nazwał ją pięknem. W jednej z rozmów Sokratesa z artystami (rozmowy te przekazał nam jego uczeń Ksenofont (ok.430-ok.355) znajdujemy takie słowa:

„...tarcza [...] jest piękna, bo dobrze osłania, [...] oszczep [...] jest piękny, gdy może być miotany mocno i szybko. [...] Wszystkie rzeczy są dobre i piękne do tego użytku, do którego są odpowiednie, a złe i brzydkie, do którego są nieodpowiednie” (*Commentarii III* 8,4).

Widzicie więc, że postępując za myślą Sokratesa, możemy odpowiedzieć na postawione przez was pytanie o związek między sztuką a pięknem. Jeśli sztuka – *techne* – prowadzi do powstania wytworu zgodnego z celem, jakiemu wytwór ów ma służyć, tym samym prowadzi do powstania piękna. Poglądy Sokratesa na piękno określić możemy mianem funkcjonalizmu. Ale nie były to wówczas poglądy jedyne. Istniała także inna definicja piękna, stworzona przez sofistów. Możemy ją nazwać relatywistyczną lub subiektywistyczną. Zacytuję tu wypowiedzi sofistów:

„[Posągi] są naśladownictwem prawdziwych ciał: gdy się na nie patrzy, dają radość, ale pożytku ludziom żadnego nie dają” (Alkidamas, *Oratio de sophistis* 10).

Znajdujemy tu więc z jednej strony opozycję względem sokratejskiej użyteczności, z drugiej – położenie nacisku na radość z patrzenia. W innym fragmencie czytamy:

„Piękne jest to, co przyjemne dla słuchu i wzroku” (słowa te przekazał Platon, *Hippias maior* 298 A).

Inny sofista – Gorgiasz (V/IV w. p.n.e.), napisał:

„Malarze radują wzrok, gdy doskonale z wielu barw i ciał zrobią jedno ciało i jeden kształt; robienie zaś posągów ludzi i tworzenie posągów boskich używa oczom przyjemnego widoku” (*Helena* 18).

Zdaniem sofistów miarą wszystkiego jest człowiek. W związku z tym każdy z nas określa – kierując się swoim upodobaniem – co jest pięknem. Taka postawa prowadzi do przekonania o całkowitej względności tego pojęcia. Oto jeszcze jeden fragment z pism sofistycznych, niestety anonimowy:

„Sądzę, że gdyby ktoś kazał wszystkim ludziom na jeden stos złożyć rzeczy brzydkie, które oni za takie uważają, a zabrać z tego stosu rzeczy piękne, które oni za takie mają, to nic by nie pozostało na stosie, lecz wszyscy by wszystko rozebrali; bo nie wszyscy mają takie samo zdanie” (*Dialexeis* 2,8).

I tu, drogi przyjacielu, znajdujemy odpowiedź na twoje pytanie o różne współczesne napaćkane obrazy. Jeśli byłbyś sofistą, a patrzenie na owe obrazy wprowadziłoby cię w błogi nastrój, z pewnością chciałbyś wmówić nam wszystkim, że są piękne. Nie znaczy to jednak, że wszyscy zgodzilibyśmy się z tobą. Znaleźliby się niewątpliwie tacy, którzy zarzuciliby ci krańcowy relatywizm. I na pewno ktoś zapytałby, czy nie istnieje piękno obiektywne, wyrażające się przez harmonię, ład, proporcje.

Filonous (P.G.): Czekalem, kiedy to powiesz Harmoniosie.

Harmonios (D.P.): Do tego zmierzam, nazywam się przecież Harmonios. Ta właśnie idea piękna, która i mi jest najbliższa, pochodzi od Pitagorasa, filozofa żyjącego w VI w. p.n.e., i jego następców zwanych pitagorejczykami, którzy działali w V i IV stuleciu. Wprawdzie nie posługiwali się oni terminem „piękno” lecz terminem „harmonia”, myślę jednak, że nie popełnimy błędu przyjmując, iż oba te pojęcia uznaliby za równoznaczne. Zapytacie pewnie w tym miejscu: a co to jest harmonia? Filolaos (V/IV w. p.n.e.) tak to wyjaśnia:

„Harmonia jest zjednoczeniem rzeczy różnorodnie zmieszanych i zestrojeniem różnie nastrojonych” (*Arithm. II 19*).

A więc harmonia wprowadza ład, porządek między elementami, właściwą proporcję. Tę ostatnią nazwali „symetrią”. Mało tego, uważali, że ład, harmonia, dobre proporcje są nie tylko cennymi, pożytecznymi cechami rzeczy i zjawisk, ale że stanowią ich własność obiektywną. Pitagorejczycy wywiedli swą myśl od pewnych obserwacji w dziedzinie akustyki. Stwierdzili mianowicie, że struny wydają harmonijne dźwięki, jeśli ich długość pozostaje w prostych stosunkach liczbowych (np. 1:2; 2:3). W oparciu o to spostrzeżenie doszli do wniosku, że cały świat ma budowę matematyczną, opartą na liczbie, mierze i proporcji. A skoro cały świat to i sztuka. Sekstus Empiryk, filozof z II w. n.e., tak streścił poglądy pitagorejczyków:

„Żadna sztuka nie powstaje bez proporcji, a proporcja leży w liczbie. Wszelka więc sztuka powstaje przez liczbę... Jest więc jakaś proporcja w rzeźbie, a podobnie też w malarstwie. Dzięki tej proporcji osiągają one całkowitą poprawność dzieła. Ogólnie biorąc, wszelka sztuka jest systemem postrzeżeń, a system jest liczbą, słusznie więc można rzec: „dzięki liczbie wszystko pięknie wygląda”, to znaczy: dzięki myśli zdolnej do sądu i pokrewnej liczbom, stanowiącym zasadę wszechrzeczy. Tak twierdzą pitagorejczycy” (*Adv. Mathem. VII 106*).

Nic więc dziwnego, że jeden z największych greckich rzeźbiarzy – Poliklet (V w. p.n.e.) tworzył swe posągi w oparciu o matematycznie wyznaczony kanon, przyjmując dla wysokości całej postaci siedmiokrotną długość twarzy, a dla długości twarzy trzykrotną długość nosa, zgodnie z zasadą, że piękno tkwi w:

„proporcji palca do palca, palca do przegubu, jego do dłoni, jej do łokcia, łokcia do ramienia i wszystkich tych części jednych do drugich” (Galen (ok. 130-200), *De plac. Hipp. et Plat. V*).

Filonous (P.G.): Przyznasz jednak Harmoniosie, że sofisci stanowili mniejszość, i jeżeli mówimy np. o greckiej, klasycznej koncepcji piękna, to nie mamy na myśli koncepcji sofistów.

Harmonios (D.P.): Nie do końca mogę się z tym zgodzić. Przede wszystkim dlatego, że gdybym przytaknął, pominęlibyśmy jeszcze jedną, niezwykle ważną koncepcję piękna, stworzoną przez Platona, a określaną mianem idealistycznej. Zauważcie, dla Sokratesa pięknem było spełnienie funkcji wyznaczonej jakiejś rzeczy, dla sofistów – przyjemność płynąca z jej oglądania, dla pitagorejczyków – harmonia w rzeczy tej zawarta. Wszyscy odnosili swe teorie do świata rzeczy i zjawisk realnych. A więc i piękno, o którym mówili, możemy nazwać pięknem realnym. Dla Platona jednak oprócz świata realnego istniał także świat idei, względem którego świat realny był tylko odbiciem, cieniem. A zatem istnieje także piękno idealne, doskonałe, transcendentne. Idea tego doskonałego piękna istnieje w naszym umyśle i tylko myślą jesteśmy w stanie to idealne piękno uchwycić. Natomiast piękno realne dociera do nas za pośrednictwem zmysłów. Ale pozwólmy przemówić filozofowi, który w jednym ze swych dzieł pisał:

„piękno [...] samo w swojej istocie, [...] piękno wieczne, które nie powstaje i nie ginie, i nie rozwija się, ani nie więdnie, ani nie jest z jednej strony piękne, a z drugiej szpetne, ani raz tylko takie, a drugi raz odmienne, ani takie w porównaniu z czymkolwiek, a z czym innym inne, ani też dla jednego piękne, a dla drugiego szpetne. – I nie ukaże mu się piękno niby twarz albo ręce jakie, lub jakakolwiek część ciała cielesna, ani jako słowo, ni wiedza jakakolwiek, ani jako cecha jakiegoś, powiedzmy, stworzenia, ni ziemi, ni nieba, ani czegokolwiek innego, tylko piękno samo w sobie niezmiennie i wieczne, wszystkie inne przedmioty piękne uczestniczą w nim jakoś w ten sposób, że podczas gdy same powstają i giną, ono ani się pełniejszym nie staje, ani uboższym, ani go żadna w ogóle zmiana nie dotyka” (*Convivium* 210 E – 211 D).

Widzicie więc, że koncepcja Platona wyraźnie odbiega od poglądów Sokratesa i sofistów. Znajdujemy w niej natomiast pewne cechy wspólne z pitagorejczykami, a to dlatego, że według Platona świat zbudowany jest w doskonałym ładzie, w oparciu o wieczne i niezmiennie prawa i idee, i na tym – na prawidłowości i harmonii – polega jego piękno. A w każdej części świata, w każdej rzeczy czy zjawisku odnajdujemy część tego doskonałego ładu, a więc część idealnego piękna.

A jaką rolę Platon przypisał artystom? Otóż zadaniem rzeźbiarza, malarza, ale i poety, jest odkrywanie, ukazywanie idealnego piękna. Tak m.in. pisał o artystach:

„Jeżeli wykonawca wpatrzony jest w to, co niezmiennie, i tym posługuje się wzorem, gdy usiłuje urzeczywistnić jego postać i moc, wówczas wynikiem jest rzecz skończona i piękna. Jeżeli zaś wpatrzony jest w to, co powstało, i powstałym posługuje się wzorem, wtedy wynik nie jest piękny” (*Timaeus* 29 A).

Podsumujmy zatem. Starożytni Grecy pojmowali piękno na kilka sposobów. Dla Sokratesa była to użyteczność, dla pitagorejczyków – ład i harmonia. Najbardziej skrajne, przeciwstawne teorie stworzyli sofisci i Platon. Dla sofistów piękno tkwiło w zmysłowej przyjemności, dla Platona w ponadczasowej idei.

Filonous (P.G.): To właściwie moglibyśmy zgodzić się, że w każdym okresie powstają różne koncepcje, ale jeśli przypisujemy jakiejś kulturze, jakiemuś okresowi pewną koncepcję, to z tego powodu, że ona jest w niej dominująca. I dominującą z pewnością była koncepcja piękna jako harmonii.

Harmonios (D.P.): Ale pytałeś mnie, czy współczesne dzieła sztuki mogłyby być przedmiotem zachwyty Greków. Dla sofistów mogłyby być.

Filonous (P.G.): Ale tylko dla nich. Z pewnością nie dla Platona, nie dla Sokratesa i nie dla wszystkich pozostałych myślicieli greckich.

Harmonios (D.P.): Nie zapominajmy o jeszcze jednej rzeczy, że piękno to nie tylko harmonia dla Greków, nie tylko przyjemność dla oka i ucha, ale piękno to także użyteczność, stosowność, to są też terminy, które padają chociażby u Sokratesa. Takie rozumienie piękna było również dosyć szerokie i wieloaspektowe. Tak jak nie było jednej definicji piękna.

Poetikos (R.D.): Chciałbym skończyć tak, że piękne jest to, co się nie da zdefiniować.

Filonous (P.G.): Protestuję! Da się zdefiniować. Wszystko da się w jakiś sposób zdefiniować. Grek wierzył, że świat jest uporządkowany, że możemy naszym rozumem przeniknąć różne, pozornie niewyjaśnialne zjawiska, że możemy także zdefiniować tak skomplikowane pojęcia jak sztuka, czy piękno. Jeżeli dzisiaj mówimy o klasycznej sztuce, czy klasycznych regułach, to co mamy na myśli? To, że kierowała się ściśle określonymi regułami. Nie można było wykonać dobrej rzeźby, nie będąc podporządkowanym tym regułom. Harmonia nie powstawała samorzutnie, ale przez spełnienie zestawu wymogów zarówno w poezji, jak i malarstwie, rzeźbie i muzyce.

Paideion (SJŻ): Rozpoczynamy kolejną symulację. Stawiamy pytanie:

Czemu służy literatura?

Poetikos (R.D.): Literatura służy naśladowaniu. Platon pierwszy wprowadza idee *MIMEZIS*. Tyle tylko, że on tę ideę rozumie na swój sposób, a drugie wielkie źródło rozumienia tej idei wprowadza Arystoteles. Zresztą uczeń Platona, ten który 20 lat spędził w jego Akademii. Co Platon mówił o idei *mimesis*? Oczywiście nie zrozumiemy tej idei w wydaniu platońskim, jeśli nie uświadomimy sobie, jakie są podstawy jego filozofii. Mówił, że *mimesis* oznacza odtwarzanie wyglądu rzeczy, ale przecież to naśladowanie, odtwarzanie odnosi się do cieni odwiecznie istniejących idei. Więc zauważamy w ujęciu platońskim naśladowanie drugiego, a nawet trzeciego stopnia. Używa on, myślę, takiej bardzo pięknej, twórczej myśli. On sztukę uznaje za cień cienia potrójnie oddalony od prawdy i pozbawiony wszelkiej realności. Daje tutaj piękny przykład łóżka. Łóżko jest trójjednią, łóżka są trzy. Jedno to, które jest w istocie rzeczy; drugie to, które zrobił stolarz; trzecie, które malarz. W tym sensie sztuka, jest cieniem cienia. Jest potrójnie oddalona od rzeczywistości.

Filonous (P.G.): Ale w takim razie ona nie ma żadnej wartości.

Poetikos (R.D.): Dla Platona nie ma wartości.

Filonous (P.G.): Nie ma wartości, o ile jest naśladowaniem cienia. Ale może mieć wartość, gdy naśladuje rzeczywistość. Znowu musimy „rozpakować” sensy terminów, których użyłeś w swojej odpowiedzi na pytanie o to, czemu służy literatura. Jeśli mówisz, że służy naśladowaniu rzeczywistości, to musimy najpierw wiedzieć, czym jest rzeczywistość.

Politeion (J.S.): Rzeczywistość jest tym, co nas otacza.

Filonous (P.G.): Ale co nas otacza? Możemy powiedzieć, że rzeczywistość to są jednostkowe przedmioty, drzewa, zwierzęta. To jest rzeczywistość. Ale zastanówcie się przez chwilę, czy dusza też jest rzeczywistością? Załóżmy, że jest. Wiem, że ty Poetikosie tak słabo w to wierzysz, ale załóżmy, że dusza jest, że jest częścią rzeczywistości. Jak ją naśladować, w jaki sposób wyrazić duszę w malarstwie czy w literaturze?

Poetikos (R.D.): W malarstwie przez oczy.

Filonous (P.G.): Oczy są zwierciadłem duszy.

Harmonios (D.P.): Pozwólcie, że wspomogę was w waszych rozważaniach słowami Sokratesa. Ksenofont, uczeń Sokratesa, przytacza rozmowę swego mistrza z malarzem Parrazjosem:

„Sokrates: – A to, [...] co w człowieku jest najbardziej przekonujące, miłe i bliskie, najbardziej urocze i pociągające, mianowicie właściwości jego duszy, czy naśladowacie to także, czy też nie daje się to naśladować?

Parrazjos: – Jakże by [...] dało się naśladować to, co nie ma ani proporcji, ani barwy, ani nic z tego, o czym przed chwilą mówiłeś, co w ogóle nie jest widzialne?

Sokrates: – Ale czyż w spojrzeniu nie widzi się życzliwości i nienawiści?... I czyż nie można tego oddać w oczach?...” (*Commentarii III. 10, 1*).

Oto i odpowiedź na wasze pytanie – duszę też można przedstawić. Wprawdzie nie bezpośrednio, lecz przez wyraz oczu i twarzy.

Filonous (P.G.): Drogi Harmoniosie, nie wystarczy powiedzieć, iż sztuka jest naśladowaniem, bo trzeba od razu uświadomić sobie, że jest naśladowaniem czegoś, a my możemy się różnić, co do pojmowania tego czegoś. I Platon, o którym mówisz, Poetikosie, uważał, że te cielesne rzeczy nie są rzeczywistością, że one są zwykłym cieniem. To, co jest realne to jest dusza, to są idee ogólne, konieczne i niezmiennie. To też naśladownictwo tej zmysłowej rzeczywistości nie ma sensu.

Politeion (J.S.): Czyli koncepcja sztuki jako naśladowującej rzeczywistość jest mocno zależna od tego, jak pojmuje się rzeczywistość.

Filonous (P.G.): Oczywiście. Wyobraźcie sobie, że mamy dzisiaj kogoś, kto twierdzi, że jedynie realną, jedynie rzeczywistą jest materia, o której mówi fizyka. Więc my wszyscy jesteśmy zbiorem pulsacji energii. To jest rzeczywistość. Czy ktoś, kto maluje jakieś tam packi dziwaczne na płótnie nie mógłby być uznany za naśladowcę natury? Myślę, że mógłby. Tylko dla niego rzeczywistością nie są drzewa, zwierzęta i ludzie, ale ten właśnie zmienny, dziwaczny, chaotyczny, a jednak uporządkowany prawami świat, o którym mówi fizyka.

Poetikos (R.D.): I teraz już przechodzimy do drugiej wielkiej myśli na temat sztuki, poezji również literatury. Do tego, co o *mimesis* sądził Arystoteles. W przykładzie platońskim on popiera to jeszcze taką myślą, że właściwym twórcą łóżka jest Bóg, stolarz jest wykonawcą, a artysta jego naśladowcą. A żeby mieć tutaj jasność Arystoteles, bardzo blisko przecież z Platonem związany, nie zgadzał się z takim rozumieniem *mimesis*. I oto mamy teraz drugie ujęcie *mimesis*. Bardzo pięknie to Arystoteles wyraża. Poeta naśladowuje rzeczywistość nie taką, jaka ona jest, ale również taką, jaką być powinna lub taką, o jakiej się mówi, że jest. I to jest istota mimetyzmu w wydaniu Arystotelesa. Nie upraszajmy tego. W języku potocznym upraszczamy to mówiąc: *mimesis* to naśla-

dowanie rzeczywistości. Arystoteles mówi, są rzeczy, których nie ma, a je również można naśladować.

Filonous (P.G.): Rzeczy, których nie ma, ale mogą być, lub które są, lecz powinny być inne niż są.. Czyli znowu mamy tu naśladowanie rzeczywistości, ale dla Arystotelesa to nie jest tylko ta rzeczywistość, która jest, ale także ta, która być powinna, ta o której mówimy, że jest.

Paideion (SJŻ): Ależ uczeni mężowie, czy wszyscy nie bładzicie? Czy czasami literatura tak naprawdę nie służy tylko jednemu, by wyrażać nasze stany emocjonalne, żeby pomóc nam się uzewnętrzniać? Poetikosie, czy coś na ten temat mówił twój uczony nauczyciel Arystoteles lub Platon?

Poetikos (R.D.): On niestety tego nie mówił, i to jest mój największy zarzut wobec niego. *Mimesis* dla Arystotelesa jest to analogia wobec świata rzeczywistego, bowiem nasze myślenie jest analogiczne.

Filonous (P.G.): Ja mam pewną wątpliwość. Wspomniałeś tutaj Platona. Platon, jak mówiliśmy o tym poprzednio przy okazji rozmowy z Politeionem, miał projekt idealnego państwa, w którym rządzą filozofowie. Są żołnierze, którzy bronią państwa i są rzemieślnicy, którzy wytwarzają różne dobra. Ale tenże Platon uważał również, że z tego idealnego państwa trzeba wypędzić poetów.

Poetikos (R.D.): Nie lubił poetów?

Filonous (P.G.): Nie lubił poetów, ale nie wszystkich poetów, lecz jedynie tzw. poetów manicznych, czyli tych, którzy tworzą pod wpływem manii, namiętności, pod wpływem jakiegoś natchnienia. Natomiast uważał, że mogą w państwie pozostać poeci techniczni.

Poetikos (R.D.): Użyteczni.

Filonous (P.G.): Tak. Manych należy wypędzić, ale technicznych można zostawić. Co to znaczy technicznych? To znaczy państwowych, takich, którzy nie wprowadzają zamętu w duszy człowieka, i którzy zarazem spełniają ważne zadania państwowe.

Harmonios (D.P.): A czy wiecie co Platon sądził na temat sztuki mu współczesnej? Otóż w czasach, w których żył, czyli na przełomie V i IV w. sztuka grecka – rzeźba, malarstwo – rozwijała się znakomicie, osiągnęła apogeum w swej ewolucji. Ale tak patrzemy na nią my, żyjący prawie 2500 lat po Platonie. Dla niego natomiast ówczesna sztuka była wymysłem chorej wyobraźni. Bagatelizował ją lub wręcz potępiał za zbytni subiektywizm, indywidualizm i dążność do tworzenia iluzji.

Filonous (P.G.): Ale on przecież potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tego rodzaju sztukę potępia.

Harmonios (D.P.): Dlatego, że odeszła od miary, od ładu, od harmonii, że wymienione tu cechy oddalały ją od wiecznego, niezmiennego świata idei.

Filonous (P.G.): To prawda, ale przede wszystkim dlatego, że ona jest kopiowaniem cieni, dlatego, że nie odzwierciedla rzeczywistości takiej, jaką ona faktycznie jest.

Harmonios (D.P.): Zgoda! A jaką sztukę Platon cenił? Głównie grecką sztukę archaiczną, a przede wszystkim sztukę starożytnych Egipcjan, gdyż była ona w największym stopniu oparta na kanonie wyznaczonym przez liczbę, miarę i proporcje.

Filonous (P.G.): Podobną do rzeczywistości umysłowej, ale niepodobną do rzeczywistości prawdziwej. Czyli to ciągle daje się interpretować w kategorii *mimesis*, w kate-

Mariusz CHOINA – pracownik naukowy jednej z uczelni Lublina.

Sławomir CZARNECKI – student piątego roku filozofii KUL.

Adam DOBRZYŃSKI – student piątego roku filozofii i pierwszego roku teologii KUL.

Roman DOKTÓR – dr hab.; kierownik Katedry Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej KUL; kierownik Nauczycielskiego Studium Podyplomowego KUL; Przewodniczący Zespołu Kwalifikacyjnego Międzywojewódzkiej Komisji Kwalifikacyjnej do spraw Stopni Specjalizacji Zawodowej Nauczycieli w Lublinie i Zamościu.

Jacek DUDA – pastor Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Lublinie.

Regina GRZESZKIEWICZ – poetka; absolwentka wydziału Prawa i Administracji UMCS.

Piotr GUTOWSKI – dr filozofii; adiunkt w Katedrze Filozofii Nowożytnej i Współczesnej na Wydziale Filozofii KUL; wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL.

Paweł JUREWICZ – student czwartego roku filologii polskiej UMCS.

Tomasz KARPIŃSKI – anglista, filmoznawca.

Marian KLIMCZAK – nauczyciel historii i dyrektor Zespołu Szkół Gastronomicznych w Lublinie.

Ks. Krzysztof KAUCHA – dr teologii; adiunkt przy Katedrze Eklezjologii Fundamentalnej w Instytucie Teologii Fundamentalnej KUL.

Diana KOZAK – studentka trzeciego roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.

Maciej KOWALCZYK – student w Instytucie Teologii Moralnej KUL.

Małgorzata KULIK – uczennica IV klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

Maria MAKARSKA – nauczycielka języka polskiego w IV LO w Lublinie; doradca metodyczny w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli.

Kamila MATLA – uczennica trzeciej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

Mariusz ORŁOWSKI – pedagog kultury i polonista; doktorant UMCS.

Bartek PANEK – uczeń trzeciej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

Magdalena POKRZYCKA-WALCZAK – dziennikarka „Gazety Powszechnej”.

Daniel PRÓCHNIAK – dr nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Sztuki Starożytnej KUL, metodyk nauczania historii sztuki; wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL.

Maciej SERWETA – student drugiego roku europeistyki na Wydziale Filozofii i Socjologii UMCS.

Jan SKARBK – dr nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Historii Ustroju i Administracji Polski KUL; wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL.

Piotr SZALEK – student piątego roku filozofii KUL.

Jacek ZALEWSKI – student piątego roku filozofii UMCS.

Ireneusz ZIEMIŃSKI – dr hab.; adiunkt w Zakładzie Filozofii i Socjologii Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

wyższyć. Chcieliśmy też pokazać znaczenie rozumu i racjonalnego roztrząsania zagadnień, a zwłaszcza wagę definiowania pojęć.

Nawiązując do rozróżnienia, które zaproponowałem na początku tych zajęć, chciałbym wskazać na pewien problem, który dopiero teraz, po zajęciach o Jerozolimie i Atenach, jasno się pojawił. Sercem cywilizacji zachodniej jest Jerozolima, „szkiełkiem i okiem” (rozumem) są Ateny. Nasza cywilizacja tworzy się między innymi z tych dwóch fundamentów. Ale powstaje pytanie, jaka powinna być właściwa relacja między rozumem i wiarą. Nie jest to problem łatwy, ale zasadniczy dla kultury. Można zapewne powiedzieć, że wiara bez rozumu jest ślepa, a rozum bez wiary pusty. Inaczej mówiąc, przeakcentowanie roli wiary a pomniejszenie roli rozumu może prowadzić np. do fanatyzmu. Ale eliminacja wiary na korzyść rozumu może być powodem innych poważnych dewiacji kulturowych. Niektórzy twierdzą, że wielkie ideologie XX wieku, które doprowadziły do ludobójstwa, miały swoje zaplecze w niczym nieograniczonej ufności w ludzki rozum. Podobnie zagrożenia, które dopiero pojawiają się na horyzoncie, choćby w związku z możliwościami technicznymi w dziedzinie genetyki, mają zapewne jeden ze swych korzeni w przekonaniu o niczym nieograniczonym prawie rozumu do konsumowania swoich wytworów. Warto zwrócić uwagę, że jedną z ostatnich ważnych prób „ustawienia” relacji wiary do rozumu jest szeroko na całym świecie komentowana encyklika papieża Jana Pawła II *Fides et ratio*.

Opracowanie redakcyjne:
Sławomir J. Żurek

(na podstawie nagrania magnetofonowego z zajęć dla nauczycieli gimnazjum
w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL,
przepisanego przez Agnieszkę Lipską).

• *informacje o autorach*

Mariusz CHOINA – pracownik naukowy jednej z uczelni Lublina.

Sławomir CZARNECKI – student piątego roku filozofii KUL.

Adam DOBRZYŃSKI – student piątego roku filozofii i pierwszego roku teologii KUL.

Roman DOKTÓR – dr hab.; kierownik Katedry Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej KUL; kierownik Nauczycielskiego Studium Podyplomowego KUL; Przewodniczący Zespołu Kwalifikacyjnego Międzywojewódzkiej Komisji Kwalifikacyjnej do spraw Stopni Specjalizacji Zawodowej Nauczycieli w Lublinie i Zamościu.

Jacek DUDA – pastor Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Lublinie.

Regina GRZESZKIEWICZ – poetka; absolwentka wydziału Prawa i Administracji UMCS.

Piotr GUTOWSKI – dr filozofii; adiunkt w Katedrze Filozofii Nowożytnej i Współczesnej na Wydziale Filozofii KUL; wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL.

Paweł JUREWICZ – student czwartego roku filologii polskiej UMCS.

Tomasz KARPIŃSKI – anglista, filmoznawca.

Marian KLIMCZAK – nauczyciel historii i dyrektor Zespołu Szkół Gastronomicznych w Lublinie.

Ks. Krzysztof KAUCHA – dr teologii; adiunkt przy Katedrze Eklezjologii Fundamentalnej w Instytucie Teologii Fundamentalnej KUL.

Diana KOZAK – studentka trzeciego roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.

Maciej KOWALCZYK – student w Instytucie Teologii Moralnej KUL.

Małgorzata KULIK – uczennica IV klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

Maria MAKARSKA – nauczycielka języka polskiego w IV LO w Lublinie; doradca metodyczny w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli.

Kamila MATLA – uczennica trzeciej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

Mariusz ORŁOWSKI – pedagog kultury i polonista; doktorant UMCS.

Bartek PANEK – uczeń trzeciej klasy I LO im. St. Staszica w Lublinie.

Magdalena POKRZYCKA-WALCZAK – dziennikarka „Gazety Powszechnej”.

Daniel PRÓCHNIAK – dr nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Sztuki Starożytnej KUL, metodyk nauczania historii sztuki; wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL.

Maciej SERWETA – student drugiego roku europeistyki na Wydziale Filozofii i Socjologii UMCS.

Jan SKARBEEK – dr nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Historii Ustroju i Administracji Polski KUL; wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL.

Piotr SZĄLEK – student piątego roku filozofii KUL.

Jacek ZALEWSKI – student piątego roku filozofii UMCS.

Ireneusz ZIEMIŃSKI – dr hab.; adiunkt w Zakładzie Filozofii i Socjologii Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

Sławomir Jacek ŻUREK – dr nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej KUL; nauczyciel języka polskiego w Prywatnym Katolickim Liceum Ogólnokształcącym im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie (szkoła ćwiczeń dla studentów KUL); wykładowca w Nauczycielskim Studium Podyplomowym KUL; współpracuje z Wojedódzkim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli oraz Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN”.



Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, wydawca „Scriptores Scholarum”, mieści się w zabytkowej Bramie Grodzkiej, na Starym Mieście w Lublinie. Dawniej była ona przejściem pomiędzy miastem chrześcijańskim i nieistniejącym już miastem żydowskim. Historyczne i symboliczne znaczenie tej bramy, jako miejsca łączącego różne narody, tradycje i religie, jako miejsce spotkania i dialogu, jest głównym źródłem inspiracji działalności Ośrodka.

U źródeł powstania Ośrodka leży działalność artystyczna Teatru NN, w którym zrealizowane zostały m. in. przedstawienia: „Ziemskie Pokarmy”, „Inwokacja” i „Zbyt głośna samotność”. W miarę upływu czasu...

Teatr zaczęli otwierać się na inne – pozateatralne pomysły uzupełniające lub nawet zastępujące ich artystyczną aktywność. W ten sposób rozpoczęła się kulturalna działalność animacyjna Ośrodka oraz remont Bramy Grodzkiej i przyległych do niej kamienic.

Prowadzone przez Ośrodek programy krystalizują się wokół zagadnień związanych z problemem pamięci, edukacji kulturalnej poprzez wszelkiego rodzaju media i kulturalnego ożywiania Starego Miasta. Organizowane są tu m.in. spotkania z filmem dokumentalnym oraz jego twórcami, jesienny festiwal Dni Radia, wystawy fotograficzne (m.in. wystawa „Portret miejsca” połączona z ekspozycją makiety lubelskiego zespołu staromiejskiego), sesje oraz promocje niskonakładowych książek i czasopism kulturalnych. Wydawany jest tu również unikalny na skalę europejską *Kalendarz Ekumeniczny*. Pod koniec czerwca, w sercu Starego Miasta, Ośrodek organizuje widowisko „Noc Świętojańska” z koncertem muzyki folk i plenerowymi spektaklami teatralnymi.

Charakterystycznym rysem działalności Ośrodka jest niestereotypowy charakter i unikalność podejmowanych projektów. Skierowane głównie do ludzi młodych propozycje Ośrodka idą pod prąd masowej kultury i jej gustom, uczą otwartego i tolerancyjnego patrzenia na świat oraz świadomego w nim bycia.



Fra... er miał swoją prapremierę w grudniu 1999, kiedy to w sieci pojawiła się strona z kalendarium wydarzeń związanych z szeroko pojętą działalnością kulturalno-społeczno-edukacyjną, ze szczególnym uwzględnieniem imprez małych i jednorazowych, które mają mniejsze możliwości „przebicia się” w mediach. Obecnie na stronie przewijają się również repertuary kin, teatrów, programy imprez wielodniowych, informacje o wydawnictwach, ogłoszenia kulturalne i linki do stron WWW.

Jest to pierwszy i jak na razie jedyny taki serwis w Lublinie i regionie. Jego pomysłodawcą i organizatorem jest Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Serwis można odwiedzić pod internetowym adresem: [www.fra...l](http://www.fra...).

SCRIPTORES SCHOLARUM

kwartalnik uczniów i nauczycieli oraz ich Przyjaciół

powstał w roku 1993

od roku 1995 wydawany jest przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie

Jest pismem edukacyjnym redagowanym przez uczniów szkół średnich, studentów, nauczycieli oraz pracowników naukowych. „Scriptores Scholarum” [Zeszyty Szkolne] to czasopismo nawiązujące do przedwojennych tradycji gimnazjalnych, w których szkoła średnia nie była tylko placówką dydaktyczną, ale również ośrodkiem naukowym i kulturalnym. Publikujemy na naszych łamach wartościowe prace uczniów – laureatów olimpiad przedmiotowych, programy edukacyjne, eseje, artykuły, konspekty lekcji, szkice metodyczne, poezję, prozę, recenzje, rozmowy z autorytetami. Każdy monograficzny zeszyt liczy ponad 200 stron druku.

Kwartalnik „Scriptores Scholarum” został wyróżniony w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej.

„SCRIPTORES SCHOLARUM” 1993-1999

Zeszyt szkolny 1993 – nr 1

Zeszyt norwidowski 1994 – nr 2

„Filozofia w szkole” 1994 – nr 3/4

Zeszyt edukacyjny 1994 – nr 5/6

Zeszyt dziennikarski „Środki społecznego przekazu w Małej Ojczyźnie” 1995 – nr 7

Zeszyt ekologiczny 1995 – nr 8/9

Spotkania kultur 1996 – nr 10

Zeszyt teatralny „Dramat w szkole” 1996 – nr 11/12

Zeszyt o przedsiębiorczości 1996 – nr 13

Zeszyt 13. pluralizmów 1997 – nr 1 (14)

Zeszyt samorządowy „Wybory i decyzje’ 97” 1997 – nr 2/3 (15/16)

Zeszyt integracyjny „Rzeczpospolita w Europie” 1997 – nr 4 (17)

Zeszyt mówiony „Pamięć – Miejsce – Obecność” 1998 – nr 1 (18)

Zeszyt o stereotypach „Fobie i resentmenty” 1998 – nr 2/3 (19/20)

Zeszyt „Niepełnosprawni?” 1998 – nr 4 (21)

Zeszyt (Anty)Feministyczny 1999 – nr 1 (22)

Zeszyt Wielośrodowiskowy „Medium – Środowisko – Tożsamość” 1999– nr 2/3 (23/24)

Zeszyt Otwarty. Dekada (1989-1999) 1999 – nr 4 (25)

**W Polsce wydawanych jest wiele czasopism edukacyjnych,
ale Ty wybierz dla swojej szkoły, biblioteki, dla siebie i swojego dziecka
naprawdę nowoczesne Pismo!!!**

Wybierz „Scriptores”!!!

Tylko prenumerta zapewni Państwu możliwość stałej lektury naszego kwartalnika!!!

SCRIPTORES 2000

Zeszyt „Chrześcijananie 2000” – nr 1 (26)

Zeszyt internetowy – nr 2/3 (27/28)

Zeszyt ludowy – nr 4 (29)

**Cena rocznej prenumeraty „Scriptores” – 24.00 zł,
(nr 26, 27/28, 29); cena obejmuje koszty przesyłki.**